

KOLEJNA BESTSELLEROWA POWIEŚĆ LAUREATA NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU 2018
ORAZ NAGRODY „ZŁOTY POCISK” 2019 ZA NAJLEPSZĄ POLSKĄ POWIEŚĆ KRYMINALNĄ

RYSZARD ĆWIRLEJ

OSTATNIA DROGA



RYSZARD
ĆWIRLEJ

OSTATNIA DROGA



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja: *Beata Mes*
Tłumaczenie i redakcja tekstów rosyjskich: *Irena Palianowa*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Justyna Techmańska, Beata Koziel*

© by Ryszard Ćwirlej

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2809-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Prolog

Przejście graniczne w Dorohusku

Poniedziałek

28 lutego 2022

Godzina 11.55

Auto płynęło pod prąd ludzkiej rzeki. Osobowy mercedes vito jechał najwyżej dziesięć na godzinę, a i tak co chwilę przystawał. Do przejścia granicznego zostały jeszcze może ze dwa kilometry, a oni nie wiedzieli, czy w ogóle jest sens tam się pchać. Przyjechali po ludzi, ale chcieli to załatwić oficjalnie, wpisać się na jakąś listę, zarejestrować... Zresztą oboje nie mieli pojęcia, jak to zrobić. W ogóle nie wiedzieli, czy ktoś ma jakieś pojęcie. Czy ktokolwiek nad tym wszystkim panuje. Ale czy w ogóle można panować nad wojną?

Kierowca, szczupły, nieogolony mężczyzna po czterdziestce, ubrany w kraciatą flanelową koszulę i dżinsy, wcisnął przycisk w radiu, które natychmiast rozświetliło się pomarańczowymi diodami.

- Wiadomości są zaraz - powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić przed piegowatą trzydziestolatką, siedzącą na miejscu pasażera. Dziewczyna miała na głowie czarną bejsbolówkę, spod której wystawał koński ogon rudych włosów. Ubrana była w czarny polar i tego samego koloru spodnie bojówki. W skupieniu spoglądała na mijających ich ludzi, starsze kobiety z walizkami, matki z dziećmi na rękach, młode dziewczyny z wózkami, nastolatki prowadzące młodsze rodzeństwo. Gdzieś tam pojawiały się wśród nich twarze mężczyzn, stare i pomarszczone. Młodych nie było wcale. Zostali po drugiej stronie.

Podkręcił głośniej radio. Wnętrze auta wypełniła energetyczna muzyka.

*Więc przez płonący las przeprowadź mnie,
niech z nieba spadnie na mnie wielki deszcz,
więc przez płonący las przeprowadź mnie,
jak wielka rzeka wpływ, uratuj mnie...*

Słowa piosenki urwały się nagle, zlewając się z dźwiękiem stacji radiowej. Zaraz po nim serwisantka zaczęła czytać najnowsze informacje:

Nadal toczą się walki wokół Kijowa, ale miasto nie zostało okrążone. Do stolicy Ukrainy można wciąż dojechać od południa i od wschodu. Na południu wojska rosyjskie zajęły Briańsk i Enerhodar. Charków został ostrzelany rakietami, z których przynajmniej kilka trafiło w osiedla mieszkalne, powodując dużą liczbę ofiar wśród cywili...

Dziewczyna wyłączyła radio.

- No co ty! - Kierowca najwyraźniej chciał słuchać.

- Ja pierdole, nie mogę - odpowiedziała, ścierając łzę z policzka - co za skurwysyny.

- Nie mów tak...

- A jak mam mówić? Przecież te kacapy to militarna potęga. Światowe mocarstwo... Amerykanie powinni pomóc Ukrainie - powiedziała głosem pełnym determinacji. - My powinniśmy im pomóc. Całe

NATO! Przecież to dwudziesty pierwszy wiek i do tego Europa. Nie można patrzeć z założonymi rękoma, jak tam ci barbarzyńcy...

- Anetka, ja się z tobą zgadzam. Ale co my możemy zrobić? Możemy... Kurde, nie możemy dalej jechać. Po co my właściwie jedziemy pod samą granicę?

Samochód zatrzymał się kolejny raz. Musieli poczekać, aż tłum trochę się przerzedzi. W oddali, za podążającymi w ich kierunku ludźmi, widać było nieco wolnej przestrzeni. Najprawdopodobniej na samym przejściu musiało się coś zakorkować. Tak już było kilka razy, że fala przepływała, robiło się trochę luźniej, wtedy podjeżdżali kilkadziesiąt metrów, aby po chwili znów utknąć.

- Poczekajmy trochę - powiedziała Aneta, obserwując boczne lusterko. Kierowca spojrzął we wsteczne.

- Ten z volkswagena wymiękł - powiedział ironicznym tonem, gdy oboje zrozumieli, co się dzieje. Jadący za nimi, zderzak w zderzak, facet w starym transporterze na krakowskich numerach otworzył drzwi, stanął na progu i przytrzymując się dachu auta, zaczął coś wykrzykiwać do przechodzących. Naraz w tłumie zrobiło się zamieszanie. Jakaś kobieta z dwójką dzieci zaczęła pchać się w kierunku samochodu. Nie mogła przebrnąć przez ludzką ciżbę, więc mężczyzna zrozumiał, że musi jej pomóc. Wskoczył w tłum, dopchał się do niej i wziął dzieci na ręce. Ona z walizkami i plecakami ruszyła za nim. Dali się ponieść ludzkiej ciżbie i zaraz byli przy drzwiach volkswagena. W chwili, gdy pakował ich do środka, inne kobiety otoczyły go wiankiem. Kręcił głową, coś wyjaśniając. W końcu wpuścił do auta dwie kolejne.

- On nie ma towaru - powiedziała Aneta. - Ma pusty wóz.

- A my przecież nie musimy wieźć wszystkiego na samą granicę - zaproponował Turek nieśmiało, czekając na jej reakcję.

- Szymon, tyle jedziemy, to chyba warto dotrzeć do jakiegoś punktu dystrybucji. Przecież oni tam będą wiedzieli lepiej, komu to wszystko dać.

- Jak komu, Anetka? Popatrz na te dzieciaki, na te kobiety. Przecież my nie wiemy luksusowych towarów, tylko to, co jest im potrzebne. Otwórzmy drzwi i zacznijmy rozdawać!

Patrzyła to na niego, to na ludzi idących wzdłuż auta. Tłum zaczął się przerzedzać.

- Myślisz, że jak damy im tu to wszystko, to trafi to do kogoś, kto nie potrzebuje? - próbował dalej, ale ona już podjęła decyzję.

- Jak się zrobi luźniej, zjeżdżaj na pobocze - poleciła, a Szymon się uśmiechnął. - Masz rację. - Klepnęła go w ramię.

Przed wyjazdem z Poznania mówiła chłopakom, że dowiezie towar do samej granicy i wszystko trafi do potrzebujących. Nie wiedzieć czemu, uczepiła się tej myśli o granicy. Ale jej kolega miał w sobie więcej mądrości życiowej i umiejętności realistycznego spojrzenia na świat. Tak zawsze było. Ona robiła wiele rzeczy na wariackich papierach, a Szymon Turek, aspirant z Komendy Powiatowej Policji w Szamotułach, lubił robić wszystko powoli i dokładnie.

Gdy zadzwonił do niej drugiego dnia po wybuchu wojny, czuła się kompletnie rozbita. Nie mogła zabrać się do normalnej roboty. Cały czas słuchała wiadomości, na przemian przeklinała i płakała. Turek nie siedział z założonymi rękoma.

- Anetka, słuchaj - zaczął mówić, jak zwykle nieco płacząc się w zeznaniach - bo mój brachol, ten wiesz, co to mieszka w Opalenicy, no Kaziu mu na imię... Ten, co jest ode mnie dwa lata starszy...

- Co z twoim bratem? - rzuciła trochę opryskliwie. Tam wojna, a ten tu z bratem wyjeżdża.

- On ma warsztat samochodowy, ale gada, że nie może sam jechać na granicę, bo ma za dużo roboty. No to ja mu powiadam, że ja pojedę. Ale by się przydał ktoś, kto zna język, bo się człowiek nie dogada.

- Stary, o co ci...

- No to se pomyślałem, że przecież ty gadasz po rusku, nie? No mówiłaś przecież z tymi dziewczynami, co je wtedy uwolniliśmy z tego obozu. Tyś z nimi gadała...¹

- No tak, mówię po rosyjsku.

- To jakbyś ty pojechała ze mną, to ja bym mógł kierować.

Gdyby był gdzieś w pobliżu, toby mu się rzuciła na szyję. To było właśnie to, czego potrzebowała. Chciała działać, a nie siedzieć u siebie w biurze, w Komendzie Miejskiej Policji w Poznaniu. Podkomisarz Aneta Nowak decyduje, że pojedzie, podjęła w sekundę. Później trochę trwało przekonanie szefa, żeby dał jej kilka dni urlopu.

- Aneta, przecież tam może być cholernie niebezpiecznie - przekonywał inspektor Mariusz Blaszkowski. - Nie wiadomo, co tym ruskim skurwysynom przyjdzie do głowy. Może po Ukrainie pójda dalej... Nie twierdzą, że zaraz wojna, ale jakieś przypadkowe rakiety na przejściu granicznym. Oni są nieobliczalni. Widziałaś te zniszczone bloki w Charkowie?

- Nic nie mów. Wiesz, że muszę tam jechać - powiedziała to w taki sposób, spoglądając mu w oczy z twardą determinacją, że momentalnie zrozumiał. Nie miał co z nią dyskutować. Musiał jej pozwolić.

A potem wszystko już poszło gładko. Wczoraj rano aspirant Turek wjechał na parking przy Szylinga. W ciągu godziny pracownicy komendy załadowali auto po brzegi tym wszystkim, co udało im się zgromadzić dzień wcześniej, gdy Aneta rozpuściła informacje o zbiórce. Zbrali tyle jedzenia i wody, że nie zmieściło się w tym pożyczonym mercedesie. Ale nadmiarem nikt się nie przejmował. Może za chwilę pojedzie następny transport. Ich samochód załadowano po sufit i mogli ruszać.

- Anetka, tu może być chyba, nie? - Turek zatrzymał się na poboczu.

- Każde miejsce jest dobre - stwierdziła. Założyła grubą narciarską kurtkę i rękawiczki i wyskoczyła z auta. Spotkali się przy tylnych drzwiach. Turek otworzył ostrożnie, żeby nic się nie wysypało z ich pieczołowicie ułożonej konstrukcji. Nie udało się. Na ziemię spadło kilka butelek. Jakies ręce chwyciły je, ktoś chciał oddać butelkę coli.

- *Вот, возьмите*² - powiedziała Aneta.

- *Спасибо*³ - odpowiedziała kobieta.

Turek rozcinał zgrzewki z napojami i natychmiast rozdawał przechodzącym. Aneta otworzyła karton z wafelkami Prince polo i wkładała w wyciągnięte dłonie. Kobiety i dzieci zatrzymywały się przy ich aucie, a oni podawali, jak leci, wszystko, co tylko mieli na pace. Na szczęście nie brali ze sobą półproduktów, a jedynie to, co można było zjeść niemal od razu. Mieli krojone chleby w folii, sery i paczkowane wędliny, trochę puszek z mieloną mięsą i pasztetami, a do tego środki czystości: pasty do zębów, mydła w płynie i szampony...

Nawet nie zauważyli, kiedy ich samochód był pusty. Zniknął cały towar.

- Co teraz, pani kierowniczo? - zapytał Turek.

- Trzeba by gdzieś te folie i kartony wypieprzyć, żeby zrobić miejsce. - Wskazała na stertę śmieci. Aspirant był przygotowany. Wydobyl spod siedzenia foliowy worek i zaczął ładować.

- No to teraz jedziemy po ludzi - powiedział z uśmiechem. - Tylko czy ktoś będzie chciał z nami jechać? - zapytał, chyba raczej sam siebie.

- Zaraz się przekonamy. - Aneta oddała kawał kartonu, wyciągnęła z kieszeni gruby pisak i napisała cyrylicą „*Познань*”.

Stała obok auta z tabliczką na piersi jak autostopowiczka. Tyle że to ona szukała chętnych do podwózki. - *Мы едем в Познань. Можем взять с собой восемь человек. Есть желающие поехать с нами?*⁴ - zachęcała.

Przy aucie pojawiła się kobieta z dwójką dzieci. Mogła być w jej wieku, pociechy na oko ośmio-, dziesięcioletnie.

– *Мы хотим поехать с вами. Нам все равно куда. Лишь бы подальше отсюда*⁵.

Pół godziny później auto było zapelnione. Dołączyły jeszcze dwie kobiety z trójką dzieciaków. Turek i Aneta poupychali bagaże, gdzie się dało, wypełniając nimi całą wolną przestrzeń.

Nie musieli już jechać do granicy. Wracali do Poznania, choć żadna z uciekinierek nie miała pojęcia, gdzie jest ten Poznań. Pochodziły z Charkowa i niewiele wiedziały o kraju, do którego rzucił je wojenny los.

– A swoją drogą, to czemu one wszystkie mówią po rusku? – zapytał cicho Turek. – W końcu to Ukrainki, nie?

– A swoją drogą, to czemu żeś wziął mnie ze sobą, skoro wiedziałeś, że mówię po rusku, a nie po ukraińsku? – Aneta wzruszyła ramionami i wskoczyła do auta. Odwróciła się zaraz za siebie, uśmiechając się do siedzących z tyłu pasażerów.

– *Как самочувствие? Все нормально?*⁶ – zapytała, ale nikt nie odpowiedział. Wszyscy spali.

Rozdział I

Poniedziałek
23 maja
Autostrada A2
Okolice Grodziska Wielkopolskiego
Godzina 21.30

Tania patrzyła przez okno na migocące w oddali światła. Gdzieś tam ludzie siedzieli w domach przed telewizorami, przy stołach, jedli kolację albo układali dzieci do snu. Tam toczyło się normalne życie, a tu? Jeśli jest tak, jak powiedziała jej ta dziewczyna, Wieroczka, to znalazła się w przedsionku piekła. Musiała więc coś zrobić jak najszybciej. Powinna spróbować się wyrwać, uciekać, bo jeśli pojedą dalej, to będzie już stracona i nigdy nie uda jej się wrócić do normalnego świata. Do ludzi, którzy jedzą kolację, oglądają telewizję i kładą dzieci do snu.

Deszcz padał coraz bardziej intensywnie, kierowca prowadził auto pewną ręką, a strzałka prędkościomierza nie schodziła poniżej stu trzydziestu. Z głośnika płynęły dźwięki muzyki techno, takiej, przy której ma się ochotę mordować albo przynajmniej pić do upadłego.

Naraz dostrzegła, że coś dzieje się na drodze. Coś tam się musiało stać. Tak, to na pewno były awaryjne światła samochodów jadących przed nimi. Może jakiś wypadek? A jeśli wypadek, to być może będzie tam policja? Samochody będą jechały wolniej, więc gdyby udało się jej wyskoczyć, mogłaby podbiec do policjantów i powiedzieć, że potrzebuje pomocy.

Auto przed nimi zwolniło. Kierowca wcisnął pedał hamulca i od razu poczuła, że toczą się znacznie wolniej. Położyła dłoń na klamce drzwi, a drugą na klamrze pasa bezpieczeństwa.

Siedziała na tylnym fotelu. Obok dziewczyny, której nigdy wcześniej nie widziała. Dwie godziny temu Jura kazał jej wsiadać i nie pytać za dużo. Potem podjechali na jakieś duże osiedle pełne bloków, prawie takich samych jak na Ukrainie. Jura wydobyl komórkę i połączył się z kimś, mówiąc coś po polsku. Po chwili z klatki schodowej wyszedł mężczyzna z uwieszoną na nim dziewczyną. Wyglądała, jakby była chora. Błada twarz, podkrążone oczy, a do tego szła tak jakoś dziwnie, jakby za chwilę miała się przewrócić. Ten, który ją prowadził, podtrzymywał ją ostrożnie pod boki.

Gdy podeszli, ten wielki kierowca wyskoczył z auta i otworzył im drzwi. Coś powiedział do tego drugiego, ale nie zrozumiała, bo mówili po polsku. Nic z tego polskiego nie rozumiała. Ale na szczęście kierowca był Ukraińcem.

- Jura, dokąd jedziemy? - spytała rano, gdy obudził ją w tym domu, gdzieś w środku lasu, gdzie czekała przez ostatnie dwa dni.

- No jak dokąd? - zdziwił się, sięgając po papierosa. - Tak jak chciałaś, do lepszego świata.

- Ale dokładnie to dokąd?

- Do Niemiec - powiedział z uśmiechem. - Tam to jest życie, nie to, co tutaj.

- A co ja tam będę robiła?

- Jak to co? Normalnie, będziesz pracować. Tam jest dużo pracy. Możesz pracować w restauracji albo w hotelu. Wszystko jedno. Gdzieś ci załatwimy robotę.

- My, czyli kto?

- No ja i moi znajomi. Nic się nie martw. Będzie dobrze.
- Ale ja nie znam niemieckiego.
- No to się nauczysz. Przecież niemiecki to nie chiński.

Prawda, kiedyś uczyła się niemieckiego na kursach w Charkowie, ale to było tak dawno, że już nic nie pamiętała. No może kilka słów. Ale rzeczywiście Jura miał rację. Wszystkiego się można nauczyć. Byleby zacząć tam nowe życie z daleka od tego, przed czym uciekła. Zostawiła swój Charków i pojechała w świat, nie mając pojęcia, dokąd trafi. Ktoś jej zaproponował bilet do Poznania. Nie wiedziała, co to za miasto. Znała tylko jego nazwę, bo w Charkowie było kino Poznań, i nic więcej. Wysiadła z pociągu i poszła tam, gdzie szli ci wszyscy, którzy razem z nią przyjechali z Przemyśla. Był tu punkt informacyjny dla uchodźców, więc chciała się czegoś dowiedzieć, bo nie miała pojęcia, co dalej ze sobą zrobić. Jacyś dobrzy ludzie dali jej jeść, ciepłą zupę i *buterbrody*² z szynką. A potem pojawili się Jura z Saszką.

- Ta pomoc społeczna to was zawiezie do jakichś baraków i będziecie spać na podłodze - mówił do niej. - Będziecie żyć jak w jakimś gułagu. A jak kto pojedzie ze mną, to za kilka dni już będzie mieć pracę.

- Jaką pracę? - zapytała.

- Dobrze płatną i z ubezpieczeniem, a dodatkowo na etacie. Tu wszystko można załatwić, tylko trzeba wiedzieć, z kim gadać - tłumaczyła Saszka, drobna brunetka o sympatycznym wyrazie twarzy.

- A ty wiesz? - spytała z niedowierzaniem.

- Wiem. Ja tu mieszkam już kilka lat... Mieszkamy - poprawiła się, spoglądając na Jurę. Ten potwierdził, przykładając dłoń do serca.

Zdecydowała się pojechać z nimi. Co miała do stracenia? Przez dwa dni czekała w tym starym domu, do którego ją zawieźli. Wczoraj były tam jeszcze trzy inne dziewczyny, ale już je zabrali. Podobno załatwili im pracę w Holandii. Ona czekała na wyjazd do Niemiec. I doczekała się dzisiaj.

Jura zahamował gwałtownie i mocno zwolnił, przeklinając pod nosem. Mimo to jechali jeszcze przynajmniej czterdzieści na godzinę. Gdzie ten wypadek? - myślała gorączkowo, patrząc przed siebie. Nie było widać policyjnych kogutów, a jedynie światła stopu i awaryjne samochodów, które były przed nimi.

Dziewczyna obok zasnęła. Drzemał też mężczyzna, który przyprowadził ją do auta. Wydawał się taki opiekuńczy i w sumie sympatyczny. Był szczuplejszy od Jury, a twarz miał starannie ogoloną. Spod bejsbolówki wystawał mu kosmyk jasnych jak len włosów. Pomógł dziewczynie wsiąść, zapiął jej pasy i upewniwszy się, że siedzi wygodnie, zamknął drzwi.

- No jak ci, Wieroczka? - zapytał, odwracając się za siebie, gdy samochód ruszył. Mówił po rosyjsku z wyraźnym zachodnim akcentem. Chyba był Polakiem.

- Odwal się - odpowiedziała i syknęła z bólu, łapiąc się za brzuch.

- Co z nią? - zainteresował się Jura.

- Nic, a co ma być? - burknął blondyn, wzruszając ramionami.

- No jak co? Przecież widzę, że jest chora.

- Nie chora, tylko zmęczona. Tak to jest, jak się za bardzo lubi pieprzyć.

Spojrzała na nią, a potem na niego. Co za skurwysyn. Jak on może tak mówić? Ta Wiera to pewnie jego dziewczyna, a on przy ludziach... Jakiś potwór. Jeśli to on ją tak urządził...

- Ty bydlaku! - krzyknęła Wiera. - Zgwałcił mnie! Całą noc mnie gwałcił i pół dnia, a potem powiedział, że mam się przyzwyczaić, bo w burdelu, w Niemczech, będą mnie tak jebać co noc. Powiedział, że do burdelu...

- Zamknij się, Wieroczka. Coś ci się w głowie pokręciło. Jedziemy do Niemiec, do pracy w restauracji - mówił spokojnym głosem blondyn, tak jak się mówi do dziecka, które przeżywa rozczarowanie.

- Nie wierz im. - Złapała ją za rękę. - Nie wierz. Wiozą nas do Niemiec, żeby nas sprzedać. Nie zrobili ci jeszcze krzywdy, to uważaj, bo zaraz to zrobią.

Kierowca uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy białych zębów.

- Wieroczka, śpij, bo głupoty gadasz - powiedział i znów się uśmiechnął.

Wtedy Tania zrozumiała, że musi za wszelką cenę uciekać. Póki jeszcze jest w Polsce. Pewnie uda się wymusić jakiś postój. Powie im, że chce jej się sikać i dłużej nie wytrzyma. Będą musieli zjechać na jakiś parking i wtedy da sobie radę.

Ale na drodze pojawił się ten zator.auta jechały coraz wolniej. Teraz prędkość zmaląa już do dwudziestu. Za chwilę staną. Serce biło jej jak oszalałe. Nigdzie nie było widać policji. Wypadek musiał wydarzyć się znacznie dalej. Trudno, wyskoczy z samochodu i pobiegnie gdzieś w ciemność. Nie dadzą rady jej dogonić. Zawsze była szybka, a poza tym miała na nogach sportowe buty. Zacisnęła dłoń na klamce.

- Kurwa mać! - zaklął po polsku Jura i samochód się zatrzymał.

Nie mogła stracić ani sekundy. Szarpnęła za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Jura odwrócił się za siebie.

- Co ty, kurwa, robisz...

Pociągnęła drugi raz i jednocześnie zwolniła klamrę pasa. Wyskoczyła na drogę prosto w deszcz, tuż obok aluminiowej barierki, która odgradzała autostradę od pobocza. Nie zamierzała jednak przez nią przeskakiwać, bo zaraz by ją dopadli. Chciała uciec jak najdalej.

- Tania! - krzyknął Jura.

Biegnąc, odwróciła się i zobaczyła, że z auta próbuje wysiąść Wiera. Nie dała rady. Blondyn podbiegł do dziewczyny i wepchnął ją do środka. Jura ruszył za Tanią, ale ta rzuciła się na barierkę między dwoma pasami ruchu. Podskoczyła i przez chwilę zawisała na niej, opierając się o krawędź brzuchem. Zaraz jednak przełożyła nogi i upadła po drugiej stronie, na trawniku. Jura był tuż za nią. Nie zamierzała się poddać. Zobaczyła światła nadjeżdżającego dużego samochodu i w ich smugach zarys pobocza. Musi zdążyć przed tą ciężarówką.

- Tania, stój! - usłyszała za sobą krzyk i jeszcze bardziej przyspieszyła. Ciężarówka zbliżała się, ale ona już przebiegła pas wewnętrzny i wskoczyła na ten drugi. Jeszcze kilka metrów. Ogromny wóz przejechał z łoskotem, wyjąc syreną. Jeszcze kawałek i będzie...

Kierowca drugiej wyprzedzanej właśnie przez tira ciężarówki nawet jej nie zauważył. Akurat odpisywał na wiadomość od żony.

Będę w domu za jakieś dwie godziny...

Coś stuknęło głucho przy lewym zderzaku.

- Kurwa - warknął głośno, ale nie zwolnił. - Pewnie jakiś pierdolony zajęc albo może sarna się wpierdoliła na drogę i dostała strzałę - powiedział do siebie, a potem pomyślał, że na najbliższym parkingu musi sprawdzić, co to za kurwa wpadła mu pod zderzak. Byleby tylko za dużo się nie zniszczyło. Na szczęście pada mocno deszcz, więc jeśli zostały jakieś flaki czy krew, to wszystko się zmyje lepiej niż w myjni.

Deszcz padał całą noc. Ziemia zdążyła nasiąknąć wilgocią, ale od rana było słonecznie. Asfalt jeszcze parował, jednak szybko wysychał, dlatego zdecydowała się na jazdę motocyklem. Tym bardziej że chciała go w końcu wypróbować na jakiejś dłuższej trasie. Dotąd jeździła tylko u siebie, w okolicy. Gdy rano wstała, od razu spojrzała w okno, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Zapowiadał się piękny dzień.

- Tato, mogłabym dziś się przejechać do Poznania harleyem? - zapytała z zupełnie obojętną miną, smarując kanapkę margaryną.

- No zasadniczo to ja nie miałem w planach jeżdżenia dzisiaj. Muszę porobić trochę przy tym polonezie Wieczorka, to motocykl by się tylko kurzył.

- Super. Przewietrzę go trochę - powiedziała, zadowolona.

- Tylko wiesz, no... ubierz się normalnie.

- Znaczy?

- Nie w te kombinezony na przecinaka, tylko jak człowiek. Żebyś pasowała do maszyny i żeby poruty⁸ nie było.

- A co ty jej gadasz, jak się ma ubierać? - przysłała z pomocą mama, ale Aneta wiedziała, w czym rzecz. Na przecinaku, takim jak jej suzuki gsx, jeździło się w skórzanych kombinezonach, które dawały motocykliście względne poczucie bezpieczeństwa. Harley to był jednak zupełnie inny świat i inna rzeczywistość motocyklowa. Jeszcze rok temu wcale nie myślała, że kiedyś wsiądzie na taką maszynę. Jak zwykle przypadek zmienił wszystko.

Jej tata, który był emerytowanym mechanikiem samochodowym, od czasu do czasu jeździł do Niemiec po części do aut. Mimo podeszłego wieku w swoim przydomowym warsztacie ciągle coś naprawiał. Specjalizował się w starych modelach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dlatego potrzebne mu były różne części zamienne ze szrotów, szczególnie z tych w dawnej NRD, bo tam trafiały się od czasu do czasu całkiem dobre okazy trabantów, wartburgów, ale też polskich fiatów czy ruskich moskwiczów. Robił kurs raz na miesiąc i załadowywał do pełna samochodową przyczepkę wszystkim, co mogło się przydać.

Jesienią zeszłego roku wrócił z tej szrotowej wyprawy bardzo zadowolony. Zawołał Anetę na plac przed garażem i z tajemniczą miną wskazał dwukołówkę przykrytą plandeką.

- A teraz się patrz, córcia, co znalazłem w tej graciarni w Berlinie - powiedział i zdjął przykrycie. Na czterech starych oponach, które służyły jako zabezpieczenie przed zniszczeniem czy dalszym uszkodzeniem, leżał czerwony harley albo raczej to, co z niego zostało.

Spojrzała na motocykl i pomyślała, że kiedyś musiał być piękny.

- Cudo, nie? - powiedział tata, jakby czytał w jej myślach.

- Chcesz go reanimować? - Wskazała palcem na tę kupę żelastwa.

- Ożywimy zwłoki. Dokładnie go obejrzałem. Da się go doprowadzić do idealnego stanu, tyle że trochę roboty będzie. Jak mi pomożesz, to szybciej pójdzie.

Wiedziała, że da radę. Nie takiego grata potrafił doprowadzić do stanu fabrycznego. Nie była tylko pewna, czy będzie w stanie mu pomóc. Lubiła pracę w warsztacie. W końcu to było miejsce, gdzie się wychowała. Ale teraz, gdy przeniosła się do komendy w Poznaniu, miała wrażenie, że ciągle jest w drodze i na nic nie ma czasu.

Jeszcze niedawno była zatrudniona w dochodzeniówce Komendy Powiatowej Policji w Szamotułach. Ale w ubiegłym roku jej stary dobry znajomy, Mariusz Blaszkowski, człowiek, z którym pracowała już wcześniej w Poznaniu, został szefem wydziału dochodzeniowo-śledczego tamtejszej komendy miejskiej. Gdy zaproponował jej etat, nie zastanawiała się ani minuty.

- Rozumiem, że chcesz go wyrychtować, a potem sprzedać za dobrą cenę? - zapytała.

- No zrobi się z nim porządek, a później się będzie jeździć.

- Co? Chcesz jeździć motocyklem? - Popatrzyła na ojca autentycznie zdumiona. Rajmund Nowak miał już prawie siedemdziesiątkę, więc nie był w wieku, w którym rozpoczynało się karierę harleyowca.

- A czy ty wiesz, że ja całą młodość jeździłem na emzetce?

Oczywiście, że wiedziała. W rodzinnym albumie było przynajmniej kilkanaście fotografii ojca i jego maszyny w różnych ujęciach - tata siedzi na emzetce, tata stoi obok emzetki, tata z mamą siedzą na emzetce, tata z mamą siedzą obok emzetki, a nawet mała Anetka siedzi na emzetce, przytrzymywana przez mamę i tatę. Zdjęcia pochodziły z czasów, kiedy ojciec pracował w Poznaniu, w Polmozbycie, i codziennie na tym motocyklu dojeżdżał tam z Dusznik. Później, gdy otworzył swój własny warsztat przy domu, przesiadł się do samochodu i motocykl poszedł w odstawkę. Kolejny jednoślad pojawił się dopiero, gdy córka skończyła osiemnaście lat. Kupił jej wówczas suzuki, którym jeździła do teraz...

Nigdy nie myślała, że zamieni swój przecinak na taką dostojną maszynę. Lubiła prędkość, a co za tym idzie adrenalinę, która działała jak narkotyk w trakcie jazdy. Ale zauważyła też, że ostatnimi czasy jakby trochę zwolniła. Nie pędziła już tak jak dawniej. Może dlatego, że pracowała w policji i najzwyczajniej nie wypadało, żeby złapali ją chłopcy z drogówki i wlepili mandat za prędkość. Ale może brało się to też z coraz większego doświadczenia i dobrze rozwiniętej wyobraźni. Kto wie, czy nie zaczęła jasno i wyraźnie dostrzegać konsekwencji własnych działań, także tych związanych z jazdą na motocyklu. Może więc tata znalazł tego harleya w odpowiednim momencie? Nie, wcale nie dla siebie. Dla niej go znalazł. Bo oficjalnie była to jego maszyna, ale w zasadzie wcale na niej nie jeździł. Od czasu do czasu robił sobie jakieś krótkie wycieczki po okolicy i na tym kończyła się eksploatacja harleya w jego wykonaniu. Gdy dziś zapytała, czy może pojechać nim do Poznania, był wyraźnie uradowany.

Posłuchała i ubrała się nie jak do jazdy na przecinaku, ale bardziej profesjonalnie. Włożyła skórzane, podkute buty za kostkę i dżinsy z dziurą na kolanie, do tego na czarny T-shirt naciągnęła bluzę dżinsową i na nią skórzaną kurtkę ojca. Jej kask zasłaniający całą twarz też nie pasował do tego motocykla. Tata dał jej więc swój czarny retro open face z daszkiem i gogłami na oczy. Tak przygotowana wsiadła na motocykl i odpaliła silnik.

Z domu natychmiast wybiegł Artiom, a za nim pies o trzech łapach o imieniu Pies. Ośmiolatek mieszkał u nich w domu z matką i dwoma siostrami od początku wojny. Aneta z rodzicami postanowili, że przyjmą ukraińską rodzinę. Mieli wolny pokój na poddaszu, który stał nieużywany i pełnił funkcję gościnnego, z którego raczej goście rzadko korzystali. Aneta znalazła Anastazję z dziećmi w punkcie przyjmowania uchodźców i jakoś tak się stało, że od razu przypadły sobie do serca. Być może dlatego, że były niemal rówieśniczkami, a może było w tym jakieś przeznaczenie, myślała Aneta, wioząc rodzinę do swojego domu.

- Aneta, ty gdzie jedziesz? - zapytał chłopak, wskazując na motocykl.

- Do Poznania muszę jechać.

- Ale ty nie miała pracować - przypomniał jej, głaszcząc po łbie psa, którzy usiadł tuż przy nim. Byli tu zaledwie kilka tygodni, a ten maluch już zaczynał mówić po polsku, mieszając wyrazy z obu języków. Jednak widać było, że niedługo będzie się porozumiewać bez żadnych problemów. Dla dzieci nie istnieje przecież coś takiego jak bariera językowa. Tym bardziej jeśli się jest w środowisku rówieśniczym, a Artiom chodził już do polskiej szkoły.

- Jadę pomagać. Wiesz, tam gdzie myśmy się spotkali. Pomagam tam cały czas tym, którzy przyjeżdżają z Ukrainy.

- A jak przyjedziesz, weźmiesz mnie *на прогулку*⁹ na motor?

- Na motocykl. Motor jest w pralce.

- Co to jest pralka?
- *Стиральная машина*¹⁰.
- Nie chcę jechać na pralku.

W Poznaniu działały dwa duże punkty pomocy dla uchodźców. Pierwszy zorganizowano zaraz po wybuchu wojny na dworcu kolejowym. Tam całkiem dobrze sprawdzał się jako miejsce, w którym udzielano doraźnej pomocy i gdzie uchodźcy mogli liczyć na opiekę wolontariuszy. Ci kierowali uciekających przed wojną do punktów noclegowych, skąd mieszkańcy miasta i okolicznych miejscowości szybko zabierali ich do swoich domów. W ten sposób pierwsza fala uchodźców wtopiła się w poznańską rzeczywistość. Jednak ludzie cały czas napływali i nadal potrzebna była pomoc. Dlatego miasto otworzyło drugi punkt na terenach targowych, niedaleko dworca, bo w zasadzie po drugiej stronie ulicy. Tu także powstał magazyn darów, czyli ubrań i żywności dla ludzi, którzy uciekli do Polski tylko z tym, co udało im się zapakować do walizki.

Aneta zgłosiła się do pomocy w marcu. Była z Turkiem, kolegą z policji szamotulskiej, na granicy cztery razy, ale nie dało się przeciągać urlopu w nieskończoność. Musiała wrócić do pracy. Postanowiła więc, że będzie pomagać tu, na miejscu. Zgłosiła się najpierw na dworzec, a potem na targi.

Szybko okazało się, że jest bardzo przydatna, bo dość dobrze mówiła po rosyjsku. Kiedyś narzekała na to, że musiała w szkole uczyć się tego języka zamiast jakiegoś zachodniego. Wówczas myślała, że ruski nigdy do niczego jej się nie przyda. No ale miała taki zwyczaj, że jak już coś robiła, to porządnie. Wykorzystała więc dobrze czas nauki i dziś bez trudu mówiła, a co ważniejsze, pisała i czytała po rosyjsku. Jej praca w punkcie przyjęć polegała na pomocy w wypełnianiu dokumentów i ankiet, czyli tej całej papierologii, z którą nie mogli sobie samodzielnie poradzić przyjeżdżający. Język przeklinany za czasów szkolnych teraz przydawał się doskonale.

- Bardzo dobrze mówisz po rosyjsku - usłyszała nad sobą zdanie wypowiedziane po polsku. Naprzeciw niej siedziała pięćdziesięcioletnia kobieta, z którą rozmawiały właśnie o jej drodze do Polski. Aneta wypytywała o różne szczegóły, a potem wpisywała odpowiedzi do ankiety. Ktoś więc usłyszał, jak mówi. Podniosła głowę znad papierów.

- Jestem Włodek - powiedział krótko obcięty, brodaty blondyn o niebieskich oczach, ubrany w wojskową kurtkę, opleciony pod szyją arafatką. Miał sympatyczny uśmiech i całkiem przyjemny tembr głosu.

- Aneta Nowak. - Podała mu dłoń. Uścisnął ją zdecydowanie, ale bez niepotrzebnej siły. Poczuela, że ma wilgotną skórę.

- Właśnie zaczynam i powiedzieli mi, że możesz mnie wprowadzić. To znaczy kierownik powiedział dokładnie: „Idź do Anety, a ona ci powie, czym masz się zająć”.

- A czym możesz się zająć?

- Wszystkim. Ale chyba chodzi o to, że mówię po rosyjsku.

- No skoro tak, to widzisz tych ludzi? - Wskazała kolejkę stojącą przed jej stolikiem. - Weź ustaw sobie drugi stolik i bierz następnych. A tu masz ankiety. Każdy musi odpowiedzieć na kilkanaście pytań, zanim puścimy go dalej. Rozumiesz?

- Tak jest, pani komendant. - Uśmiechając się szeroko, zasalutował do pustej głowy.

Ciekawe, pomyślała Aneta, że zasalutował nie dwoma palcami, ale po rusku, całą dłonią.

- Wygląda tak, jakby ją ktoś zrzucił z helikoptera – powiedział aspirant Czeszejko.

- Jak z helikoptera? – zdziwił się podkomisarz Krukowski, wysoki, mierzący prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów, brunet o brązowych oczach. Czuł, że najwyraźniej nie jest to jego pora. Powinien jeszcze leżeć w łóżku, z kołdrą naciągniętą na głowę. Nos miał zapchany, a w gardle kłuchę, jakby mu coś w nim utkwilo podczas jedzenia. Do tego czuł, że ma gorączkę, ale ile kresiek, tego nie wiedział, bo nie miał przy sobie termometru.

- Całkiem normalnie. – Aspirant Olaf Czeszejko wzruszył ramionami, poprawiając jednocześnie okulary na nosie, które mu się zsunęły, gdy pochyliwszy się, lustrował zwłoki. – Nie oglądałeś nigdy żadnego filmu o Wietnamie?

- Coś tam widziałem, ale zwłok helikopterowych...

- Bo Amerykanie mieli sposób na tych skurwieli z Wietkongu. Jak złapali takiego gnoja od komuchów i on nie chciał gadać, to brali go na przesłuchanie do helikoptera. I jak już byli w górze, to żeby go zmusić do gadania, mieli zawsze w helikopterze jeszcze jednego Wietnamczyka. I najpierw brali tamtego, rozumiesz? No i tego trzymali w otwartych drzwiach, a helikopter leciał nad dżunglą. I pytali go o coś, a ten nie odpowiadał, no to wywalali z helikoptera...

- Na niby? – zapytał zdumiony Krukowski.

- Gdzie na niby? Na poważnie. Wypierdalali go z helikoptera, żeby ten właściwy się przestraszył i zaczął gadać.

- To bez sensu.

- Nie, wcale że nie, bo jak tamten wyleciał, to ten drugi już był miękki i zaczynał zeznawać.

- A jak nie zaczynał?

- No to tego drugiego też wywalali w pipą.

- A tych wywalonych to co, później zbierali?

- A po cholere? – zdziwił się Czeszejko.

- No bo mówiłeś, że tak samo wyglądali jak ta dziewczyna. – Wskazał na ciało leżące na skraju rowu w nienaturalnej pozycji, z nogą podwiniętą pod udo i prawą ręką za plecami. Jej głowa wyglądała potwornie, była płaska, jakby została rozwalczowana.

- Nie, tylko tak mi się skojarzyło, że ci z tego helikoptera musieli tak właśnie wyglądać po takim upadku z wysoka.

- Łe, Czesiu, co ty mi tu pieprzysz? – Krukowski machnął ręką i sam pochylił się nad ciałem. Przez chwilę przypatrywał się uważnie zwłokom, a potem zaczął się rozglądać wokół. Od rowu, w którym leżały, autostrada oddzielona była typowym ogrodzeniem zapobiegającym wtargnięciu na szosę dzikich zwierząt i oczywiście ludzi, którzy wykorzystywali każdą przestrzeń do skracania sobie drogi i przechodzili przez czteropasmówkę w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Tu jednak nie było widać żadnej wydeptanej przez okolicznych mieszkańców ścieżki i dziury w płocie, więc raczej nie była to skracająca sobie drogę dziewczyna z sąsiedztwa. Zresztą nie miała na sobie kurtki, a jedynie szarą bluzę z kapturem. Wyglądała tak, jakby na chwilę wyszła z samochodu. Tylko dlaczego miałyby wyjść z auta? A jeśli wyszła, to gdzie ten samochód?

- Tu niedaleko był wczoraj wypadek – odezwał się Czeszejko, nazywany przez kolegów Czesiem. – Jakaś osobówka wpięrzyła się pod tira. Ale na szczęście nikt nie zginął.

- O której to się stało? – zapytał Krukowski. Jego ksywka też nie była zbyt oryginalna, bo wszyscy w komendzie mówili do niego Kruku.

- Wczorajem. Ale dokładnie nie wiem. Trzeba by zapytać tych, co to obsługiwali. Ale nie wiem, kto tu był.

- Na pewno była straż pożarna od nas, znaczy się z Grodziska – rzucił sierżant Kowalik, który stał oparty o maskę radiowożu. Nie miał nic do roboty, bo on był od jeżdżenia, a nie od przeprowadzania

ogłędzin, więc palił spokojnie papierosa, przysłuchując się rozmowie starszych stopniem kolegów. Kowalik nie dorobił się jeszcze przezwiska. Za krótko pracował w firmie, a poza tym jego nazwisko było jak ksywka.

– Skąd wiesz? – zapytał Czesiu.

– Mój brachol jest strażakiem. Mówił mi wczoraj, że był na wypadku. Jakąś babkę wycinali z seata ponad godzinę. No i korek był stąd chyba do Poznania.

– Czyli że ta tutaj mogła zostać stuknięta przez jakieś auto z tego pasa na Poznań, bo od Poznania wszystko stało – domyślił się Kruk. – Weź no zadzwoń do tego swojego brachola i spytaj go, o której mniej więcej był ten wypadek i na którym dokładnie kilometrze.

– On jest teraz w robocie, to nie odbierze, ale mogę mu wysłać eskę – zaproponował Kowalik.

– Wszystko mi jedno, żeby tylko odpisał – rzucił Krukowski.

– Odpisze – potwierdził sierżant, który już wszedł w wiadomości i zaczął wstukiwać tekst. Szybko, tak jak to młodzi ludzie mają w zwyczaju, dwoma kciukami. – On w robocie nie może tylko dzwonić i gadać, ale na eski zawsze odpisuje. O, już pisze...

Na miejscu byliśmy o 21.10. Wezwanie o 20.40. Kilometr chuj wie. Nie zawracaj mi teraz gitary, bo jestem... nie, to już nie...

Odczytał wiadomość od brata, wyraźnie zadowolony, że jego pomysł się sprawdził.

– No to mamy już wiedzę mniej więcej o porze, kiedy wyzionęła ducha – stwierdził Czesiu.

– A co z tym, co ją znalazł? – zapytał Kruk.

– Jest jeszcze spisywany na komendzie – wyjaśnił Kowalik. – To jakiś miejscowy rolnik albo ktoś tam. Ale miejscowy. Oni tą techniczną drogą mają dojazd do pól. – Chłopak pokazał ręką za siebie.

Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rozciągały się pola porośnięte zielonymi niedojrzałymi zbożami, których żaden z obecnych tu policjantów nie potrafiłby nazwać, bo byli wychowani w mieście, a jak wiadomo, miastowi znają się na wszystkim, tylko nie na tym, co rośnie. Dla nich to, co zielone, to trawa, którą co najwyżej można skosić, gdy jest dłuższa niż dziesięć centymetrów. Z miejskiej perspektywy pola uprawne wyglądały więc jak zaniedbane przez właścicieli trawniki.

– Czyli przypadkowy gość – stwierdził Krukowski, gramoląc się z rowu. Podszedł do auta i oparł się o nie tyłkiem, podobnie jak sierżant. Ten podał mu paczkę fajek, ale Kruk pokręcił głową.

– Dzięki, ale te twoje elementy dla mnie są słabe. – Sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął z niej żółte camele, po czym zapalił. Czesiu też podszedł do radiowozu i otworzywszy drzwi, usiadł na tylnym siedzeniu.

– Włączyłbyś jakąś muzykę – powiedział do sierżanta. Ten otworzył przednie drzwi, pochylił się i włączył radio. Przez kilka sekund słychać było jakiś utwór bez wokalu, a potem melodyjne dźwięki zmieniły się w dżingiel stacji radiowej i z głośnika popłynęły wiadomości.

– Tego nie zamawiałem – rzucił aspirant. – Daj no jakąś muzykę.

– Jak jest pełna godzina, to na wszystkich stacjach są serwisy informacyjne – zaczął tłumaczyć kierowca, ale przerwał, widząc nadjeżdżający samochód.

Ekipa techniczna wreszcie załadowała się do auta i przyjechała na miejsce. Musieli zrobić zdjęcia i dokładnie zbadać teren, centymetr po centymetrze, w poszukiwaniu jakichś śladów. Krukowski jednak zdawał sobie sprawę, że to zupełnie zbędne. On już zdążył się dowiedzieć wszystkiego, co było mu potrzebne. Raport z miejsca oględzin przygotowany przez techników nic mu nie da. Teoretycznie nie miał prawa podchodzić do zwłok i sprawdzać czegokolwiek przed ich przyjazdem. Ale nie miał zamiaru czekać, przekonawszy się, że to nie jest ofiara zbrodni dokonanej obok autostrady, a ofiara wypadku drogowego. Do takich bowiem doszedł wniosków, przyjrawszy się uważnie zmasakrowanej dziewczynie.

Srebrny fiat ducato zatrzymał się za ich radiowozem. Ze środka wyskoczyło dwóch ubranych po cywilnemu policjantów. Zaraz podeszli do czekających na nich kolegów.

- No i co mamy? - zapytał podkomisarz Andrzejewski, specjalista od zabezpieczania śladów.

- Laska, lat dwadzieścia coś na pierwszy rzut oka - zaczął mówić Krukowski. - Wygląda tak, jakby zrzucono ją z helikoptera - oznajmił, a Andrzejewski pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Znaczą się miazga.

- No zgadza się - potwierdził Kruk. - Moim zdaniem było tak, że wczoraj koło dwudziestej pierwszej kawałek stąd doszło do wypadku. Osobówka wleciała pod tira. Dziewczyna z tego wypadku wyszła z auta i w szoku zaczęła uciekać. I dobiegła aż tutaj. Pewnie biegła po tym zielonym środkowym pasie, no i nagle wpadła na pomysł, żeby przejść na drugą stronę drogi. Gdyby wróciła na ten pas na Świecko, toby przeżyła, bo tam stały samochody w korku. Ale ona postanowiła przejść na drugą stronę, gdzie odbywał się normalny ruch, i tam musiał ją trzepnąć jakiś rozpędzony tir. Dlatego taka miazga. Nie wpadła pod koła, tylko dostała strzała i poleciała nad płotem. Czyli w sumie masakra.

- To by się mogło zgadzać - potwierdził Andrzejewski. - Tylko czemu jej nikt nie zatrzymał, jak szła tym środkiem drogi, pomiędzy pasami ruchu?

- A jakbyś siedział w aucie i nagle byś zobaczył, że ktoś sobie spaceruje po autostradzie, tobyś poszedł zatrzymywać? - zadał całkiem rozsądne pytanie Czesiu.

- W sumie racja - zgodził się z nim technik. - No dobra, w takim razie bierzemy się do roboty - rzucił w kierunku starszego sierżanta Magdziarza, który już zdążył założyć na buty foliowe ochraniacze. -

Możesz robić fotki - zaordynował. On nie zamierzał zakładać kombinezonu ochronnego, bo nie spodziewał się, że będą tu jakieś ślady kogoś z zewnątrz, kto mógł przyczynić się do śmierci kobiety. Musiało to wyglądać dokładnie tak, jak powiedział Kruk. To był wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym. Ich zadanie polegało tylko na tym, żeby przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie i w miarę bezinwazyjnie. I to tylko na wszelki wypadek. Najgorszą robotą będzie miał medyk sądowy, który powinien przyjechać lada moment. Dzwonili z Poznania, że jest już w trasie. Czyli prawdziwy cud, bo najczęściej na medyka sądowego czekało się dość długo, a ten pojawiał się na miejscu po kilku godzinach albo wcale. Za mało ich było. Całą Wielkopolskę i wszystkie wypadki śmiertelne, czyli wszystkie nagłe zejścia, obsługiwało zaledwie kilka osób.

- Nie łaziliście tam koło trupa? - Andrzejewski wskazał na ciało i spojrzał pytająco na tych trzech koło radiowozu. Wszyscy natychmiast zrobili miny świadczące o ich całkowitej niewinności.

Pokiwał głową. Jakoś im nie uwierzył. Ale w końcu był to tylko wypadek. Zarówno on, jak i oni wiedzieli, że nie mogli niczego zadeptać, bo innych śladów, poza tymi należącymi do denatki, nie było tu wcale.

Krukowski tymczasem wydobył telefon komórkowy i zaczął oglądać uważnie zdjęcia, które zrobił dziewczynie. Naraz skupił się na jednym szczególe, na który wcześniej nie zwrócił uwagi. Była to metka wystająca z wywiniętego fragmentu bluzy.

- Ona jest Ruska - powiedział po cichu do Czesia.

- Skąd wiesz? - zapytał aspirant.

- Patrz. - Podsunął mu wyświetlacz telefonu, a potem szybkim ruchem powiększył fragment fotografii. Informacja na metce napisana była cyrylicą. Już chciał odejść, ale coś go tknęło. Powiększył obrazek, bo dostrzegł jeszcze jeden szczegół, który wcześniej przeoczył. Na przegubie dłoni dziewczyna miała plectoną bransoletkę, a do niej doczepiony jakiś medalik. Coś jak inicjał, literka N z kreską w środku.

Nie było jej dziś w grafiku z dyżurami, ale miała w służbowym komputerze dane dotyczące swojego ostatniego śledztwa, więc postanowiła zajrzeć do biura i jeszcze coś tam posprawdzać. Tym bardziej że facet oskarżony o pedofilię, którego udało się namierzyć dzięki pomocy łowcy pedofilów, podającego się za trzynastoletnią dziewczynkę, miał w przyszłym tygodniu stanąć przed sądem. Chciała w spokoju wszystko przeanalizować, by móc zeznawać w przekonujący sposób. Miała stuprocentową pewność, że ten człowiek jest winny, ale wolała sobie jeszcze poukładać informacje w głowie. Dlatego po pracy na targach, w punkcie recepcyjnym dla uchodźców, pojechała do komendy.

W pokoju, który dzieliła z trzema kolegami, nie było nikogo. Zawiesiła skórzaną kurtkę na oparciu krzesła, wcisnęła przycisk w komputerze, a ten zamrugnął diodą, informując, że właśnie zaczyna pracować. Sprzęt nie był najnowszy, więc trzeba było trochę poczekać, zanim nawiąże kontakt ze światem. Usiadła na krześle i oparła nogi o blat biurka. Mogła sobie pozwolić na takie nonszalanckie zachowanie, bo o tej porze raczej nikt z przełożonych tu się nie kręcił. A zresztą gdyby nawet, to co jej zrobią? Komendant miejski przyjdzie i każe jej zdejmować buty z biurka... Nonsens.

Komputer jeszcze się uruchamiał, więc sięgnęła po telefon. Otworzyła aplikację Facebooka. Od niechcienia zaczęła przeglądać ostatnie wpisy znajomych. Naraz ze zdziwieniem zauważyła, że w propozycjach osób, które może znać, pojawiło się zdjęcie Włodka, tego wolontariusza, którego poznała dziś rano i z którym spędziła pół dnia na targach. Zaintrygowana, kliknęła. Wyświetlił się profil, na którym nie było zbyt wielu informacji. Zresztą tak jak u niej. Jako policjantka wolała być osobą anonimową, by nikt, z kim miała do czynienia w pracy, nie mógł jej odnaleźć w necie. Dlatego nazwała się Nowaneta. Może niezbyt oryginalnie, ale zestawienie się jej spodobało. Zamiast fotografii twarzy na profilowym ustawiła zdjęcie pyska swojego psa. Miała kilkadziesiąt znajomych osób, większość z nich to byli ludzie z jej szkoły z Dusznik, ale wszyscy byli ludźmi z krwi i kości. Jej konto było więc jak najbardziej autentyczne i wiarygodne dla każdego obserwatora. Może pewnym mankamentem był brak zdjęcia jej twarzy, ale wolała nie ryzykować, by przez przypadek nie rozpoznał jej któryś z przymkniętych przez nią bandziorów. Zresztą to konto prowadziła tylko po to, by móc od czasu do czasu wejść na fejsa i poszukać jakichś informacji o ludziach, z którymi miała do czynienia zawodowo, a więc tak naprawdę używała Facebooka do namierzania bandziorów. Większość z nich miała swoje fejsbukowe profile, na których chwalili się supernowymi furami i dziewczynami pasującymi do aut.

Ale musiała też dbać o to, by jej konto było wiarygodne, dlatego starała się na bieżąco je rozwijać, wrzucając jakieś idiotyczne fotografie z zachodami słońca i leśnymi widokami, a poza tym lajkowała zdjęcia koleżanek ze szkoły. Dzięki temu jej fotki miały sporo polubień oraz komentarzy typu: „Cudnie, Anetko”.

Ostatnio, to jest od chwili, gdy wybuchła wojna na Ukrainie, nie publikowała niczego na swojej tablicy, bo zwyczajnie nie miała czasu na takie głupoty, odciągające od prawdziwego życia. Dziś weszła tu całkiem przypadkowo, a tu, proszę, taka niespodzianka.

- To chyba prawda, że jesteśmy ciągle podsłuchiwani przez system - powiedziała do siebie.

- W końcu to dwudziesty pierwszy wiek i za chwilę maszyny będą za nas myśleć - usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się.

Starszy aspirant Przemek Drązkowski wszedł właśnie do pokoju i rozkładał na swoim biurku torbę z zakupami. Aneta wiedziała doskonale, co jej kumpel robi. Drązkowski przygotowywał się do wieczornego dyżuru. A że był człowiekiem zapobiegliwym, wolał mieć pod ręką coś do zjedzenia. To coś w jego przypadku to były bułki, serki, jogurty i drożdżówki. A do tego wszystkiego jeszcze dodatkowo przynajmniej jedna paczka miętowych landrynek. Lubił być przygotowany na każdą ewentualność.

- A tak w ogóle to kto cię podsłuchuje, Anetka? - zapytał, wyciągając z biedronkowej torby swoje łupy.

- Właśnie, to jakaś dziwna sprawa - rzuciła, zdejmując nogi z blatu. - Wyobraź sobie, że...

Zadzwoił telefon. Przemek sięgnął do kieszeni, spojrzał przepraszająco na Anetę, a potem odebrał.

- No cześć, kochanie. Właśnie zaczynam robotę. Kupiłem sobie jedzenie i jestem przygotowany. Co? Jaki tatuażysta? Ja już nie mam zamiaru robić sobie żadnego tatuażu... Co z tego, że gość jest z Ukrainy? Co, ty chcesz sobie zrobić jeszcze jeden?

Aneta uśmiechnęła się pod nosem. Żona Przemka miała na imię Aleksandra, ale wszyscy mówili do niej Alex. Była zapaloną miłośniczką tatuaży, a oprócz tego smoków. Alex czytała książki fantasy i oglądała filmy ze smokami, a jej pasja przekładała się na ozdabianie skóry. Miała kolorowe smoki na przedramionach, a ich łby opierały się na wierzchach dłoni. Pod jej wpływem i oczywiście w dowód miłości Przemek dał sobie wytatuować takiego stwora na ręce. Oczywiście nie tak wielkiego jak miała Alex. Jego przecież nie mógł wychylać łba spod munduru.

Komputer wreszcie nawiązał połączenie ze światem, ale Aneta nadal spoglądała na wyświetlacz telefonu.

W zasadzie co mi szkodzi? - pomyślała i kliknęła jeszcze raz profil swojego nowego znajomego. Ze zdjęcia profilowego spoglądał na nią uśmiechnięty blondyn o sympatycznej twarzy. Miał w sobie coś takiego, co budziło od razu zaufanie. Zresztą przekonała się o tym już dziś rano. Gdy udało im się wspólnymi siłami rozładować pierwszą kolejkę i obsłużyć tych wszystkich, którzy trafili do punktu pomocy, chłopak podszedł do niej i zaproponował wspólną kawę.

Nie musieli daleko chodzić. Kawa była w dużym termosie dostępna dla wszystkich, a on poszedł nalać i przyniósł dwa kubki. Wyszli z hali targowej na zewnątrz, żeby zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza. Poranny chłód po nocnym deszczu zdążył już zniknąć całkowicie, zmieniając się w przyjemne południowe ciepło.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytała Aneta. Z uchodźcami pracowała od początku wojny, ale jego nigdy tu nie widziała.

- Mieszkam w Poznaniu. Mam swoją firmę, którą prowadzę od kilku lat. No a poza tym, no wiesz, trzeba coś robić dodatkowo.

- Wiem - odpowiedziała. Tę potrzebę pomagania akurat dobrze rozumiała, bo sama nie potrafiłaby siedzieć na tyłku i nic nie robić w chwili, gdy tak wielu ludzi potrzebowało pomocy.

- A język? Świetnie mówisz po rosyjsku. Gdzie się nauczyłeś? - pytała dalej i wcale nie z zawodowej ciekawości. Włodek rzeczywiście mówił doskonale i w zasadzie bez obcego akcentu, o ile mogła w ogóle to wychwycić.

- No wiesz, ja się rosyjskiego nigdy nie uczyłem.

- A, to znaczy, że jesteś stamtąd? - Wskazała palcem na wschód.

- Dokładnie tak. Rosyjski to mój pierwszy język. A polski? Przyjechałem tu z mamą i ciotką w dwa tysiące piątym roku, no i wiesz, jakoś tak wyszło, że zostaliśmy.

- Ożeniłeś się? - domyśliła się Aneta.

- Nie, jak dotąd jeszcze nie. Która dziewczyna by mnie chciała? - powiedział, uśmiechając się łobuzersko. Aneta pomyślała, że niezły z niego zgrzywus. Musiał być świadom tego, że jest przystojniakiem, i pewnie nie mógł się opędzić od dziewczyn. To zupełnie odwrotnie niż ona. Od zawsze miała kłopoty z relacjami damsko-męskimi i jakoś dotąd nie mogła znaleźć nikogo, z kim ułożyłaby sobie życie. Nieraz myślała nawet, że ma cholernego pecha, bo ciągle trafia na jakichś dziwnych typów. W ubiegłym roku kręcił się koło niej chłopak z Dusznik. Adrian, prosperujący biznesmen branży okiennej, był gotów na poważny związek, ale ona najwyraźniej nie była. Szybko okazało się, że więcej rzeczy w nim ją wkurza, niż się jej podoba. Fakt, był przystojnym facetem i początkowo wydawało się, że ma poukładane w głowie. Szybko jednak się okazało, że owszem, poukładane jak najbardziej, ale dokładnie na odwrót, niżby tego oczekiwała. A na takiej podstawie nie da się czegokolwiek budować.

Kilka miesięcy temu umawiała się też z pewnym prokuratorem. Poznali się na studiach, ale potem nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Spotkali się przypadkowo w sądzie i Patryk zaproponował wspólną

kawę. Jednak kilka spotkań wystarczyło, aby zdała sobie sprawę, że nie ma zamiaru spędzać czasu z kimś, kto za wszelką cenę chce zrobić w prokuraturze karierę, pomimo braku doświadczenia, a co za tym idzie umiejętności. Słyszała niedawno od wspólnego znajomego, że Patryk dopiął swego i został przeniesiony na wyższe stanowisko do prokuratury w Katowicach, co oznaczało, że sama góra doceniła jego zaangażowanie w sprawy o wątpliwym statusie dowodowym, których nie chciał się podjąć nikt inny.

W tej chwili nie spotykała się z nikim i w zasadzie miała wrażenie, że tak już będzie zawsze, bo najwyraźniej ma pecha. Zresztą czy osoba, która ma tyle różnych zajęć, znalazłaby czas na zajmowanie się osobistymi sprawami? – pytała samą siebie, szukając usprawiedliwienia dla swoich niepowodzeń.

– A ty skąd znasz tak dobrze rosyjski? – zapytał Włodek. Stali przed halą. Przed nimi rozciągał się wielki pusty plac, który zappełniał się tylko w trakcie ekspozycji targowych. Teraz przechodzili nim ludzie z walizkami i plecakami, podążający do punktu rejestracji, albo ci, którzy już z niego wyszli z adresami swoich nowych, tymczasowych domów, zapisanymi na kartkach.

– Nic w tym nadzwyczajnego. U mnie na wsi, w podstawówce, nie było nauczyciela angielskiego, za to była pani, która uczyła rosyjskiego. No i tak zaczęłam poznawać język.

– Bardzo dobrze poznałaś.

– Dobra, dobra, wiem, że mój akcent jest kiepski.

– Akcentu nie nauczysz się w Polsce. Musiałabyś wyjechać tam. W miesiąc byś chwyciła melodię.

– Teraz to raczej mało realne.

– Mam nadzieję, że wojna się szybko skończy – powiedział z pełnym przekonaniem, a ona zauważyła jakąś iskrę zdecydowania w jego niebieskich oczach. Wiedziała, że to opór i niezgoda na to, co dzieje się w jego kraju. Rozumiała go, mimo że Ukraina to nie Polska. Sama nie mogła dać sobie rady z tą niewątpliwą niesprawiedliwością, która tam się działa. Dlatego musiała pomagać.

– To co tam, Anetka, słyszać? – Z zamyślenia wyrwał ją głos Przemka. Znali się od dawna i przyjaźnili. Aneta знаła też jego ojca, Teofila Olkiewiczza, który był emerytowanym policjantem.

– A, nic nadzwyczajnego. – Nie chciało jej się opowiadać już o tych Facebookach, algorytmach, podsłuchach i spiskowych teoriach. – A co tam słyszać u Teofila? – zmieniła temat.

– Tata, jak zawsze, ma się dobrze. Siedzą z mamą we Włoszech, wygrzewają się na słońcu i piją wino.

– No tak, kto bogatemu zabroni – stwierdziła z uśmiechem. Przynajmniej Olkiewicz nie musiał się o nic martwić, a emerytura we Włoszech marzyła się wielu miłośnikom wina i serów, ale mało komu była dana. Teoś jednak był w czepku urodzony.

Szamotuły Godzina 16.20

– Доброе утро, Саймон Михайлович. Вы уже вернулись¹¹ – ucieszyła się na jego widok Nadia.

– Mówiłem ci, żebyś mówiła mi „Szymon”, znaczy zwyczajnie.

– Ну, я понимаю...¹²

– No jasne, rozumiesz, ale gadasz po swojemu.

– A *kak* mam mówić?

– No właśnie tak, Nadieżda, już pięknie mówisz po polsku.

– Jeszcze nie mówię. Dopiero się uczu.

– Uczę. Dopiero się uczę – poprawił ją, zdejmując swoje kowbojskie buty w kolorze przypalanej skóry.

– Ale ci bardzo dobrze wychodzi to mówienie.

– Иногда хорошо, иногда плохо¹³ – stwierdziła.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz cały czas po rusku gadać, bo ja wszystko rozumiem. Wiesz, w szkole się uczyłem, chociaż nie chciało mi się, bo byłem leniwy.

- *Это значит, что вы не хотели учиться*¹⁴.

- Tak, dokładnie. Mnie się nie chciało uczyć, bo byłem leniem. I nie mów do mnie „wy”. U nas się nie mówi „wy”. „Wy” to mówili do siebie ludzie, jak byli w partii komunistycznej. Pamiętam te czasy, jak się mówiło: „Weźcie no, towarzysze, zróbcie to czy tamto”. Ale komuna się skończyła i u nas już się „wy” do nikogo nie mówi. U was też, jak się to wszystko skończy, to się nie będzie mówić „wy”.

- A jak?

- „Ty”, znaczy „proszę pana” albo „ty”. - Turek zdjął buty i poszedł do kuchni. Już był w drzwiach, gdy naraz o czymś sobie przypomniał. Nie założył papci. Cholera, zezłościł się, jak mam pamiętać o takich pierdołach, jak te papcie, jeśli nigdy w życiu ich nie nosiłem, tylko zawsze chodziłem po domu w butach albo w skarpetach, a najczęściej na bosaka. Przypominał sobie całkiem niedawne czasy, kiedy był człowiekiem wolnym i niezależnym od jakichś dziwacznym ograniczeń. A teraz zakładał papcie, które od lat leżały w jego szafie nieużywane.

- *Ты забыл тапочки?*¹⁵ - zapytała Nadia, ale wcale nie oczekiwała odpowiedzi. Wiedziała, o czym zapomniał, bo jego laczki trzymała w dłoni.

Ona o wszystkim pamięta, pomyślał Turek i zagryzł dolną wargę, żeby nie powiedzieć czegoś, co mogłoby ją urazić. Ale się nie odezwał. Podała mu papcie, założył je i szurając nogami, ruszył do kuchni.

Nadia, trzydziestopięcioletnia brunetka o prostych włosach, związanych w warkocz, należała do tych kobiet, o których mówi się, że mają rubensowskie kształty. Nie była gruba, ale, można powiedzieć, solidnie zbudowana. O jakieś dziesięć centymetrów niższa od Turka i tak wydawała się od niego większa. On przy swoim metrze osiemdziesiąt pięć i szczupłej budowie wyglądał jak strach na wróble, ona jak sportsmenka uprawiająca rzut młotem. Mieszkała u niego od pierwszego marca, to jest od dnia, kiedy przywiózł ją z dziećmi z polsko-ukraińskiej granicy. Nadii było zupełnie obojętne, dokąd pojedzie, bo nie miała przemyślanego planu ucieczki z Ukrainy. Wiedziała tylko, że musi zostać w Polsce, bo tu jakoś sobie poradzi, przede wszystkim z językiem. Nie mówiła po polsku, ale miała nadzieję, że jakoś się z tymi Polakami porozumie. Aneta próbowała ją wypytać o znajomych czy rodzinę, żeby ewentualnie mogła do nich dołączyć, bo takie wsparcie bliskich na starcie w obcym kraju jest bezcenne. Okazało się, że najbliżsi krewni, czyli kuzynka z mężem, mieszkają w Kłodzku. Ale oni nie jechali na południe. Turek zaproponował więc, że mogą podrzucić ją do Katowic, a stamtąd już jakoś pociągiem dojedzie do tego Kłodzka. Nadia stwierdziła jednak, że nie ma po co się tam pchać, bo wie, że kuzynka mieszka u kogoś kątem i na pewno nie będzie miała miejsca, żeby ją przyjąć. A skoro oni jadą do tego Poznania, to ona też tam pojedzie. Postanowili więc, że zawiozą ją do jakiegoś punktu dla uchodźców w Poznaniu i pomogą załatwić wszystkie formalności.

W Gliwicach wysiadły pozostałe dwie Ukrainki z dziećmi i w aucie została tylko Nadia z dwójką swoich. Aneta ze zdziwieniem zauważyła, że jej marudny kolega Turek, człowiek, który ciągle miał muchy w nosie, jakby trochę się zmienił. Nie gderał ani nie komentował tego, co działo się wokół, ale z anielską cierpliwością przyjmował dziecięce prośby i reagował na nie jak dobry wujek. Gdy tylko słyszał z tyłu: „*я хочу в туалет*”¹⁶, odpowiadał natychmiast w taki sposób, jakby nie był sobą.

- Już, kochanie, szukamy jakiegoś kibelka. Wytrzymaj trochę i za chwilę zjemy. Może do MacDonalda. Może przy okazji jeszcze zjemy jakiegoś hamburgera z frytkami? Co, macie ochotę, maluchy?

Maluchy oczywiście miały, tylko Nadia dziękowała za wszystko i sama nie chciała nic jeść. Ale Aneta czuła, że ona zwyczajnie się wstydzi i nie chce być dodatkowym obciążeniem. Trzeba było więc na siłę wciskać jej hamburgerowe przysmaki.

Gdy po kilkunastu godzinach jazdy z licznymi przystankami dotarli wreszcie do Poznania, Aneta już wiedziała, co dalej. Zadzwoiła jeszcze z trasy do swojego szefa Mariusza Błaszковского z prośbą, by

sprawdził, gdzie można zawieźć rodzinę uchodźców. Okazało się, że jest w mieście kilka takich punktów, w których rodziny otrzymują natychmiastową pomoc, ale co najważniejsze, miejsce do spania w godziwych warunkach. Ustalili więc, że pojedą do tego, jak im się wydawało, najlepszego w Arenie.

Gdy dotarli w pobliże hali, Turek kazał im wszystkim zostać i chciał iść sam sprawdzić, czego mogą się tam spodziewać. Nadia uparła się jednak, że ona też musi zobaczyć wszystko na własne oczy, więc poszli we dwójkę. Pół godziny później wrócili.

- I co? - zapytała Aneta.

- Nie ma miejsc - burknął Turek.

- Jak to nie ma? Przecież miało być tu łóżek dla siedmiuset osób albo nawet...

- Nie ma gdzie szpilki wcisnąć. Nie zostawimy ich tutaj.

- Ale, Szymon, co w takim razie...

- Nic się nie martw. Damy radę.

No i dali. Turek zawiózł Nadię z dziećmi do Szamotuł. Dopiero gdy wjeżdżali do miasta, wyjaśnił Anecie, jaki ma pomysł.

- Wiesz, ja mam u siebie aż cztery pokoje. To jest jeszcze mieszkanie po moich rodzicach, więc jest tam wszystko, co potrzeba, znaczy, no wiesz, szafy i w ogóle łóżka, i tak dalej. A ja w zasadzie korzystam tylko z sypialni, kuchni, no i z salonu. No to ja mogę im oddać dwa pokoje. Żeby mieli ludzkie warunki. A w tym czasie to już im coś samodzielnego znajdziemy.

Nadia nie miała nic przeciwko, a dzieci tym bardziej. Więcej minusów tej sytuacji widziała za to Aneta, ale przecież nie mogła marudzić. Grunt, że rodzina miała gdzie się podziać, a problem też jakoś da się rozwiązać. Tym problemem był sam Turek i jego niezbyt rygorystyczne podejście do czystości. Zdarzało się jej bowiem kilka razy być w mieszkaniu Turka, w bloku przy Obornickiej, i dobrze pamiętała, że nie lśniło ono czystością. Na miejscu przekonała się jednak, że w tych dwóch pokojach, które Turek oddał swoim gościom, da się jakoś żyć. Najgorzej wyglądała kuchnia, ale gospodarz obiecał, że zrobi w niej generalne porządki.

Turek co jakiś czas brał dzień wolny i wtedy zabierał się do ogarniania domu. Robił pranie i sprzątał kuchnię. Z praniem nie było problemu, bo wystarczyło tylko podzielić ubrania na jasne i ciemne i uważać, żeby do ciemnych rzeczy nie dostała się, broń Boże, jakaś biała koszula. Zresztą miał tylko dwie białe koszule, więc jakoś udawało mu się to opanować. Co innego kuchnia. Turek bowiem od czasu do czasu coś tam gotował, ale nie miał czasu ani ochoty na zmywanie. Nie miał zmywarki, a naczynia odkładał jedno na drugie do zlewu. Garnki zostawały na piecu, potem zastawiał nimi blat kuchenny, aż wreszcie upychał wszystkie brudne naczynia na kuchennym stole. Gdy w pewnym momencie okazywało się, że nie ma już gdzie usiąść, żeby coś zjeść, a w szafkach i szufladach nie ma czystych sztućców ani talerzy, wiedział, że zbliża się nieuchronnie czas sprzątnięcia.

Gdy przyjechała tu rodzina Nadii, akurat był na etapie mentalnego przygotowania do zrobienia porządków. Ale nie zdążył. Pojechał na granicę i teraz musiał przełknąć gile wstydu, gdy ukraińska rodzina weszła do jego mieszkania. Ale nikt nie zwrócił uwagi na bałagan w kuchni oprócz Anety.

Nazajutrz Turek wrócił do pracy, żeby nadrobić zaległości i by przygotować swojego szefa Biernata na wiadomość, że znów chce jechać na granicę.

Ten tylko machnął ręką i mruknął coś pod nosem, co w jego własnym dialekcie, którym Turek też się posługiwał dość często, znaczyło: „Jedź, jak musisz, i nie zwracaj głowy”. Znów pojechał z Anetą, znów przywieźli ludzi do Poznania, a gdy wrócił, przez chwilę miał wrażenie, że trafił do cudzego domu. W kuchni było tak czysto, że mogłaby udawać szpitalne laboratorium. W pokojach nie widać było ani odrobiny kurzu, a wanna w łazience, umywalka i muszla klozetowa lśniły śnieżną bielą.

- Czy ty zatrudniłaś jakąś sprzątaczkę? - zapytał, zdumiony, gdy Nadia oprowadziła go po mieszkaniu, w którym poczuł się trochę jak w muzeum. Zwłaszcza przez te papcie, które podała mu na

wejściu.

– Нет, это я¹⁷.

– Niepotrzebnie się tak namęczyłaś. Ja bym posprzątał...

– Вы стояли на границе, а мне нечем было заняться¹⁸.

– Teraz mamy tutaj jak w pałacu. Dziękuję, Nadieżda. A powiedz mi, kim ty jesteś z zawodu, znaczy gdzie pracowałaś, zanim wojna się zaczęła? Sprzątałaś gdzieś zawodowo?

– Я учитель английского¹⁹.

Turek otworzył usta ze zdumienia. Jeśli tak potrafią na Ukrainie sprzątać nauczycielki angielskiego, to Putin ma przerąbane. Posprzątają i jego.

– O, wujek Simon już wrócił – ucieszył się sześćioletni Wołodia. Chłopak siedział przy stole i z apetytem pochłaniał pokrojoną w kawałki parówkę. Przy czystym stole, pomyślał gospodarz, który nie mógł się przyzwyczaić do tych porządków. Podszedł do lodówki i znów się zdziwił. Wszystko było w niej poukładane, a nie powrzucone, jak zwykle. Sięgnął po butelkę piwa, ale zaraz pomyślał, że z tym piwem to może poczekać. Przecież nie będzie dawał sześciolatkowi złego przykładu.

– Już wróciłem i możemy obejrzeć jakiś film. Co myślisz, Wołodia?

– Jak wytresować smoka? – zaproponował chłopak.

– Może być – odparł Turek, wyciągając z lodówki kawałek sera.

– Siadaj, zaraz zrobię czaj i buterbrody. Może być? – zaproponowała Nadia.

– Pewnie, że tak. – Turek się ucieszył. Ostatni raz kanapki robiła mu dziesięć lat temu mama.

Nadia wzięła się do pracy. Po chwili postawiła przed nim talerz z jedzeniem i kubek gorącej herbaty. Wołodia tymczasem skończył i pobiegł gdzieś w głąb mieszkania. Zostali sami. Turek zaczął jeść, przyglądając się Nadii, która usiadła naprzeciwko, wsparłszy podbródek na rękach opartych o blat stołu.

– Ty nie jesz? – zapytał.

– Już jadła.

– A co masz taką minę? Coś się stało? – Dostrzegł w jej twarzy jakiś cień zmartwienia czy niepokoju. Przez chwilę milczała, jakby próbowała sobie ułożyć to, co zamierzała powiedzieć.

– Moja siostra Sonia jedzie z Ukrainy – odparła. – Przyjedzie do Poznania.

– Sama czy z dziećmi?

Pokręciła głową.

– Ona młoda. Studentka. Jeszcze u niej nie ma dzieci.

– No to w czym problem?

– Gdzieś by trzeba jej znaleźć miejsce. No wiesz, ona nikogo tu nie zna...

– No to powiedz mi, kiedy przyjeżdża, i pojedziemy po nią.

– I co dalej?

– Chyba się z tobą pomieści w łóżku, nie? Przecież nie zostawimy dziewczyny na dworcu – wytłumaczył, po czym wrócił do jedzenia kanapek z szynką i z serem. Nie zauważył nawet, jak Nadia ociera wierzchem dłoni załzawione oczy. Turek nie należał do ludzi bardzo spostrzegawczych.

Rozdział II

Poznań
Godzina 22.30

– A wy gdzie się pchacie? – zapytał starszy mężczyzna stojący w przejściu wiodącym na przedni pomost wagonu. Tam najwyraźniej było pusto, a tu za nimi nzebierało się pełno ludzi, którzy wysypywali się z przedziałów i zajmowali miejsca stojące na korytarzu. Większość z nich to byli Ukraińcy. Polaków w pociągu z Przemyśla prawie wcale nie było, za wyjątkiem obsługi.

– Nie pchamy się, tylko się szykujemy do wyjścia – wyjaśniła Sonia. Obejrzała się do tyłu na Alionę, dziewczynę w jej wieku, którą poznała w pociągu, jakby chciała u niej znaleźć poparcie dla swoich słów. Ale ta tylko skinęła głową i się nie odezwała. A ten facet stał tam i czekał, nie wiadomo na co. Według zapowiedzi, która popłynęła z głośnika w przedziale, pociąg właśnie wjeżdżał na stację Poznań Główny, dlatego chciała tak się ustawić, żeby coś zobaczyć przez okno, bo strasznie była ciekawa tego miasta.

– Gdzie ci tak śpieszno. Jeszcze się nawąchasz tej Polski – mruknął mężczyzna, ale jednak się przesunął. Dopiero teraz zauważyła, że nie miała zbyt wielkiego pola manewru, bo podłoga na tym ciasnym korytarzyku zastawiona była bagażami. Walizki, plecaki i nawet obwiązane sznurkiem obszerne pasiaste torby ze sztucznego włókna stały wszędzie, gdzie tylko można je było ustawić. Nic dziwnego, w końcu ludzie jechali tu z całym swoim dobytkiem, który udało im się wynieść w pośpiechu z domów. Ona też zapakowała wszystko, co warte było zabrania. Mieszkała w Charkowie w akademiku, więc nie miała za dużo swoich rzeczy. Większość została w domu rodziców, który teraz był odcięty od świata. Miejscowość, z której pochodziła, leżała niemal nad samą granicą z Rosją, więc już pierwszego dnia wojny dostała się w ruskie ręce. Gdy Sonia zdecydowała się na wyjazd, upchnęła cały swój dobytek do jednej walizki i ruszyła w drogę. Najpierw pociągiem, potem autobusem, a na koniec, tuż przed granicą z Polską, pieszo. W sumie przejazd przez całą Ukrainę zajął jej pięć dni, ale szczęśliwie dobrnęła do kresu drogi.

Ten kraj zadziwił ją już od samego początku. Była przekonana, że będzie musiała sobie sama poradzić po przekroczeniu granicy, a tu tymczasem od razu zajęli się nią polscy wolontariusze. Najpierw dostała kanapki, wodę i ciepłą zupę. Co prawda nie tak dobrą, jak ich ukraińskie, ale nie było co wybrzydzać. Z pełnym brzuchem dotarła do punktu recepcyjnego na dworcu kolejowym w Przemyślu. Tu jakaś dziewczyna ubrana w pomarańczową kamizelkę z napisem „volunteer” wypytała ją o wszystko i pomogła wypełnić jakieś dokumenty. Chciała jej pokazać paszport, żeby było wszystko legalnie, bo wiadomo, że jak się wjeżdża do obcego kraju, trzeba mieć papiery.

– No coś ty, daj spokój. Tu nikogo nie obchodzi twój paszport – wyjaśniła jej wolontariuszka. – Tu cię nikt nie będzie legitymował. To wolny kraj. Możesz jechać, dokąd chcesz, bez żadnych pozwoleń. Jak chcesz, to możesz pojechać do Niemiec albo Francji. To twój wybór. Ale na granicach nikt cię już nie będzie kontrolował. To właśnie jest Unia Europejska. To co, dokąd chcesz jechać?

– Do Poznania. Tam moja siostra już jest.

– A, to nie ma żadnego problemu. Z Przemyśla są pociągi do Poznania. Nie musisz mieć nawet biletów, bo wszyscy Ukraińcy są zwolnieni z opłat. Zaraz sprawdzę ci najbliższy pociąg, o której jest i z którego peronu, i jedź śmiało. A, jeszcze jedno, zabierz sobie z naszych stoisk z żywnością jedzenie i picie na drogę, żebyś nie umarła z głodu.

No i właśnie dojeżdżała na miejsce, najedzona i wyspana. I wszystko byłoby w porządku, gdyby tylko mogła się porozumieć z siostrą. Ale na dworcu w Przemyślu zapodziała gdzieś telefon. Zgubiła go albo jej ktoś ukradł. W każdym razie nie miała kontaktu ze światem. Zanim straciła aparat, zdążyła jeszcze zadzwonić do Nadii i powiedzieć jej, że za chwilę będzie pociąg, którym pojedzie do Poznania, i obiecała, że gdy już wsiądzie, jeszcze się do niej odezwie. Nie dotrzymała obietnicy, bo gdy pociąg ruszył, okazało się, że nie ma telefonu. Aliona, dziewczyna, która była w tym samym przedziale, zaproponowała, że pożyczycy jej swój. No ale to nic nie dało. Przecież nie znała na pamięć numeru siostry. Uświadomiła sobie, że pamięta tylko swój numer i żadnego innego. Na dworcu w Poznaniu będzie musiała odszukać Nadie, a ona chyba się domyśli, że coś musiało się stać z telefonem.

– Jakies małe to miasto – odezwała się Aliona za jej plecami. – Charków większy – stwierdziła, przyglądając się niskim budynkom, które mijał pociąg.

– A co za różnica, małe czy duże? Ważne, że nas tu przyjmą i będzie gdzie się zatrzymać – rzuciła Sonia pogodnym tonem, choć trochę się denerwowała. A co, jeśli Nadia jej nie znajdzie? Jeśli się gdzieś rozminą na tym dworcu? Bo nawet jeśli Aliona mówi, że to małe miasto, to na tej stacji kolejowej będzie zapewne dużo ludzi. Odnalezienie się bez telefonu będzie trudne. Trzeba będzie pójść do jakiegoś punktu informacyjnego i powiedzieć wolontariuszom, że szuka siostry. Oni na pewno mają jakieś rejestry...

Pociąg wjechał na dworzec i zatrzymał się pod zadaszonym peronem. Mężczyzna, który stał przed nią i tamował cały ruch, przecisnął się między bagażami i wyszedł z wagonu. Poszła jego śladem, nie czekając, aż pasażerowie zaczną wyładowywać swoje walizki. Aliona wysiadła zaraz za nią. Niemal od razu podeszła do nich krótko obcięta dziewczyna i odezwała się w ich języku:

– Do punktu recepcyjnego musicie wjechać tymi schodami ruchomymi na górę, potem zjechać na zewnątrz, gdzie jest napisane „wyjście” i prosto do budynku starego dworca. Tam wam wszystko powiedzą. No i jedzenie i picie dostaniecie.

Podziękowały i poszły zgodnie ze wskazówkami. Ten dworzec w Poznaniu rzeczywiście wyglądał bardzo skromnie. Przynajmniej w porównaniu z charkowskim, który był jak wielki pałac albo zamek z dwoma wysokimi wieżami. Tu wszystko było zdecydowanie mniejszych rozmiarów, jakieś skromniejsze, ale za to wszędzie panował porządek i było czysto.

W punkcie recepcyjnym wolontariuszki i wolontariusze uwijali się w tłumie ludzi, którzy przyjechali pociągiem z Przemyśla. Dawali jedzenie i picie, ale przede wszystkim karteczki z adresami, pod które uchodźcy mieli się udać na nocleg.

Sonia nie potrzebowała żadnej kartki. Rozglądała się, szukając znajomej twarzy, ale Nadii nigdzie nie było widać.

– Co, nie ma twojej siostry? – zapyta Aliona.

– Nie ma i nie wiem, co mam teraz zrobić.

– Musisz jej poszukać. No ale nie teraz, po nocy. Trzeba by się było gdzieś przespać. Ci wolontariusze kierują do prywatnych kwater. Słyszałam, że jeżdżą busy, co rozwożą ludzi. Chodź, weźmiemy adres, a jutro się coś wymyśli.

– A jak ona przyjedzie?

– No nie wiem. Pewnie myśli, że nie wsiadłaś do pociągu, bo nie dałaś jej znać, że jedziesz. Czeka na sygnał i póki do niej nie napiszesz...

– Chyba masz rację – przyznała z rezygnacją w głosie Sonia. – W porządku, trzeba gdzieś przenocować, a jutro...

– No jak tam, dziewczęta, szukacie miejsca do spania? – zapytała dwudziestoparoletnia dziewczyna ubrana w czarną kurtkę dzinsową, niebieskie spodnie i białe trampki.

- Ja właściwie to czekam... - zaczęła wyjaśniać Sonia, ale Aliona weszła jej w słowo:
- Szukamy na dzisiaj. Jutro będziemy szukać jej siostry, bo ona jest w Poznaniu.
- No to macie szczęście, bo my z Jurą mamy tu mieszkanie. Możemy was przenocować i pomożemy wam odnaleźć tych, co ich szukacie.

- Ale... ja nie mam pieniędzy. Nie mogę zapłacić za nocleg - powiedziała ostrożnie Sonia.
- No coś ty. My nie za pieniądze. Pomagamy, bo jest wojna. Mamy mieszkanie, to was przenocujemy. Nic się nie martwcie. Za chwilę przyjdzie tu mój Jura i was zabieramy. A, i weźcie trochę jedzenia od wolontariuszy, bo myśmy dziś nie zdążyli zrobić zakupów.

Obie dziewczyny rozejrzały się wokół.

- Tam jest punkt z jedzeniem. - Nowa znajoma wskazała im, gdzie mają się kierować. - Idźcie, ja wam popilnuję tych walizek - zaoferowała. Sonia spojrzała na bagaż, a potem na nią.

- Nie bój się, przecież nie ukradnę ci tej torby. A w ogóle to mam na imię Saszka. - Wyciągnęła ku nim rękę. Uścisnęły ją. - Poczekam tu na was - zapewniła.

Sasza miała w sobie coś, co sprawiło, że jej zaufały. A tak w ogóle to co by miała ukraść? Te walizki z jakimiś ciuchami i drobiazgami przecież nie były wiele warte. Dziewczyny poszły więc szybko do stoiska i poprosiły o prowiant.

- Na drogę chcecie czy na miejscu? - zapytał wolontariusz. Na plastikowej plakietce przyklepionej do kamizelki miał wypisane cyrylicą i po polsku imię Василий/Wasył.

- A jaka różnica? - zapytała Aliona.

- Na drogę to kanapki i batoniki byście dostały, a na miejscu to samo, tylko do samodzielnego zrobienia, czyli produkty.

- Zostajemy w Poznaniu - stwierdziła z uśmiechem Sonia. Już się przestała przejmować tym, że nie znalazła siostry. Jutro się znajdzie. A na razie może zostawić jakąś informację, pomyślała, spoglądając na korkową tablicę wiszącą na ścianie za plecami chłopaka. - Wasył, daj mi długopis i kartkę. Chciałabym zostawić wiadomość do siostry, jeśli będzie mnie szukać. Przyczepisz do tej tablicy?

- Jasne, dawaj - zgodził się. Szybko wpisała swoje imię i nazwisko, a poniżej wiadomość:

Дорогая Надя, сегодня я ночую у знакомых. У меня украли телефон, позвони на номер моей подруги Алены. Крепко обнимаю и надеюсь, что скоро увидимся. Жду твоего звонка²⁰.

Na dole dopisała numer telefonu podyktowany przez koleżankę i podała kartkę Wasyłowi, by przypiął ją kolorową pinezką do korka. Wzięły podane im foliowe torby z jedzeniem i wróciły do Saszki. Ta zgodnie z umową czekała przy ich walizkach. Obok niej stał wysoki facet o atletycznej sylwetce.

- To jest Jura - wyjaśniła Saszka. - Nie ma nic przeciwko, żebyście u nas nocowały. To co, jedziemy? Mamy tu samochód przed dworcem, ale tam na ulicy, znaczy trochę dalej, bo tu, na placu, nie wolno stawać.

- W Polsce można dostać mandat nawet za niewłaściwe parkowanie - odparł Jura, uśmiechając się przy tym, jakby powiedział jakiś świetny dowcip, po czym chwycił obie walizki i ruszył przodem. Trzy dziewczyny poszły za nim. Pięć minut później do punktu recepcyjnego wkroczył Turek w towarzystwie Nadii...

Grodzisk Wielkopolski

Środa 25 maja

Godzina 8.10

- To co tam mamy w sprawie tego wypadku? - zapytała komendant, młodsza inspektor Roma Figaszewska.

- No właśnie o to chodzi, że niewiele - odpowiedział podkomisarz Krukowski. Chciał jeszcze coś dodać, jednak nie zdążył. Kichnął głośno, ale na szczęście prosto w papierową chusteczkę. - Przepraszam bardzo, pani komendant... - Nie dokończył, bo znów kichnął.

- Żebyś nam tylko jakiegoś covida nie sprzedał - mruknął zastępca komendantki, nadkomisarz Wiesław Antczak, spoglądając na swojego podwładnego z pobłażaniem.

- Przepraszam, ale to chyba zwykle przeziębienie. Wczoraj miałem tylko zawałone gardło, a dzisiaj od rana przyplątał się jeszcze ten katar.

- To może powinieneś iść do lekarza, zanim wszystkich nas tu zarazisz? - zapytała komendantka z autentyczną troską w głosie.

- Pani komendant, ja już wczoraj wieczorem zaaplikowałem sobie wszystkie lekarstwa, jakie miałem w domu, łącznie z syropem na miodzie i czosnku. Dlatego lepiej, żeby żadna dziewczyna nie próbowała się ze mną dziś całować - powiedziaławszy to, spojrzął na aspirant Alinę Wielicką. Ta przewróciła oczyma, patrząc wymownie w sufit.

- Przekażę to mojemu psu - odpowiedziała policjantka znana w komendzie ze swojego zamiłowania do szczekających czworonogów, właścicielka owczarka niemieckiego o imieniu Nero.

Krukowski zamierzał odpowiedzieć, ale komendantka była osobą konkretną i nie pozwalała na czcze pogaduszki podczas porannych operatywek.

- W każdym razie, jeśli się źle poczujesz, to nie przeginaj i bierz zwolnienie. Jakoś sobie bez ciebie poradzimy - powiedziała, sięgając po kubek kawy. Upiła łyk i zaraz wróciła do tematu. - Czyli co mamy w tej chwili? - zapytała podkomisarza.

- Mamy dziewczynę, lat około dwadzieścia pięć, tak na oko. Wszystko wskazuje na to, że została uderzona przez jakieś duże auto, pewnie przez tira.

Wyciągnął z teczki kopertę ze zdjęciami i podał je siedzącemu obok Czesiowi. Ten nie musiał ich oglądać, bo sam własnoręcznie je drukował i wkładał do koperty. Podał je więc siedzącemu obok przy długim konferencyjnym stole zastępcy komendanta, a ten zgodnie ze służbową hierarchią przekazał wydruki szefowej. Wydobyła je i zaczęła przeglądać, marszcząc przy tym brwi. Nic dziwnego, widok nie był zbyt przyjemny.

- Leży w rowie? - zapytała komendantka.

- Tak - potwierdził Kruk. - A między autostradą a rowem jest jeszcze siatka ogrodzeniowa. Czyli musiała nad nią przelecieć i wylądować w rowie.

- Człowiek by tak poleciał? - wyraził niedowierzanie Antczak.

- Film o jeleniu - odparł Krukowski.

- Co? - Zastępca komendanta nie rozumiał, w czym rzecz.

- Na YouTube jest kilka filmów ze zderzenia tira z jeleniami czy sarnami. Możecie sobie wygooglować. Oglądałem wczoraj wieczorem, bo też miałem wątpliwości. Ale tam widać, jak taki zwierzak leci w górę i spada jak szmaciana lalka. Paskudny widok. No a człowiek jest lżejszy.

- A droga techniczna? - zapytała komendantka.

- Technicy sprawdzili wszystko na drodze technicznej. Nie ma żadnych śladów. Nic, całkowite zero. Więc pozostaje autostrada.

- Co mówi medyk sądowy? - pytała dalej szefowa. Wiedziała dobrze, że jeszcze nie ma oficjalnej opinii, bo gdyby była, miałaby ją na biurku. Ale знаła też realia, więc była przekonana, że Krukowski musiał z nim porozmawiać i spróbować coś z niego wyciągnąć.

- Jak zwykle niewiele się udało wydobyć tak na szybko, ale... - w teatralnym geście uniósł palec w górę - powiedział coś na temat ułożenia zwłok. Czyli potwierdził to, co powiedział Czesiu. - Tu

spojrzał na swojego kolegę. – Jak żeśmy przyjechali na miejsce, to Czesiu powiedział, że ona, znaczy się ta dziewczyna, wygląda tak, jakby ją ktoś wyrzucił z helikoptera.

– Dlaczego z helikoptera? – zdziwił się Antczak.

– Bo w Wietnamie agenci CIA wyrzucali tych z Wietkongu z helikopterów – rzucił Czesiu, zadowolony, że przytoczono jego opinię.

– Medyk sądowy to potwierdził – wszedł mu w słowo Kruk. – Na tych zdjęciach pani komendant może zobaczyć to nienaturalne ułożenie nogi i ręki. Noga jest podwinięta pod tyłek, a ręka pod plecy. Czyli może być tak, że te dwie kończyny podczas upadku pierwsze dotknęły ziemi, a w ułamek sekundy później zostały przygniecione przez resztę ciała. Stąd ten nienaturalny kąt. No i medyk sądowy powiedział, że to wygląda jak po upadku z wysokości. Znaczą takie ułożenia są charakterystyczne dla tych, co wyskakują z okna. Ale to mi powiedział oczywiście nieoficjalnie.

– To może mieć sens – zgodziła się z nim komendantka. – Czyli twoim zdaniem uderzona przez rozpędzonego tira, siłą uderzenia wyrzucona została poza płot? – Chciała się jeszcze upewnić.

Skinął głową.

Chwyciła plik zdjęć i podała go swojemu zastępcy. Ten zaczął się im uważnie przyglądać.

– No więc mamy wypadek śmiertelny, a nie mamy sprawcy i przede wszystkim nie mamy żadnych świadków – podsumowała komendantka.

– Tak jest – potwierdził Krukowski.

– Dlaczego, twoim zdaniem? – pytała dalej.

– Bo tam było duże zamieszanie. Wypadek, auta stojące w korku, noc i deszcz, i ta dziewczyna, która...

– Przechadzała się po jezdni? – rzucił Antczak.

– Niekoniecznie – zaprzeczył Krukowski.

– Co masz na myśli? – zapytała komendantka.

– Moim zdaniem ona przed czymś uciekała. Nie mam jeszcze żadnego potwierdzenia, więc to tylko teoria, ale zastanawiałem się nad tym pół nocy. Nie spałem przez to przeziębienie i myślałem. – Jakby dla podkreślenia tego, co powiedział o przeziębieniu, wysiąkał nos. – No więc ona musiała wysiąść z samochodu, który jechał z Poznania w kierunku granicy. Auta stały w korku, więc wykorzystała moment i wyskoczyła na drogę. Potem uciekała jak najdalej, a to znaczy, że przeszła przez bariery na drugą stronę i wbiegła na jezdnię. I w tym momencie zahaczyła ją jakaś ciężarówka. To wystarczyło, żeby ją katapultować w górę.

– Kierowca uciekł? – zapytał Antczak z powątpiewaniem. – Powinien się zatrzymać przecież.

– Nie wszyscy się zatrzymują, Wiesiu – przypomniała mu komendantka. – Ciągłe mamy do czynienia z sytuacjami, kiedy kierowcy uciekają z miejsca wypadku, bo myślą, że im się uda. Szczególnie ci nachlani.

Krukowski pokiwał głową.

– Uciekają, jeśli mają coś na sumieniu – zgodził się z szefową. – Ale tu myślę, że facet raczej nie zauważył dziewczyny. Nie przywalił w nią centralnie, boby wpadła pod koła i została na drodze. On musiał w nią przypieprzyć bokiem. Dlatego wyleciała jak z procy i znalazła się za płotem. A facet usłyszał być może tylko jakiś stukot i tyle. Polecał dalej. I nikt tego nie zobaczył w tym deszczu.

– No dobra, niby wszystko się może zgadzać w tej twojej teorii. – Komendantka najwyraźniej szukała dziury w całym. – Ale dlaczego uciekała? Skoro tak było, to musiała się czegoś bardzo wystraszyć.

– No i na to żadnej teorii nie mam, pani komendant. Ale mam pewien trop.

– Mów – poleciła.

Wyciągnął z kieszeni telefon, wszedł w galerię zdjęć, szybko odnalazł to właściwe i przesłał je szefowej.

Rozległo się piknięcie powiadomienia o przychodzącej wiadomości.

– Niech pani komendant zobaczy to zdjęcie. To ja zrobiłem swoim telefonem na miejscu.

Otworzyła fotografię.

– Teraz proszę najechać na szyję i powiększyć.

Zrobiła, jak kazał.

– Kołnierz bluzy jest wywinięty i widać napisy.

Zastępca komendanta chrząknął zniecierpliwiony, dając do zrozumienia, że też by chciał wiedzieć, na co patrzy szefowa, ale ta go zignorowała.

– Już rozumiem – powiedziała, podając w końcu swój telefon Antczakowi. – Chcesz powiedzieć, że to jakaś osoba, która była wieszona wbrew swojej...

– Co tu jest napisane? – zapytał zastępca.

– Nieważne, Wiesiu, co, tylko w jakim języku – odpowiedziała szefowa. – Przecież widzisz, że to jest po rusku.

– No i co z tego?

– A to z tego, że na naszych metkach są napisy polskie albo angielskie, a ruskie noszą... Ukraińcy, Białorusini i Ruscy – wyjaśniła.

– No ale co to ma za znaczenie, czy ona była Ruska, czy nie? – pytał Antczak.

– Może nie mieć żadnego – odparła komendantka i zaraz spojrzała na Krukowskiego. – Ale zdaje się, że Kruk zaczyna konstruować teorię, której jeszcze sam się boi. Co, panie podkomisarzu, mam rację?

– No niby tak. – Zapytany machnął ręką, wyrażając w ten sposób niezdecydowanie. – Chodzi o to, że sam nie wiem, ale to, że ona uciekała, to pewne raczej. Bo jakby wyszła z samochodu, w którym jechała na przykład z rodzicami, to ten fakt ktoś by zgłosił. Jakieś zaginięcie albo coś. A tu cisza, nikt jej nie szuka. Czyli od kogoś uciekła. A to oznacza, że albo związała mężowi, który się na nią wkurzył z jakiegoś powodu, albo... – Nie dokończył i spojrzał wymownie na komendantkę.

Ta przejechała wzrokiem po zebranych, a potem wolno powiedziała:

– Albo to ofiara handlarzy żywym towarem – podsumowała.

Przez chwilę w gabinecie pani komendant zaległa cisza. Słychać było tylko samochody przejeżdżające dwa piętra niżej po ulicy Drzymały.

– W takim razie trzeba by dać znać do Poznania... – Zastępca komendantki najwyraźniej doszedł do wniosku, że taką sprawą powinni zajmować się fachowcy z wojewódzkiej.

– Nie mamy jeszcze o czym meldować – rzuciła szefowa. – Zameldujemy, jak znajdziemy jakiś konkretny. A ten będziemy mieć, jak się znajdzie auto, którym jechała dziewczyna. Kruk, żal mi ciebie, ale musisz przejrzeć monitoring z dwóch bramek naszej w Buku i tej z Poznania. Gdzieś musieli wjechać i na sto procent są na nagraniu.

Krukowski wzruszył ramionami. Co zrobić, taka robota, pomyślał i znowu wydmuchnął nos.

Poznań

Godzina 12.10

Harley wtoczył się wolno na podjazd prowadzący do hali targowej. Tubalny odgłos silnika sprawił, że kilkadziesiąt par oczu zwróciło się w kierunku, z którego nadjechał motocykl. Aneta zaparkowała niemal pod samą ścianą budynku i wyłączyła motor. Zeszła z fotela i zdjęła kask, spod którego wysypały się rude włosy. Z sakwy przytroczonej do bagażnika wyjęła czarną czapkę z daszkiem i plecak. Zarzuciła go na ramię i ruszyła do środka, odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami ludzi stojących przed halą i palących papierosy. W większości byli to mężczyźni czekający, aż ich kobiety załatwią formalności.

Wielu ukraińskich emigrantów ekonomicznych, którzy od dawna mieszkali i pracowali w Poznaniu, zaczęło sprowadzać tu swoje żony i dzieci. Wojna przyczyniła się do łączenia rozdzielonych rodzin, które teraz szukały tanich mieszkań na wynajem. Ale tanich już dawno nie było. Właściciele, wietrząc zarobek, podnosili ceny wynajmu, więc dla wielu ratunkiem było szukanie miejsc w okolicznych wsiach i miasteczkach.

Jeszcze trochę i w każdej miejscowości w Polsce będą mieszkać Ukraińcy, pomyślała Aneta, mijając grupkę mężczyzn. Nie był to według niej powód do zmartwień, a raczej do dumy. Tak, była naprawdę dumna ze swoich rodaków, którzy zdali egzamin z człowieczeństwa w najtrudniejszej chwili i sprawili, że na polsko-ukraińskiej granicy nie doszło do humanitarnego kryzysu, a ludzie, którzy uciekli spod ruskich bomb, znaleźli u nas drugi dom.

Ci, którzy czekali pod halą na swoje rodziny, już od dawna czuli się tu jak u siebie. Pracowali, mówili po polsku i myśleli o tym, by tu zostać na stałe. Jeśli do niedawna jeszcze się wahali i czekali z podjęciem decyzji, wojna zrobiła to za nich. Ale bardzo wielu mężczyzn, którzy od dawna mieszkali w Polsce, po sprowadzeniu rodzin chciało wracać na Ukrainę. Tak jak ten student Oleg, który pomachał jej, gdy podeszła do bramy.

– Ty jeszcze tutaj? – zapytała Aneta, podchodząc do chłopaka. Uścisnął jej dłoń. Widać było, że jest już w Polsce od jakiegoś czasu, bo nabrał miejscowych zwyczajów. Ukraińscy mężczyźni nie podawali ręki kobiecie, bo u nich ten gest zarezerwowany był tylko dla facetów.

– No, jutro przyjeżdża jeszcze moja bratowa z dziećmi. Muszę ich przyjąć i pomóc z mieszkaniem – odpowiedział po polsku, niemal bez śladu wschodniej melodii.

– A mama i siostry? – przypomniała sobie Aneta.

– Już są w moim pokoju, znaczy tam, gdzie wynajmuję, w tym mieszkaniu. Gospodarz nie miał nic przeciwko temu, żeby tam zamieszkały. Tylko policzył więcej za każdą osobę. Ale nie jest źle, bo za dzieci wziął tylko połowę stawki.

– To kiedy jedziesz?

– Jak wszystko dobrze się poukłada, to w przyszłym tygodniu.

– Pociągiem?

Pokręcił głową, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Nie, komfortowo jadę samochodem. Jeden mechanik w Poznaniu remontuje terenowe wozy, naprawia, co się da, wstawia nowe opony i maluje na zielono. A wszystko dla naszego wojska.

Pożegnali się jak starzy przyjaciele, choć znali się zaledwie od miesiąca. Oleg obiecał, że będzie się odzywał i że nie da się zabić...

W hali kręciło się kilkadziesiąt nowo przybyłych osób. Pociąg z Przemyśla przyjechał w nocy, więc część uchodźców zdążyła już załatwić formalności. Przed stolikiem rejestracyjnym stało zaledwie dziesięć kobiet. Dzieci cierpliwie czekały, siedząc na walizkach pod ścianą hali. Wyglądały na zadowolone, zajadając batoniki i ciastka, które można było brać ze stolików z prowiantem.

Podeszła do punktu obsługi. Siedział tam jej nowy znajomy. Na jej widok uśmiechnął się promiennie.

– Aneta, fajnie cię widzieć – odezwał się pierwszy, wstając z krzesła.

– Chyba nie ma dziś dużo roboty? – Wskazała na niezbyt długą kolejkę.

– Teraz się poluzowało, od rana obsłużyłem już ze czterdzieści osób. Na szczęście były tu dwie studentki z Ukrainy i trochę mi pomogły.

Pokiwała głową. Sporo dziewczyn studiujących w Poznaniu przychodziło na targi do pomocy. Bardzo się przydawały, bo doskonale mówiły po polsku, a dla przyjezdnych były żywym dowodem na to, że w tym kraju da się żyć i, co ważniejsze, można szybko nauczyć się języka.

– Chcesz kawę? – Aneta pokazała na termosy stojące w punkcie wydawania żywności.

Włodek się skrzywił.

- Już mam dość tej lury. Wypiłem chyba z pięć od rana, ale jedyny efekt jest taki, że czuję niesmak w ustach.

- Jak chcesz, ja się napiję. Może nie kawy, ale herbaty. Muszę przepłukać gardło, bo się nałykałam much podczas jazdy - powiedziawszy to, wystawiła na wierzch język na dowód, że mówi prawdę.

- Naprawdę zjadłaś muchę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Niejedną - zażartowała, a błysk w jej oczach zdradził, że się z niego nabija.

- No dobra, dałem się zrobić w konia. W związku z tym czuję się pokrzywdzony i dlatego musisz mnie przeprosić.

- Jak to przeprosić?

- Stałem się ofiarą twoich żartów, więc jesteś mi coś winna. Dlatego w ramach zadośćuczynienia zapraszam cię na kawę. Ale na taką normalną, a nie z tych garnków. To co, jak skończymy z zapisywaniem, idziemy?

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się nieśmiało. Jakoś nie potrafiła mu odmówić. Miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że rozmowa z nim była przyjemnością.

Chciała odpowiedzieć, gdy naraz dostrzegła w bramie znajomą postać. Chudy i wysoki Szymon Turek stał w przejściu i rozglądał się, jakby kogoś szukał. Domyśliła się, że chodzi o nią. W końcu nikogo innego tu nie znał.

- Przyjdę za chwilę. Mój znajomy, z którym jeździłam na granicę, wygląda na zagubionego - wyjaśniła i zostawiła Włodka. Podeszła do Turka akurat w chwili, gdy ten pytał o coś młodego człowieka w seledynowej koszulce wolontariusza.

- Może, ja nic nie wiem - odpowiedział mu chłopak. - Bo ja tu jestem dopiero od godziny.

- A kto może coś wiedzieć? - zapytał Turek.

- To zależy, co byś chciał wiedzieć - odezwała się Aneta za jego plecami. Natychmiast się odwrócił, usłyszawszy znajomy głos.

- Anetka, jak pragnę zdrowia, co ty tu robisz?

- A ja już myślałam, że mnie szukasz.

- No wiesz, w zasadzie to ciebie też, ale generalnie tak w ogóle to szukam jednej dziewczyny...

- Szymon Turek poszukujący dziewczyny? Koniec świata - zażartowała. Cały czas była w dobrym humorze po rozmowie z Włodziem, ale spochmurniała, gdy dostrzegła, że Turkowi wcale nie jest do śmiechu.

- Wiesz, to nie tak, że ja szukam... no w sensie, że jakiejś dziewczyny, tylko no ja zdecydowanie całkiem konkretnej szukam. - Wydobył z kieszeni telefon, przez chwilę sprawdzał ikonki, by wreszcie najechać na galerię. - O, mam. Zobacz, to jest właśnie ona. - Pokazał jej zdjęcie uśmiechniętej dwudziestolatki. Aneta wzięła od niego aparat i powiększyła fotografię. Miła twarz ozdobiona beztróskim uśmiechem sprawiała sympatyczne wrażenie. Ale tylko tyle, żadnych innych skojarzeń nie wywoływała. Zdjęcie młodej dziewczyny, jakich pełno na instagramowych czy fejsbukowych kontach, niczego konkretnego niemówiące o właścicielce uśmiechniętej twarzy i zielonych oczu.

- Nigdy jej nie widziałam. To znaczy raczej na pewno nie przeszła przez moje ręce.

- Czyli że ty tu masz ich pod... no jak by to powiedzieć... pod kontrolą jakąś czy jak...

- Spisuję z nimi ankiety. O, tam, przy tych stołach. Jak ktoś przyjeżdża, to się go zapisuje i pomagamy też formalności jakies załatwić.

- Aha, to znaczy ty i jeszcze ktoś?

- Tam siedzi Włodek. Widzisz go? Ten, co rozmawia z tą kobietą w chustce na głowie. On też robi te ankiety i jeszcze jest kilka innych osób, które się tym zajmują.

- Aha. No to rozumiem. A można z nim pogadać? - zapytał.

- No pewno. Ale powiedz mi najpierw, o co chodzi? Co to jest za dziewczyna?

- No wiesz, chodzi o Nadię - zaczął jak zwykle niezbyt składnie. Ale Aneta знаła Turka na tyle dobrze, że wiedziała, jak z nim postępować. Trzeba mu dać mówić, a dopiero potem pytać. - I Nadia ma siostrę. Pamiętasz Nadię, nie? To ta Ukrainka, co pojechała ze mną do Szamotuł w pierwszy dzień, jak żeśmy jechali z granicy. No i ona mieszka u mnie...

- Nie gadaj mi o pierdołach. Przecież wszystko to wiem. Pamiętasz? Byłam z tobą na granicy.

- No właśnie dlatego mówię ci, że to o Nadię się rozchodzi. I wczoraj miała przyjechać do niej siostra. I nawet dzwoniła z Przemyśla, z dworca, że za chwilę ma pociąg, a potem już się nie odezwała.

- Nie zadzwoniła, co się z nią dzieje? - zdziwiła się Aneta.

- Właśnie, że nie zadzwoniła. Nie ma z nią kontaktu. Urwał się całkowicie, tak jakby dziewczyna wyparowała.

- Może gdzieś po drodze wysiadła?

- A po cholerę by miała wysiadać? Przecież jechała do siostry. A Nadia jej już wcześniej pisała, że nie musi się martwić o nic, bo jak przyjedzie, to może mieszkać u nas... znaczy się u mnie, to znaczy się w pokoju z Nadią, bo tam jest rozkładany tapczan...

- Nie wysiadła z pociągu? Nie było jej na dworcu?

Turek spuścił wzrok i przez chwilę milcząc, zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Wiesz, myśmy przyjechali po nią na dworzec. Ale auto mi się zepsuło i żeśmy się spóźnili...

Aneta popatrzyła na Turka, a potem klepnęła go w ramię.

- Nic się nie martw. Znajdziemy ją. Pewnie gdzieś poszła na jaką kwatere i za jakiś czas się tu pojawi. Tu przychodzą wszyscy, którzy przyjeżdżają. Weź wyślij mi jej zdjęcie, a ja roześle do wszystkich wolontariuszy. Ktoś ją w końcu zobaczy - powiedziała to wszystko, żeby go trochę uspokoić, bo wyczuła, że Turek autentycznie się przejął.

Szymon był od dawna samotnikiem, nie miał żony, odkąd go zostawiła pewna zła kobieta jakieś dwadzieścia lat temu. No i przede wszystkim nie miał dzieci, więc tą siostrą Nadii przejął się trochę jak własną córką. Nie wiedział tylko, że dziewczyny w tym wieku potrafią mieć szalone pomysły i nie zawsze zdają sobie sprawę z konsekwencji swoich działań. No i przede wszystkim nie bardzo myślą o tym, że ich bliscy mogą się o nie martwić. Aneta nie miała jeszcze dzieci, ale wiedziała co nieco na temat młodych dziewczyn. Całkiem niedawno miała dwadzieścia lat.

- O, to super - ucieszył się Turek. - A ten twój kolega to co? - Wskazał na Włodka.

- Chodźmy do niego. Pokażemy mu tę fotkę.

Zapytany o dziewczynę, patrzył przez chwilę, by w końcu pokręcić głową. Niestety nigdy jej nie widział. Nic dziwnego, pomyślała Aneta. W końcu przewijało się tu tylu ludzi, że nawet jakby ją obsługiwał, ta twarz mogła mu gdzieś umknąć. Aneta sprawdziła jeszcze rejestr osób, które zgłosiły się do punktu od wczoraj. Nie znalazła jednak żadnego wpisu dotyczącego studentki z Kijowa Soni Hreczko.

Poznań
Godzina 19.40

- A ten smok to nie ugryzie? - zapytał podпиты student, śmiejąc się ze swojego żartu. Jego dwaj koledzy stojący przy barze pokiwali z uznaniem głowami. Widać było, że ten ogolony na łyso chłopak w czarnej koszulce z jakimś zębatym potworem na piersi i stylizowanym napisem „DragonForce” zamierza doprowadzić do smoczej konfrontacji.

- Jak trzeba, to ugryzie - rzuciła Alex, nalewając zamówione shoty z sokiem cytrynowym.

- Ciekawe, a jakby się tak nasze smoki zbliżyły do siebie na odległość... powiedzmy bliską, to co by było?

- Nic by nie było, bo się nie zbliżą - odpowiedziała barmanka i postawiła na blacie tacę z dwunastoma kieliszkami napełnionymi mętnym, żółtawym płynem.

- Jeszcze coś do schrupania miało być - odezwał się niski grubasek z młodzieńczym, niezbyt gęstym wąsikiem pod nosem.

- Już daję. - Chwyciła szklaną miseczkę z solonymi orzeszkami. Ten łysy wyciągnął rękę, jakby chciał wziąć naczynie, ale minął je i palcem dotknął smoka wytatuowanego na wierzchu dłoni Alex. Nie cofnęła jej. Spokojnie odłożyła miseczkę, a potem oparła rękę o blat i spojrzała na chłopaka, który już powoli zaczynał czuć zadowolenie z powodu męskiej przewagi nad słabą kobietą.

- No i co, mój smok by chętnie pobawił się z twoim - powiedział tonem bezwzględnego podrywacza i pogromcy niewieścich serc. - Przeleciałby twoją smoczkę tak, żeby aż jej się dupa zapaliła.

- A dałbyś radę? - zapytała Alex, gładząc się po wygolonej lewej skroni. Jakies dwa tygodnie temu zmieniła fryzurę. Zostawiła długie włosy z prawej części głowy, a lewą kazała ogolić, pozostawiając sześciomilimetrowe włoski. Tę prawą połówkę związała w warkocz i dzięki temu wyglądała jak pół kobieta, pół smok. Jej mąż, Przemek Drażkowski, był przyzwyczajony do jej ekstrawaganckiego podejścia do własnego wyglądu, więc nie zamierzał się wdawać w dyskusje na temat smoczey fryzury. Wiedział, że najbezpieczniej jest pochwalić i nie gadać za dużo.

- On da radę bez problemu - stwierdził trzeci student w okularach i kurtce dżinsowej, narzuconej na czerwony T-shirt.

Chłopak wziął do ręki tacę i już chciał iść do stolika, kiedy powstrzymał go głos barmanki:

- Nie bałbyś się? - zapytała, uśmiechając się, a w jej uśmiechu widać było jakiś cień smoczey przebiegłości. Właściciel smoka na koszulce jednak niczego nie dostrzegł. Może dlatego, że wypił już kilka shotów, które na pewno wpłynęły na śmiałość, ale zaburzyły percepcję.

- Ja się niczego nie boję.

- Czyżby? - wolała się upewnić.

- Możemy spróbować - powiedział, uśmiechając się oblesnie i oblizując spierzchnięte wargi. - O której kończysz pracę, kiciu?

- Prawdziwą smoczycę poznaje się nie po tym, jak kończy, ale jak zaczyna - rzuciła i natychmiast wyciągnęła spod kontuaru nóż sprężynowy. Przycisnęła srebrny guzik i ostrze wyskoczyło z brzękiem. Potem położyła dłoń na blacie.

Właściciel smoka zdziwiony popatrzył na jej palce o pomalowanych na czarno paznokciach, a potem na nią.

- No, na co czekasz? Kładź swoją rękę.

- Ale po co? - zapytał szybko, a w jego oczach widać było iskierki strachu.

- Mówiłeś, że się niczego nie boisz, no to kładź.

- Co chcesz zrobić?! - wykrzyknął z wyraźnie słyszalną nutką paniki w głosie.

- Popatrz, smoku. - Chwyciła nóż w prawą rękę i zaczęła nim powoli uderzać w przestrzeń między palcami. Raz za razem kłuła czubkiem ostrza blat i z każdym przejściem robiła to coraz szybciej i szybciej. Wszyscy stojący przy barze klienci ucichli wpatrzeni w ostrze, które dźgało deskę. Gdy prędkość zadawanych ułuc była już tak szybka, że patrzącym na tę scenę wydawało się, że zaraz nóż wbije się w palec, Alex naraz zatrzymała rękę w górze i wyprowadziła ostatnie pchnięcie. Nóż wbił się tuż koło małego palca cwaniaka, który jeszcze przed chwilą niczego się nie bał. Łysy szybko cofnął dłoń.

- No co, smoku, taki jesteś odważny? - zapytała barmanka, uśmiechając się szeroko. - No, połóż rękę. Zobaczymy, czy dasz radę?

- Chyba cię pojechało! - Cwaniak schował dłonie za siebie, jakby się bał, że ta wariatka zaraz go złapie i na siłę każe mu się poddawać tej ryzykownej próbie.

- A, i nie mów tak do mnie, kiciu, bo się pogniewamy - rzuciła i schowała nóż.

I wtedy ludzie, którzy obserwowali to zajście, zaczęli się śmiać. Ale amatorowi smoczyć wcale nie było do śmiechu. Na wszelki wypadek włożył ręce do kieszeni i ruszył do drzwi.

- Ty, łysy, gdzie idziesz? - zawołał jego kompan w okularach.

- Spierdalaj! - rzucił ze złością i wyszedł z knajpy. Jego koledzy spojrzeli po sobie, a potem poszli z tacą zapehniętą kieliszkami do stolika. Co mieli zrobić. Musieli wypić porcję kolegi, bo przecież nie mogła się zmarnować.

- Czy ty zawsze musisz dawać lekcje takim gówniarzom? - Alex usłyszała znajomy głos. Na wysoki stołek właśnie wspinał się jej mąż. Musiał widzieć ten jej pokaz siły charakteru, bo nie wyglądał na zadowolonego.

- O, Przemciu, przecież tu można oszaleć od tych gówniarskich zaczepek. Jak się od czasu do czasu nie rozerwę, to mnie coś trafi - wyjaśniła, robiąc przy tym minę najbardziej niewinnej osoby na świecie.

- Może jak nie chcesz pracować za barem, to niech tu stoi któraś z dziewczyn, a ty możesz przecież przychodzić wieczorem i zamykać budę...

- Chyba zwariowałaś - odpowiedziała szybko, marszcząc przy tym brwi. - Ktoś musi mieć oko na kasę, nie? - stwierdziła, a Przemek wiedział, że nie ma w tej kwestii żadnej dyskusji.

Alex pod tym względem niewiele różniła się od jego ojca Teofila, który jeszcze cztery lata temu był tu szefem. Teofil też nie wyobrażał sobie, że ktoś inny może zajmować się kwestiami finansowymi. Ale w końcu się poddał. Doszedł do wniosku, że już czas się wycofać i pójść na zasłużony odpoczynek. Postanowił więc przekazać knajpę swojemu jedyemu synowi Przemkowi. Kłopot był w tym, że on nie mógł zajmować się Pijalnią Świat Wódek. Był przecież policjantem zatrudnionym w komendzie miejskiej, a pracy w knajpie i policji za nic w świecie nie dałoby się pogodzić. Zresztą nie miał smykałki do tych barowych interesów. Za to miała ją Alex, dziewczyna, która pracowała u ojca od kilku lat. No i gdy Przemek przejął knajpę, ona najpierw objęła stanowisko kierowniczkii lokalu, a kilka miesięcy później została żoną właściciela i co za tym idzie współwłaścicielką.

- Jak uważasz - powiedział i już chciał poprosić o piwo, ale nim zdołał to zrobić, postawiła przed nim pokal napełniony bezalkoholowym. Nie pił alkoholowego, bo przyjechał samochodem, zresztą nie odziedziczył po ojcu, wielbieliu wszelkich trunków, jego zamiłowania do procentów. Tak naprawdę było mu wszystko jedno, jakie piwo pije.

- No i co to za sprawa z tym tatuazystą? - zapytał, gdy wypił już pierwszy łyk.

- Polecił mi go Maks. Pamiętasz Maksa, tego od tatuazy, nie? I on mówi, że ten Dima to podobno jeden z najlepszych fachowców na Ukrainie - wyjaśniła Alex. - No i on właśnie przyjechał tu jakiś czas temu i chce zacząć robotę. No ale wiesz, żeby ruszyć, to trzeba mieć do tego, no wiesz...

- Wiem, trzeba mieć wszystko, a on nie ma nic. - Zrozumiał, o co chodzi żonie. Wyglądało na to, że zamierza rozszerzyć ich rodzinny biznes, to znaczy swój biznes, bo on nie miał ani czasu, ani ochoty bawić się w kolejne przedsięwzięcie. Już ta knajpa obarczona była dużym ryzykiem. Całkiem niedawno mało brakowało, a trzeba byłoby ją zamknąć po tym, jak w pandemii nie mogła pracować i przez kilka miesięcy generowała straty. Ale Alex się uparła i jakoś wyszła na prostą. No i teraz szykowała się do kolejnego interesu. Nic więc dziwnego, że narzekała na nudę za barem. Myślami musiała być już w innym miejscu.

- A ten twój Ukrainiec to jakiś stary dziadek, skoro go wypuścili? - zdziwił się.

Alex pokręciła głową.

- Nie, całkiem młody.

- To czemu nie walczy na wojnie? - zapytał, bo taka postawa nie wydała mu się zbyt chwalebna. Tam jego rodacy walczą z Ruskami, a on sobie przyjeżdża do Poznania i szuka współników do biznesu.

- Ja już się nawojowałem - usłyszał głos za sobą. Odwrócił się. Przed nim stał wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna o twarzy ozdobionej brodą sięgającą do piersi. Długie włosy miał zaczesane do

tyłu i spięte gumką. Ubrany był w czarne spodnie bojówki i czarną koszulkę. Prawy rękaw opinał się na solidnym, dobrze wyćwiczonym bicepsie. Lewy zwisał luźno.

- Ja Dima. - Brodacz podał Przemkowi wielką łapę.

- Przemek jestem, a to jest moja żona, Alex.

- Napijesz się piwa, Dima? - zapytała właścicielka knajpy.

- Napiję się piwa i wódki się napiję - powiedział Ukrainiec i usiadł na hockerze. Nie musiał nawet się wspinać, bo wysoki stółek doskonale pasował do jego wzrostu.

- Maks powiedział mi, że wy zainteresowani biznesem - zaczął bez zbędnych wstępów, gdy postawiono przed nim piwo i kieliszek wódki.

- To zależy, co masz na myśli, znaczy, jak widzisz taki wspólny interes? - powiedział Przemek. On lubił przejrzyste sytuacje i nie kierował się emocjami jak jego żona, dlatego wołał sprawy wziąć w swoje ręce. A potem niech ona się już martwi, gdy wszystko zacznie się kręcić.

- Myślę, że damę ja swoją robotę, a wy dajecie resztę. I dzielimy się na pół.

Przemek spojrział na Alex, a ta szybko zamrużyła znacząco, co miało świadczyć o tym, że jest zachwycona.

- Dobrze mówisz po polsku - rzucił Drażkowski, jak rasowy policjant podczas przesłuchania, zmieniając nagle wątek rozmowy.

- Bo ja tu mieszkał już pięć lat.

- Jak to, mówiłeś, że walczyłeś?

- Walczył ja w czternastym roku. Na lotnisku w Doniecku walczył i w innych miejscach. Przez pół roku, a potem stracił ja rękę i wypisali z wojska. No to przyjechał do Polski do roboty. I robił tatuaże u jednej firmie w Poznaniu. Przez pięć lat robił i zbierał kasę, żeby pojechać do Charkowa i otworzyć u siebie studio tatuażu. I powiodło się. Pojechał, kupił lokal, sprzęt zamówił i zaczął robić. I wiecie, co się stało? Jak zaczął ja już dorabiać się, to zaczęła się wojna i rakietą pierdalgęła w mój zakład. Nic z niego nie zostało się, no to poszedł ja się zapisać do wojska, żeby podziękować Ruskom. Ale mnie nie przyjęli. No to ja wrócił do Polski. Dorobię się ja i wrócę, jak się skończy wojna - powiedziaławszy to, wypił wódkę, popił piwem i otarł usta wierzchem dłoni.

Przemek popatrzył na jego przedramię, na którym widać było wytatuowany dziwny symbol, coś, co przypominało narysowaną pod kątem literę N, w środku przeciętą kreską. Nie znał tego symbolu, ale skojarzył mu się z niemiecką swastyką, tyle że taką trochę niedorobioną.

- To co, jeszcze jedną kolejkę? - zapytała Alex.

Dima skinał głową. Wyglądał na takiego, który raczej nie odmawia, gdy go częstują.

Poznań

Godzina 20.30

Mieszkanie wyglądało tak sterylnie, jakby w nim nikt nie mieszkał. Było duże i właściwie można powiedzieć - luksusowe. Największe wrażenie zrobiła na Soni kuchnia. Była ogromna, z dużym oknem i pięknymi meblami lśniąca polyskliwą bielą. Najbardziej podobało jej się to okno. W mieszkaniach w Charkowie, takich w blokach, kuchnie z reguły były mikroskopijne i z trudem prócz pieca i lodówki mieściły się tam małe stoły. Tutaj wszystko było olbrzymie, a wielkie okno, pod którym stał masywny stół, sprawiało, że w całym pomieszczeniu było jasno i słonecznie.

Ale te luksusy bynajmniej nie rekompensowały jej niepokoju, a właściwie można by powiedzieć, strachu. Bała się tego, co się może stać. Najgorsze było jednak to, że nie umiała na razie wyobrazić sobie konsekwencji tego, co zdarzyło się dwie godziny temu.

- To co teraz zrobić? - zapytała Saszkę. Ona przecież wszystko wiedziała o tej Polsce i potrafiła znaleźć rozwiązanie.

- Nie wiem - odpowiedziała gospodyni, nalewając kawy z ekspresu. Wzięła do ręki dwa kubki i podeszła do stołu. Postawiła je na blacie, a dziewczyna przysunęła jeden ku sobie. - Trzeba czekać, aż Jura wróci. Mówił ci, że ma znajomości na policji. Jak on mówi, to tak jest. Nie przejmuj się. Dostaniesz swoje dokumenty z powrotem. Tylko trzeba będzie im zapłacić.

- Myślałam, że w Polsce jest inaczej jak u nas - powiedziała Sonia, wsypując cukier do kubka. - Mówili znajomi, co tu byli wcześniej, że policja nie bierze w łapę... i że nie krzywdzą dziewczyn...

Saszka się uśmiechnęła.

- Bzdury ci mówili. Policjanci są wszędzie tacy sami. Widziałaś tych, co tu byli? Prawda, że z tymi bydlakami w ogóle nie dało się porozmawiać?

Prawda, że wcale nie chcieli gadać. Zachowywali się tak, jakby one były jakimiś terrorystkami. A przecież niczego nie zrobiły, nikomu się nie naraziły, były całkowicie niewinne...

Siedziały przy kuchennym stole w trójkę. Jura pojechał gdzieś rano i miał lada moment wrócić. Mimo że dawno minęło południe, dopiero przed chwilą Saszka ogłosiła pobudkę. Weszła do pokoju, w którym Sonia i Aliona spały na rozłożonym na podłodze materacu, przykryte kocem. Kazała im wstawać i się zbierać, bo za chwilę Jura zawiezie je do punktu przyjęć uchodźców i będą musiały sobie już radzić same. Wyjaśniła im, że nie prowadzą tu noclegowni, a jedynie od czasu do czasu nocują u nich ludzie potrzebujący pomocy, więc materac będzie potrzebny dla kolejnych osób.

Dziewczyny doskonale to rozumiały. Każda z nich miała własne plany i dlatego szybko spakowały swój dobytek, a potem poszły do kuchni. Nie zdążyły jednak nawet wypić herbaty, gdy od drzwi rozległ się dźwięk dzwonka. Saszka zdziwiona rzuciła tylko, że nikogo się nie spodziewa, a Jura nie dzwoni, bo ma klucze.

Poszła otworzyć. Naraz do uszu dziewczyn dobiegł jakiś trzask, krzyk Saszki i głośne przekleństwa, które mimo że rzucane w innym języku, dawały się łatwo rozszyfrować.

- Gleba, kurwa, gleba. No już, kładź się na podłogę, kurwo! - zawołał jakiś wielki facet ubrany na czarno, z kominiarką na twarzy.

Ani Aliona, ani Sonia nie zrozumiały ani słowa, ale na widok wycelowanej w nie lufy pistoletu natychmiast podniosły ręce.

- *Мордой в землю, сучка! Лежи и не дергайся!*²¹ - wydarł się drugi, ubrany tak samo jak ten z pistoletem. Teraz dziewczyny pojęły, że trzeba zrobić dokładnie to, co każą. Położyły się więc bez słowa sprzeciwu. Ci dwaj natychmiast podeszli do nich i zaczęli przeprowadzać dokładną kontrolę ich ubrań, oklepując i macając każde podejrzone miejsce. Ten wielki włożył Soni rękę w krocze i przytrzymał przez chwilę. Krzyknęła głośno, a z oczu popłynęły jej łzy wściekłości i upokorzenia.

- *Убери руку, урод!*²² - zawołała głośno i osilek natychmiast zabrał dłoń.

- Ta jest czysta - powiedział po polsku.

- Ta też - odparł drugi.

Trzeci stał w drzwiach i przytrzymał za ramię Saszkę.

- Ty tu jesteś gospodyni? - zapytał po rosyjsku.

- A bo co? - odpowiedziała hardo dziewczyna.

- Odpowiadaj, bładź, jak cię pytają.

- A kto pyta?

- Policja.

- Policja? A macie nakaz?

- Zaraz ci pokażę mój nakaz, ty dziwko. Siadaj tam - wskazał stół - i dawaj dokumenty!

Podeszła do szuflady w kuchni i wyciągnęła z niej polski dowód osobisty.

- No proszę, co my tu mamy. Polka na niby. Od kiedy masz obywatelstwo polskie?

- Gównu cię to obchodzi - warknęła.

- Siadaj. - Pokazał jej palcem miejsce. - I te dwie kurwy też posadźcie.

Jego dwaj ludzie natychmiast podnieśli dziewczyny z podłogi i posadzili przy stole.

- Gdzie są narkotyki? - zapytał ten, który wydawał polecenia. Jego twarz również ukryta była pod kominiarką. Widać było tylko czarne, błyszczące oczy.

- Jakie narkotyki? - odezwała się Saszka. W jej głosie słychać było autentyczne zdumienie.

- Ty dobrze wiesz, suko. Dawaj narkotyki albo zaraz wszystkie trzy pójdziecie do więzienia i nie wyjdziecie z niego przez pięć lat za handel dragami.

- My nie handlujemy żadnymi narkotykami - rzuciła Sonia kompletnie zdezorientowana. Przecież ewidentnie to była jakaś straszna pomyłka. Ona nigdy w życiu nie miała do czynienia z żadnymi narkotykami. Nawet jej to przez myśl nie przeszło.

- To wyście przyjechały z Ukrainy? - zapytał dowódca. Obie skinęły głowami.

- Gdzie wasze walizki?

- W pokoju. - Aliona wskazała na drzwi.

- Słyszeliście? - zwrócił się do swoich ludzi. - Idźcie tam przeszukać. Tylko dokładnie.

Gdy wyszli, ten czarnooki usiadł przy stole i spojrzał na Saszkę.

- To co, goście w domu, a ty nic na stół nie podasz?

- Czego chcesz, swołocz?

- Wódkę dawaj.

- Nie mam.

- Masz! Bo sam poszukam i ci wszystko z tych pięknych szafek wyrzucę na podłogę. Szkoda by było.

Saszka wstała, podeszła do lodówki i wyciągnęła do połowy opróżnioną butelkę finlandii. Wzięła z suszarki szklankę i przyniosła do stołu. Postawiła wszystko na blacie i wróciła na swoje miejsce.

- Ty - wskazał na Alionę - nalej mi, bo sam nie będę sobie nalewał.

Przestraszona dziewczyna natychmiast spełniła jego polecenie, nalewając niemal do pełna.

- Szcudra jesteś - powiedział. Wziął szklankę do ręki, uniósł dół kominiarki, odsłaniając usta. Sonia ujrzała czarną brodę i wąsy. Wypił i postawił szkło na stole. - Dobra i zimna. No widzisz, tak się wita gości, Saszka - stwierdził z zadowoleniem.

- Szeffie, mamy! - usłyszał głos dochodzący z sypialni.

- Pokażcie! - polecił.

Obaj podwładni wrócili do kuchni. Jeden z nich miał w ręce pakunek obwiązany folią i taśmą klejącą.

- Która to miała? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. - W której walizce? - doprecyzował.

- W czerwonej - odpowiedział ten wyższy.

- Czerwona, to znaczy czyja? - Dowódca odwrócił się do Soni, a potem jego spojrzenie ześlizgnęło się na Alionę.

- Czerwona jest moja, ale to nie jest moja paczka - odpowiedziała cicho dziewczyna.

- Nie twoja, to zobaczymy - powiedział dowódca. - Chodź ze mną. Pogadamy na osobności - polecił. Wstał i ruszył do drugiego pokoju. Aliona posłusznie poszła za nim. Po chwili zza zamkniętych drzwi rozległy się krzyki, a potem przytłumione jęki.

- Co on tam robi?! - zawołała przestraszona Sonia.

- Milcz, suko, bo zaraz ty tam pójdziesz - powiedział ten wielki.

Dziesięć minut później dowódca stanął w drzwiach.

- Nie chce się przyznać, bladź. Teraz wy idźcie ją przesłuchać - polecił swoim ludziom. Tym nie trzeba było dwa razy mówić. Po chwili z sypialni znów było słychać krzyki Aliony.

Tymczasem dowódca polecił Soni, by ta dała mu paszport. Przyjrzał mu się tylko pobieżnie i zaraz wsadził go do kieszeni.

- No jak tam, chłopcy, przyznała się ta bladź?! - zawołał, wypiwszy kolejną szklanekę wódki.

W drzwiach pojawił się ten najwyższy, zapinając spodnie.

- Już jest nasza - wyjaśnił.

- Dobra, zabieramy ją na komendę. A dokumenty tej drugiej możecie wykupić - zaproponował Saszce.

- Tylko powiedz, za ile?

- Za współudział w przemyśle narkotyków twoja koleżanka - spojrzał na Sonię - może dostać dwa lata. No to, powiedzmy, po pięć tysięcy złotych za rok. Przyniesie dziesięć tysięcy i oddajemy paszport.

- Skąd ja mam wziąć dziesięć tysięcy? - powiedziała cicho dziewczyna.

- Spokojnie, kochanie, damy radę. - Saszka położyła jej rękę na dłoni i uściśnięła lekko.

- A co z tamtą? - spytała gospodyni, wskazując na drzwi.

- Tamtej już nie ma - oznajmił policjant. - Zabieramy ją ze sobą. Nawet jej nie szukajcie, bo już po niej. Wyjdzie z więzienia za pięć lat, jak dobrze pójdzie - stwierdził pewnym tonem, wstając z krzesła. - No, chłopaki, jedziemy! - zakomenderował i akcja się zakończyła.

Wraz z ubranymi na czarno mężczyznami zniknęła też Aliona i wszystkie jej rzeczy. Naraz Sonia dostrzegła na krześle, na którym siedziała dziewczyna, jej telefon. Szybko wstała, chwyciła aparat i włożyła go sobie w spodnie. Tak na wszelki wypadek.

Godzinę później wrócił Jura. Gdy Saszka powiedziała mu, co się stało, zaklął pod nosem i napił się wódki, zastanawiając się przez chwilę w milczeniu. W końcu wstał od stołu i oświadczył, że nie trzeba się martwić, bo on sprawę załatwi.

- A co z Alioną? - zapytała Sonia.

- Nie jestem cudotwórcą. Nic się nie da zrobić. Tu za narkotyki idzie się do więzienia.

- Ale oni... Przecież oni ją tam... chyba zgwałcili!

Jura popatrzył na nią jak na naiwne dziecko.

- Widziałaś na własne oczy?

- Nie, ale słyszałam.

- To lepiej by było dla ciebie, żebyś nic nie słyszała. Chcesz złożyć skargę na policjantów? - zapytał, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł.

I dopiero wtedy Sonia zdała sobie tak naprawdę sprawę z tego, co się stało. Jej koleżanka z podróży została aresztowana i zgwałcona przez tych trzech facetów. A ona... Jej się udało, pomyślała i poczuła ulgę.

Rozdział III

Czwartek

26 maja

Duszniki

Godzina 16.40

Trójnogi pies o imieniu Pies oszczekał jakiegoś przechodnia z bezpiecznego dystansu wyznaczonego przez płot i furtkę. Zrobił to niezbyt agresywnie i jakby od niechcenia. Kiedyś w szczekanie na przechodzących chodnikiem ludzi wkładał więcej serca, pomyślała Aneta, siadając na ławeczce ustawionej na ganku.

- No co, nie chce ci się robić? - powiedziała, gdy podbiegł do niej i jak zwykle położył swój szary łeb na jej kolanach. Podrapała go za uchem, a on spojrzał na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że drapanie jest najwyższym stadium psiej rozkoszy.

Kilka lat temu trafił do niej, gdy zmarł jego pan, miejscowy pijak, który zajmował się zbieraniem puszek i butelek, wymieniając je każdego dnia na pełne. Codziennie rano przechodził chodnikiem wzdłuż płotu posesji należącej do rodziców Anety. Trójnogi pies, który nie miał imienia, szedł za nim na łowy. Często zdarzało się, że zwierzę wracało do domu samo, gdy pan, wypiwszy zbyt dużo, zalegał na jakiejś ławce czy trawniku.

Któregoś dnia przykuśtykał akurat w momencie, gdy Aneta wracała do domu po służbie. Wjechała motocyklem na podwórkę, a zobaczywszy psa, przypomniała sobie, że ma w plecaku kanapki przyszykowane rano przez mamę. Nie mogła z nimi wrócić do domu, bo zaraz zaczęłoby się gadanie. Mama uważała, że jest stanowczo za chuda i dlatego rano zmuszała ją do zjedzenia obfitego śniadania, a na drugie robiła jej kanapki. Ale Aneta w trakcie pracy nie zawsze pamiętała o tym, żeby coś zjeść. Tym razem było podobnie.

Zagwizdała na psa, a on podbiegł do niej zaintrygowany. Poglaskała go po głowie, a potem podała mu chleb z szynką. Jedzenie zniknęło w błyskawicznym tempie. Zwierzak musiał być głodny.

Nazajutrz, gdy wróciła do domu, czekał już na nią. Rytuał karmienia głodomora powtarzał się i Aneta zauważyła, że zapadnięte dotąd boki psa nabrały okrąglejszych kształtów.

Aż pewnego razu nakarmiony pies został u niej na podwórku. Było to dwa dni po tym, jak okazało się, że jego pan zasnął na zawsze na trawniku niedaleko sklepu spożywczego, w którym codziennie kupował najtańsze wino.

Wyszła z domu, bo dostała właśnie esemesa, a nie chciała odpisywać przy rodzicach. Ci siedzieli przed telewizorem i oglądali jakiś program, czyli byli w zasadzie zajęci, ale gdyby zaczęła przy nich esemesować, od razu wystawiłaby się na pytania sondujące typu: „Z kim tam piszesz, Anetka?”. Dlatego nie miała zamiaru dawać im ku temu powodów. Tym bardziej że jej mama była jak jednoosobowa agencja wywiadu, która z najdrobniejszych przesłanek mogła wyciągać daleko idące wnioski co do zaangażowania córki w jakiś nowy związek. Wraz z ojcem liczyli na to, że Aneta w końcu się z kimś zwiąże na stałe i jak Bóg przykazał wyjdzie za mąż i urodzi przynajmniej dwójkę pięknych dzieci.

Aneta doskonale zdawała sobie sprawę z tej milczącej presji, ale nie potrafiła ich zadowolić. Problem w tym, że nie trafiła jeszcze na tego właściwego człowieka. Owszem, miała za sobą związki

z mężczyznami, które zapowiadały się całkiem obiecująco, ale zawsze coś stawało na ich drodze. Jej prawie już narzeczony, wojskowy lekarz, wyjechał na misję do Afganistanu i w jakiś dziwny sposób miłość na odległość wygasła. Później, w szkole oficerskiej, poznała pewnego przystojnego studenta, który był rok wyżej. Po studiach wyjechał do Warszawy, a ona została w Szczytnie i znów odległość zabiła związek. Adrian, przystojny i bogaty biznesmen, syn koleżanki jej mamy, zapowiadał się całkiem nieźle, ale w końcu okazał się zwykłym kretynem. No więc nie mogła powiedzieć o sobie, że nie próbowała. Owszem, wchodziła w kolejne związki z pełną ufnością i zaangażowaniem, a potem wszystko rozłąziło się w szwach.

Był jeszcze jeden facet, którego znała w zasadzie od zawsze. Jej szef Mariusz Blaszkowski był dla niej kimś, o kim można powiedzieć – najbliższy przyjaciel. Na niego zawsze mogła liczyć i przyjść z każdą, najtrudniejszą nawet sprawą. W pewnym momencie myślała nawet, że ta przyjaźń to początek czegoś poważniejszego, że może przekształcić się w miłość... Ale gdy Blaszkowski ściągnął ją do kierowanego przez siebie wydziału dochodzeniowo-śledczego w komendzie miejskiej, chyba oboje zdali sobie sprawę, że taki związek szefa z podwładną byłby czymś niestosownym. Nie przekroczyli więc cienkiej granicy i nie dali szansy miłości. Opuścili i pozostali na przyjacielskiej stopie.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk przychodzącej wiadomości.

Jak smakowała kawa?

Jak to kawa

Odpisała szybko.

Pies pobiegł do furtki, ale nie zdążył oszczekać przebiegającego ulicą owczarka sąsiadów, który znów uciekł z podwórka przez dziurę w płocie i wybrał się na przechadzkę po okolicy.

Jutro będziesz na targach?

Nie, jutro pracuję.

Szkoda, że nie pracujesz na targach.

Pomaganie to hobby. Trzeba jeszcze z czegoś żyć.

A co to za praca?

Mówiłam ci już, że nic ciekawego.

Niemożliwe, żeby taka ciekawa dziewczyna robiła w pracy nieciekawe rzeczy.

Nie jestem ciekawa.

Jesteś interesująca.

Tak myślisz?

Nie myślę. Wiem. Powiem szczerze, że dawno nie spotkałem osoby tak bardzo... interesującej.

Ha, ha, ha.

Odpisała i zastygła z palcami na telefonicznej klawiaturze. Czyżby te ich rozmowy stanowiły wstęp do czegoś poważniejszego? Włodek był bardzo inteligentnym facetem. Opowiadał o tym, jak jeździł jako

sanitariusz do Donbasu, gdzie pracował przy ratowaniu rannych żołnierzy. Pokazywał jej fotografie z tamtych czasów. Był tam od samego początku konfliktu, aż do jego wygaszenia.

– Ale wiesz – mówił, gdy siedzieli dziś w kawiarni o przyjemnej nazwie Francuski Łącznik przy Matejki. – Tam niby było jakieś zawieszenie broni, niby nie było wojny, ale codziennie strzelali do siebie. I z jednej, i z drugiej strony był ostrzał. I to nie tylko z karabinów. Prawie codziennie strzelały też armaty. I dlatego każdego dnia ginęli tam ludzie.

– Z naszej perspektywy wyglądało to tak, jakby tam wojny nie było – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Ta wojna jest tam od zawsze. Rosja nie odpuści. Oni chcą zająć całą Ukrainę, bo nie mogą sobie wyobrazić funkcjonowania bez niej. To dla Wielkorusów sprawa bezdyskusyjna, a Ukraina i Białoruś to część Rosji. Większość Rosjan uważa, że odłączenie się tych dwóch krajów to największy historyczny błąd Jelcyna. No i Putin te błędy teraz naprawia.

– Długo byłeś w Donbasie?

– Sześć miesięcy.

– To chyba długo?

– Sześć miesięcy to czas odmierzany śmiercią kolegów, braci...

– A teraz, nie chcesz tam wrócić?

– Powiem ci coś, ale nie mów tego nikomu. – Położył rękę na jej dłoni. Poczula przyjemne ciepło. – Boję się. Nie dałbym już rady. Może jestem tchórzem, ale naprawdę się boję.

– Człowiek ma swoją wytrzymałość. Jeśli przekroczy punkt krytyczny, nie jest w stanie wrócić do punktu wyjścia – przypomniała sobie słowa swojego dawnego faceta, wojskowego lekarza. Wydało jej się trochę niestosowne, że używa jego myśli w takiej sytuacji, ale poczuła, że ta opinia jest niezwykle trafna.

– Nie wiem, czy w ogóle da się wrócić. Wojna naznacza ludzi na całe życie...

Pies podbiegł do furtki, zaszczekał głośno, ale nie było w tym szczekaniu śladu agresji. Tak się odzywał, gdy poczuł, że do domu zbliża się ktoś znajomy. Aneta spojrzała na ulicę, ale nikogo nie dostrzegła. Już chciała powiedzieć zwierzakowi, że tym razem się pomylił, gdy naraz usłyszała dźwięk samochodowego silnika, a zaraz potem dostrzegła granatowego dwudziestoletniego opla. Turek nie lubił zmian, dlatego jeździł starym autem, przypominającym błękitnego szerszenia należącego do inspektora Clouseau.

Zbliżyła się do furtki i wyszła na chodnik. Turek zaparkował tuż przy niej. Zadowolony Pies szczeknął kilka razy na powitanie. Z auta wysiadł jego właściciel, a w drzwiach z drugiej strony pojawiła się Nadia.

– Musisz nam pomóc – rzucił Turek bez zbędnych wstępów.

– Jasne, ale nie na ulicy. Chodźcie do domu. – Wskazała drzwi. Nadia skinęła głową, a Aneta wysunęła ku niej dłoń. Podała swoją, choć z lekkim ociąganiem. Jeszcze nie zdążyła się nauczyć, że w Polsce kobiety mają takie same prawa jak mężczyźni, a drobne gesty, takie jak uściśnięcie dłoni na powitanie, są na to najlepszym dowodem.

Gdy tylko usiedli za stołem w kuchni, a Aneta zaproponowała kawę, od razu, jak spod ziemi, wyrosła mama i przejęła obowiązki gospodyni. Uściśliła zamówienie i naraz okazało się, że propozycja Anety odbiegała od oczekiwań. Nadia wolała herbatę, a Turek chciał kawę, ale nie z ekspresu, lecz po turecku i do tego w szklance. Gdy na stole pojawił się placek drożdżowy, mama zniknęła, a policjant wskazał na Nadie.

– Jej siostra ma chyba jakieś kłopoty – stwierdził, mieszając kawę łyżeczką.

– Nie znalazła się dotąd?

– Ja znalazłem. Kartkę na dworcu znalazłem. Na szczęście umiem czytać po rusku. A swoją drogą nigdy nie przypuszczałem, jak chodziłem do szkoły, że ten ruski mi się kiedyś przyda.

- Nikt nie przypuszczał. Ja zawsze myślałam, że jego nauka to stracony czas.

- No więc jak byłem jeszcze na dworcu i szukaliśmy jej tam, to znalazłem chłopaka, który ją rozpoznał ze zdjęcia. Ten wolontariusz powiedział, że ją widział. Wiesz, wolałem rozmawiać z każdym, co tam dyżuruje na świeżo, bo później twarze ludzi się zacierają. No i on sobie ją przypomniał i powiedział jeszcze, że zostawiła jakąś kartkę. No i tę kartkę napisaną po rusku znalazłem. Zrobiłem zdjęcie i zaraz przesłałem do Nadii. A tam było napisane, że ona zgubiła telefon i idzie spać do jakichś znajomych, i zostawia numer telefonu swojej koleżanki. No to zaczęliśmy dzwonić do niej. I Nadia zadzwoniła już tam chyba tysiąc razy, ale nikt nie odbiera.

- Może bateria jej się...

- To by naładowała - rzucił Turek. - Przez cały dzień by naładowała pięć razy. Więc ja myślę, że coś się stało. I dlatego musisz mi pomóc. Znaczy nam pomóc.

Aneta zrozumiała, o co chodzi. Jej kolega chciał, żeby pomogła mu ustalić punkty logowania telefonu. Oczywiście z czymś takim nie było najmniejszego problemu. Tyle że procedurę można było wdrożyć w ramach śledztwa. A takiego na razie nikt nie prowadził. Dlatego właśnie przyjechał do niej, bo wiedział, że potrafi to zrobić poza procedurami, czyli całkowicie nielegalnie.

Okolice Grodziska Wielkopolskiego

Godzina 17.30

Łukasz Walkowski jechał leśną drogą swoim nowym off-roadowym quadem fourcraft 250. Był bardzo zadowolony z tego nabytku, bo pojazd był nadzwyczaj stabilny, a do tego jeszcze bardzo zwrotny. Wiedział wprawdzie, że do lasu nie powinno się wjeżdżać takimi czterokołowcami, bo zdaniem leśników niszczą one dukty i straszą zwierzęta, ale kto by się przejmował gadaniem tych gości. Przecież zasuwanie po wertepach na quadzie to była jedna z najlepszych rozrywek.

Owszem, było pewne niebezpieczeństwo, że wpadnie się na patrol straży leśnej, ale niewielkie. Strażnicy poruszali się terenowymi samochodami i w zasadzie nie mieli szans z uciekającym lekkim pojazdem, który bez trudu mógł manewrować między drzewami. Oczywiście niekiedy udawało im się ukarać mandatem jakiegoś niewprawionego w manewrowych ucieczkach kierowcę, ale Walkowski nie był nowicjuszem. Dlatego w lesie czuł się bezpieczny i bezkarny.

Z radością przemierzał leśny szlak, pewny, że nikt nie da rady go zatrzymać. Co jakiś czas przyspieszał, by zaraz gwałtownie hamować, rozpędzony skręcał na krzyżówkach, wjeżdżając w przecinające się pod ostrym kątem ścieżki, a quad wychylał się od pionu tylko nieznacznie, podczas gdy on balansował ciałem, równoważąc ciężar przy skręcie. Wszystko wskazywało na to, że będzie mógł się cieszyć długo tym swoim nowym nabytkiem, a co ważniejsze w trakcie wyścigów, które co jakiś czas organizował ze znajomymi, jego quad ma poważne szanse na wygraną.

Wyskoczył na prosty kawałek leśnej drogi, którym już jechał kwadrans temu. Wiedział, że może przygazować i pędzić, ile silnik pozwoli, bo ma przed sobą jakiś kilometr płaskiego odcinka bez zakrętów. Wcisnął gaz do dechy i z radością obserwował, jak strzałka prędkościomierza przesuwają się w prawo.

Naraz coś mignęło mu pomiędzy drzewami, po lewej stronie. Dostrzegł jakiś ruch i natychmiast zwolnił. Człowiek albo zwierzę, przeszło mu przez głowę. Jeśli człowiek, to można było mieć to w nosie, bo ludzie nie byli tacy głupi, żeby wybiegać na drogę wprost pod koła pędzącego pojazdu. Słyszeli dobrze wyjący silnik i już samo to było dla spacerowiczów właściwym ostrzeżeniem. Za to zwierzęta były nieobliczalne. Na sarny albo dziki trzeba było uważać, bo nigdy nie wiadomo, jak taki zwierzak się zachowa. Wystraszony, mógł władować się prosto pod koła.

Dostrzegł niebieską plamkę i już wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem. Może to jakiś grzybiarz? Na wszelki wypadek jeszcze zwolnił. Zobaczysz, kto tam łązi, i zaraz przycisnie...

Niebieskie było coraz wyraźniejsze. Ten ktoś zbliżał się do drogi, i to szybko. Czyli biegł! Walkowski niemal przystanął, wyraźnie zaintrygowany. Może to jakiś biegacz na treningu?

Naraz zbaraniał, dostrzegłszy postać, która wybiegła na drogę. Dziewczyna ubrana była w sukienkę, która wisiała na niej w jakiś dziwny sposób. Gdy podjechał bliżej, zrozumiał, o co chodzi. Sukienka była cała w strzępach, a jej właścicielka nie miała butów. Gołe stopy były całe w zadrapaniach. Stała na drodze dokładnie na samym środku, tak by być widoczną. Do tego jeszcze machała rękoma uniesionymi w górę i coś krzyczała.

Zatrzymał quada, nie wyłączając silnika. Podbiegła do niego. Miała opuchniętą twarz i sińce pod oczami. Ręce też były całe podrapane. Zobaczył to wyraźnie, bo chwyciła za kierownicę.

– Co się stało... Co się...

– *Пожалуйста, помогите... пожалуйста!*²³

– Czego chcesz? – pytał dalej, bo nie rozumiał nic po rosyjsku.

– *Пожалуйста, забери меня отсюда!*²⁴ – Mówiąc to, spojrzała w lewo, tam, skąd przybiegła. On też tam popatrzył, ale niczego nie dostrzegł.

– *Забери меня отсюда, пожалуйста!*²⁵ – Złożyła ręce jak do modlitwy i znów spojrzała w leśny gąszcz.

– Chcesz, żebym cię stąd zabrał? – domyślił się w końcu. Powiedziawszy to, wskazał drogę za swoimi plecami.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Wsiadaj! – zdecydował i pokazał fotel. Skinęła głową i natychmiast wskoczyła na wskazane miejsce.

Ruszył przed siebie, by zrobić kółko i zawrócić. Dziewczyna objęła go mocno w pól i przywarła do jego pleców całym ciałem. Walkowski przycisnął gaz i pojazd pognął ostro w przód. Wiedział, że ma stąd odjechać, ale nie rozumiał dlaczego. Oczywiście widział na jej twarzy i rękach ślady, które mogły wskazywać na pobicie, więc domyślił się, że dziewczyna ucieka przed jakimś gnojem, który ją skrzywdził i najprawdopodobniej gonił. Ale nawet gdyby próbował ją dopaść, to on wiedział, że jest bez szans. Nie dała mu rady straż leśna, to nie da rady jakiś damski bokser. Tego był akurat pewien, a także tego, że bezpiecznie ją dowiezie...

No właśnie, dokąd miał ją zawieźć?

Była pobita i poraniona, czyli najlepiej będzie, jeśli zawiezie ją do szpitala. Już tam się nią właściwie zajmą. Bo na policję nie pojedzie. Zaraz by się zaczęły pytania, skąd ją wytrzasnął, czyli gdzie ją znalazł, i wtedy musiałby powiedzieć, że jeździł quadem po lesie, a policja od razu dałaby mu za to mandat. I tyle by miał za pomoc. Nie, bycie dobrym samarytaninem w dzisiejszych czasach się nie opłaca, myślał, jadąc w kierunku szosy prowadzącej do Grodziska.

A może ona chce jechać w jakieś konkretne miejsce?

Zaczął zwalniać i zatrzymał się przed samym skrzyżowaniem z asfaltówką. Odwrócił się, by zapytać, czego od niego oczekuje, i nawet zaczął przeszukiwać zakamarki pamięci w poszukiwaniu jakichś ruskich słów, ale jedyne, co udało mu się z nich wygrzebać, to wulgarnie przekleństwo, usłyszane od ukraińskich pracowników jego firmy budowlanej. Pracowali u niego ludzie, którzy przyjechali z Ukrainy przed wojną, ale nigdy nawet nie pomyślał, że warto by było nauczyć się jakichś słów w ich języku. Zresztą nawet nie wiedział, po jakiemu oni mówią, po ukraińsku czy po rusku. Dopiero niedawno dowiedział się i zdziwił się bardzo, gdy mu ktoś powiedział, że połowa Ukraińców posługuje się rosyjskim, który różni się od ukraińskiego. On nie widział żadnej różnicy. Teraz nie miał wyjścia i musiał ją zapytać po polsku. Nagle poczuł, że siedząca za nim dziewczyna puszcza go, ale nadal opiera głowę na jego plecach.

- No, słuchaj, musimy pojechać chyba do szpitala - wyjaśnił. Nie odpowiedziała. Poczuł, że się osuwa po jego plecach, więc szybko chwycił ją za rękę. Zrobił to w ostatniej chwili, bo dziewczyna zwiotczała i pewnie spadłaby na drogę. - Cholera jasna! - zawołał, przytrzymując ją na fotelu. Straciła przytomność, domyślił się. - Ej, ty, obudź się. Musisz się trzymać, bo inaczej nie dojadę...

Nie było żadnej reakcji. Zaczął więc nerwowo się rozglądać, szukając pomocy. Ale jak na złość szosa była pusta. Obejrzał się za siebie i poczuł, że robi mu się gorąco. Jakiś samochód terenowy jechał z głębi lasu tą samą drogą, którą on dotarł tu przed chwilą. Możliwe, że siedział w nim ktoś, kto ścigał tę dziewczynę. Jeśli wyjedzie z nią na asfalt, to nie ma najmniejszych szans. Terenówka dopadnie go bez najmniejszych problemów. Musiał się schować. Tylko gdzie?

A może by ją tak zostawić tu i odjechać? - przeszło mu przez głowę. W końcu ta dziewczyna to nie jego problem. A co, jeśli ci tam pobiją i jego? Czy w ogóle jest sens narażać się dla jakiejś obcej laski? Może to ruska mafia? Złapią go i wcale nie będą o nic pytać, tylko najpierw go skatują, a potem strzelą w łeb i będzie po zawodach. Czy ma się narażać dla jakiejś Ruskiej, która może jest przestępczynią? Może im coś ukradła, a teraz oni ją ścigają...

Spojrzał za siebie. Terenówka niebezpiecznie się zbliżała. Dziewczyna była nieprzytomna. Trzymał ją mocno za przegub. Spojrzał na jej dłoń. Była cała pokaleczona. Na połamanych i pozadzieranym paznokciach widać było resztki lakieru, który musiał się zetrzeć, gdy drapała coś twardego, co poraniło jej palce. Może wspinała się po jakimś murze, żeby przeskoczyć na drugą stronę i uciec z miejsca, w którym ją wzięli...

Nie, nie będą tu u nas, w Polsce, jakieś kacapy więzić i bić kobiety. Nawet jeśli te kobiety to Ruskie.

Przesunął szybko dziewczynę do przodu, sam usiadł za nią, objął ją jedną ręką w pasie, ale na niewiele to się zdało. Była bezwładna jak szmaciana lalka. Obejrzał się za siebie. Terenowy samochód był tuż-tuż. Jeszcze go nie dostrzegli albo nie mieli pojęcia, że ta, której szukają, jest na quadzie. Dlatego jechali wolno, zapewne przepatrując uważnie las. Ale lada chwila powinni do niego dojechać, a wtedy...

Pasek! Miał na sobie długi elastyczny pasek. Dziewczyna była bardzo szczupła. To mogło się udać. Wyciągnął go ze spodni, a potem przełożył przez jedną szlufkę dżinsów. Owinął dziewczynę w pasie, mocno ją do siebie przywiązując, a koniec przełożył przed szlufkę po przeciwnej stronie. Paska wystarczyło jeszcze na tyle, by go mocno związać. Teraz nie było najmniejszego ryzyka, by mu się wysmyknęła i spadła pod koła. Mógł ruszać.

Wcisnął gaz i quad przeciął asfaltówkę, po czym wjechał w las po drugiej stronie. Nie szukał jakiegoś duktu. Ruszył na przelaj, pewny, że ci z terenówki mogą mu teraz co najwyżej skoczyć. Po chwili nowa maszyna Łukasza Walkowskiego zniknęła w leśnej gęstwinie. Biała terenowa toyota wyjechała na szosę. Kierowca zatrzymał jednak wóz i ostrożnie zawrócił. Nie mógł jechać dalej, bo tylne koła miały wyraźnie zbyt mało powietrza, tak jakby oba były przebite. Na miękkiej, leśnej drodze jeszcze dało się jakoś jechać, ale na asfalcie całe powietrze uszłoby błyskawicznie.

Szamotuły
Godzina 17.50

- Z tym logowaniem się aparatów telefonicznych to zawsze jest jakiś problem - powiedziała Aneta, wpatrując się w ekran komputera. Inspektor Biernat, jej dawny szef z komendy powiatowej w Szamotułach, pozwolił jej odpalić swój służbowy sprzęt. Aneta chciała tylko wejść do swojej skrzynki pocztowej i otworzyć mapkę, a ta była lepiej widoczna na dużym ekranie niż na wyświetlaczu jej telefonu.

- W jakim sensie? - zapytał Biernat, wycierając jednocześnie nos papierową chusteczką. Był alergikiem i ciągle miał kłopoty z pylącymi roślinami i w ogóle wszystkim, co unosi się w powietrzu.

Każdą substancję dostającą się do układu oddechowego jego organizm traktował jak wrogi najazd i dlatego reagował od razu stanem zapalnym. Właśnie zaczynało się pylenie traw, więc Biernat miał zawalony nos i do tego stale zaczerwienione spojówki. Tych ostatnich jednak nie było widać. Ukrywały je całkiem nowe fotochromy, bo nie dość, że był alergikiem, to dodatkowo jeszcze krótkowidzem. Kiedyś nosił okulary o bardzo grubych szklach, ale teraz wszystko się zmieniło wraz z rozwojem techniki optycznej i grube minusy zastąpiły lekkie szkła w eleganckich, czarnych oprawkach. Po raz pierwszy miał okulary, które przystosowywały się do jasności otoczenia, i szybko okazało się, że był to strzał w dziesiątkę, choć wcześniej bronił się przed taką nowinką. Nie, wcale nie dlatego, że bał się ciemniejących szkieł. Jego strach spowodowany był ich ceną. Biernat należał bowiem do ludzi bardzo oszczędnych, więc nie lubił szastać pieniędzmi na prawo i lewo.

- To znaczy logują się co jakiś czas, nawiązując łączność z najbliższymi BTS-ami, czyli stacjami bazowymi sieci komórkowej. Jasno i wyraźnie widać każde takie logowanie na trasie przejazdu w mieście i później, gdy ktoś dotarł już na miejsce i jest na przykład przez dwie godziny w jakiejś knajpie. To wtedy jego telefon się łączy z najbliższą stacją kilka razy i wyraźnie widać po czasie logowania, jak długo taki właściciel telefonu siedział w restauracji i jadł obiad.

- Czyli że jeśli ona gdzieś spała, znaczy w jakimś mieszkaniu, no powiedzmy, gdzieś w Poznaniu... - Turek głośno analizował sytuację, żeby być jak najbardziej precyzyjnym - to my to mieszkanie jesteśmy w stanie wykryć?

- Na wsi tak - odparła Aneta. - Albo na przedmieściach dużego miasta, no wiecie, w dzielnicy willowej, na przykład, widać nawet dom, jeśli tę mapkę nałożymy na mapę Google. Wtedy wiemy, że telefon logował się kilka razy w nocy z określonego miejsca. Problem jest w samym mieście, bo mamy domy wielorodzinne, znaczy kamienice, albo co gorsza bloki. Wtedy wiemy, że to w tym miejscu jest telefon, ale w którym mieszkaniu, to już za cholere nie jesteśmy w stanie ustalić.

- A kiedyś każdy telefon miał swój numer i gniazdko do podłączenia w mieszkaniu. Z namierzaniem nie było problemów - zauważył Biernat. Już dawno skończył służbę i powinien pójść do domu. Ale gdy zobaczył przez okno Anetę i Turka wchodzących do komendy, wiedział już, że szybko z niej nie wyjdzie. Bardzo był ciekaw, co sprowadza jego dawną podwładną do Szamotuł. Poza tym nigdzie się nie spieszył. Od kilku lat nikt już na niego nie czekał. Odkąd zmarła mu żona, więcej czasu spędzał w pracy niż w mieszkaniu wypełnionym po sam sufit wspomnieniami.

- A dzisiaj można telefon nosić przy sobie, ale jak się zgubi, to zaczynają się poważne kłopoty - rzucił Turek markotnie. Widać było, że nie jest w najlepszym nastroju do pogaduszek. Sprawa zaginięcia tej dziewczyny bardzo go martwiła.

Ciekawe, co się z tym facetem stało, myślała Aneta wpatrzona w ekran komputera w oczekiwaniu, aż załaduje się mapka, że tak się zaangażował. Dotąd znała go jako mrukiwego, gościa, który daleki był od jakichkolwiek kwestii uczuciowych. Turek wydawał się jej zawsze do bólu pragmatyczny, a do tego wszystkiego jeszcze nie można było o nim powiedzieć, że chętnie podejmuje jakieś działania, jeśli nie musiał tego robić. Owszem, był koleżeński i potrafił wziąć na siebie czyjaś robotę, ale zrzędził przy tym niemilosiernie. A teraz objawił się jej zupełnie nowy Turek, facet, który rzuca się w wir poszukiwań i jeszcze do tego zaprzęga do pomocy wszystkich swoich znajomych. Sama była przecież tego najlepszym przykładem. Miała dziś siedzieć w domu i pomajstrować z ojcem przy harleyu, bo jeszcze nie wszystkie elementy były doprowadzone do perfekcji. Ale Turek wygrał w tej konkurencji. Powiedział nawet, że ją podrzuci do Szamotuł, a potem odwiezie z powrotem. Nie zgodziła się. Pogoda była idealna na przejażdżkę motocyklem. Poza tym miała ochotę na wyprawę nową maszyną.

- O, i chyba się udało - powiedział Turek, wskazując na ekran.

- Tak, mamy to - ucieszyła się Aneta.

Otworzyła mapę, na której widać było kilka punktów zaznaczonych pinezkami. Przybliżyła obraz i wtedy zobaczyli dokładnie, że koordynaty wskazują kilka miejsc w obrębie Poznania.

- No to już jesteśmy w domu - stwierdził Turek, przysuwając krzesło do biurka.

Aneta klepnęła go w ramię.

- Teraz zobacz. Każdy z tych punktów ma konkretne namiary, czyli długość i szerokość geograficzną. Te dokładne punkty, które mamy mniej więcej zaznaczone na mapie Poznania, musimy wrzucić na mapę Google. O, proszę, tu mamy pierwsze punkty i te koordynaty trzeba wpisać tu... - wyjaśniała każdy swój ruch, jakby była instruktorką wyszukiwania logowania telefonów komórkowych. W rzeczywistości pamiętała, jak to się robi, choć specjalistką na pewno nie była. Jej koleżanka Gabrysia kiedyś jej to wszystko wyjaśniła, a ona zapamiętała najważniejsze wskazówki.

Gabrysia chodziła z Anetą do klasy. Po szkole podstawowej ich drogi się rozeszły, aż któregoś dnia, kilka lat temu, wpadły na siebie przypadkiem. Okazało się, że koleżanka, szczęśliwa mama dwójki dzieci, pracuje w pewnej firmie telekomunikacyjnej. Od tego spotkania widziały się jeszcze kilka razy, ale przede wszystkim kontaktowały się ze sobą telefonicznie. To Aneta zawsze dzwoniła do niej z prośbą. Bo gdy okazało się, jakie koleżanka ma możliwości, Aneta wciągnęła ją na sam szczyt przydatnych kontaktów w swoim notesie.

- Ja ci oczywiście, Anetka, pomogę - powiedziała Gabrysia - bo mnie i tak nikt nie sprawdzi i nie będzie wiadomo, że to ja ci dałam koordynaty. Ale wiesz, że ta wiedza nie może być dowodem w sprawie?

- Tak, wiem, że robimy to całkowicie... - Nie chciała użyć słowa nielegalnie. W końcu była policjantką.

- Robimy to całkowicie po koleżeńsku - stwierdziła Gabrysia. - A tak w ogóle to ja nigdy o tym z tobą nie gadałam i jakby co, to wyprę się i powiem, że nic nie wiem o żadnych informacjach przekazywanych pani Nowak.

Pani Nowak oczywiście się zgodziła, bo informacje, które mogła w ten sposób uzyskać, były bezcenne. Ale najważniejsze, że miała je niemal od ręki. Wystarczył jeden telefon i kumpela brała się do roboty niezależnie od pory dnia, bo sprawdzić potrzebne dane mogła z pozycji swojego służbowego laptopa nawet w domu. Tak było dzisiaj. Aneta wysłała jej numer telefonu z prośbą o namierzenie logowań, poczynawszy od wtorku dwudziestego czwartego maja, mniej więcej od godziny dwudziestej drugiej trzydzięci. Zgodnie z tym, co powiedział jej Turek, o tej porze pociąg, którym podróżowała dziewczyna, przyjechał do Poznania.

- No i proszę, patrzcie, co my tu mamy. - Aneta postukała palcem w ekran monitora. Turek i Biernat natychmiast pochylili się, by dojrzeć to, co wskazywała policjantka.

- No i co? - zapytał Biernat. Widział wszystko, bo miał dobre okulary, ale potrzebował wyjaśnienia.

- Pierwsze logowanie to Dworzec Główny z godziny dwudziestej drugiej trzydzięci cztery. Dalej mamy kolejne piętnaście minut później, też z dworca. Ale o dwudziestej trzeciej jest kolejny punkt, mniej więcej koło Starego Browaru.

- Cholera, to myśmy akurat z Nadią podjeżdżali na dworzec. Ja pierdole, rozminęliśmy się - jęknął zrozpaczony Turek. - Jakby mi się ten stary grat nie rozkraczył, toby się dziewczyna nie zgubiła...

Aneta wpisywała kolejne dane logowania.

- Teraz mamy już rondo Rataje - stwierdziła, odkrywając następny punkt. Ale zaraz, mamy jeszcze cztery logowania w jednym miejscu. Tak, to jest... osiedle Oświecenia.

- A ulica jaka? - próbował sprecyzować Turek.

- Osiedle to osiedle, z numerami - wytłumaczyła Aneta. Mamy wyraźny sygnał logowania i to czterokrotny w tym samym punkcie, i to jest dobra wiadomość. Zła jest taka, że to jest, tak mi się przynajmniej wydaje, jeden z największych budynków na osiedlu, taki typowy peerelowski mrówkowiec.

- To znaczy, że ona tam może być - ucieszył się policjant.

- Przede wszystkim ostatnie logowanie jest następnego dnia wieczorem. Od tego momentu cisza. Czyli telefon jest wyłączony - próbowała ostudzić entuzjazm Turka Aneta. - Oznacza to, że ta koleżanka może tam być, ale wcale nie jest to takie pewne. W każdym razie telefon ucichł. No i druga sprawa, obserwujemy ślad telefonu tej dziewczyny, a ta twoja zaginiona może jest w zupełnie innym miejscu.

- Może, ale jeśli chcecie odnaleźć Sonię, to trzeba zacząć najpierw od tej właścicielki telefonu - powiedział Biernat.

- Tak jest - stwierdził Turek. - Dobra, jadę w takim razie do Poznania. Muszę się tam rozejrzeć.

Wstał z krzesła i zaczął szukać papierosów i telefonu. Jak zwykle położył te swoje skarby byle gdzie i musiał sobie przypomnieć, gdzie leżą. Znalazł po chwili na parapecie obok usychającej paprotki i kilku butelek z niedopitą wodą mineralną. Biernat nie wylewał jej, tylko zostawiał na oknie do podlewania kwiatków, jednak nie zawsze pamiętał, żeby z niej skorzystać.

- I co zrobisz, jak już tam będziesz? - zapytała Aneta.

- No jak, co zrobię? - zdziwił się policjant. - Normalnie, będę szukał, znaczy się pytał będę ludzi, czy ktoś jej nie widział, czy jakoś tak. Pochodzę po klatkach schodowych, no wiecie. Coś się wymyśli. Grunt, że wiem, gdzie może być.

Biernat spojrział wymownie na Anetę. Ona skinęła głową. Wiedziała, że z tym chodzeniem po klatkach schodowych niewiele jest w stanie zdziałać. Trzeba było zrobić to w sposób przemyślany. No a poza tym mogła się przydać legitymacja poznańskiego szkła. A taką miała w swojej kieszeni ona.

- Dobra, Turek, nie puszczę cię samego, bo się jeszcze postrzelisz i co wtedy? - zdecydowała, wstając od komputera. Biernat pokiwał głową ze zrozumieniem.

Grodzisk Wielkopolski

Godzina 20.20

- Ta dziewczyna w jakim jest stanie? - zapytała aspirant Alina Wielicka.

- Nic jeszcze nie mogę pani powiedzieć - odparł lekarz dyżurny, Kornel Kujawa, trzydziestolatek z modnie przyciętą brodą à la wiking.

- No ale chyba coś widać? Chodzi mi o obrażenia - wytłumaczyła policjantka.

- A, myślałem, że pyta pani o stan psychiczny. Bo z obrażeniami to na razie sprawa jest jasna. Ma ślady pobicia na twarzy, rękach i nogach. Poza tym liczne zadrapania na stopach i łydkach. Skóra w niektórych miejscach jest mocno pokaleczona. Wygląda to tak, jakby biegła przez jakieś chaszczce. No i poza tym dłonie i przedramiona są też podrapane, a do tego opuszki palców, tak jakby je zdarła na tarce.

- Co ona przeżyła? - Alina powiedziała sama do siebie, ale lekarz odpowiedział:

- To jeszcze nie wszystko. Ona... chyba została zgwałcona. Myślę, że wielokrotnie. Ale na razie nie wiem tego na pewno. To tylko moje domysły poparte wiedzą... hmm... w tym wypadku niezbyt fachową. Widzę liczne otarcia, zasinienia i obrażenia zewnętrzne, ale nie jestem ginekologiem, więc nie próbowałem badać bardziej szczegółowo. To musi zrobić specjalista. Ja zabezpieczyłem tylko ślady biologiczne. Tak na wszelki wypadek - dodał, jakby się usprawiedliwiając.

- Świetna robota, doktorze - pochwaliła go policjantka. - Czy można z nią porozmawiać? - zapytała, ale mina lekarza powiedziała jej wszystko. Choć poczuł się zobowiązany, by wyjaśnić, dlaczego na razie nie jest to możliwe.

- Szanowna pani, ta młoda kobieta przeżyła coś strasznego. Nie wiemy co, ale jestem przekonany, że kilka godzin temu walczyła o życie i tę walkę wygrała. Uciekła swojemu oprawcy i na szczęście trafiła do nas. I dlatego moim obowiązkiem jest zrobienie wszystkiego, żeby doszła do siebie, to znaczy, żeby jej

stan fizyczny się polepszył w możliwie najkrótszym czasie. Ale stan fizyczny to jedno, jest jeszcze kwestia psychiki. Rany się zaleczą, ale to, co w głowie, zostanie z nią na zawsze. Dlatego w tym momencie jedyne, co możemy zrobić, to sprawić, żeby poczuła się bezpiecznie i mogła w komfortowych warunkach odpocząć po przeżytej traumie. Rozmowy z policją, pani wybaczy, muszą trochę poczekać.

- Ja to wszystko rozumiem, panie doktorze - Alina spojrzała mu prosto w oczy - tyle że my mamy też swoje cele. Nie mam zamiaru niepokoić pańskiej pacjentki, ale doskonale pan wie, że tylko ona może nam coś powiedzieć o tym... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - o tym oprawcy. A im szybciej nam powie, tym szybciej trafi on za kratki. My musimy wiedzieć, kogo i gdzie mamy szukać.

- No to oboje się rozumiemy, pani aspirant, jednak w tej chwili nie będzie to możliwe. Pacjentka dostała środki przeciwbólowe i leki uspokajające. Zasnęła i mam nadzieję, że dzięki tym lekarstwom prześpi noc. Więc jeśli będzie to możliwe, a ocenimy to rano, wtedy będzie mogła coś powiedzieć. Na razie... - Pokręcił głową, rozkładając przy tym ręce.

- Dobrze, przyjdę jutro rano. - Policjantka zdała sobie sprawę, że nic tu więcej nie ugra.

- Świetnie. - Lekarz uśmiechnął się, a ona stwierdziła, że ma całkiem przyjemny wyraz twarzy. - Ale jeśli pani chce z nią pogadać, proponuję przyprowadzić ze sobą kogoś, kto zna rosyjski.

- Rosjanka?

- Dokładnie rzecz ujmując, to Ukrainka posługująca się rosyjskim.

Kujawa uklonił się lekko, odwrócił i zniknął za drzwiami OIOM-u.

Alina włożyła notes do kieszeni kurtki mundurowej i ruszyła szpitalnym korytarzem w kierunku izby przyjęć. Tam czekał starszy posterunkowy Konrad Malicki. Gdy ją zobaczył, poderwał się z krzesła, spoglądając na nią z zainteresowaniem.

- I co?

- Nie da się jej przesłuchać. - Policjantka wzruszyła ramionami. - Dziewczyna jest na prochach i do rana będzie spać - wytłumaczyła.

- A co tak w ogóle z nią jest? - zapytał chłopak. W policji był dopiero od roku i nie miał jeszcze takiego doświadczenia jak jego koleżanka. Dlatego to ona tu dowodziła.

- Z tego, co mi powiedział lekarz, to na pewno jest ofiara pobicia, a być może i gwałtu. Dlatego dobrze by było, gdybyśmy do rana dali radę się czegoś dowiedzieć.

- W jakim sensie? - pytał dalej policjant, bo nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

- Idzie o to, że jeśli ona jest ofiarą gwałtu i pobicia, to chyba ktoś to musiał zrobić, nie? I my musimy to ustalić.

Pokiwał głową. To było oczywiste. Jednak coś mu nie pasowało w rozumowaniu Aliny.

- Jak? - zapytał rzeczowo. - Przecież jest noc i wszyscy śpią. Przecież można to jutro ustalić, nie? A poza tym to chyba nie mamy zgłoszenia gwałtu?

Wielicka pokręciła z niedowierzaniem głową. Musiała wziąć sprawy w swoje ręce i sprawdzić wszystkie okoliczności, bo ten młody najwyraźniej nic nie kumał. Zdaje się, że trafił jej się facet należący do szerokiego grona tych, co to lubili, gdy nic się nie dzieje, a nocną służbę najchętniej spędziliby na spaniu w radiowozie zaparkowanym gdzieś w ustronnym miejscu. Ale na szczęście ona wiedziała dobrze, że w takich jak ta sytuacjach liczy się przede wszystkim czas. Dobrze by było wykorzystać tę noc na znalezienie jakiegoś tropu, żeby rano przedstawić wyniki któremuś ze śledczych. Dzięki temu sprawa będzie wyglądała bardziej obiecująco, jeśli ona odwali teraz przynajmniej część roboty.

Zależało jej, bo doskonale wiedziała, jak może wyglądać poranne zdanie służby. Do pracy przyjdą koledzy, dowiedzą się, że jakaś dziewczyna leży pobita w szpitalu, a być może zgwałcona, ale nie będzie zgłoszenia gwałtu, więc nikomu nie będzie się chciało ruszyć sprawy. Dlatego gdy zobaczyła przez szybę tę zmaltretowaną biedaczkę, postanowiła, że musi zrobić wszystko, żeby dać im do ręki konkrety.

Dla wielu facetów takie historie nie miały wymiaru przestępstwa, ale traktowane było jako małżeńskie nieporozumienie. Musiała więc wykazać, że ta kobieta to ofiara, osoba pobita i zgwałcona. A jak już będzie miała wszystkie dane w rękę, będzie mogła zameldować i uruchomić maszynę policyjnego śledztwa. Wiedziała też, że w takiej sytuacji może liczyć na poparcie swojej szefowej. Pani komendant była na szczęście kobietą.

- Rozmawiałeś z sanitariuszami, tak jak prosiłam? - zapytała posterunkowego.

Ten skinął głową i sięgnął po notes.

- O, mam tutaj. - Otworzył ostatnią zapisaną stronę i podał koleżance.

- Dalej, referuj, coś tam nabazgrał. Przecież nie będę rozszyfrowywała twoich hieroglifów.

Wzruszył ramionami jak niezbyt dobrze przygotowany uczeń, wyrwany do odpowiedzi.

- No dobra, to znaczy się sanitariusz z izby przyjęć, Chwalba Marcin, powiedział mi, że przywieziona została... znaczy się ta przywieziona dziewczyna została przywieziona o godzinie... Tu nie zapisałem, bo on miał sprawdzić i mi podać dokładnie w wpisu, ale nie podał, bo musiał jechać, bo karetka miała wezwanie. Ale to się sprawdzi jeszcze, nie, bo jest wpisane, że przywieziona gdzieś tak około dziewiętnastej. I nie podała, jak się nazywa, bo nic nie mówiła w ogóle i nie odpowiadała na pytania, to zaraz ją zawieźli...

- Kto ją przywiózł? - przerwała mu, zniecierpliwiona tą niezbyt składną opowieścią.

- No właśnie - ucieszył się Malicki. - To znaczy, że przywiózł ją na quadzie facet...

- Na quadzie?

- No, taki motór z czterema kołami i...

- Człowieku, wiem, co to jest quad.

- Ano to dobrze, bo to był quad, ale on, znaczy się ten, co ją przywiózł, to nie powiedział, jak się nazywa, i szybko odjechał. A ten sanitariusz to się nie spytał jego o nazwisko, tylko zajął się dziewczyną. Ale na szczęście ja się go zapytałem, czy go zna, to on powiedział, że nie zna, znaczy się ten sanitariusz, ale wie, że to jest taki jeden gość, co jeździ po lasach, bo już go raz przyjmowali, jak się w zeszłym roku potrzaskał na swoim starym quadzie i złamał sobie rękę w dwóch miejscach, i mu ją tu składali. A teraz ma nowego quada...

- Nie zna jego nazwiska?

- Znaczy się nie pamiętał, ale to ja jego pytam się: „Jak nie znasz, jak żeś go przyjmował w zeszłym roku?”. No i on mówi, że rzeczywiście go przyjmował i musiał go wprowadzić do systemu. No i sprawdził, i mu wyszło, że to jest ten gość, co ma firmę budowlaną i hurtownię w Grodzisku, i on się nazywa... - Zajrzał do notatnika w poszukiwaniu wpisu.

- Łukasz Walkowski - dokończyła Alina.

- No właśnie, Walkowski Łukasz on się... - Podniósł wzrok znad notatnika i popatrzył zdumiony na koleżankę, jakby ta była jakąś jasnowidzką. - Skąd żeś wiedziała?

- Znam gościa. Chodziliśmy razem do ogólniaka.

- Ano to chyba że tak. - Posterunkowy zrozumiał. Bo jak się z kimś chodziło do szkoły, to wszystko jasne. Trzeba było znać imię i nazwisko takiej osoby. Tylko skąd ona wiedziała, że to właśnie chodzi o jej kolegę? No chyba że ten jej kumpel ze szkoły już wtedy, jak chodzili razem do ogólniaka, to jeździł quadem... - To w takim razie trzeba by mu wystawić wezwanie na przesłuchanie - zaproponował Malicki.

Alina przekrzywiła głowę, spoglądając z politowaniem na swojego niezbyt roztropnego kolegę.

- Chłopie, jeśli mu wyślesz wezwanie, to w najlepszym razie facet odbierze je jutro i przyjdzie pojutrze, a nam na czym zależy?

- Na przesłuchaniu?

- Na czasie! Musimy z nim pogadać jak najszybciej, bo może coś widział, kogoś może zobaczył albo choć, no nie wiem co, cokolwiek!

- Chyba że tak - ucieszył się starszy posterunkowy. - Czyli że jedziemy go przesłuchać?

- A wiesz, dokąd mamy jechać? - zapytała kpiącym tonem policjantka, bo mimo że znała Walkowskiego od lat, to nie miała pojęcia, gdzie go można znaleźć. Ale okazało się, że nie doceniła swojego podwładnego.

- Oczywiście, że wiem, bo ten sanitariusz podał mi imię i nazwisko i kazałem, żeby mi podyktował też adres. No i proszę bardzo, jest tutaj. - Dumny z siebie policjant podsunął Alinie pod nos kartkę z wyraźnie zapisanym adresem. Do ulicy 15 Lipca ze szpitala nie było daleko.

Poznań
Godzina 20.30

Nie przepadała szczególnie za piwem. W zasadzie to prawie nigdy go nie piła, choć niekiedy, na przykład podczas rodzinnego grilla, gdy wszyscy zaproszeni znajomi czy sąsiedzi sączyli lecha, nie wypadało sięgać po coś bezalkoholowego. Tata wiedział jednak, że nie skusi się na jasnego pilsa, dlatego kupował jej jakiś napój piwopodobny o smaku owocowym. Zdecydowanie wolała czerwone wytrawne wino, jednak przy grillu nikt wina nie pił, więc nie było sensu otwierać całej butelki, bo i tak nie wypiłaby jej do dna. Ale dzięki tym domowym imprezom wiedziała przynajmniej, jakie piwo jest najwłaściwszym napojem dla prawdziwych koneserów.

- To jakie piwo mam kupić? - zapytała któregoś razu, kiedy tata poprosił, żeby po drodze wjechała do sklepu i kupiła kilka czteropaków.

- Jak jakie? - zdziwił się. - No przecież wiadomo, że lecha.

- Znaczy, że takie dobre? - zapytała naiwnie.

- Dobre czy niedobre, to nie ma żadnego znaczenia - stwierdził ojciec. - Chodzi o to, Anetka, że lech smakuje jak piwo i jest na tyle dobry, że da się wypić, bo gęby nie wykręca. Bo są takie, co wykręcają, ale jakie, to gadać nie będę, żeby ci pamięci niepotrzebnie nie zaśmiecać. Najważniejsze, że lech jest z Poznania, a to znaczy się, że jest nasz. Czyli jak się jest stąd, to się innego piwa nie pije.

Zrozumiała, w czym rzecz. Patriotyzm lokalny to ważna sprawa. Jeśli tata i jego kumple chcieli swoją miłość do małej ojczyzny podlewać lokalnym piwem, to niech sobie piją na zdrowie. Ona wcześniej nawet o tym nie pomyślała i dla siebie wybierała cokolwiek. Ale po tym wykładzie po raz pierwszy zazdrzała jej ręka, gdy sięgała po jakiegokolwiek piwo owocowe. Przez chwilę przypatrywała się ofercie i wybrała owocowego lecha. A co, w końcu też była tutejsza.

Gdy dziś zajrzała do żabki na osiedlu Oświecenia, nawet się nie zastanawiała. Podeszła do lodówki i wyciągnęła czteropak poznańskiego pilsa, a do tego jeszcze bezalkoholowe z limonką. Zapłaciła i wyszła ze sklepu.

Tuż obok, na skwerku przed ogromnym blokiem, na ławce siedziało dwóch wywiadowców ochotników, którzy zgodzili się podzielić z nią swoją wiedzą na temat złożoności świata i stosunków międzyludzkich panujących w ich najbliższym otoczeniu.

- Królowo dotknięta przez płomień - odezwał się na jej widok mniej więcej sześćdziesięcioletni chudzielec, zdradzając tym samym, że prócz przesiadywania przed sklepem od czasu do czasu musiał oglądać Grę o tron. Długa i dość zaniedbana broda sprawiała, że mógłby z powodzeniem ubiegać się o rolę statysty grającego jednego z Dzikich zza Muru. Ubrany był w sportową bluzę i spodnie dresowe, więc raczej mało filmowo. Siedział w dość nonszalancki sposób, z nogą założoną na nogę. Dzięki temu widać było, że jego mocno zdeптane skórzane półbuty raczej nie pasują do dresów. W sumie wyglądał jak

lump, ale mówił jak poeta. Dlatego Aneta zdecydowała się usiąść na chwilę z nim i jego milczącym kolegą. Co więcej, dała się namówić na zakupienie czteropak.

Podawała im piwa i usiadła na ławeczce obok tego drugiego. Był niższy i grubszy od swojego wychudzonego kolegi, choć jego broda była znacznie bardziej bujna niż ta należąca do erudyty. Obaj na głowach mieli bejsbolówki. Chudy ze znaczkiem NY, a gruby z logo Liceum Urszulanek.

- Za to ci Pan Bóg w dzieciach wynagrodzi, a będą piękne i mądre jak ty, a po ojcu odziedziczą siłę niespożyta.

- A skąd pan wie, czy ojciec będzie silny? - zapytała, próbując wyobrazić sobie swojego potencjalnego męża, ale jakoś nikt konkretny nie przychodził jej do głowy.

- Bo taką olśniewającą królową zdobyć może tylko prawdziwy rycerz, piękna pani. Twoje zdrowie i może ewentualnie tego tu mrukliwego Mariana, który obecnie oddaje się medytacjom. Też, Marian, pijesz piwo, czy mam to zrobić za ciebie i opowiedzieć, jak smakowało? - zapytał i szturchnął kolegę łokciem, a ten zaraz się wyprostował i wyciągnął rękę po puszkę. - Marian żyje w swoim własnym świecie od czasu, gdy go porzuciła jego żona niewdzięcznica i uciekła z jednym piłkarzem. Więc on się zapadł w sobie i ukrył w swoim wnętrzu, do którego nie dopuszcza byle łachudry. Dlatego trzeba go nieraz przywołać do porządku. Ale prócz tego jest okej. Powiedziawszy to, pociągnął solidny łyk piwa i wbił spojrzenie w ścianę domu na wprost. - To mówisz, że kogo tu szukasz, słoneczna panno?

- W zasadzie to do końca nie wiem, czy tu, czy gdzie indziej. Na razie wiem, że może ta dziewczyna tu była, a może i jest nadal - powiedziała, wyciągając z kieszeni telefon. Otworzyła galerię zdjęć, po czym wybrała to właściwe. Przedstawiało ładną, uśmiechniętą dziewczynę z dużym bukietem kwiatów.

- Ruska? - raczej stwierdził, niż zapytał filozof.

- Skąd pan wie? - zdziwiła się Aneta. - Na zdjęciu nie było widać niczego, co mogło identyfikować narodowość zaginionej Soni.

- Ruscy robią takie fotki, znaczy się Rosjanki w dzień urodzin dostają bukiety złożone z tyłu kwiatów, ile mają lat, i zaraz idą gdzieś pod pomnik rewolucji strzelić sobie fotkę. Ta ma tu osiemnaste akuratnie - wyłożył całkiem logicznie swój wniosek.

- Sporo pan o nich wie - stwierdziła z uznaniem policjantka.

- Byłem fotografem w wojsku, dokładnie w Nadarzycach, w województwie pilskim. No i tam stacjonowali Ruscy, a jak córka czy żona miały urodziny, to zaraz po kwiaty do kwaciarni i dalej zdjęcia robić. To się człowiek naoglądał tych fotek z kwiatami.

- A tu gdzieś jej pan nie widział? - zapytała z nadzieją w głosie.

Chudy popatrzył jeszcze raz na zdjęcie, a potem pokręcił głową.

- Niestety, piękna niewiasto, nie widziałem tej paniutki ani przez moment, ale mogę popytać jakby co. Prześlij mi tylko tę fotkę.

- Jak przesłać? - zdziwiła się policjantka.

- Normalnie, najlepiej esemesem. Bo jakbyś chciała listownie, to mogę jeszcze nie odebrać albo poczta zgubi.

- Pan ma telefon? - zdziwiła się.

- Kochanieńka, przecież to jest dwudziesty pierwszy wiek. Każdy ma telefon. Nawet Marian ma. - Znów szturchnął kolegę, a ten ocknąwszy się, spojrzał na piwo w swojej dłoni i nieśpiesznie upił odrobinę.

- Poproszę o numer - powiedziała.

- Z największą przyjemnością, płomiennowłosa królowo.

Podyktował jej, a ona szybko wpisując do kontaktów, zatrzymała się na imieniu.

- Jestem Gracjan - przedstawił się. - A nazwisko pewnie niewiele ci powie. Za to imię pamięta się od pierwszego wejrzenia.

Zapisała, a potem wysłała mu fotografię.

- O, proszę, przyszła już piękna Rosjanka.

- Ukrainka.

- O, jak Ukrainka, to jeszcze piękniejsza. Ukraińcy to nasi bracia i trzeba im pomagać. W końcu przez setki lat żyliśmy w jednej Rzeczypospolitej.

- A na Wołyniu to co zrobili? - Marian nagle wrócił z zaświatów do rzeczywistości.

- Zamilcz, łachudro, bo na polityce się nie rozumiesz. W obliczu wspólnego wroga stajemy dzisiaj, a rozdrapywanie ran służy tylko kacapom. Prawda, że mam rację, piękna królowo?

- Prawda. - Aneta pokiwała głową, ale nie miała zamiaru wchodzić w dyskusje historyczne. Dla niej najważniejsze było tu i teraz.

- A przez tych kacapów cholernych takie piękne Ukrainki giną od rakiet albo gubią się w Polsce, a nawet w naszym ukochanym Poznaniu - mówiąc to, podsunął koledze pod oczy telefon ze zdjęciem.

- Jak giną, jak ona do naszego bloku przyjechała - stwierdził Marian wpatrzony w twarz dziewczyny.

- Co ty pieprzysz, przyjacielu sympatyczny? - zapytał go Gracjan, równie zdumiony, co Aneta.

- W klatce numer siedem, na siódmym piętrze albo na szóstym. Nie, na siódmym, mieszkanie numer siedemdziesiąt trzy. Tam, gdzie wynajmują Ukraińcy, taka krótko obcięta laska z długimi nogami i śliczna z ryja z takim napakowanym gościem. No przecież wiesz, którzy to.

Gracjan skinął głową.

- Może i w swoim świecie żyje, ale od czasu do czasu ma przebłyski geniuszu - stwierdził z uznaniem.

- Dziękuję! - rzuciła Aneta i poderwała się na równe nogi. - Bardzo wam dziękuję, ale muszę już lecieć.

- Leć, piękna, leć, a uważaj na skrzydła, żeby ci ich wiatr nie potargał - rzucił za oddalającą się policjantką w cywilu Gracjan, po czym pociągnął spory łyk piwa, osuszając puszkę do samego dna.

Aneta tymczasem zaczęła biec w kierunku klatki schodowej wskazanej przez Mariana. Jednocześnie w telefonie wybrała numer Turka i przyłożyła aparat do ucha. Dwadzieścia minut wcześniej się rozdzielili. Turek ruszył do bloku, by spróbować rozmawiać z wchodzącymi i wychodzącymi mieszkańcami. Szukał na chybił trafił, ale innego sposobu nie było. Gdyby chcieli sprawdzić wszystkie mieszkania, musieliby zaangażować kompanię policji.

Zostawała im ścieżka wyznaczona przez przypadek. I to Anecie udało się na nią wkroczyć. Zauważywszy pijacków pod sklepem, od razu wiedziała, że tacy goście mogą wiedzieć więcej od tych wszystkich, którzy mieszkają w tym bloku, ale swoje mieszkanie traktują jak azyl oddzielający ich od świata. Natomiast ci dwaj rezydenci musieli z nudów zajmować się obserwacją i byli najlepsi w ocenianiu wartości innych. W końcu żyli dzięki umiejętności rozmawiania z tymi wszystkimi, którzy nie mieli ochoty z nimi rozmawiać.

- Turek, gdzie jesteś? - zapytała, usłyszawszy jego zwykłe, opryskliwe halo, które sprawiało, że potencjalnemu rozmówcy od razu przestawało się chcieć rozmawiać.

- Jak gdzie? No w bloku. Wszedłem do klatki... ale nie wiem do której.

- A po co tam wszedłeś?

- No bo się pytam ludzi...

- Wyłaż z bloku. Mamy ją!

- Co? Znalazłaś Sonię?

- Nie, jeszcze nie, ale chyba wiem, gdzie jest. No dalej, chodź pod klatkę numer siedem. Szybko, bo ja już jestem tutaj przed wejściem.

Wyłączyła się. Po chwili drzwi od klatki oznaczonej siódmką otworzyły się i wyszedł z niej Turek. Zobaczywszy Anetę, pomachał do niej i zamknął za sobą drzwi, które oczywiście się zatrzasnęły. Ale to w tej chwili był ich najmniejszy problem. Najważniejsze, że wiedzieli, gdzie szukać zaginionej dziewczyny.

Aneta podeszła do domofonu. Nie знаła nikogo z mieszkańców tego bloku i nie było co liczyć na to, że ktoś jej otworzy z dobrego serca. Nie miała też zamiaru przypadkowym lokatorom wyjaśniać, kim jest, dlatego zastosowała najlepszy ze znanych sobie sposobów. Przejechała palcem po wszystkich przyciskach od dołu do góry, a potem powtórzyła ten zabieg w kolejnym rzędzie.

- Halo, słucham, kto tam, o co chodzi, halo, no co jest, czego zapomniałeś, halo? - Z głośnika domofonu rozległy się głosy mieszkańców. Lokatorzy pytali, kto dzwoni, ale niektórzy nie tracili na to energii i natychmiast wciskali guzik zwalniający elektroniczną blokadę. Policjantka chwyciła za klamkę i pociągnęła drzwi ku sobie. Turek pokiwał głową z uznaniem. Przyszło mu na myśl, że nawet od takiej siksy stary gliniarz może się czegoś nauczyć.

Rozdział IV

Poznań
Godzina 21.00

Pomieszczenie nie było zbyt wielkie. Taki średnich rozmiarów sklep spożywczy. O jego dawnym przeznaczeniu świadczyły dwie dość mocno wysłużone półki, stojące pod ścianą, lada chłodnicza, która chłodziła ostatni raz wieki temu, i autentyczna kasa w kolorze popielatym, z czarnymi przyciskami. Na ladzie stała jeszcze popielata waga z dwiema szalkami, kwadratową na produkty i okrągłą na odważniki, oraz długą białą strzałką z czerwoną końcówką, wskazującą na półokrągłej podziałce ciężar sprzedawanych towarów. Można było na niej z aptekarską precyzją odważyć piętnaście kilogramów różnych spożywczych artykułów, takich jak sery czy wędliny.

Przemek doskonale pamiętał tę wagę, podobnie zresztą jak cały sklep. To tu biegł jakieś dwadzieścia lat temu z każdym pieniążkiem otrzymanym od dziadka czy mamy, żeby natychmiast zamienić go na jakieś słodycze. Mieszkał niedaleko stąd, na Chwiałkowskiego, a sklep był na Roboczej. Przez te wszystkie lata już zdążył o nim zapomnieć i nagle przypomniał się sam, a właściwie przypomniała mu o nim dziś rano Alex. Jak zwykle zadzwoniła w najmniej odpowiednim momencie.

– Mamy informacje o dwóch zaginionych dziewczynach z Ukrainy, ale nie wiadomo, czy rzeczywiście zaginęły – podsumował meldunek Anety szef wydziału dochodzeniówki, inspektor Mariusz Blaszkowski. Powiedział to tonem całkiem poważnym, choć komuś z zewnątrz mogłoby się wydać, że próbuje zbagatelizować tę informację. Aneta знаła go dobrze, więc wiedziała, że w ten sposób Blacha daje do zrozumienia, że jeśli potrafi, powinna spróbować go przekonać. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie ma w zasadzie żadnych argumentów. Informacja, jaką przekazała szefowi i kolegom oraz pozostałym śledczym, pracownikom wydziału, na razie miała wymiar nieformalny. Nikt bowiem jeszcze oficjalnie nie zgłosił zaginięcia.

– Ja wiem, że to jeszcze mało – zaczęła wyjaśniać, spoglądając to na szefa, to na twarze osób siedzących za długim stołem w pokoju narad.

Aspirant Marta Krzywicka, szczupła i wysportowana trzydziestolatka o krótko obciętych blond włosach, która przed chwilą usiadła naprzeciw Anety, uśmiechała się do niej, jakby chciała powiedzieć, że ma się nie przejmować tym gadaniem, tylko robić swoje, a jakby co i tak będzie miała ją zawsze po swojej stronie. Bo Krzywicka na każdym kroku walczyła z facetami, którzy próbowali zdominować ją i cały wydział. Aneta była więc jej naturalną sojuszniczką. Poranne operatywki z pełną ostentacją zaczynała od otwarcia okna w pokoju narad, żeby wypuścić z tego niewielkiego pomieszczenia zapach wypalonych papierosów, przetrawionego alkoholu i testosteronu, który, według niej, wylewał się niektórym kolegom uszami i nosami. Podkomisarz Wiktor Wojciechowski, brodacz o okrągłej twarzy i całkiem łysej głowie, który jeszcze do niedawna próbował walczyć z tymi feministycznymi praktykami, jakiś czas temu się poddał i na znak niezgody na wietrzenie pokoju przychodził na narady w szaliku i kominiarce na głowie. Drobna szatynka Ela Góran jak zwykle dystansowała się od wszelkich konfliktów, bo ją interesowały przede wszystkim komputery i wszystko to, co działo się w wirtualnym świecie, a co mogło pomóc w jakiś sposób w śledztwach prowadzonych przez zespół.

Natomiast starszy aspirant Leonid Tkaczuk, wysoki mężczyzna o atletycznej sylwetce, zdradzającej zamiłowanie do siłowych treningów, oczywiście był po stronie Wojciechowskiego, choć dziś nie wykazywał specjalnego zaangażowania w ten odwieczny konflikt wewnętrzny, dzielący ekipę mniej

więcej na pół. Jego myśli niemal całkowicie pochłaniał problem, który przedstawiła Aneta. Tkaczuk był Ukraincem, który wraz z rodzicami przyjechał do Polski w dwa tysiące dziesiątym roku. Tu skończył szkołę średnią i zrobił licencjat na kierunku bezpieczeństwo narodowe. Po studiach zaczął pracę w policji i jakimś cudem kilka miesięcy temu jego służbowa droga przecięła się ze ścieżką Blaszkowskiego. Bystry, młody policjant szybko trafił do jego zespołu, bo inspektor znany był z tego, że ma dar wyszukiwania talentów śledczych.

Przemek Drażkowski natomiast wcale nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na porannej odprawie. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Musiał odpowiadać na esemesy Alex, która bombardowała go informacjami o doskonałym lokalu, położonym całkiem niedaleko od ich mieszkania, który jest do wzięcia od zaraz i w którym można by urządzić pracownię tatuażu.

Teraz naprawdę nie mogę, bo właśnie Blacha coś mówi.

Napisał i schował telefon do kieszeni. Sygnał przychodzących wiadomości wyłączył, ale pozostawił wibracje. Telefon natychmiast zaczął drżeć.

– Za mało, żeby cokolwiek zrobić – zgodził się z Anetą Blacha. – Ale to nie znaczy, że będziemy siedzieli z założonymi rękami. Możemy na wszelki wypadek rozesłać to zdjęcie, które mi pokazywałaś. To jedno. Po drugie numer telefonu z listu znalezionej przez Turka na dworcu razem z imieniem dziewczyny prześlemy do Interpolu, niech oni jak najszybciej poproszą policję ukraińską o sprawdzenie, do kogo należy. No i kolejna rzecz. Sprawdzimy monitoring na dworcu. Może się uda odnaleźć je w tłumie.

Aneta uśmiechnęła się do szefa.

– To całkiem sporo – rzuciła, zadowolona. – To co, mogę wam wszystkim posłać fotki? – Popatrzyła na twarze koleżanek i kolegów. Nikt nie zaprotestował, więc weszła w galerię zdjęć i przesłała fotografię przedstawiającą Sonię Hreczko, tę, którą dostała od Turka.

– W każdym razie napływ uchodźców do kraju może nieść ze sobą zjawiska przestępcze. Mam tu na myśli gwałty, porwania i tym podobne kwestie – mówił Blaszkowski. – Będziemy mieli do czynienia zapewne też z przestępcami, którzy przyjeżdżają do nas w tej masie ludzi – powiedziaławszy to, spojrzął na Tkaczuka. Ten skinął głową na znak, że zgadza się z szefem. – Zawsze znajdą się tacy, którzy chcą wykorzystać zamieszanie – kontynuował inspektor. – Tym bardziej że na granicy w zasadzie nie ma kontroli. Czyli ci, którzy żyją z łamania prawa, dostali nowe możliwości działania. Będą tu do nas przyjeżdżać, jedni zostaną, inni pojedą dalej. Ale myślę, że właśnie zaczynamy stykać się z nową rzeczywistością, która jest pochodną fali uchodźczej.

– No to w sposób naturalny powinniśmy się takim sprawom przyglądać bliżej – rzucił podkomisarz Wojciechowski, luzując nieco węzeł szalika związany pod brodą. Nie było wcale tak zimno, jak chciał to wykazać swoim ubiorem.

– Tak też ustaliliśmy z Lońką. – Blaszkowski potwierdził ich wcześniejsze uzgodnienia. Tkaczuk był ich jedynym ekspertem od spraw ukraińskich, więc niejako automatycznie musiał być przydzielany do każdego śledztwa, które miało w sobie jakiś ukraiński pierwiastek. – I dlatego, Lońka, pojedziesz jutro do Grodziska. Tam pracują nad sprawą jakiejś dziewczyny, która zginęła na autostradzie. Wszystko wskazuje na to, że może to być Ukrainka. Ustaliłem to już z Romą, szefową tamtejszej komendy.

– Mogę też pojechać? – zapytała Aneta.

– Myślisz, że to ta twoja dziewczyna? – zapytał Tkaczuk.

Aneta wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale mam jakieś przeczucie.

– Przeczucia są ważne w naszej robocie – stwierdził Blaszkowski. – Ktoś jeszcze na ochotnika...

Telefon Przemka kolejny raz zawibrował w kieszeni. Wydobył go, żeby rzucić okiem. Miał kilkanaście nieodebranych wiadomości.

Lokal jest na Roboczej

To dwa kroki od nas

Kiedys był tu sklep spożywczy

Składa się z dużego pomieszczenia sklepowego

Za nim jest zaplecze magazynowe, ale niezbyt wielkie

Jest też kibelk ale nie ma prysznic

Ogrzewanie jest gazowe

Jest wyjście na podwórko z tyłu

Na podwórko można wjechać autem.

Już chciał włożyć telefon z powrotem do kieszeni, ale coś go tknęło.

Ile właściciel chce za miesiąc?

Przez chwilę nic się nie działo, tak jakby Alex musiała się mocno wysilić, żeby przypomnieć sobie cenę. To go zastanowiło, bo w kwestiach liczb zawsze była szybka i zdecydowana. W końcu nadeszła odpowiedź.

Hi, hi, nie zrozumiałeś mnie, Smoku. Ten lokal jest na sprzedaż. A cena jest okazjna, bo chcą za niego tylko sto pięćdziesiąt tysięcy. O której będziesz w domu, bo chcę się umówić z właścicielem?

Po 20 wieczorem

Napisał to z ulgą, bo nie miał zamiaru z nikim się spotykać po pracy.

Super, jesteście umówieni na 21 w lokalu na Roboczej

- Ja... - Chciał odpowiedzieć żonie, ale poprzestał tylko na tym pierwszym słowie, bo uświadomił sobie, że przecież jest wśród ludzi na porannej operatywce, a nie w domu przy stole z Alex.

- No dobra, Przemo, możesz jechać, jak chcesz - zgodził się Blaszkowski.

- Co? - zapytał zdezorientowany.

- Jutro o ósmej pojedziemy - zdecydowała Aneta, a on zrozumiał w tym momencie, że zgłosił się i nawet nie wiedział do czego. Zresztą co za różnica. Jutro wszystkiego się dowie. A dziś musiał zobaczyć, jak wygląda ten lokal, bo zdaje się, że jego żona już podjęła decyzję i jeśli on nie weźmie sprawy w swoje ręce, to za chwilę stanie się współwłaścicielem jakiejś rozpadającej się rudery.

Gdy przedstawiciel właściciela kamienicy wpuścił ich do środka, Przemkowi od razu zrobiło się przyjemnie na duszy, bo wróciły dawne wspomnienia. Przede wszystkim za sprawą tej wagi do odważania cukierków.

- A ten sklep to kiedy zamknęli? - zapytał szczupłego faceta w sztruksowej marynarce, który oprowadzał ich po wnętrzu. Ten wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Myśmy, znaczy nasza firma ApartArt kupiła cały budynek. Chodzi o to, że w tej kamienicy od jakiegoś czasu nikt oficjalnie nie mieszkał. To znaczy to taki squat był i w kilku mieszkaniach się zagnieździli bezdomni. Kamienica nie miała uregulowanych kwestii własności, stała i niszczała. No i w końcu, jak się te sprawy spadkowe udało wyczyścić, to właściciele nam ją sprzedali, a my teraz będziemy robić generalny remont całości.

- A to pomieszczenie, znaczy się ten dawny sklep, też wyremontujecie? - zapytała Alex z nadzieją w głosie.

- Jeśli będziecie państwo chcieli kupić ten lokal, a ma on sto trzydzieści metrów, to my go możemy wam wyremontować. Albo możecie go sami doprowadzić do stanu używalności. Nas przede wszystkim interesują mieszkania, które będziemy doprowadzać do stanu deweloperskiego i wyprzedawać - wyjaśnił. - To co, bierzecie ten lokal? Radzę brać, bo jak kamienica będzie odnowiona, to tu będzie jak w nowym budownictwie. Warto zainwestować pieniądze w takie miejsce.

- Jutro możemy się umówić na spotkanie w sprawie ostatecznej decyzji? - zapytał Przemek.

- Jak jutro, to najlepiej od rana - zaproponował pełnomocnik właściciela.

- Od rana jadę na... No znaczy rano mam wyjazd. - Przemek popatrzył na żonę, rozkładając bezradnie ręce.

- Nic nie szkodzi. To ja się z panem spotkam. - Alex najwyraźniej już podjęła decyzję, widząc w tym miejscu, oczyma wyobraźni, najlepsze w Poznaniu studio tatuażu. Przemek jeszcze tego nie dostrzegał. Na razie widział tylko graciarnię i odrapaną sklepową wagę. Tylko co zrobić z tą wagą? - zadał sobie w myślach pytanie, spoglądając na wysłużone urządzenie, które odważyło wszystkie słodkie chwile jego dzieciństwa.

Poznań
Godzina 21.15

Tak naprawdę to nie powinno ich tu być. Owszem, wykonywali policyjną robotę, ale właściwie na półlegalu. Dlatego Aneta wolała się zabezpieczyć.

Postanowiła wysłać do Błaszowskiego esemesa. Po cichu liczyła, że w ten sposób zapewni sobie alibi. Poinformuje go, że złapała trop i zamierza go sprawdzić, a Blacha o tej porze nawet nie odczyta wiadomości. Potem, gdy się okaże, że jej ustalenia się potwierdziły, a Mariusz zapyta, dlaczego nic nie wiedział o zorganizowanej przez nią interwencji, będzie mogła mu powiedzieć, że przecież dzwoniła do niego, a że się nie dodzwoniła, to wysłała eskę.

Napisała więc wiadomość:

Udało mi się namierzyć mieszkanie na Oświecenia, gdzie najprawdopodobniej może być przetrzymywana dziewczyna. Jestem na miejscu i zaraz tam wejdę razem z Turkiem

Najpierw jednak wcisnęła przycisk połączenia i od razu je przerwała. To był taki sprawdzony głuchacz, który później mógł świadczyć o tym, że próbowała się połączyć, ale nikt nie odebrał. Na obu telefonach pozostawał bowiem ślad łączenia, ale ten, do którego dzwoniła, nawet nie usłyszał dzwonka, bo połączenie trwało ułamek sekundy. Dopiero wtedy wysłała wiadomość. Tak było i teraz.

Schowała telefon do kieszeni w poczuciu dobrze przeprowadzonej akcji dezinformacyjnej, zacierającej ślady kręactwa.

- To co, idziemy na górę od razu? - zapytała Turka. - Bo może lepiej trochę poobserwować?

- Ja bym tam wchodził - stwierdził Szymon, który już nie mógł się doczekać interwencji.

Sprawdzili wszystko i wyszło im, że to właśnie w tym mieszkaniu na siódmym piętrze, wskazanym przez jednego z pijaczków, mieszka para Ukraińców. Bardzo przydatny w sprecyzowaniu ich poszukiwań okazał się administrator budynku, który mieszkał na szczęście w tym bloku. Trafili do niego, by sprawdzić informacje uzyskane przed sklepem. Turek chciał wchodzić natychmiast, ale Aneta się uparła, że wszystko musi być jak najbardziej legalnie i nie może być pomyłki.

- Pan jest administratorem? - zapytała przez telefon, gdy znaleźli się na klatce schodowej. Na tablicy ogłoszeń wywieszonej na ścianie ponad skrzynkami na listy znalazła numer do zarządcy, więc od razu z niego skorzystała.

- No ja, a co w związku z tym? - odpowiedział niezbyt sympatyczny gość zaspianym głosem.

- Aneta Nowak, z policji - przedstawiła się, a głos po drugiej stronie zmienił się diametralnie, z niesympatycznego na życzliwie zainteresowany.

- No, jestem administrator, a o co się rozchodzi tak w ogóle, bo jest już trochę późno, a ja poszedłem dziś spać wcześniej.

- O informację dotyczącą lokatorów jednego z mieszkań - wyjaśniła, a potem sprecyzowała, o które konkretnie chodzi.

- To ja muszę sprawdzić - stwierdził. - A tak właściwie to na kiedy potrzeba tych informacji?

- Na już.

- To za ile przyjedziecie? Bo ja akuratnie to mieszkam w tym bloku i nawet w tej samej klatce, tylko na pierwszym piętrze - wyjaśnił administrator.

- Za dwie minuty jesteśmy - stwierdziła Aneta i przerwała połączenie. Nie miała zamiaru czekać, aż facet zrobi porządek w papierach. Trzeba było szybko wyjaśnić wszystkie szczegóły, a potem działać.

Weszli na pierwsze piętro i Aneta zastukała do drzwi. Otworzył im niepozorny, szczupły mężczyzna, ubrany w bordowy szlafrok, z długimi włosami, z których kapąła woda. Musiał je chyba właśnie zwilżyć pod kranem. Aneta na ten widok pomyślała, że gość powinien kłaść się do łóżka w plastikowym czepku, wtedy nie miałby kłopotów z porządkowaniem fryzury zaraz po wstaniu.

- To wy jesteście z policji? - spytał z niedowierzaniem, spoglądając na swoich gości. Aneta skinęła głową i wydobyla z kieszeni kurtki džinsowej odznakę. Podobnie zrobił Turek.

- No dobrze, to wejdźcie, tyle że ja mam bałagan w domu - zaprosił ich niechętnie. Gdy tylko weszli do środka, od razu zrozumieli, skąd wzięła się ta niechęć. W mieszkaniu czuć było zapach palonej trawy. Administrator musiał właśnie relaksować się, paląc marihuanę, a oni zakłócili jego spokój.

- No proszę, pan administrator jara trawę - odezwał się Turek, który nie przebierał zazwyczaj w słowach. No i specjalnie nie musieli się umawiać, kto będzie złym, a kto dobrym glina, bo role natychmiast przydzieliły się same.

- Ale my nie o paleniu dzointów przyszliśmy rozmawiać - stwierdziła Aneta, uśmiechając się przyjaźnie. Gospodarz wskazał im dwa fotele przystawione do ławy z sosnowego drewna. Po drugiej stronie stała kanapa, na której leżała rozgrzebana pościel. Zapewne jeszcze przed chwilą tu zalegał, rozkoszując się dymem i oglądając telewizję. Ustawiony był kanał sportowy, na którym leciała transmisja rozgrywek bilardowych. Fascynująca rozrywka w połączeniu z trawką, pomyślała Aneta, siadając na fotelu. Turek zajął miejsce naprzeciwko i wyciągnął od razu papierosa. Nie zamierzał się tłumaczyć. Zapalił i zaciągnął się z zadowoleniem aromatycznym dymem camela.

- My nie mamy czasu na pierdoły, dlatego powiedz mi, kochanieńki, co wiesz o lokatorach spod siedemdziesiątego trzeciego na siódmym piętrze.

- Jak siedemdziesiąt, to wiadomo, że na siódmym - rzucił administrator żartobliwym tonem, lecz natychmiast uśmiech zniknął z jego twarzy pod wpływem srogiego spojrzenia Turka. Co jak co, ale Szymon umiał grać twardziela. Anecie zachciało się śmiać. Ale na szczęście się powstrzymała. Lepsza od

rozmowy z tym narkotykowym gościem, przypominającym Biga Lebowskiego, była atmosfera lekkiej nerwowości i podskórnego napięcia.

- To zna ich pan? - zapytała.

- Pewnie, że znam. Oni mieszkają tu już pół roku. To są Ukraińcy - dodał, jakby to była najważniejsza informacja w jego wyjaśnieniu.

- Oni, czyli że kto? - zapytał twardym głosem Turek.

- Oni, znaczy Okrimienkowie, czy jakoś tak. Ja tam po rusku czytać nie umiem. Ale on ma na imię Jurek, a ona Sasza. He, he, ja myślałem dotąd, że Saszka to jest imię dla faceta, a ona się nazywa Saszka. I ona jest jego żoną. Bo mają takie samo nazwisko w paszportach. Wiem, bo dawali mi paszporty do wypisania wszystkich danych. I ja, jak mam taki dokument, to sobie zaraz robię skan, tak wie pani, na wszelki wypadek.

Mówił to wszystko, zwracając się do Anety. Spojrzenia Turka unikał, wyraźnie się obawiając tego srogiego gliniarza.

- Ma pan te skany? - zapytała.

- Jasne, w komputerze.

- No to niech pan wejdzie w komputer, otworzy je i prześle mi na skrzynkę pocztową.

- Ale ja nie wiem, czy mogę. No wie pani, RODO i w ogóle...

- Możesz - warknął Turek. - Wysyłaj, chłopie, co pani komisarz chce, bo tak będzie dla ciebie lepiej. Bo jak jakieś rody-srody ci po głowie chodzą, to my się nie będziemy specjalnie pieprzyć i zaraz ci ten komputer zwiniemy i poddamy badaniom szczegółowym. I od razu będziemy mieć wszystkie dane łącznie z tymi informacjami, gdzie kupujesz trawę i jakie pornole oglądasz. A kompa nasi technicy po tych badaniach to ci zwrócą za jakieś dwa lata. To co wolisz?

Wiadomo, co wołał. Podniósł się z tapczanu i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z laptopem. Położył go na ławie, a sam usiadł na dywanie, w taki sposób, żeby policjantka mogła widzieć, co on robi. Włączył komputer i zaczął przeszukiwać dane. Aneta cały czas patrzyła w ekran.

Po chwili otworzył folder z danymi mieszkańców bloku.

- Masz tu wszystkich lokatorów tego mrówkowca? - zapytała z podziwem.

- Lekko licząc, jakieś dwa tysiące ludzi - stwierdził zadowolony z siebie administrator. O, mam tych Ukraińców - ucieszył się, klikając odpowiednią ikonkę.

- A dużo tu Ukraińców mieszka? - zapytał na wszelki wypadek Turek. Ciec wzruszył ramionami.

- Teraz to diabli wiedzą. Do wojny to było ze sto osób, ale teraz jest dużo więcej. Jak się wojna zaczęła, to do tych, co już tu mieszkali, zaczęli przyjeżdżać uchodźcy. Jedni zostawali, a inni tylko się przewijali na dzień czy dwa. Tak tu jest do dzisiaj. Bo te mieszkania wynajmowane Ukraińcom to mniej więcej tak jak naszym studentom. U nas, jak są trzy pokoje, to właściciel wynajmuje trójce studentów. A z Ukraińcami jest lepszy zarobek, bo oni mogą mieszkać gęściej, po dwie, trzy osoby na pokój. I od każdej takiej osoby właściciel kasuje po kilka stówek. A jak zaczęli przyjeżdżać uchodźcy, to się już kołchozy zaczęły robić, bo wiara gdzieś musi mieszkać, a oni przyjmują, bo jak tu we wojnę znajomych czy krewnych nie przyjąć. Zresztą i Polacy też przyjmują do siebie do mieszkań i oddają swoje pokoje, żeby tę biedę upchać.

- A ci, znaczy ten Okrimienko z żoną, to też przyjmują uchodźców? - Aneta zadała najważniejsze dla nich pytanie.

- U nich nikogo nie było na początku, a potem to zaczęły się pojawiać jakieś laski... - Popatrzył na Anetę i zaraz się poprawił: - No, młode dziewczyny u nich się zatrzymują, ale tak na jeden, dwa, no trzy dni. A teraz znowu chyba jest jedna, nie, sorki, dwie, bo widziałem, jak je wieczorem przywozili.

- Kiedy? - Turek poderwał się z fotela.

- No, zdaje się, że we wtorek. Tak wieczorem przed północą przyjechali. Ale żeby wyjeżdżać, to jeszcze chyba nie wyjeżdżali.

Aneta wyciągnęła telefon i otworzyła galerię zdjęć. Po chwili podsunęła mu pod oczy fotografię Soni.

- To jest ona? - zapytała. - Dobrze się przyjrzyj, czy to jest jedna z tych dziewczyn?

Przez chwilę patrzył w skupieniu.

- To jest ona na sto dwadzieścia procent. Dokładnie ta sama laska... znaczy się dziewczyna.

Oboje policjanci spojrzeli na siebie. Wszystko wskazywało, że im się uda. Jak dobrze pójdzie, to za chwilę wyciągną Sonię z tego mieszkania.

Jej komórka odezwała się niemal natychmiast po tym, jak puściła głośniczkę do Blaszkowskiego i wysłała mu esemesa.

- Aneta, chcecie wejść do tego mieszkania? - zapytał Mariusz.

- No wiesz... - zaczęła odpowiadać, ale nic mądrego nie przyszło jej do głowy. Cały plan, który wymyślili z Turkiem, polegał na tym, że zamierzali zapukać do drzwi, zaświecić lokatorom blachami przed oczyma i wejść do środka. - Poprosimy o dokumenty i powiemy, że jesteśmy z policji...

- Dziewczyno, a jeśli to są handlarze żywym towarem? Pomyśleliście o tym? A jeśli przetrzymują tam kobiety wbrew ich woli? Aneta, oni mogą być uzbrojeni!

- E, no nie...

- Żadnych ruchów. Czekajcie na mnie. Przywożę wsparcie. Jasne?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, ale wyczuła podskórnie, że opór nic nie da. Blacha nie zamierzał negocjować.

- Aneta!

- Jasne, szefie.

- Grzeczna dziewczynka - rzucił do słuchawki i się rozłączył.

Zakłęła pod nosem, a potem spojrzała na Turka, który na wszelki wypadek przeglądał swój bębenkowy rewolwer Gward.

- I co? - zapytał.

- Nic. Czekamy.

Odpowiedziała i ruszyła schodami ku dołowi. Musiała wyjść przed blok i zaczerpnąć świeżego powietrza. Zdecydowanie lepiej było czekać na Blachę na ławce przed blokiem, niż wystawać na korytarzu śmierdzącym kocimi szczynami.

Poznań
Godzina 22.05

Nawet nie wiedziała, że w tym mieszkaniu jest takie pomieszczenie. Nie było go widać, gdy się wchodziło do środka. Najpierw był niewielki korytarzyk, który prowadził do przedpokoju. Stamtąd szło się do pozostałych pomieszczeń, czyli kuchni i salonu, połączonych ze sobą w jedną obszerną przestrzeń. Prócz tego były jeszcze dwie sypialnie. Ta jedna należąca do Saszki i Jury i druga gościnna, w której spała ona... i jeszcze niedawno jej nowa koleżanka. Nawet nie zdążyły się poznać. Porwali Alionę i wywieźli gdzieś, nie wiadomo gdzie. I ją też porwą, wywiozą i zabiją. Ci, którzy wpadli do tego mieszkania, to byli najprawdziwsi policyjni bandyci. Tak nie postępują nawet skorumpowani policjanci na Ukrainie. Dziewczyna została chyba zgwałcona i pobita, bo te krzyki dochodzące z pokoju były jednoznaczne. Te bydlaki potraktowały ją jak wojenny łup, jak przestępczynię złapaną na gorącym uczynku, z którą mogą zrobić, co chcą. Widać takie prawa tu panowały, że policja może wszystko.

Skąd mogła w ogóle wiedzieć, że ta Aliona przemycza narkotyki? Gdyby wiedziała, nawet by z nią nie rozmawiała. A tak razem wpakowały się w to całe nieszczęście. Jura powiedział, że wszystko załatwi, ale czy mu się uda? Pojechał na rozmowy z tymi gliniarzami, ale chyba na razie nic nie wskórał, skoro kazał jej tu siedzieć.

Pół godziny temu wpadł do mieszkania i krzyczał, że trzeba ją ukryć.

- A co się dzieje, że trzeba? - zapytała Saszka.

- Ta bladź Aliona powiedziała policjantom, że ty byłaś jej współniczką.

- Co? Kłamie! - Sonia zaczęła płakać.

- Byłaś z nią w zмовie? - zapytała podejrzliwie gospodyni. Sonia szybko pokręciła głową. Jak ta Aliona mogła to powiedzieć. Może całą winę chciała zrzucić na nią, żeby samej uciec od odpowiedzialności? Co za fałszywa suka.

- Nie byłam. Przysięgam na wszystko, co święte. - Szybko przeżegnała się, żeby świętym znakiem podkreślić swoją prawdomówność.

- Co mówią ci cholerni policjanci? - zapytała Saszka, patrząc wyczekująco na Jurę, który nalał sobie szklankę wódki i zmieszał ją z colą. Upił okazały łyk i postawił szkło na blacie stołu.

- Ten stary mówił, że Aliona odwołała zeznania i powiedziała, że to nie jej narkotyki były. Że to ty jej do całego gówna musiałaś podrzucić. Bo ona nie ma nic wspólnego z prochami. - Popatrzył na nią, marszcząc brwi. - Ty nam teraz powiedz prawdę, Sonia, tylko najprawdziwszą prawdę, bez żadnych łągarstw, bo my za przestępcę nadstawiać karku nie myślimy. Ty przewoziłaś narkotyki czy ona kłamie?

- Pod Bogiem, że niczego nie przewoziłam. Ja nie miałam pojęcia, że ona szmugluje prochy. Poznałam ją w pociągu i razem zeszłyśmy jechały z Przemyśla. Ale wcześniej nie miałam z nią nic wspólnego. Ona się musiała przestraszyć i teraz zwała wszystko na mnie...

Jura pokiwał głową ze zrozumieniem i zaraz spojrzał na swoją żonę. Ta przytaknęła, przymykając powieki. Sonia zrozumiała, że to najważniejszy moment. Że teraz decyduje się wszystko, że oni zastanawiają się, czy stanąć po jej stronie i czy będą jej dalej pomagać.

- Zrobię wszystko, tylko mi pomóżcie. Jestem niewinna, ale jak ci bandyci dostaną mnie w swoje łapy... Moja siostra wam zapłaci, ona ma pieniądze... - Wymyśliła to z siostrą, ale nie wiedziała, jak ich przekonać. Nadia nie miała żadnych pieniędzy. Miała trochę złota, które zabrała ze sobą, uciekając z Charkowa, ale nie było to jakieś szczególne bogactwo. Może z pół kilo wszystkiego, tyle żeby wystarczyło jej i dzieciakom na start w tym obcym kraju. - Ona ma złoto. Dużo złota!

- Nam niepotrzebne twoje złoto - powiedziała Saszka. - Ale wiesz co, policjanci są bezwzględni. Oni zabiorą wszystko i jeszcze cię przelecają, jak będzie za mało. To bandyci gorsi jak nasi. Z nimi trzeba uważać.

- Musimy im zapłacić - stwierdził Jura. - Bo inaczej wsadzą cię do więzienia.

- Ale ja przecież jestem niewinna! - powiedziała dziewczyna. - Są tu sądy jakieś chyba, nie? Jest sprawiedliwość. Przecież to jest Unia Europejska.

- Bajek się nasłuchiłaś o tej Unii - rzuciła z uśmiechem Saszka. - Tu tak samo kradną i biorą w łapę jak u nas. Trzeba im zapłacić, a potem będziemy się martwić. Tu z policją nie wygrasz.

- Prawda. Dlatego trzeba im coś dać, a później zobaczymy. Masz jakieś pieniądze? - zapytał Jura, patrząc uważnie na dziewczynę. Ta pokiwała głową. Coś tam miała. Prawie dwieście dolarów i pierścionki ze złota, a do tego jeszcze gruby łańcuch. Ale nie było tego za dużo. Zabrała wszystkie swoje kosztowności, które dostała od rodziców. Na początek w Polsce mogło wystarczyć. A teraz może wystarczy na wykup.

Wstała od stołu i poszła do pokoju, w którym spała. Woreczek z pieniędzmi i biżuterią miała ukryty w podpince walizki. Policjanci sprawdzili jej bagaż, ale na szczęście zrobili to bardzo niedbale. Woreczka

nie znaleźli. Zabrała go i w kuchni wysypała zawartość na blat. Jura i Saszka pochylili się nad kosztownościami. Mężczyzna z miną znawcy zaczął oglądać po kolei każdy drobiazg. W końcu zadowolony uśmiechnął się do Soni.

- Masz szczęście, powinno im na razie wystarczyć. Jak będzie za mało, to ci dołożymy. Znaczący pożyczymy, a ty, jak będziesz miała pracę, to oddasz. To co, może być?

Dziewczyna szybko pokiwała głową.

- Moja siostra odda wam co do grosza - zapewniła skwapliwie.

Jura włożył kilka zielonych banknotów na powrót do woreczka i wysypał tam pierścionki i łańcuszki. Cały ten majątek wepchnął do kieszeni swojej sztruksowej kurtki.

- Do siostry na razie nie będziemy się zgłaszać. Jakby co, to można to zrobić później. Na razie trzeba pomyśleć, jak cię ukryć na kilka dni, żebyś nie wchodziła im w oczy. Bo przyjdą tu i jeszcze wiesz... będą od ciebie chcieli różne tam...

- Wiem. Będą chcieli mnie tak jak Alionę...

- Nic się nie martw. Nie damy ci zrobić krzywdy - zapewniła ją Saszka.

- Możecie mnie zawieźć do siostry. Ona mieszka niedaleko Poznania, w miejscowości, co się nazywa... Szamotli.

- Szamotły - poprawił ją Jura. - Na razie nie ma co tam się kręcić. Zostaniesz u nas dzień, dwa, a potem się pomyśli. Najlepiej by było przerzucić cię do Niemiec.

- A po co do Niemiec? - zdziwiła się.

- Tam jest praca i nikt o paszport nie pyta. Mamy tam znajomych. Załatwią ci robotę w knajpie.

- Ale ja nie znam niemieckiego.

- A polski znasz? - Saszka się uśmiechnęła. - Jura ma rację. Najlepiej zawieźć cię do Niemiec. Tam pojedziesz do naszych znajomych, a oni załatwią ci pobyt i pracę. I jeszcze z dokumentami pomogą, znaczący wyrobią ci papiery dla uchodźcy. Powiesz tylko, że straciłaś swoje papiery podczas bombardowania w Charkowie. Bardzo dużo ludzi tak robi, a Niemcy są tak głupi, że wierzą na słowo i wystawiają swoje papiery, na które dostaniesz zasiłek i mieszkanie, a potem też pracę. Tam nie ma takiej policji jak tu w Polsce. A jakbyś została u siostry, to ci, co tu u nas byli, by cię znaleźli...

Musiała się z nimi zgodzić. Przecież oni wiedzieli lepiej, jak tu jest. W końcu byli w Polsce już od jakiegoś czasu i znali panujące tu stosunki. Miała szczęście, że na nich trafiła. Czuli, że chcą jej pomóc i co najważniejsze, wiedzą, jak to zrobić. Jura zna tych pieprzonych policjantów i na pewno jej załatwi, żeby się od niej odczepili. Odda złoto, ale będzie miała spokój. Czort z tym złotem. Niech się udławia, suki.

- Dobrze. Wy wiecie, jak ma być, to niech tak będzie - powiedziała z pełnym przekonaniem.

- No to teraz pokażemy ci twoją kryjówkę - powiedział Jura, uśmiechając się tajemniczo.

- Jaką kryjówkę?

- Mamy takie specjalne miejsce - wyjaśniła Saszka. - Wiesz, jak tu jest. My żeśmy się przygotowali na różne sytuacje. A policja, jak widzisz, jest bezwzględna. Trzeba uważać.

Jura wstał z krzesła i ruszył w kierunku korytarza. Poszła za nim. Po chwili stanął przed szafą. Odsunął drzwi z lustrem, a potem odgarnął ubrania wiszące na wieszaku, tak jakby za nimi miały być ukryte jakieś półki. Ale niczego tam nie dostrzegła. Była tylko biała połać. Jura przyłożył do niej rękę, potem przycisnął i ścianka odskoczyła lekko do przodu jak drzwi od szafki kuchennej. Za nią znajdowało się jakieś pomieszczenie. Zadowolony z wrażenia, jakie to tajne przejście musiało zrobić na dziewczynie, uśmiechnął się do niej, a potem wskazał jeszcze coś. Położył palec na przycisku, wdusił go i w pomieszczeniu za szafą zapaliło się światło, wydobywając z mroku niewielki pokój. Gospodarz wszedł do środka, za nim wślizgnęła się Sonia. Pokój był tak mały, że mieścił się tam rozłożony na podłodze materac i nocna szafka.

– Oddzieliłiśmy kawałek salonu i tak powstała ta wnęka – wyjaśnił. – Dzięki temu można się tu ukryć bezpiecznie i nikt cię nie znajdzie. Policja musiałaby przyjść z psem, żeby tu kogoś wykryć.

– Mam tu siedzieć? – powiedziała niepewnym głosem, wyobrażając sobie, jak tkwi w tej ciemnicy odcięta od świata.

– No przecież nie na stałe – odezwała się z tyłu Saszka. – To jest takie, wiesz, miejsce awaryjne. W razie jakby cię chcieli zaaresztować. Wtedy my mówimy, że już tu nie mieszkasz, a oni mogą sobie szukać w mieszkaniu, ile wlezie. Nie dadzą rady cię tu znaleźć...

Tak mówiła dwie godziny temu, gdy pokazywali jej tę norę. Ale wtedy myślała, że to tylko tak na wszelki wypadek, bo policja już nie przyjdzie. Byli tu przecież wcześniej, a Jura obiecał, że im zapłaci. Zadzwonił przy niej do tego ich wielkiego szefa i powiedział, że ma dla niego okup, że dała mu całe swoje złoto i że na razie nic więcej nie mają. No i ten policjant się zgodził i jak mówił Jura, mieli się spotkać jutro. A tymczasem wszystko zmieniło się godzinę później.

Siedzieli jeszcze w kuchni, popijając wódkę z colą, gdy nagle rozległo się walenie do drzwi. Nie pukanie, ale łomot, jakby ktoś te drzwi chciał wywalić z zawiasów. A potem ktoś zawołał: „Otwierac, policja!”. Jura odpowiedział coś po polsku, tak jakby tłumaczył, że się ubiera i idzie otwierać. Pociągnął ją za sobą i w przedpokoju otworzył drzwi do szafy, tylne drzwiczki i wskazał jej na migi, że ma tam wejść. Nie było czasu na pytania. Ci na klatce schodowej krzyczeli, że mają otwierać. Weszła do środka i zaraz ułożyła się na tym materacu, zwinęła w kłębek, podciągając nogi pod brodę i opasując je ramionami. Bała się nawet oddychać. Jura zamknął przejście i w środku zapadły całkowite ciemności. Nie było kompletnie nic widać, za to słychać było wyraźnie otwieranie drzwi, krzyki policjantów i kroki ludzi chodzących po korytarzu i za ścianą w pokoju. Przymknęła oczy, próbując uciec jak najdalej stąd, nie ciałem, ale myślami, gdzieś, gdzie była cisza, świeciło słońce i gdzie było bezpiecznie. Jej myśli popłynęły ku Ukrainie, tej sprzed wojny...

Grodzisk
Godzina 21.30

Walkowski nie lubił policji. Może dlatego, że policjanci kojarzyli mu się z możliwymi konsekwencjami różnych działań, które podejmował na co dzień. Nie chodziło tylko o piracką jazdę quadem po lesie albo jeżdżenie jego pięknym porsche cayenne po okolicznych drogach nocą, kiedy rozpędzał auto do granic możliwości i miał wrażenie, że za chwilę uniesie się w powietrze i poszybuje nad polami. Policjanci kojarzyli mu się zawsze z jakimś zagrożeniem. To byli ludzie, którzy stali po drugiej stronie, przyglądając mu się uważnie w oczekiwaniu na najdrobniejszy błąd. Takie padlinożerne hieny, liczące na jego potknięcie, gotowe rzucić mu się do gardła, by zatopić w nim swoje ostre kły.

Tak właśnie było z jego różnymi biznesami. Żeby utrzymać się na powierzchni, zwłaszcza w czasie pandemii, musiał kombinować, czyli kupować i sprzedawać bez faktur. Gdyby wszystko robił legalnie, to jego hurtownię budowlaną już dawno trafiłby szlag. Ale nie trafił i dlatego zainteresowała się nim izba skarbowa i policjanci od przestępstw gospodarczych. Na razie mimo ciągłych kontroli nic nie znaleźli, no ale kto wie, może w końcu do czegoś się dokopią.

Gdy przed chwilą otworzył drzwi i zobaczył dwójkę policjantów stojących za progiem, pomyślał, że już po nim. Przyszli go aresztować i wsadzić do celi, żeby przez noc sobie wszystko przemyślał i rano był bardziej skłonny do mówienia. Nie wiedział tylko jeszcze, w jakiej dokładnie kwestii. Czy wpadli na ślad tego tira przewożącego z Niemiec panele, który został obrobiony na postoju przy autostradzie w okolicy Buku, a on cały towar kupił okazjnie tej samej nocy za jedną czwartą ceny? Być może któryś z tych kontenerowych złodziei został zatrzymany i wygadał, komu opchnął towar. Ale to tylko słowo przeciw

słowu, myślał gorączkowo. Bo po panelach w hurtowni nie było już śladu, więc nie byli w stanie stwierdzić, czy można mu postawić zarzut paserstwa.

Przyjrzał się uważniej obojgu policjantom i naraz dostrzegł znajome rysy.

– Alina? – Był bardzo zdziwiony.

– No cześć – odpowiedziała, uśmiechając się lekko.

– Przyszliście mnie aresztować? – zapytał szybko, ujawniając tym samym swoje zdenerwowanie. Jak na człowieka balansującego od lat na granicy prawa i bezprawia, zupełnie nie potrafił radzić sobie z ukrywaniem emocji.

– No coś ty – odpowiedziała policjantka. – Za pomaganie się u nas jeszcze nie wsadza.

– Za jakie pomaganie? – Nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Możemy pogadać? – zapytała. Wzruszył ramionami, a potem przeniósł spojrzenie na stojącego krok za Aliną chłopaka.

– To jest posterunkowy Konrad Malicki – wyjaśniła.

– Znaczy chodzisz z obstawą. – Zmierzył młodego policjanta krytycznym spojrzeniem. Malicki wyglądał jak wielu dwudziestolatków, którzy jeszcze niedawno byli dziećmi. Był szczupły, choć w miarę wysoki, bo mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów. Jednak nie zdążył jeszcze nabrać ciała, mimo że regularnie ćwiczył na siłowni. Miał jednak zadatki na to, by za jakieś dziesięć lat można było o nim powiedzieć postawny mężczyzna. Na razie jednak przypominał wyrośniętego pająka o długich kończynach.

– Nie mam czasu na głupie gadanie, Łukasz. Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać o tej dziewczynie – rzuciła i od razu zauważyła, jak zmienia mu się wyraz twarzy. On chyba rzeczywiście ma coś na sumieniu, pomyślała policjantka, zrozumiałwszy, że te jego pytania i nieufne nastawienie musiało być spowodowane strachem przed jakimiś konsekwencjami. Dlatego postanowiła, że nie będzie przekraczać granicy poufałości i pozostanie z nim na dystans, który wyznacza mundur i broń w kaburze przytroczonej do jej paska. Koleżeństwo, i to dość dalekie, było w szkole, a teraz liczyły się tylko sprawy służbowe.

– Jak o dziewczynie, to wejdźcie. – Wskazał ręką korytarz za sobą, jednocześnie odsuwając się nieco, by zrobić przejście. Wprowadził ich do kuchni. Alina krytycznym spojrzeniem obrzuciła pomieszczenie, które nie miało żadnego charakteru oprócz designerskiego blasku i nowobogackiego blichtru. Białe szafy przyklejone były do jednej ze ścian od podłogi do sufitu, tworząc płaszczyznę z błyszczącej okleiny. Czarny kamienny blat ciągnął się wzdłuż okna i opierał się na białych szafkach. Na ścianie po lewej stronie stała ogromna lodówka. Alina pomyślała, że gdyby wstawiła ją do swojej mikrokuchni, to najprawdopodobniej byłby to jedyny mebel, który by się tam zmieścił. Oczywiście ona już by tam nie weszła.

Gospodarz wskazał stojący na środku biały stół.

– Siadajcie. Napijcie się kawy? – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, podszedł do stojącego na blacie wielkiego ekspresu. Był większy niż jej kuchenka gazowa. A jego...

Alina się rozejrzała. Nie było żadnej kuchenki, tylko czarny szklany blat, a właściwie płyta grzewcza. W tej kuchni można nabawić się kompleksów, doszła do wniosku i dlatego zajęła się tym, czym powinna, nie myśląc o bogactwie jej kolegi, jednego z najgorszych uczniów w klasie, który z trudem przechodził z klasy do klasy. Ona zawsze była prymuską i dziś widać było w jaskrawy sposób, co się bardziej w życiu opłaca.

Postawił przed nimi filiżanki z kawą. Alina dostała czarną, a Konrad zgodnie z życzeniem cappuccino.

– Myślę, że zrobiłeś dziś kawał dobrej roboty – powiedziała, upiwszy pierwszy łyk. Nie posłodziła, w odróżnieniu od młodego, który wsypał aż trzy czubate łyżeczki. Jednak był to jeszcze typowy dzieciak,

który nawet nie potrafił docenić smaku dobrej mokki i psuł go mlekiem i cukrem.

- Mówisz o tej dziewczynie? - domyślił się gospodarz. Nietrudno było na to wpaść, bo oprócz tego niczego dobrego nie zrobił. Chociaż nie, objeździł jeszcze swojego nowego quada i musiał przyznać, że jego pojazd trzymał się całkiem dobrze leśnych i polnych dróg. Po przejechaniu kilku kilometrów w okolicach Porażynka natknął się na tę uciekającą brunetkę. Zabrał ją na fotel i ruszył w kierunku drogi prowadzącej z Grodziska na Białą Wieś i Bukowiec. To właśnie przy tej drodze zatrzymał się, wypatrując pościgu, a gdy zorientował się, że ci faceci z terenowego wozu są już blisko, przejechał przez asfaltówkę i zanurzył się w lesie po drugiej stronie szosy. Znał te tereny jak własną kieszeń, więc wiedział, że zagłębiwszy się na jakieś pięćset metrów na zachód, dojedzie do skrzyżowania z leśnym traktem, którym można było dostać się do Grodziska. Tak też zrobił. Nieścigany przez nikogo, spokojnie dojechał do miasta, a potem do szpitala. Tam nieprzytomną dziewczynę oddał ratownikom na izbę przyjęć, a sam się ulotnił, bo nie miał zamiaru odpowiadać na policyjne pytania. Okazało się jednak, że nie udało mu się zachować anonimowości. Grodzisk to w końcu małe miasteczko i wszyscy się tu znają. Nawet jak ty ktoś nie znasz, wcale nie oznacza, że nie zostaniesz przez takiego nieznanego zidentyfikowany.

- To kto wam powiedział, że to ja przywożem tę laskę?

- Nie laskę, tylko pobitą kobietę - poprawiła go Alina.

- No przecież wiesz, o co chodzi, nie?

Pokiwała głową. Nie było co spierać się o szczegóły.

- To przynaj, skąd ją wzięłeś. Bo przecież nie powiesz mi, że to jakaś twoja znajoma, którą pobiłeś, a potem zawiozłeś do szpitala... - Zaryzykowała to oskarżenie, żeby zobaczyć jego reakcję. Ta była jak najbardziej autentyczna.

- No chyba cię pogięło - rzucił zdenerwowany. - Znalazłem ją w lesie. Uciekała przed kimś czy przed czymś. Znaczy raczej przed kimś.

- Przed kim? - wtrącił się do rozmowy posterunkowy.

- Tego to nie wiem, ale przed jakimiś skurwielami to na pewno. Uciekała od nich i błagała, żebym ją zabrał ze sobą. Tak ręce składała, jakby się do mnie modliła. No to co miałem zrobić? Musiałem ją zabrać. No i zabrałem.

- A ty skąd się wzięłeś w tym lesie? - zapytała Alina, wpisując coś do swojego czarnego notesu.

- Byłem na grzybach - rzucił Walkowski.

- Mam to wpisać? - Wskazała czubkiem długopisu kartkę.

- No wiesz, jeździłem quadem.

- Po lesie? - Spojrzała na niego oskarżycielsko. On tylko wzruszył ramionami.

- I widzisz, o co chodzi? Tego się właśnie bałem. Że ją przywożę, a zaraz mnie dopadną szkieły i będą pytać, dlaczego jeździłem po lesie.

- Dobra, możemy to sobie darować. Nie jestem ze straży leśnej. Mnie interesuje tylko to, że jej pomogłeś. A za to należy ci się medal. Bo możliwe, że dzięki tobie dziewczyna przeżyje.

- Poważnie mówisz? - zdziwił się. Nie był przyzwyczajony do pochwał.

- No tak. Jest mocno zmaltrretowana, ale lekarz mówi, że będzie dobrze.

- No to super! Cieszę się, że mogłem jej pomóc. A swoją drogą to ciekawe, skąd się wzięła ta Ruska w lesie.

- Właśnie, lekarz mówił, że to Rosjanka. Jak żeście się dogadali? Co ona w ogóle mówiła?

- A diabli ją wiedzą. Nie rozumiałem nic. Tylko, że chce jechać. No to ją w końcu wzięłem i pojechaliśmy. A tamci za nami.

- Kto za wami?

- No ci faceci, co siedzieli w tym terenowym wozie. To oni chyba jej szukali.

- Jaki to wóz? Mów składniej, bo nie wiem, co mam zapisać - pouczyła go.

- To było tak, że jak wsiadła do mnie na quada, to ja ruszyłem i za chwilę zobaczyłem, że w głębi lasu widać jakiś wóz. Jechali wolno i się rozglądali, jakby jej szukali. No ale to był wóz solidnych rozmiarów, to gdzie mu tam się z moim quadzikiem równać na wertepach. No wiesz, jak jest z quadem, że on wjedzie w każde miejsce, bo po ścieżkach nie musi jeździć, tylko smyrgnie nawet na bezdrożu. No i przeskoczyłem drogę i tyle mnie widzieli. Nie mieli szans. A moja nowa maszyna jest pierwsza klasa.

- A ten wóz? Co to za marka była?

Wzruszył ramionami.

- Do tyłu to nie patrzyłem, bo trzeba patrzeć przed siebie, nie? Zresztą nie ma co się gapić do tyłu, jak wszystko się nagrywa.

- Nagrywałeś jazdę?

- No wiesz... - Spojrzał Alinie prosto w oczy. - Jak się jeździ po lesie, to się włącza GoPro. Wiesz, w czym rzecz, nie?

Nie wiedziała, więc pokręciła głową.

- Oni później wrzucają filmiki. Najlepiej z dwóch kamer, jak spierniczają przed strażą leśną - wyjaśnił posterunkowy Malicki, znawca filmików, nazywanych też rolkami. Sam je nagrywał z jazdy na rolkach, więc wiedział, na czym polega ten rodzaj fanu, żywo komentowanego przez wielkie rzesze obserwatorów zainteresowanych ekstremalnymi przeżyciami, które ogląda się z własnego, bezpiecznego fotela.

- Kolega ma rację - potwierdził gospodarz, a potem wstał z krzesła i poszedł gdzieś w głąb mieszkania. Po chwili wrócił z otwartym laptopem. Postawił go przed policjantką, a posterunkowy przysunął się do niej z krzesłem.

- Właśnie wrzuciłem kartę do lapka, ale jeszcze nie zdążyłem przejrzeć. Miałem za chwilę oglądać. Mamy obrazek z dwóch kamer na dwóch plikach. Jedną mam na kasku, a druga jest na tylnym błotniku. I dlatego mam całą akcję z tą laską... z dziewczyną - poprawił się na wszelki wypadek. - No i musi być widać tych, co jechali po lesie i jej szukali.

Dziesięć minut później okazało się, że rzeczywiście widoczne na filmie było auto, a co ważniejsze też numer rejestracyjny terenówki.

Alina była zadowolona. Teraz już była pewna, że jutro ma z czym iść na operatywkę i nikt nie będzie mógł sprawy zamieść pod dywan.

Poznań
Godzina 21.35

Stali pod drzwiami, nasłuchując. Ze środka dochodziły dźwięki muzyki. Melodia wydawała się jakby znana, ale Aneta nie potrafiła powiedzieć, co to za piosenka. Zresztą to akurat nie miało żadnego znaczenia. Najistotniejszy był fakt, że ktoś był w środku.

Za nią ustawiło się dwóch policjantów ubranych na czarno, odzianych w kamizelki kuloodporne, i w kominiarkach na głowach. Obaj również uważnie przysłuchiwali się temu, co dzieje się wewnątrz. Czterej kolejni z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi H&K MP5 czekali na schodach, by natychmiast wkroczyć do akcji.

Na razie Aneta i Turek podeszli pod drzwi, żeby zidentyfikować miejsce. Aneta zapisała numer mieszkania, który podał jej administrator i o pomyłce nie mogło być mowy, ale ci z AT chcieli mieć pewność, żeby w razie czego było na kogo zrzucić winę.

Aneta w ogóle cały czas czuła się winna, bo nie miała do końca pewności, czy to, co robią, ma w ogóle sens. To znaczy wiedziała, że dziewczynie trzeba pomóc. Wszystko wskazywało na to, że została wprowadzona. Tyle że nie miała na to żadnych twardych dowodów. Sonia po przyjeździe rozplynęła się,

a jedynym człowiekiem na sto procent pewnym, że ją porwano, był Turek. Tyle że on wyposażony był w pewność biorącą się z przeczuć jego lokatorki Nadii. Cała ta akcja zbudowana była na bardzo kruchych podstawach. I teraz na tym fundamencie z przypuszczeń Blacha budował akcję z antyterrorystami. To właśnie najbardziej ją męczyło. Bo co będzie, jeśli się okaże, że oni wejdą do środka, powalą wszystkich tam obecnych na glebę i zaraz okaże się, że ta Sońka jest cała i zdrowa, a do tego z jakimś facetem, w którym się zakochała i postanowiła z nim spędzić resztę życia? W końcu takie przypadki się zdarzają. Dziewczyna jechała przez całą Polskę pociągiem z Przemyśla i mogła poznać jakiegoś chłopaka, zakochać się, bo u młodych ludzi idzie to bardzo szybko, i potem z nim uciec. Gdy w grę wchodzi płomienna miłość, takie dziewczątka mogą tracić oparcie w racjonalnej rzeczywistości i kierować się tylko gorącym uczuciem. No więc, jeśli okaże się, że Sonia jest tu całkowicie dobrowolnie, to ona wyjdzie na kompletną idiotkę, która zaangażowała połowę drużyny antyterrorystów do odbicia jakiejś panny z rąk jej kochanka.

Ludzie w komendzie nie dadzą jej żyć i będą się śmiać za plecami jeszcze przez długie miesiące. Wtedy pójdzie do Blachy i powie mu, że nie sprawdziła się w dużym mieście i prosi o przeniesienie gdzieś na prowincję. Najlepiej na posterunek w Dusznikach. Tam zaczynała swoją policyjną karierę od parzenia kawy i chodzenia do cukierni po drożdżówki dla starszych kolegów i tak powinna skończyć, bo do niczego się nie nadaje...

- I co, pani komisarz? - zapytał ją aspirant Mielczarek, szef grupy, który czekał tylko na jej zgodę. Zgoda była oczywiście formalnością, bo to on wydawał rozkaz wejścia swoim chłopakom, ale musieli to zrobić nieco dyskretniej niż zazwyczaj. Tym razem nie było mowy o wyważaniu drzwi i jakichś ostrzegawczych strzałach w sufit, czyli tym wszystkim, co tak lubili ci z AT. Musieli tam wejść wpuszczeni przez gospodarzy, może nie do końca zadowolonych z najścia, ale jednak to ktoś ze środka musiał im otworzyć drzwi. Wszystko przez to, że nie mieli nakazu. Nie było czasu na szukanie prokuratora, który go wyda. Zresztą Blaszkowski wiedział, że dowody w zasadzie nie istnieją, więc musiał decyzję wziąć na siebie, i tak też zrobił. Antyterrorystów dyżurujących w komendzie postawił na nogi, a ich dowódcy wyjaśnił całą złożoność sytuacji. Mielczarek tylko pokiwał głową, gdy Blacha wyjaśnił mu, co i jak.

- Zrobi się, panie inspektorze. Wejdziemy po cichutku i na paluszkach, tak że ci w środku nawet się nie zorientują, że już leżą na glebie.

Aneta na wszelki wypadek jeszcze raz spojrzała na numer mieszkania. Wszystko się zgadzało.

- Robimy - powiedziała i wycofała się w głąb korytarza. Ci czterej ze schodów wspięli się wyżej, zajmując miejsce tuż za plecami swoich kolegów.

- Uwaga. Gotowi? - syknął Mielczarek.

Wszyscy skinęli głowami.

Gdzieś tam poniżej, na klatce schodowej, dało się słyszeć jakiś rumor. Ktoś coś albo kogoś wyrzucił na schody, bo zaraz rozległ się krzyk.

- Zabiję cię, ty skurwysynu. Zaraz po policję zadzwonię! - krzyczała jakaś kobieta.

- A dzwoń, ty kurwo jedna. Dzwon - odpowiadał bełkotliwym głosem mężczyzna. - Ciekawe, jak zadzwonisz, jak żeś nie zapłaciła za telefon, zdziro!

- Nie zapłaciłam, bo żeś wszystkie bejmy przechłał, skurwysynu!

- Moje, to se je przechlałem. A ty kiedy żeś co zarobiła?

- Cicho tam, wy zjebane gnoje! - Do awantury dołączył się kolejny głos osoby, która postanowiła zaingerować w rodzinną sprzeczkę.

- Sam bądź cicho, zjebie! - krzyknęła kobieta.

- Zaraz tam zejść i zrobię porządek z wami, jak się nie uspokoicie.

- A schodź se, schodź. Przyjdź tu, to ci wpierdol spuszczę – zagroził interweniującemu mężczyzna.

- To ty, Walczak? – zapytał zdziwiony ten z góry.

- Ta, a kto pyta?

- Maras Kujawa.

- Maras, co ty się wtrącasz w rodzinne rozmowy? – zapytał zdumiony Walczak, który rozpoznał kolegę.

- O, jak ja bym wiedział, że to ty, tobym słowa nie powiedział. Ale swoją drogą, to ty se tak pozwalasz babie po głowie jeździć? Trzepnij no ją w pysk, bo swoim jazgotem spać ludziom nie daje.

- Święte słowa, kolego. Jest to wydrzymorda, ale rękoczynów robić nie będę, bobym jej jeszcze kalafę przestawił. Idę do żabki na piwko, więc jak masz chęć dołączyć się do mnie, to zapraszam. A ty, szantrapo, won mi z drogi, bo jednakowoż się rozmyślę i mordę ci zdefasonuję!

- A idź, łachudro, i więcej nie wracaj! – krzyknęła oburzona kobieta i zatrasnęła drzwi.

Gdy wreszcie zrobiło się cicho, Mielczarek zaczął działać.

Zapukał energicznie, ale nic się nie wydarzyło, tak jakby całe życie w mieszkaniu zamarło na kilka sekund. Potem nastąpił jakiś szybki ruch, tak jakby ktoś przed kimś uciekał, tupiąc bosymi stopami po drewnianej podłodze. Więc dowódca zespołu zapukał jeszcze raz, a potem krzyknął zdecydowanym tonem:

- Otwierać, policja!

I znów bez reakcji.

- Otwierać, bo rozwalimy drzwi! – zagroził.

- Już idę! – odpowiedział wreszcie męski głos ze środka.

- Natychmiast otwierać!

- Idę, już idę! Pali się czy jak? – narzekał ten za drzwiami. Aneta natychmiast usłyszała w jego głosie wschodnią melodię. A więc przynajmniej to się zgadzało. Jeśli to są Ukraińcy, to znaczy, że trafili we właściwe miejsce.

- Już otwieram, tylko coś na siebie założę, bo jestem nieubrany. – Facet najwyraźniej próbował zyskać na czasie. Mielczarek dobrze znał takie sztuczki. Załomotał w drzwi pięścią, ale zamiast nich otworzyły się te naprzeciwno. Stała w nich ubrana w szary szlafrok starsza kobieta o pomarszczonej twarzy i byстрыm spojrzeniu.

- To Ruskie tu mieszkają, panowie policjanci. To pewnie szpiegi jakiegoś, co nas szpiegują, żeby później wysłać nasze zamiary dla ruskich samolotów. Napadli na Ukraińców, to i na nas niedługo...

Stojący najbliżej drzwi operator AT położył palec na ustach i gestem nakazał jej wejście do środka i zamknięcie drzwi. Zrozumiała natychmiast, ale nie miała zamiaru rezygnować z widowiska. Światelko widoczne w judaszu natychmiast zgąsło, bo przysłoniło je oko właścicielki mieszkania.

- Dobra, chłopaki, rozpierdalamy drzwi – zawołał głośno Mielczarek, tak by ci w środku usłyszeli groźbę. Poskutkowało, bo zaraz do uszu policjantów doszedł dźwięk przekręcanych zamków i drzwi stanęły otworem. Pojawił się w nich wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany w szare spodnie od dresu. Miał bosc stopy i goły tors z wielkim tatuażem, przedstawiającym jakieś węzowate wzory i podpisanym cyrylicą. Nikomu jednak nie przyszło do głowy podziwianie artystycznej roboty. Gospodarz natychmiast został powalony na podłogę i skuty kajdankami. Policjanci wbiegli do środka, penetrując wszystkie pomieszczenia. W kuchni znaleźli szczupłą, krótko obcięłą dziewczynę. Minutę później w mieszkaniu zrobiło się cicho. Aneta chciała już tam ruszyć, ale Turek położył jej rękę na ramieniu.

- Poczekaj na sygnał – rzucił. Miał rację, bo pozwolenie na wejście mógł wydać szef antyterrorystów, gdy uzyskał pewność, że teren jest bezpieczny.

Przez moment czekali w napięciu.

- Droga wolna! - usłyszeli głos Mielczarka.

Aneta na wszelki wypadek wyciągnęła z kabury pod pachą glocka, a Turek swojego gwarda. Wkroczyli do środka, przechodząc nad leżącym gospodarzem.

- To jest ten Rusek właśnie, co tu mieszka! - krzyczała zza ich pleców sąsiadka w szlafroku, która stwierdziła zapewne, że jej wyjaśnienia mogą być pomocne w trakcie aresztowania szpiegów. Ale nikt nie miał czasu na rozmowy ze wścibską kobietą.

Aneta z Turkiem weszli do kuchni akurat w chwili, gdy jeden z antyterrorystów składał swojemu szefowi meldunek:

- Wszystkie pomieszczenia przeszukane. Nie ma żywej duszy.

- A sprawdzaliście pod łózkami, w szafach? - spytała Aneta, ale nie doczekała się odpowiedzi. Antyterrorysty spojrzeli na nią z politowaniem. Oni znali się na swojej robocie.

Aneta schowała broń do kabury. Turek tymczasem ruszył w głąb mieszkania w poszukiwaniu tego, czego nie udało się znaleźć jego kolegom. Po chwili wrócił, naburmuszony.

- Nie ma jej nigdzie - rzucił w kierunku Anety, jakby to ona stała za zniknięciem dziewczyny.

- Podobno dzisiaj jeszcze tu była - przypomniała sobie to, co powiedział jej ten pijak, Marian.

- Zapytajcie ją. - Mielczarek wskazał na leżącą na podłodze dziewczynę. Jego podwładny uniósł ją bez trudu i posadził na krześle przy stole.

- Czego od nas chcecie? - zapytała, zdenerwowana.

- Szukamy dziewczyny. Ma na imię Sonia, nazwisko Hreczko. Gdzie ona jest?

- Nie ma tu żadnej Soni. Nigdy nie było.

- Tam w sypialni jest walizka z ubraniami - zameldował policjant w kominiarce. Same ciuchy kobiece, staniki i gacie, i ogóle.

- To moje wszystko - rzuciła dziewczyna.

- Trzymasz majtki w walizce zamiast w szafie? - zapytał Turek.

- Mogę sobie trzymać, gdzie chcę.

- Gdzie jest Sonia Hreczko? - powtórzyła pytanie Aneta, teraz już pewna, że dziewczyna kłamie.

- Nie znam żadnej Soni - rzuciła gospodyni.

- A ty też nic nie wiesz? - zapytał Turek wprowadzanego do kuchni osiłka ubranego tylko w spodnie od dresu.

- Nikogo nie znam - stwierdził mężczyzna.

- W takim razie bierzemy ich na dołek - zdecydowała Aneta. - Pogadamy na komendzie - dodała i wyszła z kuchni. Nie udało się znaleźć dziewczyny, ale przynajmniej wejście do tego mieszkania nie okazało się zupełnie niepotrzebne. Ci dwoje coś ukrywali, tylko jeszcze trzeba było wydobyć z nich co.

Siedząca za ścianą Sonia odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że w mieszkaniu zrobiło się cicho. Jura i Saszka okazali się prawdziwymi przyjaciółmi. Nie wydali jej, choć mogli to zrobić. Mieliby spokój, a tylko ona zostałaby aresztowana. Ale poświęcili się dla niej. To byli naprawdę wspaniali ludzie.

Rozdział V

Grodzisk Wielkopolski

27 maja

Piątek

Godzina 9.15

– Ja znam Grodzisk, więc nie musisz nawet włączać nawigacji – powiedziała Aneta do kierującego radiowozem Przemka Drażkowskiego.

– Przecież ty mieszkasz, znaczy mieszkałaś w Dusznikach – stwierdził aspirant. – To chyba nie to samo, co Grodzisk.

– Ona jest w Dusznikach częściej niż w Poznaniu – odezwał się Tkaczuk, który siedział na tylnej kanapie z wzrokiem utkwionym w telefonie. Najwyraźniej prowadził jakąś korespondencję, bo cały czas wpisywał coś na klawiaturze. Jednak konwersacja w necie nie przeszkadzała mu kontaktować się z otoczeniem. Słyszał, o czym się mówi, i reagował na zewnętrzne sygnały głosowe.

– A ty skąd wiesz, gdzie jak mieszkam? – Odwróciła się za siebie i popatrzyła na młodszego kolegę kpiącym spojrzeniem. – Czyżbyś interesował się moim prywatnym życiem po godzinach?

Tkaczuk momentalnie zrobił się czerwony na twarzy. Miał takie młodzieńcze odruchy bezwarunkowe, których nie potrafił w żaden sposób opanować, a które zdradzały niekiedy jego skrywane głęboko tajemnice.

– No nie, w zasadzie... mówiłaś, że w tym mieszkaniu w Poznaniu to cię wszystko wkurza, a najbardziej ta, co ci je wynajmuje, i dlatego wolisz być w Dusznikach.

– Prawda. – Przypomniła jej właścicielkę mieszkania, Falewską, i od razu poczuła wściekłość. Już koniec tej wegetacji u jakiejś kretynki, która wynajmuje jej dwupokojowy apartament na Wildzie i ma przy tym wrażenie, że pozwala jej mieszkać w pałacu. Mieszkanie było zwyczajne, takie typowo blokowe, ale jego niewątpliwym atutem była pięknie zrobiona łazienka. Tu, musiała przyznać, gospodyni stanęła na wysokości zadania i urządziła gustowne wnętrze. To ta łazienka wyłożona szarymi industrialnymi kaflami, z prysznicem, który był oddzielony od reszty pomieszczenia ścianą z wielkiej szklanej tafli, sprawiła, że Aneta zdecydowała się na wynajęcie. Bo pokoje były zwyczajne, a kuchnia wyglądała tak, jakby zaprojektował ją architekt wnętrz z lat osiemdziesiątych. Szare szafki kuchenne pomalowano na popielato i w ten sposób miały podobno nawiązywać do wystroju łazienki.

Właścicielka była przekonana, że lokatorka powinna być jej niezmiernie wdzięczna za to, iż może mieszkać w takim pięknym mieszkaniu, i stale domagała się pochwał. Mieszkała bowiem na tym samym piętrze i niby przypadkiem ciągle wpadała na Anetę wracającą po pracy do domu. Wpraszała się do środka, żeby coś sprawdzić, a to kablówkę czy innym razem internet, i opowiadała jej historię ze swojego barwnego życia nauczycielki języka hiszpańskiego i francuskiego.

Anecie udało się wytrwać pół roku, ale w końcu stwierdziła, że nie da rady i musi się wyprowadzić. Niedawno znalazła ogłoszenie o nowych mieszkaniach budowanych w Baranowie. Miejsce dobre, bo niedaleko do obwodnicy miejskiej, dzięki czemu łatwo dojechać do centrum Poznania, a w drugą stronę do rodziców do Dusznik. Musiała się w końcu usamodzielnic i przede wszystkim zacząć płacić za swoje mieszkanie, a nie wyrzucać kasę w błoto za wynajem.

– Ale już długo nie pomieszkam na Wildzie. Chyba kupię sobie mieszkanie pod Poznaniem.

Auto minęło jakiś zakład po lewej stronie i zbliżyło się do ronda.

- Teraz zjedź w lewo. Jak podjedziemy do kolejnego, polecimy w prawo i ta ulica doprowadzi nas do komendy - wyjaśniła Przemkowi.

Ten nic nie odpowiedział zatopiony we własnych myślach. Cały czas zastanawiał się nad lokalem, który chciała kupić jego żona. Owszem, nie mógł jej odmówić umiejętności prowadzenia biznesu, ale czy aby na pewno potrzebny był jej zakład tatuażu? Miała tatuaże na rękach i w paru innych miejscach, którymi nie chwaliła się na co dzień, ale jeśli chciała robić sobie kolejne, to nie trzeba było otwierać tatuażowego biznesu. Tyle że ona się uparła i w takich sytuacjach Przemek czuł się całkowicie bezradny. To Alex rządziła domowymi finansami i robiła to całkiem dobrze. Ale zakład tatuażu to już jednak trochę przesada. No i dodatkowo jeszcze ten ukraiński tatuażysta. Facet nie miał niczego prócz swoich umiejętności, a oni mieli wyłożyć kasę na wszystko. Prawda, jeśli kupią ten lokal, to pieniądze nie zginą. Będą mieli nieruchomość, którą w najgorszym razie, jeśli z tym tatuowaniem nic nie wyjdzie, będą mogli wynająć albo otworzyć tam sklep spożywczy z cukierkami. Wagę już mają...

- Tu po lewej jest ten budynek. - Aneta wskazała dwupiętrowy budynek komendy, który musiał jakiś czas temu przejść gruntowny remont, bo nie było w nim widać śladu peerelowskiej myśli architektonicznej. Owszem, zachowała się kubistyczna bryła, ale ściany zostały odnowione i nabrały nowoczesnego wyglądu. - Teraz skręć w lewo i jeszcze raz w lewo. Tam jest wjazd na podwórko, o tutaj - instruowała, a Przemek podążał za jej wskazówkami. Po chwili znaleźli się na wewnętrznym parkingu komendy. Radiowóz zatrzymał się, a do samochodu natychmiast podszedł młody sierżant.

- Panie aspirancie, tu nie wolno stawać. - Wskazał na miejsce, gdzie zaparkowali. - O, przepraszam, pani komisarz, nie zauważyłem - usprawiedliwił się, bo dopiero w tej chwili dostrzegł wychodzącą z auta Anetę. Powinien zwrócić się do niej jako starszej stopniem.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się do niego. - A dlaczego nie wolno tu stawać?

- Bo to miejsce szefowej.

- A co, pani inspektor nie ma jeszcze w pracy?

- Jest, znaczy była rano, ale musiała wyjechać, no i teraz muszę pilnować jej miejsca, żeby ktoś nie zajął.

Drażkowski podszedł do niego i klepnął go w ramię.

- Idziemy na spotkanie z panią inspektor - wyjaśnił. - A tu masz klucze od auta. Jak szefowa przyjedzie, to przestaw naszego opla - wyjaśnił, co ma zrobić, a potem włożył mu do ręki klucz od samochodu.

- Tylko żebyś nie zgubił! - Tkaczuk pogroził mu palcem i zaraz wszyscy zniknęli w drzwiach prowadzących na klatkę schodową. Dyżurny policjant został na parkingu z rozdziawionymi ustami i bardzo głupią miną.

Chwilę później byli już na drugim piętrze. To tu znajdował się sekretariat szefowej komendy. Sekretarka na widok gości podniosła się zza biurka.

- Dzień dobry, pani inspektor bardzo przeprasza, ale musiała pilnie wyjść. Proszę wejść i poczekać chwilę. Zaraz poproszę komisarza Krukowskiego i aspirant Wielicką. Oni się zajmują sprawą, więc wszystko wiedzą, a szefowa niedługo wróci. Już rano na operatywce wszystko omówili, więc dostaniecie konkretne informacje - wytłumaczyła rzeczowo, wskazując drzwi do gabinetu. Weszli do środka. Wewnątrz stało biurko, do którego dostawiono duży stół. Ścianę po prawej stronie zabudowano obszerną szafą na wymiar do przechowywania dokumentów.

Goście rozsiedli się na krzesłach, a sekretarka zebrała zamówienia na napoje. Aneta poprosiła o owocową herbatę, a jej koledzy o kawę.

Nie zdążyli się dobrze rozsiaść, gdy do pokoju weszła dwójka funkcjonariuszy.

- Jestem Krukowski - powiedział wysoki brunet, o ciemnych oczach i czerwonym nosie. Od razu słychać było, że jest zakatarzony. Na szczęście teraz już nikt nie panikował z covidem i człowiek

z katarem nie był podejrzewany o chęć zarażenia wszystkich wokół. – A to aspirant Alina Wielicka – przedstawił szatynkę o długich włosach, spiętych w koński ogon, i sympatycznym uśmiechu. Policjantka ukloniła się, nic nie mówiąc. Nie musiała się meldować, jeśli prezentacji dokonał starszy od niej stopniem kolega.

– Na początek, żeby było jasne, nie chcemy wam odbierać waszego śledztwa – odezwała się Aneta. – Przyjechalśmy tylko przyrzeć się, co macie. Bo być może coś, co się wydarzyło u was, może mieć związek z czymś w Poznaniu.

– A co się dzieje w Poznaniu? – zapytał Krukowski, rozsiadając się na wprost Anety.

– Dobre pytanie, tyle że my jeszcze nie wiemy do końca – odpowiedziała z uśmiechem. Być może mamy zaginięcie dziewczyny z Ukrainy, która nie dotarła do swoich bliskich, a może jeszcze i drugiej. Ale to... jak by to powiedzieć, nie do końca pewne.

– Pewne, pewne. Nie ma dziewczyny – wtrącił się Leonid Tkaczuk. Krukowski popatrzył na niego zdziwiony. Chłopak mówił z lekkim wschodnim akcentem, a jednocześnie był ubrany w mundur z dystynkcjami starszego aspiranta, dość mocno opinający jego atletyczną sylwetkę sportowca. Podkomisarz nie widział jeszcze Ukraińca w polskim policyjnym mundurze.

– Czyli co wiadomo? – zapytał go Krukowski.

– Jechały we dwie pociągiem z Przemyśla i jedna z nich nie dotarła do rodziny, ale zostawiła kartkę na tablicy ogłoszeń na dworcu, że przyjechała i jest pod numerem telefonu koleżanki. Ale do koleżanki nie można się dodzwonić.

– Sprawdziliśmy miejsca logowania i dzięki temu dotarliśmy do mieszkania na Ratajach w Poznaniu – dodała Aneta. – Weszliśmy tam wczoraj, ale żadnej z dziewczyn nie było. A mamy pewność, że tam musiały być. Przynajmniej jedna z nich. Zatrzymaliśmy tych z mieszkania, parę Ukraińców, i dziś będziemy ich maglować. Ale najpierw chcieliśmy dowiedzieć się, co wy tu macie. Nasz szef, inspektor Blaszkowski, przekazał nam informację o zabitej dziewczynie na autostradzie.

– Tak jest – potwierdził Krukowski. – Zginęła w wypadku. Potracił ją samochód, tir zapewne, bo przerobił ją na miazgę.

– Skąd się wzięła na autostradzie? – zapytał Drażkowski.

Podkomisarz rozłożył ręce.

– To jest właśnie ciekawe. Nie mamy żadnych świadków, kompletnie nic, ale dziewczyna leżała na poboczu, już za ogrodzeniem, za tą siatką, która nie pozwala zwierzętom wbiec na drogę. Więc, uderzona, przeleciała kilka metrów. Dlatego mam taką roboczą teorię, że ona wydostała się z samochodu, którym ktoś ją wiozł, i próbowała uciekać. No i się skończyło tragicznie. Dlatego ci, z którymi jechała, nie szukali jej. A dziewczyna była ze wschodu.

Krukowski sięgnął do plastikowej teczki i wydobyl z niej kilka zdjęć. Przesunął je na drugą stronę stołu. Poznaniacy zabrali się do oglądania. On tymczasem mógł wreszcie spokojnie wysiąkać nos.

– O, tu jest coś dla ciebie. – Aneta podsunęła Przemkowi jedną z fotografii. – Kolega jest naszym specjalistą od tatuaży i różnych symboli – wyjaśniła. Drażkowski przez chwilę przyglądał się zdjęciu, na którym było widać plecioną skórzaną bransoletkę i przywieszony do niej metalowy, dość dziwny krzyż. Gdzieś już taki widział, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i gdzie. Jakoś tak niedawno chyba to było...

– Mogę poprosić o ostrzejsze te fotki? Byłoby mi lepiej je powiększyć i dokładniej obejrzać. – Aspirant spojrział pytająco na Krukowskiego.

– Nie ma sprawy. Podaj mi swój numer, a ci wszystkie podeślę – zaproponował podkomisarz. Drażkowski po chwili miał już całą serię zdjęć martwej dziewczyny.

– Jest jeszcze coś. – Krukowski spojrział na Anetę, a potem na siedzącą dotąd cicho Alinę. – Moja koleżanka przez całą noc zbierała informacje. Chodzi o dziewczynę, która wczoraj trafiła do nas do

szpitala... Ale co ja tam będę mówił. Pani aspirant, bardzo proszę.

Alina odchrząknęła i zaczęła dokładnie omawiać wydarzenia ostatniej nocy.

Poznań
Godzina 10.30

Znali się z Blaszkowskim od ładnych paru lat, więc inspektor nie miał nic przeciwko temu, żeby Turek był przy przesłuchaniu. Dwójka zatrzymanych wczoraj Ukraińców spędziła noc na dołku, była więc szansa, że trochę zmiękli. Turek liczył, że uda się coś z nich wyciągnąć, bo przecież musieli mieć coś na sumieniu. Przede wszystkim to logowanie telefonu w bloku, a potem świadek, który widział dziewczynę i rozpoznał ją na zdjęciu. Jeśliby umiejętnie poprowadzić przesłuchanie, to była szansa, że któreś z nich pęknie. Gdyby to on przesłuchiwał, to na pewno by z tego faceta coś wydobył. Problem w tym, że nie był przydzielony do śledztwa i miał tylko służyć radą oraz pomocą koledze, który będzie tę rozmowę prowadził. Czyli nie będzie mógł temu facetowi przywalić.

Wszedł do pokoju przesłuchań, którego najważniejszym meblem był długi stół. Było też lustro fenickie, często błędnie nazywane weneckim. Za lustrem zapewne nie było nikogo, bo i kto miałby się przysłuchiwać tej rozmowie. Może Blaszkowski wpadnie na chwilę zobaczyć, co się dzieje i czy wszystko w porządku. Szkoda, że nie ma tu Anety, myślał Turek, rozsiadając się na krześle, z którego rozciągał się widok na zakratowane okno.

Z Anetą zawsze mu się dobrze pracowało. Dogadywali się i rozumieli. Na początku były między nimi kwasy, bo Turek dostrzegł w niej pewnego rodzaju zagrożenie. Przez lata siedzieli w jednym pokoju z Biernatem, znali się jak tyse konie i nie musieli specjalnie dbać o porządek. A tu kilka lat temu przyszła do nich taka smarkula w stopniu sierżanta i od razu zaczęła wprowadzać swoje zasady. Powiedziała mu, że nie ma zamiaru siedzieć w papierosowym smrodzie i Turek, chcąc nie chcąc, musiał się w końcu ugiąć.

Wkrótce jednak przekonał się, że dziewczyna jest bardzo bystra i potrafi wyciągać trafne wnioski nawet z mglistych przesłanek. Ledwie zdążył nabrać do niej szacunku, gdy już zniknęła z jego otoczenia. Mariusz Blaszkowski, który wtedy pracował jeszcze w komendzie wojewódzkiej, dostrzegł ją podczas śledztwa dotyczącego porwania syna pewnego miejscowego biznesmena. Aneta odnalazła chłopaka i zapewne w ten sposób uratowała mu życie. A Blacha w swoim zespole dochodzeniowo-śledczym lubił otaczać się inteligentnymi ludźmi. I w taki sposób Aneta przeniosła się do dużego miasta. Potem zrobiła prawnicze studia, szkołę oficerską i przeskoczyła aspiranta Turka na służbowej drabince. Pewnie zrobiłaby błyskotliwą karierę w Poznaniu, gdyby nie pewien facet. Niejaki Barszczak, człowiek mierny, bierny, ale wierny został komendantem wojewódzkim. Nie za bardzo za sobą przepadali, bo Aneta, gdy był jeszcze zwykłym kierownikiem wydziału, wytknęła mu podczas pewnej awantury niezbyt fachowe podejście do śledczej rzeczywistości, czyli niekompetencję, żeby nie powiedzieć – zwyczajną głupotę.

Barszczak to zapamiętał. Gdy zasiadł na komendanckim stołku, oddelegował tę młodą, doskonale zapowiadającą się policjantkę do pracy w Szamotułach. Liczył na to, że nie będzie już musiał nigdy oglądać tej bezczelnej kobiety. Ale jak to bywa, nieczne plany nie zawsze się udają. Dwa lata temu Barszczak został zastąpiony jeszcze lepszym specem o mocnych politycznych plecach i odesłany na zasłużoną emeryturę. Wtedy też Blaszkowski objął szefostwo wydziału dochodzeniowo-śledczego w komendzie miejskiej na Szylinga i od razu ściągnął do siebie Anetę.

Szkoda tylko, że w życiu osobistym jej nie wychodziło. Ciągle trafiała na jakichś palantów, których on, jej dawny kolega, nie wpuściłby za próg. Nie jest stara, więc jeszcze sobie wszystko poukłada, myślał, sięgając po papierosa. Włożył go do ust, ale szybko wyciągnął, bo przypomniał sobie, że w pokoju przesłuchań nie wolno palić.

- Możesz palić - usłyszał głos za plecami. Odwrócił się. W drzwiach stał sam szef wydziału Blaszkowski.

- A ty co? Myślałem, że przyślesz jakiegoś inteligentnego policjanta, żeby wydobyl zeznanie z tych Ruskich, a tu co? Sam szef się pofatygowal.

Mariusz klepnal go w plecy i siadl naprzeciwko, plecami do lustra.

- Jak juz sie zgodzilam, zeby kowboj byl przy przesluchaniu, to musze sam zadbac, zeby mi tu nie urzadzil strzelaniny w Corralu O.K.

- A czy to jest Tombstone, a ja jestem Wyatt Earp? - zapytal Turek, choc bylo mu miolo, ze Blacha nawiazal do jego najwiekszej miosci, czyli westernow. On nawet ubieral sie jak bohater z Dzikiego Zachodu, w buty kowbojki, kraciaste flanelowe koszule i dzinsowe kurtki. Nie nosil tylko kapelusza z rondem, bo jak mowil, jeszcze nie znalazl odpowiedniego. Uklonem w kierunku amerykanskiej tradycji byla tez jego osobista broń. Jakiś czas temu wpadl na pomysl, ze kupi sobie rewolwer Magnum i bedzie jak Brudny Harry rozprawial sie z przestepcami. Na szczescie w porę dostrzegl tę nową spluwę jego szef Biernat. Zjechał go w niewybrednych słowach, mimo że na co dzień wcale nie przeklinał. Wspomniał coś o kowbojskich kurzych mózdkach i o armatach noszonych w kaburach. Turek zrozumiał aluzję, zrezygnował z magnum, z którym chodzil tylko w celach sportowych na strzelnicę. Załatwil sobie za to od swojego kumpla rusznikarza z warszawskiej komendy gwarda, czyli rewolwer, który nie wszedl do powszechnego uzytku w policji i w zasadzie byl okazem kolekcjonerskim. Taką broń można bylo nosic jako służbową bez obawy o konsekwencje, które trzeba by ponieśc, gdyby odstrzelil komus nogę czy rękę swoją nieregulaminową armatą.

- Raczej wygladasz mi na Doca Hollidaya, bo on byl takim chudzielcem jak ty - zasmiat sie Blacha, choc Turkowi wcale nie bylo do smiechu. Holiday byl przeciez szulerem strzelajacym do swoich przeciwnikow spod stolika malym rewolwerem. A Turek mial o sobie dobre mniemanie i nigdy by sie nie zhanbil niegodnym uczynkiem.

- Panie inspektorze, melduję doprowadzenie zatrzymanej - odezwal sie policjant wchodzacy do pokoju. Rosjanka czy tez Ukrainka, tego jeszcze nie wiedzieli, weszla z hardo uniesiona glowa. Mariusz wskazal jej krzeslo u szczytu stołu.

Poczekal, az usiadzie, i wtedy włączyl nagrywanie w telefonie. Turek tez by włączyl, ale nie obslugiwal dyktafonu w swoim aparacie. W szufladzie biurka w Szamotułach mial staroswiecki dyktafon na minikasety i tym sprzetem poslugiwal sie podczas przesluchan. Niestety nie zabral go dzis ze soba, wiec musial polegac na nagraniu Blaszkowskiego. Powie mu, zeby mu je przeslal. Tyle ze nie mial pewnosci, czy bedzie je umial potem odtworzyc.

- Rozumie pani po polsku? - zapytal inspektor. Skinela glowa.

- Jak sie pani nazywa?

- Sasza, znaczy Aleksandra.

- Od kiedy jest pani w Polsce?

- Od trzech lat.

- Czym sie pani zajmuje?

- W sensie?

- No co pani robi? A dokladniej, gdzie pani pracuje?

Wzruszyla ramionami, jakby to pytanie bylo kompletnie nie na miejscu i nie moglo jej dotyczyc.

- W domu.

- I za siedzenie w domu dostaje pani pieniadze? - pytal dalej Blaszkowski. Turek milczal caly czas, bo to nie bylo jego przesluchanie. Dobrze wiedzial, jak sie zachowac w obecnosci policjanta wyzsze go stopniem. Mimo to jednak nie wytrzymal i skomentowal wypowiedz dziewczyny:

- Tez bym chcial miec taką robotę, zeby ktos mi placil za siedzenie w domu.

- To musicie sobie poszukać dobrego męża – odpowiedziała opryskliwie.
- A pani mąż czym się zajmuje? – drażył Blaszkowski.
- Nie wiem, nie obchodzi mnie to – odparła. – Mnie interesują tylko pieniądze, które przynosi do domu z pracy.

- A ta praca to sprzedaż dziewczyn z Ukrainy do burdeli w Niemczech? – rzucił Turek, ale zaraz przerwał pod ostrym spojrzeniem inspektora.

- Co mi tu gadacie? – warknęła, mierząc Turka niechętnym wzrokiem. Mimo że odpowiadała mu z wyraźnym lekceważeniem, zachowała grzecznościową formę „wy”, charakterystyczną dla języka rosyjskiego. – Nic nie wiem o sprzedawaniu dziewczyn. To jakaś bzdura.

- Proszę spojrzeć na to zdjęcie. – Blaszkowski wydobył z teczki fotografię przedstawiającą Sonię z bukietem kwiatów, którą Turek dostał od jej starszej siostry.

- Zna pani tę kobietę? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła szybko głową, zaledwie omiatając zdjęcie wzrokiem.

- Pierwszy raz ją widzę.

- A może jej koleżankę Alionę Parszinę – rzucił Mariusz, podając jej drugie zdjęcie. – Obie przyjechały na dworzec w Poznaniu z Przemyśla we wtorek, dwudziestego czwartego maja, około dwudziestej drugiej trzydzięci.

Znowu pokręciła głową.

- Nie wiem, kto to są te dziewczyny.

Tymczasem Turek wziął do ręki wydruk zdjęcia i zaczął się uważnie przyglądać twarzy dziewczyny. Nie miał pojęcia, jak ona się nazywa i skąd Blacha wziął fotkę z jej twarzą. Ale jeśli pokazywał to zdjęcie przesłuchiwanej, to miał chyba pewność, że to jest ta osoba od numeru telefonu zapisanego w liściku od Soni, który znalazł na dworcu.

- Nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć – odezwał się inspektor, jakby właśnie odczytał jego myśli. – Od razu, jak Aneta przekazała mi numer telefonu z kartki z informacją o zaginionej Soni, przesłałem go przez Interpol do ukraińskiej policji. Dziś rano dostałem informacje o właścicielce i to zdjęcie. Dziewczyna wyjechała do Polski i jak dotąd nie kontaktowała się z nikim z krewnych. No co, dalej pani utrzymuje, że nic nie wie na temat tych dziewczyn? – zwrócił się do Saszy.

- Dajcie mi spokój. No przecież mówiłam, że ich nie znam.

- No to jeszcze jedno zdjęcie. Tym razem z monitoringu na dworcu kolejowym. Mamy na nim tego wysokiego przystojniaka, który chyba jest pani mężem... o, a to chyba pani, a te dwie dziewczyny z walizkami idą za wami.

Zdumiony Turek popatrzył na ten ostatni wydruk, potem na przesłuchiwaną i stwierdził, że Blaszkowski właśnie zadał jej mata w trzech ruchach. Musiał przyznać, że był to jednak dobry fachowiec.

Grodzisk Wielkopolski

Godzina 10.50

- Halo, mówi Roma Figaszewska.

- Dzień dobry, pani inspektor. Aneta Nowak się melduje.

- Czołem, przepraszam, że nie było mnie, jak przyjechaliście, ale na miejscu zostali ludzie, którzy wiedzą wszystko na temat dziewczyn z Ukrainy.

- Tak, już zdążyłam się przekonać. Krukowski to inteligentny facet, który zna się na robocie, a Alina to cholernie dobra policjantka. Odwalila kawał roboty.

- Pokazała wam film z quada?

- Tak, widzieliśmy. Mamy w takim razie całkiem obiecujący trop.

- Mamy coś więcej, pani komisarz. Mamy zeznanie tej biedaczki - stwierdziła inspektor, najwyraźniej zadowolona.

Jeszcze w trakcie porannej operatywki, podczas której Alina referowała swoje nocne ustalenia, odezwał się jej telefon. Chciała go natychmiast wyłączyć, ale przeczytawszy nazwisko na wyświetlaczu, popatrzyła na szefową.

- Dzwoni ze szpitala doktor Kujawa. To on przyjmował dziewczynę na OIOM.

- No to odbieraj i daj na głośnomówiący - poprosiła inspektor.

- Dzień dobry, pani aspirant, mówi Kornel Kujawa, ze szpitala. Pamięta mnie pani?

- Tak, oczywiście. W odpowiednim momencie pan zadzwonił, bo mamy właśnie operatywkę... znaczy właśnie rozmawiamy o ustaleniach... to znaczy o tym, co się zdarzyło z tą dziewczyną, i dlatego zrobiłam na głośnomówiący.

- Dzień dobry, panie doktorze, tu komendant Roma Figaszewska mówi. Świetnie, że pan dzwoni. Co z tą pacjentką?

- No więc pacjentka wybudziła się i dochodzi do siebie. Dlatego dzwonię właśnie do pani aspirant, bo tak żeśmy się umawiali, że jak się już da z nią pogadać, to mam dać znać...

- Czyli możemy tam podjechać i z nią porozmawiać? - zapytała komendantka.

- Tak, właśnie dlatego dzwonię, a pani aspirant mówiła wczoraj, że to bardzo pilna sprawa...

Inspektor spojrzała na Alinę i z uznaniem skinęła głową. Dziewczyna odpowiedziała lekkim uśmiechem. Poczula po tej całej nocy, że warto było się starać, bo dodatkowy efekt jej pracy właśnie się zmateriałizował w postaci głosu lekarza.

- A, i jeszcze jedno. - Lekarz przypomniał sobie o czymś. - Jeśli ktoś tu przyjedzie, to najlepiej, żeby była to osoba mówiąca po rosyjsku. Bo ta dziewczyna to ani w ząb po polsku.

- Kto z was mówi po rosyjsku? - spytała inspektor, spoglądając na twarze podkomendnych. Nie było odpowiedzi.

- Teraz to mówi się po angielsku - rzucił Krukowski.

- Bzdury gadasz. Trzeba znać język swoich wrogów - stwierdziła komendantka, wstając z fotela. - Ja na szczęście mówię na tyle, że się dogadam - stwierdziła. - Pojadę i z nią porozmawiam. Zresztą lepiej w takich sytuacjach, kiedy mamy do czynienia z gwałtem, żeby pokrzywdzona rozmawiała z kobietą. A, jeszcze jedno, za chwilę przyjadą tu ludzie z miejskiej z Poznania. Kruk i Alina, przyjmiecie ich i powiecie im o waszych ustaleniach. Zaraz, zaraz - przypomniała sobie o czymś. - Ale ty, dziecko, nie spałaś całą noc. To ty musisz już skończyć służbę.

- Dam jeszcze radę, pani komendant. - Alina czuła się całkiem rześko. A poza tym za nic nie chciała, żeby jej ustalenia referował ktoś inny. - Nad ranem się trochę przespałam.

- No w takim razie po spotkaniu z poznaniakami idziesz do domu, bez gadania. Ja jak skończę, będę dzwonić, i dobrze by było, żeby jeszcze poznaniacy byli tu na miejscu...

Pół godziny później Roma zjawiała się w szpitalu.

Doktora Kujawy już nie było. Przyjęła ją siostra oddziałowa, wysoka i szczupła blondynka po pięćdziesiątce. Od razu można było zauważyć, że to ona jest tu najważniejsza. Zwłaszcza w takich chwilach, gdy po porannym obchodzie lekarze znikają w tajemniczych okolicznościach z oddziału. Na szczęście wiedziała wszystko na temat pacjentki.

- Co za biedactwo. Mówię, pani kochana, że ludzie to są bydlaki, nie ludzie - narzekała, prowadząc policjantkę do sali korytarzem pomalowanym na przyjemny zielonociemny kolor. - Ustalono jest, że została zgwałcona, pobita, na szczęście tylko powierzchowne stłuczenia ma i nic jej te cholery nie połamały, no i jest oprócz posiniaczenia cała podrapana, bo uciekała przez jakieś krzozdy²⁶ w lesie, bo

ma rany na nogach i na rękach. Ale za dużo się nie idzie od niej dowiedzieć, bo jakoś ten ruski już zapomniałam. A w szkole się uczyłam, tylko pani wie, kto by się tam chciał wtedy ruskiego uczyć.

- Ja się jakoś nauczyłam, choć nie powiem, że bym robiła to z przyjemnością. - Roma przypomniała sobie lekcje w podstawówce i surową nauczycielkę, która była bardzo wymagająca i w bezwzględny sposób egzekwowała zadawany do nauczania materiał.

- To tutaj. To ta brunetka, tam po prawej, od okna. - Pielęgniarka wskazała dziewczynę podpiętą do jakiejś aparatury, której policjantka nigdy w życiu nie potrafiłaby nazwać.

- Jeszcze chwilę poleży tutaj i niedługo ją zabiorą na inny oddział...

- Czyli na OIOM-ie już nie musi leżeć?

Pielęgniarka pokręciła głową.

- Nie ma obrażeń zagrażających życiu. Tak powiedział doktor. Czyli nie musi tu zajmować miejsca, bo u nas, wie pani, z wypadków dużo trafia, więc łóżka wolne muszą być. A to dziecko nie ma obrażeń wewnętrznych. No chyba że te, co tam siedzą głęboko, w głowie. Ale to już nie nasza robota, tylko psychiatrii albo księdza.

- To mogę z nią porozmawiać?

- Dziesięć minut. Reszta rozmowy później. Najlepiej jutro - pouczyła ją oddziałowa.

Roma weszła do sali. Po drodze wzięła ze sobą białe plastikowe krzesło, podstawiała je najbliżej, jak się dało, i usiadła na łóżku. Wtedy dopiero dziewczyna ją dostrzegła. W jej ciemnobrązowych oczach dojrzała strach.

- Nic się nie bój, dziecko - powiedziała policjantka po rosyjsku, twardo, z polskim akcentem. - Chciałam tylko z tobą porozmawiać o tym, co się wydarzyło - powiedziawszy to, chwyciła ją za rękę. Poczula drżenie. Z oczu dziewczyny popłynęły łzy. Roma wyciągnęła z kieszeni chustkę i otarła jej wilgotny policzek. - Wiem, że ci ciężko, ale to ważne, żebyśmy porozmawiały. Im szybciej, tym lepiej...

- Boję się - jęknęła dziewczyna.

- Nie pozwolę więcej nikomu cię skrzywdzić. Obiecuję, że wszystko, co złe, już się skończyło.

- Oni mogą mnie szukać.

- Nie bój się. W szpitalu zapewnię ci ochronę - obiecała. - Za twoimi drzwiami będzie stał policjant. Ale jeśli mi powiesz, kto cię skrzywdził, wtedy szybciej ich złapiemy i wsadzimy do więzienia. Musisz mi tylko wszystko opowiedzieć...

- Przywieźli mnie do takiego domu pod lasem - zaczęła mówić powoli, drżącym głosem, jakby chciała wyluskać z pamięci wszystkie istotne szczegóły. Było ich trzech. W tym domu kazali siedzieć przy stole i pić z nimi wódkę. A potem, jak już się napili, to ten jeden, co był z nich najstarszy, chwycił mnie za rękę i kazał iść ze sobą. Zabrał mnie do pokoju, rzucił na łóżko, potem pobił i zgwałcił. A jak on poszedł, to za chwilę przyszedł drugi i zrobił to samo, a potem trzeci, a potem znowu...

Przerwała, zbierając myśli. Łzy cały czas spływały jej po policzkach. Roma wycierała je jedną ręką, a drugą trzymała ją za dłoń, próbując w ten sposób dodać jej sił.

- Nie pamiętam, jak długo to trwało. Na pewno kilka godzin. W końcu oni przestali do mnie przychodzić i wydawało mi się, że o mnie zapomnieli. Pomyślałam nawet, że to dobry moment, żeby się zabić, żeby podciąć sobie żyły. Trzeba mi było do tego tylko czegoś ostrego. Najlepiej noża. Na stole, tam gdzie oni pili, był nóż. Widziałam, jak kroili nim słoninę. Pomyślałam, że zakradnę się tam i zabiorę go, a potem to chyba już łatwo pójdzie. No i ta myśl sprawiła, że zwlekłam się z łóżka i poszłam do tego pokoju. Przy stole leżał pijany jeden z nich. Drugi spał w fotelu, a trzeci na tapczanie. Byli kompletnie nieprzytomni. No więc podeszłam do stołu i wzięłam nóż. Ręce mi tak drżały, że ten nóż mi wypadł z ręki i uderzył w szklankę. Zadzwoiła jak dzwon kościelny, ale nikt z nich nawet nie drgnął. I wtedy przyszło mi do głowy, że mogłabym uciec, skoro oni są tak upici. I poszłam do drzwi, a one były otwarte, i wyszłam z domu. Tam, na podwórku, stał ich samochód. Ale nie miałam kluczyków, żeby go odpalić.

No to tylko zrobiłam tyle, że przecięłam im opony. Dwie opony z tyłu, a potem uciekłam do lasu. A w lesie biegłam w gęstwinię, żeby dalej od drogi, jakby mnie szukali. I w końcu zobaczyłam tego motocyklistę, co jechał na quadzie. I jak go zobaczyłam, to pomyślałam, że mnie uratuje, i zabiegłam mu drogę, a on się zatrzymał i zawiózł mnie do szpitala.

- Rozpoznałabyś ich?

- Tak, każdego z nich będę pamiętała do końca życia.

- A ten dom, w którym byłaś, trafiłabyś tam?

Pokręciła głową.

- Nie wiem, ale może ten człowiek, co mnie uratował, będzie wiedział, jak tam dojechać. Bo to musiało być gdzieś niedaleko od tego miejsca, gdzie się spotkaliśmy. Ja chyba biegłam przez las nie za długo...

- Ci ludzie, czy to byli Polacy?

Pokręciła głową.

- To byli Ruscy.

- A nie Ukraińcy?

- Nie, jak jestem Ukrainka. Ukrainka z Charkowa. A oni to Ruscy. Przecież oni mówią zupełnie inaczej niż my. Od razu można rozpoznać, bo oni tak śpiewają, a my twardo mówimy...

- Pani policjantko, wystarczy już - usłyszała za plecami głos pielęgniarki. - Niech no ją już pani zostawi, bo dziecko się zmęczyło na pewno.

- Tak, już idę - odpowiedziała po polsku. Ścisnęła jeszcze rękę dziewczyny na pożegnanie, a ta oddała jej uścisk.

- Nic się nie martw. Niedługo przeniosą cię do innego pokoju, a ja zaraz przyślę do szpitala policjantów. Będą cię pilnować i nie pozwolą zrobić krzywdy.

- Wierzę wam.

- Mam na imię Roma.

- Wierzę wam, Roma. A ja się nazywam Aliona Parszina.

Zaraz po wyjściu na szpitalny korytarz sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Krukowskiego. Ten powiedział jej, że poznaniacy są jeszcze w Grodzisku. Kazała mu zorganizować kogoś do ochrony, a potem poprosiła o przekazanie słuchawki tej policjantce z Poznania.

- Dziewczynę przetrzymywano gdzieś tu pod Grodziskiem - relacjonowała swoją rozmowę. - Ma na imię Aliona.

- Aliona? - powtórzyła Aneta. - Jedna z naszych zaginionych ma na imię Aliona. Jak wygląda?

- Brunetka, włosy proste do ramion tak mniej więcej, o ile dobrze zauważyłam, bo miała upięte, więc tak mi się zdaje, brązowe oczy...

- A jej nazwisko? Dzisiaj dostałam od Mariusza Błaszczewskiego jej zdjęcie i nazwisko, prosto od ukraińskiej policji. Ta nasza zaginiona i zidentyfikowana nazywa się Aliona Parszina.

- No to bingo, pani komisarz. Jadę na komendę. Będę tam za dziesięć minut. Niech wam jeszcze zrobią kawę...

Przerwała rozmowę i poszła na parking przed szpitalem. Gdy podeszła bliżej, za wycieraczką dostrzegła jakąś karteczkę. Właściciel klubu go-go zapraszał ją na ekscytujący, pełen wrażeń wieczór w klubie.

Obudził ją jakiś hałas. Przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie jest. Otworzyła oczy, ale wokół panowały kompletne ciemności. Leżała bez ruchu, nasłuchując. Ktoś krzychał na kogoś, gdzieś daleko, jakby w jakimś tunelu. Naraz uzmysłowiła sobie, że taki pogłos niesie się po klatkach schodowych w dużych blokach, na przykład w takim, w jakim mieszkała z rodzicami i siostrą w Charkowie. Bloki z wielkiej płyty miały klatki ciągnące się przez kilkanaście pięter. Wystarczyło, żeby ktoś na pierwszym czy drugim krzyknął na kogoś, to głos leciał do góry, odbijając się od ścian, niesiony betonowymi schodami, by dotrzeć na sam szczyt w postaci wyolbrzymionej i zwielokrotnionej nieudolnej podróbki greckiego echa.

Przypomniała sobie wszystko. A zwłaszcza to, że Jura ukrył ją w tajnym pomieszczeniu za szafą. Słyszała potem, siedząc w tym ukryciu, jak do mieszkania wkroczyli policjanci, którzy jej szukali. Skąd znali jej nazwisko? Pewnie dostali je od tych, którzy byli tu za pierwszym razem i zabrali Alionę. Tak, na pewno byli z nimi w zмовie. Szukali właśnie jej, bo chcieli ją wsadzić do więzienia za te narkotyki, a pewnie zrobić jeszcze coś gorszego, tak jak jej koleżance. A Jura i Saszka stanęli twardo po jej stronie. Nie wydali jej, a przecież mogli. Gdyby to zrobili, to mieliby spokój. Policjanci by ją zabrali, a oni zostaliby w domu i nikt by niczego od nich nie chciał. Ale dali się aresztować. Aresztowali ich za nią...

I co teraz powinna zrobić? Przecież policja może ich trzymać jeszcze miesiąc. Czy to oznacza, że ona ma w tym mieszkaniu tkwić tak długo? Nie, trzeba zacząć działać. Musi przede wszystkim wyjść z tej ciemnicy, zdecydowała.

Ostrożnie podniosła się z materaca, przytrzymując się ściany. Przypomniała sobie, że ten pokój jest tak wąski, że swobodnie może dosięgnąć rękoma obu ścian jednocześnie. Namacała więc drugą ścianę i od razu poczuła się pewniej. Mając oparcie dla dwóch rąk, ruszyła powoli do przodu, ostrożnie, by się nie przewrócić. Ale na szczęście na podłodze, o ile pamiętała, nie było niczego, o co można byłoby się potknąć. Niczego? Czy aby na pewno? Nie, zaraz, przy ścianie była jej torebka. Jura ją tu wrzucił.

Podeszła jeszcze bliżej tylnej ścianki szafy. Namacała bosą stopą torebkę, a potem dłońią środek drzwi i przycisnęła. Jedno skrzydło odskoczyło. Od razu zrobiło się jaśniej, bo odrobina światła wpadała z zewnątrz poprzez otwarte, przesuwne skrzydło szafy, do której musieli zaglądać policjanci. Na szczęście żaden z nich nie wpadł na pomysł, żeby zbadać tylną ściankę, ukrytą za wiszącymi ubraniami. Przesunęła je ostrożnie i wyjrzała na zewnątrz. W mieszkaniu panowała absolutna cisza. Słyszać było tylko głosy dochodzące z klatki schodowej. Gdzieś tam poniżej toczyło się normalne życie i jakiś mężczyzna klócił się ze swoją żoną. Ale przecież jej nie powinno to wszystko obchodzić. Miała swoje problemy.

Wyszła na zewnątrz i ruszyła do kuchni. W filiżance była jeszcze niedopita kawa, a w szklance niedokończony drink. Mimo tego, że byli tu policjanci, nie było widać żadnego bałaganu. Nie zniszczyli niczego i nie powyrzucali rzeczy z półek. Czyli nie przeprowadzili rewizji takiej, jakie widywała w sensacyjnych filmach. A to mogło oznaczać, że gospodarze nie byli podejrzani o przechowywanie narkotyków czy też ich rozprowadzanie.

Podeszła do lodówki, wyciągnęła karton z sokiem pomarańczowym i nalała do szklanki. Zaschło jej w gardle, więc wypita wszystko niemal od razu. Zobaczyła na półce wędzoną rybę i uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna. Nie wiedziała, od jak dawna nie jadła i nie piła. Nie miała pojęcia, ile siedziała w tej ciemnicy.

Wyciągnęła talerz i postawiła go na stół. W szafce znalazła chleb tostowy. Była cała paczka, więc nie powinna umrzeć z głodu, jeśli miałaby tu przesiedzieć jeszcze kilkanaście godzin. Tyle że wiedziała, że przebywanie w tym mieszkaniu wcale nie jest bezpieczne. Ci policjanci, którzy zabrali jej paszport, mogli w każdej chwili tu wrócić. Powinna więc spakować się i uciekać jak najdalej. Tylko dokąd ma pójść? Nie miała dokumentów i pieniędzy. Do tego nie знаła nikogo w mieście. Była tu zupełnie obca. A poza tym nie mogła iść na policję, bo policja ją poszukiwała. Może w takim razie trzeba by wrócić na ten dworzec kolejowy i prosić o pomoc ludzi, którzy tam pracują? Wolontariusze na pewno nie dadzą jej zginąć. Tylko chyba nie powinna im mówić o narkotykach i tej Alionie.

Gdyby spotkała się z siostrą... Gdyby Nadia wtedy wyszła po nią, wszystko potoczyłoby się inaczej. Byłaby teraz w tych Szamotuljach, czy gdzieś tam, i nic by jej nie groziło. Jak to jeden moment w życiu może sprawić, że człowiek nagle wpada w tarapaty...

Zaraz, Aliona! Przecież ma jej telefon, naraz przypomniała sobie o komórce, którą dziewczyna zostawiła, gdy ją aresztowali policjanci. Wtedy wzięła ten aparat i na wszelki wypadek, nie mówiąc nikomu, schowała w sypialni.

Zerwała się z krzesła i poszła tam, gdzie dotąd spała. Na podłodze leżała jej walizka, a pościel była w nieładzie. Widać policjanci czegoś tu szukali.

Serce zabiło jej mocniej. Miała nadzieję, że nie znaleźli telefonu. Włożyła go pod materac. Zerwała prześcieradło i włożyła dłoń tam, gdzie powinien być aparat. Niemal natychmiast trafiła na ukryty przedmiot. Wydobyła go. Był wyłączony i pewnie rozładowany. Ale na razie to żadna przeszkoda. Musiała spróbować go uruchomić.

Wróciła do kuchni. Wiedziała, w której szufladzie gospodarze przechowują ładowarki. Bez trudu znalazła odpowiednią. Podłączyła ją do gniazdka, a końcówkę kabla wcisnęła do telefonu. Pojawiło się blade światło, znak, że prąd zaczął płynąć. Zaraz potem wyświetlacz ożył. Z napięciem wpatrywała się w szklaną szybkę. Za chwilę powinno się pojawić miejsce do wpisania kodu. Znała PIN Aliony. Jakoś tak, zupełnie przez przypadek, dowiedziała się od niej, jak uruchamia się jej telefon. Rozmawiały w trakcie drogi o zabezpieczeniach, które stosowały w aparatach komórkowych. No i Sonia zła na siebie, że zgubiła swój, powiedziała nowo poznanej koleżance, że jest najgłupszą dziewczyną świata, bo każdy złodziej odgadnie jej PIN.

- A niby dlaczego? - zapytała Aliona. - Nie wyglądasz przecież na głupią.

- Oj, kochana, może i nie wyglądam, ale jestem głupia. Przede wszystkim dlatego, że dałam sobie ukraść ten cholerny telefon. Po drugie, że nie mam nigdzie zapisanych numerów do moich znajomych. Nie znam też numeru swojej siostry i nie mam pojęcia, jak się do niej dodzwonić. No i po trzecie, i to jest właśnie najgorsze, mam taki kod, który wpisze od razu każdy złodziej, żeby uruchomić telefon.

- Znaczący mówisz, że masz prosty? - zapytała Aliona, uśmiechając się tajemniczo.

- Tak. Mogę ci go nawet zdradzić, bo i tak nie dobiedziesz mi się do telefonu. Wyobraź sobie, że mój PIN to...

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć? - Aliona weszła jej w słowo.

Sonia przez chwilę patrzyła na koleżankę jak na wróżkę.

- Skąd wiesz? - wybąkała w końcu.

- Ha, ha! - Aliona zaczęła się śmiać. - Bo ja mam dokładnie taki sam. Wiesz, że to są najczęściej stosowane PIN-y. I to nie tylko u nas, na Ukrainie. Na całym świecie pełno jest takich jak my głuptaków.

Na wyświetlaczu pojawiło się miejsce do wpisania kodu. Drżącym palcem wstukowała ciąg cyfr. Telefon przez chwilę się namyślał i naraz pojawiła się tapeta z morskim pejzażem, a na niej ikony aplikacji.

- Jesteś genialna! - powiedziała sama do siebie, zadowolona, że udało jej się uzyskać łączność ze światem. Tylko jaką łączność? Do kogo niby miała dzwonić? W telefonie Aliony nie było żadnego znajomego numeru. Nie znały się przecież wcześniej i nie miały wspólnych koleżanek. Nie było żadnej osoby, która mogłaby być punktem stycznym między nimi.

Naraz przypomniała sobie o czymś. Po przyjeździe do Poznania zostawiła kartkę z numerem telefonu Aliony. Może siostra ją znalazła, odczytała i zadzwoniła do niej?

Poczuła, jak serce łomocze jej mocno, gdy weszła w spis połączeń. Sprawdziła nieodebrane. Było ich ze sto, podświetlonych na czerwono. Kilka zidentyfikowanych z imionami i nazwiskami osób, które dzwoniły do właścicielki telefonu. Wszystkie należały do osób z Ukrainy. Ale były też dwa bez

identyfikacji. Tylko rzędy cyfr. Z tych dwóch numerów dzwoniło ponad siedemdziesiąt razy. To nie były ukraińskie numery. Na początku miały czwórkę i ósemkę. Czyli to były numery polskie. Ktoś z Polski dzwonił do Aliony. Może siostra próbowała się z nią skontaktować?

Wtedy pomyślała o wiadomościach. Szybko weszła w esemesy. Tu również było pełno nieodebranych. Te zidentyfikowane jej nie zainteresowały. Jest. Znalazła wiadomości z polskiego numeru. Przeczytała je i aż otworzyła usta ze zdumienia. Z oczu zaczęły jej płynąć łzy. To Nadia! Kochana Nadia pisała!

Aliona, tu siostra Soni Nadia, daj jej telefon, niech do mnie zadzwoni.

Aliona, czy Sonia jest z tobą?

Aliona, proszę, odezwij się. Co się z wami dzieje? Gdzie jesteście?

, gdzie jesteś?

Sonieczka kochana odezwij się.

Sonia szukam cię wszędzie, gdzie zniknęłaś? Odezwij się proszę kochana.

Poniżej było jeszcze kilkadziesiąt podobnych wiadomości. Nie było sensu odczytywać ich wszystkich. Najechała palcem na numer, z którego pisała siostra. Wybrała opcję „połącz” i przyłożyła telefon do ucha. Usłyszała długi sygnał, jeden, potem drugi...

– Halo, kto mówi? – odezwała się kobieta, głosem pełnym wahania, jakby obawiając się, że połączenie może zwiastować złe wieści.

– Nadia, kochana, to ja, Sonia. Nadia...

– Sonieczka, miła moja, jesteś? Gdzie jesteś, co się z tobą dzieje? Gdzie się podziewasz? Już myślałam, że cię nigdy nie zobaczę. Sonieczka, moja ty jedyna!

– Nadia, jestem, żyję. Jestem zdrowa. Nic mi nie jest. Nie wiem, jak ci to wszystko opowiedzieć. Jestem w Poznaniu. Pomogli mi dobrzy ludzie. Zabrali do siebie. Ale szuka mnie policja.

– Jak to policja? Co ty mówisz? Co zrobiłaś?

– Nic nie zrobiłam. Ta dziewczyna, z którą jechałam pociągiem. Ona przewoziła narkotyki. I policja ją aresztowała. I oni myślą, że ja jestem współniczką. Ale ja przecież, wiesz, że żadnych narkotyków nigdy nie brałam, ani nie handlowałam nimi.

– Wiem, Sonieczka, wiem. Powiedz mi, gdzie jesteś. Zabiorę cię do siebie. Zaraz przyjadę, tylko powiedz, gdzie jesteś.

– Nie wiem. Nie znam adresu. Jestem w Poznaniu, na takim dużym osiedlu, w wielkim bloku.

– To zapytaj tych, u których jesteś, jaki to adres. Zaraz tam pojedziemy. Mój znajomy, ten, u którego mieszkamy, nam pomoże. On cię szuka od pierwszego dnia. To dobry człowiek i policjant...

– Nie, żadnej policji. Oni chcą mnie aresztować.

– On jest inny. Chce mi pomóc, nam pomóc chce. Zapytaj tylko, dokąd mamy przyjechać.

– Nie mogę zapytać, bo ich nie ma. Zostali aresztowani.

– Jak to? To jacyś przestępcy?

– Nie, oni mi pomogli. I nie wydali mnie policji. Teraz jestem w ich domu i na nich czekam.

– Ty na nikogo nie czekaj. Ty natychmiast stamtąd uciekaj. Proszę cię, Sonieczka. Ja już zaraz jadę do Poznania. A ty dotrzyj na dworzec kolejowy. Czekaj na mnie tam, gdzie jest ten punkt pomocy dla uchodźców.

– Ale jak tam mam dotrzeć?

- Jedź autobusem albo tramwajem. One dla nas są bez biletów. Możesz śmiało jechać. Pytaj ludzi, jak dojechać do dworca PKP, zapamiętaj PKP, rozumiesz?

- Tak, Nadiu.

- Sonieczka, miej włączony telefon. Będę dzwoniła do ciebie. I jedź tam od razu.

- Dobrze, kochana. Już się tam zbieram. Zbiorę tylko rzeczy...

Naraz usłyszała dźwięk klucza wkładanego do zamka. Ktoś otwierał drzwi. Przerwała połączenie. Dwie sekundy później w korytarzu rozległ się dźwięk kroków. Ktoś zbliżał się do kuchni.

Grodzisk **Godzina 13.10**

Myślała, że uwiną się w Grodzisku w godzinę lub dwie. A tymczasem minęła już pierwsza, a nikt nawet nie pomyślał o wyjeździe. W pokoju pani komendant powstało coś w rodzaju centrum dowodzenia śledztwem. Prowadził je Grodzisk, ale skoro okazało się, że uzupełnia się z poznańskim, trzeba było szybko połączyć elementy układanki i te, które się da, dopasować do siebie. A punkty zbieżne były dostrzegalne gołym okiem.

- Nie mieliście pewności, że wasze dziewczyny w ogóle zaginęły, a tu, proszę, odnajdujemy jedną u nas - powiedział zadowolony z siebie Krukowski, tak jakby to on znalazł Alionę dziś w nocy. Wielicka została wysłana do domu przez panią komendant, więc najwyraźniej chciał się ogrzać nieco w blasku jej sukcesu. Ale Aneta uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową.

- Nic tak nie cieszysz się, jak dobra praca dobrych i kompetentnych policjantów. Prawda, pani komendant?

- Jasne. Dobrze, że się spotkaliśmy z wami, bo teraz jasno widać, że przecucia pani komisarz były jak najbardziej uzasadnione. Więc podsumujmy, co mamy na ten moment, bo musimy podzielić robotę, tak żeby każda grupa, poznańska i grodziska, maksymalnie wykorzystała swoje możliwości i żebyśmy nie wchodzili sobie w drogę, ale żebyśmy się uzupełniali.

Aneta znów się uśmiechnęła. Podobała jej się ta babka. Była konkretna, a w tej robocie ceni to każdy fachowiec. Widać było, że nie lubi tracić czasu na czczą gadaninę i ciągnie sprawy do przodu. Podobny typ do Blachy, myślała.

- Dlatego - mówiła dalej Roma - my skupiamy się w Grodzisku na dwóch sprawach. Przede wszystkim na kwestii wypadku i śmierci na autostradzie. Czyli nadal szukamy samochodu, w którym jechała dziewczyna. Nasz as wywiadu, komisarz Krukowski, na razie jeszcze nie dał rady wyselekcjonować auta, którym jechała nasza denatka.

- Pani komendant, mam przy tej robocie trójkę ludzi. Wszystkie pliki są w naszych komputerach, a oni nie robią nic innego, jak tylko patrzą uważnie na każdy samochód. Na sto procent możemy w tej chwili powiedzieć, że w przedziale dwugodzinnym od wypadku, bo tak w razie czego założyliśmy, w końcu nie wiadomo dokładnie, o której godzinie zginęła, przejrzelśmy wszystkie auta. Mamy już pewność, że denatka nie siedziała w żadnym z nich za kierownicą albo obok kierowcy. Pozostają nam do przejrzenia zdjęcia z kamer bocznych. Czyli musimy wykonać dokładnie tę samą robotę jeszcze raz i zaglądać do każdego samochodu.

- Czy mogłabym coś zasugerować? - przerwała mu Aneta.

- Jasne - odpowiedział Krukowski. - Wszystko, co się może przydać, przyjmę z pokorą, jak rycerz królowej od damy dworu - dorzucił z lekkim sarkazmem. Jego szefowa zmarszczyła brwi. Nie zauważył tego, ale dostrzegła to natychmiast Aneta. Zdaje się, że obie miały wbudowane w układy słuchowe bardzo czułe detektory, nastawione na wykrywanie najdrobniejszych nawet przejawów męskiego szowinizmu. A o ten w tej przesiąkniętej testosteronem instytucji nie było trudno, choć ostatnimi czasy

nie brodziło się w nim już po kostki. Jednak w niektórych miejscach sączyły się jeszcze źródelka, szumiąc delikatnie i wypływając w najmniej spodziewanych sytuacjach.

- Pokora i żal za grzechy przydają się przy spowiedzi. Ale na szczęście, drogi kolego komisarzu, ja nie jestem księdzem i, co ważniejsze, nigdy nie będę. Choć wysłuchałam już niejednej spowiedzi i to takiej, o której księżom czy rycerzom się nawet nie śniło - odpowiedziała lekkim tonem, a Roma udała, że musi wytrzeć nos. Chyba jej się spodobała riposta Anety, która potrafiła szermować słowami, dobierając je w taki sposób, by nie obrazić interlokutora, ale dać mu do zrozumienia, że nie toleruje żadnych prztyczków w ucho. - No ale wracając do mojej sugestii, proponowałabym, żeby nie tracić czasu na pewną selekcję. Chodzi o to, że prawdopodobnie mamy do czynienia z mafią ze wschodu zajmującą się wywozem kobiet. Być może mają auta na wschodnich numerach, na których niedawno wjechali do Polski, korzystając z zamieszania na granicy. Może więc warto uważniej się przyjrzeć takim samochodom. Zakładam, że w ciągu tych dwóch godzin nie było ich więcej niż kilkanaście, może kilkadziesiąt, nie wiem...

- A dlaczego na wschodnich? Przecież oni mogli... - Krukowski miał wątpliwości.

- A na jakich był ten samochód z filmu, który dostarczyła nasza przebojowa pani aspirant? - weszła mu w słowo Aneta.

- To nie jest głupie - poparła ją Roma. - Trzeba zacząć uważnie przeglądać najpierw te samochody z rosyjskimi czy ukraińskimi albo białoruskimi rejestracjami.

- Oczywiście - zgodził się z szefową Krukowski. Teraz już nie było żadnej dyskusji.

Aneta spojrzała na wyświetlacz telefonu, który ożył. Nie miała włączonego sygnału dźwiękowego, ale komórkę trzymała na stole na wszelki wypadek, gdyby było jakieś ważne połączenie. Tym razem przyszedł esemes. Odczytała, że to wiadomość od Włodka, wolontariusza z targów. Chciał się z nią umówić na kawę kolejny raz, ale nie mogła mu przecież odpisać, że się zgadza. Nie wiedziała, kiedy skończy robotę. Owszem, po południu powinna być już po spotkaniu w Grodzisku. Ale żeby z nim gdziekolwiek się wybrać, musiała wrócić do Dusznik i zmienić mundur na cywilne rzeczy. Bo dziś występowała oficjalnie z dystynkcjami na ramionach. Tak było łatwiej poruszać się po nieswojej komendzie, by nie narażać się na pytające spojrzenia albo nawet pytania w stylu: „Co pani tu robi na naszym korytarzu?”. No więc zdecydowanie facet odzywał się nie w porę.

- Czyli idąc dalej - Roma wróciła do przerwane wątku - druga nasza sprawa to Aliona Parszina, czyli ranna dziewczyna leżąca w szpitalu. Może jutro wrócę do niej i uda mi się dłużej pogadać przede wszystkim o miejscu, w którym była przetrzymywana, no i o ludziach, którzy ją przetrzymywali i... zgwałcili.

To ostatnie słowo wymówiła twardo i kategorycznie, jakby było najgorszym przekleństwem. Aneta natychmiast dostrzegła też grymas na jej twarzy, który pojawił się i zaraz zniknął, ale zrozumiała, co to znaczy. Pani komendant była zdecydowana rozpieprzyć w drobny mak cały ten bandycki proceder. Nie miała zamiaru dać tym bydlakom żadnych szans.

- Z tym wiąże się też kwestia samochodu. Nasi ludzie już go szukają, no i wasz człowiek również. Swoją drogą w dzisiejszych czasach taki policjant to skarb - stwierdziła, mając na myśli Łońkę Tkaczuka. Gdy ten zobaczył, że auto, którym jechali ci ścigający uciekającą dziewczynę, jest na ukraińskich numerach, wziął się do rozpracowywania samochodu. Wrzucił film do swojego laptopa i powiększył zdjęcie do największych możliwych rozmiarów. Jednak rejestracja była nie do końca czytelna. Wyciął więc tych kilka kadrów i przesłał je do swojego kolegi z Kijowa, który zajmował się obróbką zdjęć. Godzinę temu dostał rozszyfrowaną rejestrację, a dodatkowo twarze dwóch gości siedzących w aucie. Niestety nie widać było szczegółów, a jedynie zarysy. Jednak Lonia był dobrej myśli. Kolega powiedział mu, że wrzucił zdjęcia twarzy do specjalnego programu, który będzie przeliczał i uzupełniał rozmyte piksele. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to jutro dostaną wyraźniejsze fotografie. Teraz Tkaczuk siedział w którymś z pokoi i zajmował się namierzaniem samochodu po numerach rejestracyjnych. Bo

sfilmowana przez kamerę quada biała toyota land cruiser miała ukraińskie numery i była zarejestrowana w Charkowie.

- Lonia przyjechał do Polski z rodzicami dwanaście lat temu, tu skończył szkołę, a potem studia - wyjaśniła Aneta. - Ma też nasze obywatelstwo przynajmniej już z dziesięć lat, więc bez najmniejszych problemów dostał robotę w policji. Tym bardziej że fizycznie spełnił wszystkie wygórowane warunki - rzuciła z lekką nutką ironii. Wiadomo było bowiem, że od jakiegoś czasu policja znacznie obniżyła standardy, a co za tym idzie progi sprawnościowe, i mówiło się nawet, że przyjmują każdego, kto wykaże się wolą i zdecydowaniem, by nosić mundur.

Jej telefon znów się podświetlił. Pomyślała, że musi odpisać Włodkowi, żeby dał sobie dziś spokój, bo nie ma czasu ani możliwości, ale dostrzegła, że tym razem to nie esemes, ale telefon. Dzwonił Turek. Wiedział, że jest w Grodzisku, na spotkaniu, więc byle czym nie zwracałby jej głowy.

- Pani inspektor, przepraszam, to może być ważne. - Nie czekając na przyzwolenie, odebrała. - Szymon, jestem tu z panią komendant w Grodzisku. Zrobię cię na głośnomówiący - rzuciła do słuchawki i zaraz przełączyła tryb, po czym położyła aparat na stole.

- Pani komendant, melduje się Szymon Turek.

- Czołem, Szymon. - Roma natychmiast rozpoznała dawnego podkomendnego, z którym kiedyś pracowali w Tarnowie Podgórnym.

- Mam dobre wieści. Odezwała się nasza zaginiona Sonia. Dzwoniła do swojej siostry, znaczy się mojej... - przez chwilę szukał odpowiedniego słowa - do mojej znajomej dzwoniła z telefonu, który żeśmy namierzali. Nadia umówiła się z nią na dworcu PKP. Więc może jedną dziewczynę odzyskamy za chwilę. Bo dojeżdżamy do dworca. I jakby co, to będę meldować. Tylko że ona, zdaje się, wdepnęła w jakieś szambo. Mówiła coś o policji, która chciała ją aresztować. Nic więcej nie wiem. To tyle, na razie.

Turek się rozłączył.

- Nawet nie zdążyłam mu powiedzieć, że mamy też tę drugą dziewczynę - stwierdziła Aneta.

- Być może od tej z Poznania uda wam się wyciągnąć jakieś szczegóły - zastanawiała się Roma. - Skoro zniknęły jednocześnie, ona ma telefon Aliony... Wszystko to nam się poukładało...

- W takim razie zdaje się, że poznańska część nam się jakoś domyka - stwierdziła Aneta z odrobiną ulgi w głosie. W tej sytuacji w zasadzie mogli już wracać. Mają wiedzę na temat tego, co dzieje się w Grodzisku. Turek za chwilę przejmie dziewczynę i jutro będzie można ją przesłuchać. Czyli jeśli teraz wróci do Poznania, zdąży pojechać do Dusznik... A po co do Dusznik? Przecież może motocykl zostawić na parkingu w komendzie i skoczyć do swojego wynajmowanego mieszkania, wykapać się, przebrać i może pójść na kawę... A w zasadzie, jeśli się kolejny raz idzie z jednym facetem na kawę, to chyba już jest randka, nie?

Za zamyślenia wyrwał ją głos pani komendant.

- Nie macie co tu siedzieć, pani komisarz. My tu mamy co robić, a o tym, jak sytuacja się rozwinie z poszukiwaniem samochodu i jego właścicieli, będziemy was informować na bieżąco. Jutro też zadzwonię i powiem, czy czegoś jeszcze dowiedziałam się od naszej dziewczyny ze szpitala.

- A ja pani inspektor przekażę, czego się dowiedzieliśmy od jej koleżanki. Pewnie coś nam powie o tych bydlakach, znaczy podejrzanych.

- Niektóre rzeczy trzeba nazywać po imieniu - stwierdziła komendantka, podając jej rękę na pożegnanie.

Rozdział VI

Poznań
Godzina 13.20

Sonia była przerażona. Łzy spływały jej po policzkach, ale nie zwracała na nie uwagi. Całą skupiła na tym, co dzieje się wokół, i na tych, którzy wieźli ją w nieznaną. Jeszcze przed chwilą była tak blisko. Wydawało się, że wszystko złe stanie się przeszłością i znajdzie się bezpieczna pod opieką siostry i tego... policjanta. A tymczasem wydarzenia potoczyły się w całkowicie nieprzewidywanym kierunku. Ale czy aby na pewno zdarzyło się coś zaskakującego? – myślała, patrząc na przesuwające się za samochodową szybą ulice nieznanego jej miasta. Przecież gdyby była mądrzejsza, mogła uciec, mogła być wolna. Ale była naiwna i nie umiała wykorzystać okazji. Już wtedy, gdy policja wyszła z mieszkania, zabierając Jurę i Saszkę, powinna wyjść z tej cholerniej ciemnej celi i uciekać stamtąd jak najdalej. Los dał jej szansę, a ona przestraszona tym wszystkim, co się rozegrało obok, siedziała z zamkniętymi oczyma, aż w końcu zasnęła. A gdy już wydostała się z kryjówki, mogła przecież ubrać się i wyjść. Ale nie, zachciało jej się jeść i pić. Przecież mogła nawet zabrać tę ładowarkę i podłączyć się w jakimś centrum handlowym, żeby naładować telefon. Chyba mają tu centra handlowe takie jak w Charkowie, a w nich specjalne punkty, gdzie można się podpiąć. Siedząc tam bezpiecznie, mogła rozmawiać z Nadią i nie ruszając się z miejsca, na nią czekać. Przecież mogła udostępnić swoje położenie i siostra by ją znalazła bez żadnych problemów. Ale nie pomyślała o tym. W ogóle o niczym nie pomyślała. Miała wrażenie, że od czasu przyjazdu do Polski wyłączyła mózg. Była zbyt naiwna i nie umiała przewidywać przyszłości. Jestem po prostu beznadziejnie głupia, pomyślała, zła na samą siebie.

Nawet dzisiaj, dwie godziny temu, wykazała się kompletną głupotą, choć jeszcze wtedy była szansa, żeby się wyrwać i uciec...

– Czyś ty zwariowała? – powiedziała ostro Saszka, pojawiając się w drzwiach do kuchni. Sonia stała przy stole z telefonem w dłoni.

– Saszka, kochana, wróciłaś! – zawołała na widok gospodyni. Podbiegła do niej i rzuciła się na szyję, całując po policzkach. – Tak się bałam, że was wsadzą na dłużej i już nigdy was nie zobaczę. A tu takie szczęście. Jesteś, wypuścili cię, kochana moja – paplała jak mała dziewczynka, szczęśliwa na widok Dziadka Mroza i Śnieżynki.

Saszka wyzwoliła się z jej objęć i podeszła do stołu. Chwyciła szklanę, naala sok i wypila duszkiem. Potem podeszła do lodówki, wydobyła z niej butelkę wódki, w zamrażalniku było zawsze kilka flaszek czekających w gotowości na Jurę, odkręciła ją i wlała do szklanki, mieszając z sokiem. Usiadła na krześle i wypila solidny łyk.

– Co ty, do cholery, odpierdalasz, idiotko?! – zapytała ostro.

Radość ze spotkania z cudownie uratowaną znajomą zniknęła natychmiast z twarzy Soni. Zastąpiło ją niepomiernie zdumienie. Nie rozumiała, o co jej chodzi. Czyżby oskarżała ją o coś? O te narkotyki? Przecież to kompletna bzdura.

– Ale, Saszka, co ty sobie myślisz, że ja coś przeciwko tobie, ja przecież... ja nie mam nic wspólnego z Alioną i tymi narkotykami... – zaczęła tłumaczyć się niezbyt składnie.

– Skąd masz ten telefon, kretynko? – przerwała jej.

Sonia spojrzała na trzymany w dłoni aparat, a potem odłożyła go na blat stołu.

– To jest telefon Aliony – oznajmiła, jakby ta informacja miała wszystko wyjaśnić.

- Dzwoniłaś gdzieś z niego?

- No tak, ale nic się nie martw, nie dzwoniłam do kogoś obcego, tylko do siostry. Ona jest szczęśliwa, że mi nic nie jest, i chce po mnie przyjechać.

Saszka upiła kolejny łyk i wydobyla z torebki paczkę marlboro. Zapaliła, jednocześnie przysuwając do siebie szklaną popielniczkę.

- Powiedziałaś jej, gdzie jesteś?

- No tak, powiedziałam, że u znajomych, którzy mi pomogli, jak byłam sama na dworcu...

- Nie wierzę! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, ty tak po prostu wydałaś nas policji?

- Saszka, kochana, to nie żadna policja. To moja siostra. Ja jej tylko powiedziałam, że jestem u przyjaciół. Ale nie wiem, gdzie jest ten dom, w którym mieszkam...

- Ależ ty jesteś głupia. Ty naprawdę niczego nie rozumiesz? Przecież zadzwoniłaś z telefonu Aliony. Policja aresztowała Alionę za przemyt narkotyków. Jeśli tak, to znaczy, że mają rozpracowany ten numer i namierzają go, mają nadzieję, że złapią jej współników. I ten telefon... No właśnie, dlaczego nie powiedziałaś, że go masz?

Wzruszyła ramionami. Nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jeśli odpowie, że go ukrywała przed nimi, to będzie oznaczało, że jest wstrętą niewdzięcznicą. Ale nie może przecież dalej brnąć w kłamstwa. To by było nieuczciwe.

- On był schowany pod materacem... - zdecydowała się na półprawdę.

- Nie dzwoniłaś z niego wcześniej?

Szybko pokręciła głową.

- Nie, dopiero jak was zabrali, nie wiedziałam, co robić. Szukałam jakiejś pomocy i wtedy pomyślałam o tym telefonie. Ale ja nie chciałam robić wam żadnych kłopotów. Chciałam tylko coś zrobić... Tylko nie miałam pojęcia, jak się zachować, to znaczy, czy uciekać stąd, czy czekać na was, ale nie miałam pojęcia, czy was wypuszczą...

- To do kogo zadzwoniłaś w końcu? Mówiłaś, że nie znasz numeru do siostry. Czyli wtedy mnie okłamałaś, jak mówiłaś, że nie możesz się z nią skontaktować!

- Nie, nie znam, znaczy nie znałam. Zadzwoniłam, bo Nadia wysłała esemesy na numer Aliony. Pamiętasz, wtedy na dworcu zostawiłam informację na tablicy, że można mnie znaleźć pod jej numerem, i moja siostra napisała. Wysłała sto wiadomości i ja na ten numer oddzwoniłam...

- Zachowałaś się nieodpowiedzialnie. Jak małe dziecko, które niczego nie rozumie. My poszliśmy do więzienia za ciebie, nie wydaliśmy cię, a ty co? Tak nam się odwdzięczyłaś?

- Ale, Saszka, co ja takiego zrobiłam?

- Nadal nic nie rozumiesz? Przecież dzwoniąc, dałaś się namierzyć policji. Za chwilę mogą tu być. Aresztują ciebie i mnie. Trzeba coś zrobić. Zaraz, niech pomyślę, jak z tego wybrnąć...

- Dobrze, pójdę sobie i nie będę już ciebie narażać.

- Głupia, dokąd pójdziesz?

- Do mojej siostry. Kazała mi jechać na dworzec do punktu przyjmowania uchodźców. Tam po mnie przyjedzie. Ona ma znajomego policjanta. Z nim razem przyjedzie i on nam pomoże się z tego wypłacić.

- Boże, ależ ty jesteś głupia. Przyjedzie z policjantem. Nie widziałaś, co tu w Polsce policjanci wyprawiają. Przecież oni najpierw cię pobiją, a potem przelecą, a w końcu wsadzą do więzienia. Tego chcesz, idiotko?

- Nie, wiesz, że nie. Co mam w takim razie robić?

- Poczekaj, daj mi pomyśleć.

Chwyciła butelkę i zrobiła sobie kolejnego drinka. Nie tylko sobie, nałapała też Soni. Ta z wdzięcznością przyjęła alkohol. Czuli, że teraz przyda się jej łyk czegoś mocniejszego. Może ta wódka sprawi, że zaczną jaśniej myśleć.

– Poczekaj, zadzwonię do kolegów Jury. Oni nam pomogą. A ty wyciągnij z telefonu baterię. No dalej, bo nas namierzają. Musi być całkowicie martwy, bo inaczej nie dadzą nam żadnych szans.

Nie umiała znaleźć baterii, więc zrobiła to, co potrafiła. Wyłączyła telefon.

Sasza wybrała numer w swoim aparacie. Przez chwilę czekała na połączenie, zagryzając dolną wargę. Sonia wpatrywała się w nią z uwagą. Naraz przyszło jej do głowy, że to wszystko, co mówi Sasza, to bzdury. Że nikt jej nie namierzy przez ten telefon. A policjanci, jakby im zależało na kontaktach Aliony, to przecież nie wyszliby bez telefonu. Policjanci dbają o takie szczegóły, zabezpieczają aparaty, tablety czy komputery ludzi, których aresztują. To normalna procedura, którą znała z filmów kryminalnych. A ci co zrobili? Wcale ich ten telefon nie obchodził. Byli zainteresowani tylko Alioną i tym, żeby pójść do niej do pokoju i żeby się z nią tam zabawić. A Jura i Saszka wcale się tym nie przejęli. Ona mało nie zwariowała ze strachu, że będzie następna, a oni siedzieli i popijali sobie drinki, jakby się nic nie stało, jakby w pokoju za ścianą nie rozgrywał się dramat.

– Halo, mówi Sasza – usłyszała głos gospodyni, który wyrwał ją z zamyślenia. – Słuchaj, Jura jest zatrzymany przez policję. Ja też byłam, ale mnie wypuścili. Nie mają żadnych dowodów. Nie, nie przedstawili żadnych zarzutów i pewnie dlatego mnie wypuścili. Musisz po nas przyjechać. Jak po kogo? Po mnie i po Sonię.

Przez chwilę słuchała tego, co ma do powiedzenia osoba, z którą się połączyła.

– Słuchaj mnie, kretynie, oni mogą mnie śledzić, a poza tym Sonia miała telefon Aliony i zadzwoniła do swojej siostry. Jak zaraz nie przyjedziesz, to będzie gnój. Czekam w takim razie. Rozumiesz mnie, suko?!

Przerwała połączenie i położyła telefon na stole.

– Co za swołocz! – warknęła i dopiła drinka do końca. Sonia patrzyła na nią zdumiona. Dotąd Sasza wydawała się spokojną, opanowaną i pogodną osobą. A teraz pokazywała całkiem inne oblicze. Była spięta, a może po prostu się bała.

– Kto? – zapytała tylko po to, żeby dać jej do zrozumienia, że nie jest tu sama i w razie czego ma z kim porozmawiać.

– Ten jebany Fiedia – rzuciła i zaraz spojrzała uważnie na dziewczynę, jakby ta mogła wiedzieć, o kogo chodzi. Zaraz się jednak uśmiechnęła, zapewne doszedłszy do przekonania, że przecież Sonia nie ma pojęcia, o kim ona mówi. – Ten parszywiec na początku powiedział, że nie ma czasu, ale widzisz, z facetami trzeba krótko. Inaczej wejdą ci na głowę. Ten zaraz przyjedzie i zawiezie nas do domu pod Poznaniem.

– A co z moją siostrą? Ona tam będzie czekać.

Sasza przez chwilę się zastanawiała. W końcu podjęła decyzję.

– Masz rację, nie można jej tak zostawić. Trzeba jej powiedzieć, że odezwiemy się wieczorem, jak już będziesz bezpieczna. Włącz komórkę i wyślij jej esemesa, ale tylko krótką wiadomość, i zaraz wyłącz. A potem idź się spakuj. Zabierz wszystkie swoje rzeczy, żeby nie było tu śladu, że kiedyś tu byłaś.

Tak jak jej kazała, napisała szybko kilka słów, po czym wyłączyła telefon. Spakowała walizkę, zabierając wszystko, łącznie z pidżamą zwiniętą w pościeli i majtkami wiszącymi na sznurze w łazience. Po chwili stała już na korytarzu, gotowa do wyjścia. Chciała zaproponować, by posiedziały i pomilczały jeszcze chwilę starym zwyczajem przed drogą, ale nie zdążyła. Rozległ się dzwonek do drzwi i Saszka otworzyła. Gdy go zobaczyła wchodzącego do środka, mało nie umarła ze strachu.

Facet, który ją tak przeraził, siedział teraz za kierownicą terenowego wozu, a ona jechała z tyłu z ręką przywiązaną do drzwi auta.

– No i co, bładź, jak ci tam z tyłu? Jak myślisz o tym, że uciekniesz, to zapomnij. Twoja koleżanka Aliona tak myślała i co? Leży pół metra pod ziemią, ha, ha, ha!

Popatrzyła w lewo. Jechali po jakimś moście, mijając duży budynek, cały ze szkła, w kształcie pojemnika na chleb. A potem dojrzała tory kolejowe i pociągi. To musiał być dworzec o tajemniczej nazwie PKP, a gdzieś tam wśród ludzi czekała na nią siostra.

Wolsztyn **Godzina 14.40**

No niby miała pójść odpocząć. Po to ją wysłała do domu pani komendant, żeby odespała tę nockę. Czyli dostała sporo wolnego, bo w tej sytuacji powinna się zameldować w pracy dopiero jutro rano. Tyle że nie chciało się jej spać. Te dwie godziny na kozetce służbowej w komendzie wystarczyły w zupełności, a resztę zrobiła chyba adrenalina. Była gotowa do działania, a nie do spania. Więc gdy przyjechała do domu, bo mieszkała w oddalonym od Grodziska o kilkanaście kilometrów Wolsztynie, wiedziała już, że nie ma co tracić czasu na bezproduktywne wylegiwanie się w łóżku. Kiedy tylko weszła do mieszkania, natychmiast natrafiła na uważne spojrzenie Nerona, który czekał tylko na sygnał do wspólnej zabawy.

- To co powiesz na wycieczkę nad jezioro? - zapytała, a pies natychmiast zaczął merdać ogonem. Doskonale rozumiał, co powiedziała jego pani. - W takim razie poczekaj chwilę, bo muszę wziąć prysznic - wytłumaczyła.

Nero wrócił na swoje legowisko. Wiedział, że potrwa to przynajmniej kilkanaście minut, więc nie ma co siedzieć w korytarzu i kręcić się nerwowo.

Jego pani zdjęła mundur, rzuciła go na oparcie kanapy i poszła się umyć. Powinna się wyluzować i nie myśleć o pracy, ale ta dziewczyna za szpitala nie dawała jej spokoju. Nie rozmawiała z nią, ale przez chwilę mogła spojrzeć na nią przez szybę oddzielającą salę intensywnej opieki od korytarza. Podrapana twarz, podbite oko i opuchnięte wargi robiły straszne wrażenie. Alina zastanawiała się, jakim potworem trzeba być, żeby w ten sposób potraktować inną osobę, żeby doprowadzić ją do takiego stanu, a w końcu sprawić, że kobieta, walcząc o życie, musiała się przedzierać przez las, uciekając przed pogonią jak dzikie zwierzę... Zaraz stanął jej przed oczyma obraz z nagrania, na którym widać, jak przerażona wybiega na drogę i prosi Walkowskiego, żeby ten ją zabrał ze sobą. Nie знаła rosyjskiego, bo nie była z pokolenia tych, co to uczyli się tego języka w szkole, ale prośby były na tyle czytelne, że nie trzeba się było bardzo wsłuchiwać, żeby zrozumieć ich sens. Przerażona dziewczyna błagała o ratunek i na szczęście natrafiła na człowieka, który zabrał ją ze sobą. A co by się stało, gdyby go tam nie było? Przecież na filmie widać, jak po leśnej drodze toczy się toyota. Ci, którzy ją gonili, mogli w każdej chwili ją dopaść. Miała sporo szczęścia, że udało jej się uciec.

Wyszła spod prysznic, tylko pobieżnie wysuszyła włosy i spięła je w koński ogon. Nie było czasu do stracenia, bo Nero czekał. Ubrała się więc pośpiesznie, na głowę założyła zieloną bejsbolówkę, a wilgotne włosy wyciągnęła spod czapki przez otwór ponad paskiem regulatora wielkości. Dzięki temu miała pewność, że na spacerze wyschną w naturalny sposób.

Pies stał już pod drzwiami gotowy do wyjścia.

- Poczekaj, założymy ci jeszcze obrożę - wyjaśniała spokojnym głosem, tak by jej psina wiedziała, co się dzieje. Ale często miała wrażenie, że Nero doskonale wszystko rozumie. W zasadzie to nawet można powiedzieć, że rozumieli się bez słów. W końcu te owczarki niemieckie są diabelnie inteligentne.

Wolsztyn to miasto położone nad dwoma jeziorami. Mniejsze z nich niemal wchodzi dwiema zatokami w miejską tkankę. Wystarczy znaleźć się na rynku, by po chwili ulicą Poznańską dotrzeć do brzegu jeziora. Alina musiała przeciąć główny plac i podążyć znaną sobie drogą. Nero szedł przodem, doskonale wiedząc, dokąd zmierzają. Robili tę trasę zawsze wtedy, gdy jego pani miała więcej czasu. Byli teraz prawie na środku rynku, koło tablic na aluminiowych stojakach, na których urząd miejski chwalił się swoimi osiągnięciami, co zazwyczaj mało obchodziło przechodniów. Naraz spojrzenie Aliny

zatrzymało się na jakimś znajomym kształcie. Znała ten samochód. Biały land cruiser wyglądał dokładnie tak samo jak ten sfilmowany w lesie przez właściciela quada.

Nero obejrzał się na swoją panią zdziwiony tym, że przystanęła bez wyraźnego powodu. Alina poklepała go po brązowym, lekko przypalonym łbie i powoli ruszyła do przodu, nie spuszczając samochodu z oczu. Przeszła kilka metrów i znów się zatrzymała. Z prawej strony, koło ratusza, była ławka. Siedziała na niej jakaś kobieta z pięcioletnim dzieckiem. Oboje jedli lody. Podeszła do nich i nie pytając o zgodę, usiadła obok. Nero przysiadł przy jej nogach.

- A taki duży pies to nie gryzie czasami? - zapytała kobieta.

- Gryzie - odpowiedziała policjantka obojętnym tonem. - Ale tylko, jak go ktoś wkurzy.

Matka nie miała zamiaru ryzykować, że wielki pies pożre jej dziecko. Chwyliła malca za rękę i pociągnęła za sobą.

I bardzo dobrze, pomyślała policjantka. Nie miała ochoty na pogaduchy, wpatrzona w auto. Z tej odległości widać było wyraźnie, że samochód jest na ukraińskich numerach. Za kierownicą siedział jakiś napakowany facet o ciemnych, krótko przyciętych włosach. Na gołym, lewym ramieniu kulturysty widać było jakiś tatuaż, ale z tej odległości nie mogła rozpoznać, co na nim jest. Facet palił papierosa, wpatrując się obojętnym spojrzeniem w przestrzeń przed sobą. Z tyłu dostrzegła kobietę o jasnych włosach spiętych w gruby warkocz. Właściwie była to młoda dziewczyna. Przez chwilę patrzyła na kierowcę, który odwrócił się do niej i coś jej tłumaczył. Pokiwała szybko głową, a potem zwróciła się twarzą w kierunku rynku. Była bardzo ładna...

- A ty co tu robisz? - Między nią a obserwowanym autem pojawiła się jak duch jej najbliższa koleżanka. Natalia pracowała w miejscowej gazecie. Była reporterką i codziennie przemierzała miasto i okolice wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu tematów, które mogłyby zainteresować miejscowych czytelników.

- Boże, Nati, spadłaś mi z nieba.

- Nie z nieba, tylko z ratusza. Byłam pogadać z burmistrzem o...

- Słuchaj - przerwała jej Alina - weź złap smycz Nera i stańcie tam, o. - Wskazała miejsce między sobą a toyotą.

- A po co?

- Powiem ci wszystko, ale teraz zrób, o co cię proszę.

Dziennikarka zdziwiła się, słysząc nieczęsto spotykany u przyjaciółki rozkazujący ton. Ale poczuła od razu, że nie ma co dyskutować. Najwyraźniej albo coś się stało, albo Alina zwariowała. Trzeba to będzie później wyjaśnić, ale na razie niech ma, co chce.

- Chodź, Neruś, zrobimy to, o co prosi pani...

- Zachowuj się tak, jakbyś pozowała do zdjęć z psem. Uśmiechaj się głupio i patrz w obiektyw.

- Jaki obiektyw?

- Cicho, już robię ci focie. Rób ładne miny...

Dziennikarka знаła policjantkę od dziecka. Chodziły razem do szkoły i przyjaźniły się właściwie od zawsze. Dlatego gdy teraz Alina zabrała się do robienia sweet foci, doszła do wniosku, że jej wstępna diagnoza była trafna. Ona rzeczywiście postradała rozum...

- Uśmiechaj się, głaszcz psa! - instruowała ją, a Natalia spoglądała w obiektyw z coraz większą obawą o przyjaciółkę, ale i o siebie, i nawet przyszłe losy tego pięknego psa. Alina tymczasem nie zwracała najmniejszej uwagi na oba swoje modele. Robiła zdjęcia raz za razem, kierując obiektyw na toyotę. Widziała twarz kierowcy i pasażerki z tyłu. W kadrze pojawiła się po chwili krótko obcięta, drobna kobieta w dżinsach i bluzie z kapturem. Na nosie miała ciemne okulary o wielkich szklach, które zasłaniały jej pół twarzy. W rękach trzymała dwie siatki wypchane zakupami. Wrzuciła to wszystko na tylne siedzenie, po czym wskoczyła na miejsce obok kierowcy. Przez chwilę ta dwójka z przodu o czymś

rozmawiała. Alina miała wrażenie, że się sprzeczą. W końcu mężczyzna przyłożył swojej towarzysze rękę do twarzy w pozornie pieszczotliwym geście, ale ta natychmiast odsunęła się od wielkiej łapy.

Po sekundzie kierowca odpalił silnik i toyota powoli ruszyła.

Alina zrobiła jeszcze dwa zdjęcia i schowała telefon do kieszeni.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską w głosie Natalia.

Koleżanka pokręciła głową, ale wcale nie chodziło jej o to, żeby podważyć diagnozę przyjaciółki. Ona wcale jej nie słuchała. Myślami była w zupełnie innym miejscu.

- Nati, masz tu samochód?

- Co?

- No, twoje piękne autko. Twoją alfę romeo. Masz tu gdzieś zaparkowaną?

- Mam, a co?

- Możesz nas podwieźć?

- Gdzie?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Alina, patrząc na oddalającą się toyotę.

- Wszystko w porządku...?

- Tak, świetnie, doskonale. Wszystko ci wyjaśnię po drodze. Tylko chodź... Gdzie parkujesz? - Rozejrzała się wokół.

- Tu, pod lodziarnią - odpowiedziała coraz bardziej zdezorientowana Natalia.

Wzięła od koleżanki smycz i ruszyła zdecydowanym krokiem. Dobrze знаła białą sylwetkę auta Natalii. Podeszła do samochodu, ustawiając się przy drzwiach pasażera. Dziennikarka otworzyła je pilotem. Nero bez specjalnego namawiania wskoczył do tyłu. Alina wsiadła i zatrzasnęła drzwi.

- Jedziemy tam. - Wskazała ulicę wychodzącą z rynku. Auto ruszyło. - Za tą białą toyotą.

- Jaką toyotą?

- Stała za tobą. To jej robiłam zdjęcia, nie tobie. Przepraszam, Nati, że cię wykorzystałam. Ale nie miałam innego wyjścia.

- Zaraz, czy ty chcesz mi powiedzieć, że uczestniczymy w policyjnym pościgu? - Reporterce aż zaświeciły się oczy. Poczowała nagle, że w ręce wpada jej temat życia.

- No, niezupełnie... - Alina przez chwilę zastanawiała się, jak to wszystko wytłumaczyć przyjaciółce, żeby za dużo nie zdradzić, bo przecież nie mogła wciągnąć ją w szczegóły śledztwa. A z drugiej strony nie tylko ją wciągała, ale jeszcze wykorzystywała jak taksówkę do śledzenia podejrzanego samochodu.

- Mam jechać szybciej? - spytała Natalia. - Wiesz, że moje autko jest podrasowane, więc jakby co...

- Tu jest ograniczenie do czterdziestki - upomniała ją policjantka. - Zaraz ich zobaczymy, bo przecież nie mogą pędzić przez te spowalniacze. O, już ich widzę. - Miała rację. Na uliczkach w centrum miasta zainstalowano jakiś czas temu sporo progów zwalniających, więc szybsza jazda była raczej niemożliwa.

- To jacyś bandyci? - Dziennikarka już zaczęła sobie w głowie układać wstępny szkielec sensacyjnego artykułu, w którym opíše pościg ulicami Wolsztyna...

- Nie wiem. Mam tylko takie podejrzenia. - Alina próbowała bagatelizować sprawę. Na szczęście Natalia nie widziała jej twarzy, więc nie dostrzegła kłamstwa w jej oczach.

- Jadą na Grodzisk - zauważyła reporterka. - Jedziemy za nimi?

- Jeśli tylko masz czas - odpowiedziała Alina, siląc się na obojętność. Ale była mocno podekscytowana. Czowała, że natrafiła na coś bardzo ważnego. I była przekonana, że to auto doprowadzi ją do miejsca, gdzie wszystko się wkrótce wyjaśni. Tyle że nie mogła o tym powiedzieć koleżance. Na razie nikomu nie mogła o tym powiedzieć, bo musiała sama to wszystko jeszcze sprawdzić.

– Ona już nie przyjdzie – stwierdził Turek, gasząc piątego papierosa wypalonego w ciągu kilkudziesięciu minut oczekiwania. Nadia spojrzała na niego bezradnie, a potem na wyświetlacz swojego telefonu.

– Nu ale przecież mówiła mnie, co tu przyjedzie.

– Mówiła, że przyjedzie, ale nie przyjechała. Znaczy się, że coś się stało.

– Niemożliwe. My rozmawiały!

– Może jakoś się nie dogadałyście? – zasugerował Turek.

– My dogadali się. Ja jej powiedziała, że będę czekać tu, gdzie punkt dla bieżących. Albo ona niech tu czeka. Ali nie ma jej. To może my poczekamy jeszcze troszku – zaproponowała Nadia. Mówiła już coraz lepiej po polsku, tak że Turek nie miał problemu z dogadaniem się, ale w dalszym ciągu nie znała wielu słów i zastępowała je rosyjskimi, choć próbowała je spolszczyć.

– Możemy poczekać. Ale coś mi się widzi, że się coś musiało stać.

– Może się zagubiła?

– Przecież jej powiedziałaś, jak ma jechać, nie? Mówiłaś, że może wsiąść do jakiegoś tramwaju czy autobusu.

– Tak ja jej powiedziała.

– No to nawet jakby wsiadła do złego tramwaju, to w końcu by jej ludzie powiedzieli, jak ma jechać.

– Może być, co ona nie dogadała się z ludźmi. Ona nie zna polskiego.

– Ty też jeszcze dobrze nie znasz, a się dogadujesz – stwierdził Turek, sięgając po kolejnego papierosa. Nie zdążył jednak zapalić. Odezwał się jego telefon. Sprawdził na wyświetlaczu, czy aby na pewno odebrać, bo nie miał ochoty tracić czasu na pogaduszki o nowej ofercie operatora sieci komórkowej. Zobaczył nazwisko Drążkowski, więc nie było nad czym się zastanawiać.

– Muszę odebrać – wytłumaczył się zupełnie niepotrzebnie Nadii. Ale ona była wpatrzona w wyświetlacz swojego telefonu. Pewnie czytała jeszcze raz ostatnią wiadomość od siostry, w której ta pisała, że nie może przyjechać, żeby się nie martwiła, bo nic się nie stało, i że wkrótce się odezwie. Nie odezwała się i co gorsze, telefon, z którego dzwoniła, znów był wyłączony. Dlatego Turek i Nadia siedzieli teraz na murku pod wejściem do starego dworca i czekali, nie bardzo wiedząc, co dalej robić.

– Czołem, Szymek, co tam słyhać? – odezwał się kolega.

Na dworzec wjechał pospieszny z Rzeszowa. Wagony zatrzymały się i zaraz na peron zaczęły wylewać się tłumy uchodźców z Ukrainy. Nie można ich było pomylić z miejscowymi. Kobiety były obładowane do granic możliwości. Rozglądały się niepewnie, prowadząc za ręce dzieci. Te szły zaciekawione i zadowolone, bo wreszcie po wielu godzinach nudnej jazdy zaczynało się coś dziać. W tłumie uwijali się wolontariusze w czapeczkach z daszkiem i jaskrawozielonych kamizelkach. Młodzi ludzie, studenci poznańskich uczelni, byli jak lekarze pierwszego kontaktu. Dawali przyjezdnym nadzieję, że będzie normalnie, odzywając się do nich w ich ojczystym języku. Byli to bowiem młodzi Ukraińcy i Białorusini, którzy studiowali w Poznaniu od jakiegoś czasu, więc doskonale nadawali się do kierowania uchodźczym ruchem. Turek nie dostrzegał jednak w tej ciżbie niczego poza ludzką masą. On skupiony był na jednym zadaniu, odnalezieniu siostry Nadii, więc nikt spośród przyjezdnych go nie zainteresował.

Nie wymienili z Przemkiem nawet uprzejmości. W końcu znali się od dawna, a w rozmowach na tematy dotyczące tego, czym się akurat zajmują, nie było co tracić czasu na pytanie o zdrowie żony. Tym bardziej że, o ile pytanie takie w przypadku Drążkowskiego miało jeszcze jakiś sens, w drugą stronę nie miało żadnego zastosowania.

– Nic, jestem na dworcu – odpowiedział Turek.

– No wiem. Aneta mówiła. Miałeś odebrać tę małą, ale ona podobno nie dojechała.

– Zniknęła w drodze. A myśmy już po nią jechali. Rozumiesz, już drugi raz jedziemy po tę dziewczynę na dworzec, stary. I za każdym razem dupa. Ja mam taką myśl nawet, że jak ja jadę, to się nie może udać. Raz pojechaliśmy, to się ten mój stary opel rozkraczył i musiałem na szybko pożyczać auto od znajomego. A dziś już nic z nim nie było, znaczy jechał jak nowy, i mieliśmy ją odebrać, ale wyobraź sobie, że wysłała do mojej Nadii eskę, że nie przyjedzie, żeby się nie martwić...

– No tak. – Drażkowski odczekał chwilę, by Turek się uspokoił. Słyszał w głosie kolegi wyraźną irytację. Ale usłyszał też jeszcze coś innego. Była tam troska o tę dziewczynę, której nawet nie znał, i jakieś cieplejsze uczucie, gdy wspominał o Nadii. Powiedział „mojej” i pewnie nawet nie zwrócił na to uwagi. Ten zrzędlawy stary pierdziel najwyraźniej nie traktował swojej lokatorki jak obcej osoby, ale jak członka rodziny.

Jednak Przemek dzwonił do niego w konkretnej sprawie i nie miał zamiaru przeprowadzać psychologicznej analizy stosunków panujących w domu Turka. Przyszła mu pewna myśl do głowy i postanowił się nią z nim podzielić. Niedawno przyjechał do Poznania, odstawił Anetę do jej mieszkania na Wildzie, bo zależało jej na czasie. Powiedziała, że ma pilne spotkanie, więc nie było sprawy, można było z Grodziska przejechać w pobliżu jej bloku na 28 Czerwca. Potem wysadził Łonkę Tkaczuka, który w drodze powrotnej zdążył się umówić z kimś w Starym Browarze, i teraz sam wracał na Szylinga, żeby odstawić radiowóz na parking przy komendzie. No i wtedy przyszło mu do głowy, że być może Turek jeszcze sterczy pod dworcem, bo nie wie, co ma dalej robić. A on miał pewien pomysł.

– A tak w ogóle to o co ci chodzi? – zapytał Turek.

– Słuchaj, bo ja sobie myślę, że zabieramy się do sprawy od dupy strony...

– Tej, czekaj! – przerwał mu Turek.

– Co jest?

– Cholera, ten gość zaczepia dwie dziewczyny.

– Jaki, do cholery, gość?

– No pod dworcem. Taki kark dowala się do dziewczyn, co przyjechały z Rzeszowa...

– Turek, poczekaj!

Ale Turek nie miał zamiaru czekać. Jeszcze przed chwilą patrzył obojętnie na tłum uchodźców, a właściwie uchodźczyń, które po przeciwnej stronie dworcowego placu ustawiały się w kolejkę do pierwszej pomocy żywnościowej i informacyjnej. Stało tam już ze sto osób. Do ogonka kierowali ich wolontariusze, odpowiadający na wszelkie pytania i wątpliwości. To był obrazek, który nie za bardzo interesował Turka, bo skupiał się na rozmowie z Przemkiem. Jednak w pewnym momencie zaczął przyglądać się uważniej dwóm młodym dziewczynom z końca kolejki. Przy ich nogach stały duże walizki, a na ramionach miały duże plecaki. Były w wieku wolontariuszek, które pomogły im zająć miejsce w ogonku, a potem zostawiły je samym sobie. Po chwili do dziewczyn podszedł jakiś wielki facet. Zaczął z nimi rozmawiać. Wtedy Turek zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Gość wymachiwał rękoma i wskazywał na samochód zaparkowany przy krawężniku, kilka metrów dalej. Przy starej beemce z lat dziewięćdziesiątych stał drugi mężczyzna, który uważnie wszystko obserwował. Ten bliżej dziewczyn w końcu nachylił się, złapał dwie walizki i chciał z nimi ruszyć w stronę auta. Jedna z dziewczyn chwyciła go za przedramię. Szarpnęła się i szedł dalej, ale ona nie dawała za wygraną. Druga zastąpiła mu drogę, ale mężczyzna odepchnął ją barkiem tak mocno, że zachwiała się i upadła na chodnik. Ludzie z kolejki patrzyli na to z obojętnością uczestników seansu w kinie familijnym, gdzie czymś zupełnie normalnym jest scena, w której mąż bije żonę i nikogo to nie obchodzi.

Ten, który stał przy aucie, podbiegł do leżącej dziewczyny. Podniósł ją i zaczął ciągnąć za sobą. Ten pierwszy parł do przodu z jej uczepioną weń koleżanką. Dziewczyna nie zamierzała się poddać. Patrzyła na tych obojętnych w kolejce i wołała coś po rosyjsku:

– Люди, помогите, пожалуйста!

- Nadia, co ona krzyczy? - Turek wskazał szarpiących się ludzi.
- Żeby ją ratować! - odpowiedziała i ruszyła w stronę dziewczyn.

To wystarczyło policjantowi. Pobiegł za Nadią i nawet ją wyprzedził. Dopadł do samochodu akurat w chwili, gdy kierowca próbował wcisnąć jedną z nich na tylną kanapę. Bił ją po głowie i kopał po nogach, żeby tylko przestała stawiać opór i dała się zamknąć w aucie. Turek w pełnym biegu uderzył go z całej siły pięścią w twarz, co spowodowało, że gość zrobił się miękki jak plastelinowy ludzik na słońcu i spłynął na chodnik. Ten drugi, znacznie większy od kierowcy, widząc, jak jego towarzysz wypada z gry, niewiele się zastanawiając, ruszył przed siebie, by dać nauczkę nieznanemu. Na pierwszy rzut oka Turek nie miał z nim żadnych szans. Atakujący wyglądał jak goryl, który codziennymi wytrwałymi ćwiczeniami w podciąganiu się na drzewa dba o kulturę fizyczną. Niestety ta nie szła u niego w parze z kulturą ducha.

- Zajebię cię, ty jebany skurwysynu! - krzyknął, zbliżając się do Turka. Nie zdążył jednak spełnić swojej groźby, bo do akcji wkroczyła Nadia. Zachowała się tak, jakby całe życie ćwiczyła ciosy karate zadawane nogą. Wysunęła stopę obutą w skórzanego martensa i kopnęła biegnącego osiłka w goleń. Musiała dobrze trafić, bo ten padł jak długi na chodnik. Stało się to tak szybko i dla niego niespodziewanie, że nawet nie zdążył instynktownie zamortyzować upadku. Uderzył w płytę chodnikową czołem i nosem. W ten sposób także drugi z napastników został całkowicie wyeliminowany.

Turek podszedł do leżącego, by sprawdzić, czy nie uszkodził go za mocno, ale powstrzymał go stanowczym gestem posterunkowy o czerwonej twarzy, naznaczonej młodzieńczymi krostami na policzkach. Jego partner z patrolu tymczasem ruszył w kierunku Nadii.

- Co pani tu wyprawia! - zawołał groźnie policjant, ale głos miał jeszcze dość piskliwy, więc raczej trudno by mu było doprowadzić nim kogoś do łez.

- Ej, ty, młody, zostaw ją! - Turek dojrzał zza ramienia posterunkowego, że jego kolega pcha się z łapami do Nadii. Chciał ruszyć jej na pomoc, ale ten przyszczaty wyciągnął zza paska pałkę.

- Nie ruszać się i na głębę! - zawołał groźnie, ale nikogo swoim głosem nie przestraszył.

Turek chwycił pałkę, wyrwał mu ją z ręki i w dwóch susach przypadł do drugiego z policjantów. Ten pierwszy był tak zdziwiony tym, co zaszło, że nie potrafił odpowiednio zareagować. Turek tymczasem podsunął zdobyczną pałkę pod nos temu drugiemu, pucułowatemu miśkowi, i wysyczał mu do ucha:

- Dotknij ją jeszcze raz, to ci oderwę rękę.

- Zostaw go, bo będę strzelał!

- Czym chcesz strzelać, synku? - rozległ się spokojny głos, który Turek rozpoznał natychmiast. Z radiowozu wysiadał właśnie Przemek Drażkowski. - Posterunkowy, atakujesz bez powodu policjanta w cywilu - odezwał się do chłopaka. - Panie aspirancie, potrzebuje pan pomocy? - zapytał Turka.

- Niech te dwa Szwejki skują tych leżących gnojków. Chcieli uprowadzić te panienki. - Szymon wskazał dwie dziewczyny zbierające z chodnika swój bagaż. - I niech spiszą ich zeznania.

- Zrozumieli? - zapytał Drażkowski.

- Tak jest, panie aspirancie - odpowiedział ten rozbrojony przez Turka. - A mogę moją pałkę dostać, bo wie pan... - Turek wiedział. Jakby się wydało, że stracił pałę, byłby obciach na całą komendę. Oddał, ale najpierw mu nią pogroził.

- To co miałeś za sprawę? - zapytał Turek.

- Mam pomysł. Ale to może poczekać.

- Nic nie może poczekać, póki Sonia jest gdzieś...

Drażkowski pokiwał głową i zaraz spojrzął na Nadię. Nie znał jej, ale domyślił się, że ta postawna kobieta o miłej twarzy, trzymająca Turka pod ramię, to musi być ta kobieta, o której Turek powiedział kilka minut temu „moja Nadia”.

Ona się wyraźnie na nią patrzyła, doszła do wniosku Sonia. Robiła zdjęcia tym swoim telefonem i patrzyła się prosto w oczy. Tylko co z tego? Przecież była zainteresowana swoją koleżanką i tym wielkim psem. To, że ich spojrzenia się spotkały, nie miało żadnego znaczenia. Przecież nie pójdzie z tymi swoimi zdjęciami na policję i nie powie: „Ta dziewczyna w tym samochodzie siedzi wbrew swojej woli”. Bo i niby skąd ma to wiedzieć? Ale gdyby ta blondynka była bardziej przenikliwa, to dostrzegłaby w jej oczach strach o życie. Nie, na pewno niczego nie dostrzegła, mimo że zrobiła sporo tych zdjęć. Ona była zainteresowana tylko tą ładną brunetką i ładnym psem. Ale co się dziwić. Gdyby była na jej miejscu i robiła zdjęcia siostrze i jej dzieciom, to czy w ogóle zwróciłyby uwagę, że ktoś siedzi w aucie? Najwyżej powiedziałyby Nadii, żeby odeszły trochę na bok, bo ta smutna twarz psuje ujęcia. Tylko dlaczego ich spojrzenia się spotkały? Dlaczego miała wrażenie, że tamta rozumie, co się z nią dzieje, zastanawiała się gorączkowo Sonia, podczas gdy auto prowadzone przez tego brodatego goryla jechało gdzieś w nieznane. Fiodor od czasu do czasu spoglądał na nią w lusterku, jakby sprawdzał, co robi. Przymykała wówczas oczy, udając, że śpi.

Gdy przyszedł wtedy do mieszkania po raz pierwszy, była przekonana, że jest policjantem. A tymczasem okazał się zwykłym bandziorem. A Saszka? Wydała ją im w ręce, jakby była jakąś dmuchaną lalką. Najpierw oszukali ją i zabrali całe złoto i dolary, jakie miała przy sobie. Oddała im to niby na wykup, a tak naprawdę wszyscy byli w zмовie. Chodziło o to, żeby ją ograbić, a gdy już nie będzie miała czego sprzedać, żeby jeszcze trochę na niej zarobić.

Analizowała swoją sytuację, ale jednocześnie starała się słuchać i obserwować. Samochód mijał kolejne miejscowości. Małe wioski wyglądały schludnie i czysto. Dotąd wydawało jej się, że na Ukrainie też jest porządek, ale prawdziwy porządek widać dopiero w Polsce. Tu wszędzie asfalt i nigdzie żadnej rozpadającej się chałupy. Nawet płoty stoją prosto. Czuć, że to Europa. Tylko co jej z tej wiedzy, że jest w europejskim kraju i może oddychać tym europejskim powietrzem, jeśli jest w łapach bydłaków z Rosji? Po to przejechała przez całą Ukrainę, przez całą Polskę prawie pod niemiecką granicę, żeby się dostać w niewolę do Ruskich? Była rozżalona na niesprawiedliwy los. Mogła zostać w Charkowie, tam też okupanci, a przynajmniej niebo nad nimi własne.

- Zaraz będziemy na miejscu - odezwał się Fiodor do Saszki.

- I co tam będziemy robić? - odpowiedziała zasnym głosem. Nie odzywała się ani słowem, odkąd wyjechali z tego małego miasteczka. Przyniosła tylko jakieś produkty kupione w sklepie i od razu zasnęła. A Fiodor gapił się na jej zgrabne nogi i się obliżywał.

- A co byś chciała robić? - Fiodor odwrócił się do Saszki.

- Spać bym chciała.

- Spać zawsze można - odpowiedział, uśmiechając się przy tym oblesnie. - Ale dobrze jest spać w dobrym towarzystwie.

- A tobie co, Fiodor, chodzi po tym durnym łbie? - odpowiedziała opryskliwym tonem Saszka.

- No wiesz...

- Wiem albo nie wiem. Gadaj - zachęciła go, wyraźnie dając do zrozumienia, że jednak ma ochotę na takie dwuznaczne rozmowy.

- Bo ja tak sobie myślę, że dom duży i łóżka duże, to na co nam się po pokojach szukać, jak można sobie kulturalnie na gwiazdy razem popatrzeć.

- A mnie się widzi, Fiedia, że ty nie w gwiazdy chcesz patrzeć, a w czarną dziurę.

- Gdzie ja chcę, to ja wiem i ty wiesz, więc szkoda gadać za dużo.

- A pewnie, że wiem. Tylko nie wiem, czemu teraz taki śmiały jesteś, a znamy się tyle czasu, to żeś wcześniej o tym, co chcesz, nie pomyślał. To ja ci powiem czemu. Bo ty żeś się Jury bał. A jak teraz on siedzi, to ty chcesz mu żonę przelecieć?

Przez chwilę jechali w milczeniu. Fiodor najwyraźniej zastanawiał się, jak jej udowodnić swoje zdecydowanie i brak strachu. W końcu chyba wpadł na pomysł, bo uśmiechnął się pod nosem, a auto zaczęło zwalniać.

- No i co teraz zrobisz, Fiedia? - przerwała ciszę i zapytała drwiąco, gdy samochód zjechał z drogi i wtoczył się na leśny dukt.

- Jak to co? Pokażę ci, że niczego się nie boję. I nikogo. Ani tego twojego Jurki, ani ciebie nawet.

Wyłączył silnik i otworzył okno. Saszka spojrzała na niego wyczekująco.

- Ja na twoim miejscu bym się bała Boga.

- Boga nie ma. Ja teraz będę twoim bogiem. - Wyciągnął w jej kierunku rękę i położył na piersi.

- Oj! - jęknęła. - No co ty robisz, Fiedia?

- Jak co? Pokazuję, że się nikogo nie boję!

- Przestań, bo zaraz ta z tyłu się obudzi i co wtedy?

- A co mnie to obchodzi.

- Ale mnie obchodzi. Nie lubię się z nikim dzielić.

- Przecież ja nie będę jej pieprzył, ale ciebie.

- Co powiedziałeś?

- To, co słyszałaś.

- Ale jak ona zobaczy?

- No to pieprzyć ją.

- O nie, albo ja, albo ona. Nie ma dwóch naraz. To nie jest niemiecki pornol, ale samo życie. To co, chcesz ją, to proszę bardzo. Ja sobie pójdę na spacer, a ty sobie ją możesz przelecieć.

- No coś ty, Saszka, ja tylko ciebie, a nie jakąś małą dziwkę.

- To wyjdźmy z samochodu.

- Dokąd?

- Obojętnie.

- Dobra, chodź tam, widzisz, tam jest jakaś trawa. Byłaś już rżnięta na trawie?

- Fiedka, ty dumny jesteś. Ty się powinien zapytać, czy jest takie miejsce, gdzie jeszcze nie byłam rżnięta.

- A co z nią zrobimy?

- Nic. Niech siedzi. Przecież przypiąłeś ją do drzwi trytytką. Choćby nie wiem, jak się starała, to nie przegryzie. - Powiedziawszy to, zaśmiała się głośno...

Boże, czy to się naprawdę dzieje? - myślała Sonia, obserwując spod przymrużonych powiek oddalającą się od auta parę. Na szczęście dla niej chyba Saszka właśnie ją uratowała. Powiedziała mu wyraźnie, że nie chce się z nikim dzielić. A to znaczyło, że na razie jest bezpieczna.

Poznań
Godzina 18.20

Wysłała esemesa jeszcze z drogi. Napisała, że po południu będzie już wolna. Włodek odpowiedział jej, że jest szczęśliwy i czy Francuski Łącznik może być tym miejscem, w którym będzie miał przyjemność ją zobaczyć. Nie miała nic przeciwko temu, bo była to przytulna knajpka. Taka nietypowa, w której podawano francuskie tarty.

Umówiła się na osiemnąstą, ale nie dojechała na czas. Wszystko przez Blachę. Gdy wyszła spod prysznicza i zaczęła się przygotowywać do wyjścia, zadzwonił Mariusz. Włączyła więc telefon na głośnomówiący, żeby, siedząc przed lustrem, mieć wolne ręce i móc dalej pracować nad swoim wyglądem.

- Co robisz? - zapytał jak zwykle, gdy dzwonił poza godzinami pracy i rozmowa miała mieć znamiona pozasłużbowej. Choć w zasadzie pozasłużbowy był tylko lekki ton, bo tematy, o których rozmawiali, i tak, nie wiedzieć kiedy, stawały się tymi, które ich w tej chwili najbardziej obchodziły służbowo.

- Wróciłam z Grodziska i teraz się szykuję do wyjścia.

- A, czyżby jakaś randka?

- Nie, raczej... no nie wiem... - Od razu się zaplątała. Sama do końca nie wiedziała, jak nazwać to spotkanie. Jeszcze nie była to randka, jeszcze nie umawiała się z facetem, wiedząc, że coś do niego czuje. Podobał jej się, to fakt. Robił dobre wrażenie, jeśli chodzi o powierzchowność, i poza tym był sympatyczny. Do tego jeszcze jej imponował, bo pomagał bezinteresownie ludziom w potrzebie. A to mogło oznaczać, że jest dobrym człowiekiem. Aneta była wyczulona na dobrych ludzi może dlatego, że w swojej pracy miała na co dzień do czynienia z nieuczciwością i złem.

Tylko czy miała czas i możliwości, żeby się z nim spotykać? Przecież często było tak, że nie miała kiedy odebrać telefonu. Nawet dzisiaj. Siedziała na tej naradzie w Grodzisku, on pisał do niej, a ona nawet nie mogła wziąć komórki do ręki, żeby powiedzieć, że nie ma czasu i jest cholernie zajęta. Czy w takim razie jest wobec niego uczciwa, dając mu nadzieję, że po którymś spotkaniu zostaną parą? Może od razu powinna powiedzieć, że ich związek, jeśli oczywiście myśli o nim, nie ma na dłuższą metę szans. Ona ciągle będzie odrzucała połączenia i nie będzie odpisywała na wiadomości. A on miałby cierpliwie czekać, aż znajdzie dla niego chwilę? Nie, to wszystko jest bez sensu.

- Czego nie wiesz? - pytał Blacha.

- Nie wiem, czy to coś poważnego. Facet jest wolontariuszem. Pracujemy razem w punkcie przyjęć dla uchodźców. Świetnie nam się rozmawia, mamy sporo wspólnych tematów. Ale nie wiem, czy on jest gotowy zaakceptować to, co robię. No wiesz, że pracuję w policji.

W słuchawce przez chwilę zapadła cisza. A potem usłyszała głośny śmiech.

- Co się śmiesz?

- Bo dawno nie słyszałem bardziej żalosalnej wymówki.

- Jakiej wymówki?

- To już nie czasy PRL-u, że ludzie wstydzi się przyznawać w towarzystwie, że są milicjantami. Wszystko się zmieniło. Ale ja wiem, w czym rzecz. Ty szukasz usprawiedliwienia dla własnego strachu przed zaangażowaniem. Ciągłe uciekasz od związków, nie możesz sobie znaleźć nikogo, bo uważasz, że nie jesteś dość dobra dla tych twoich potencjalnych facetów. A to, co teraz wymyśliłaś, to już przechodzi ludzkie pojęcie.

- Taka jest prawda. Nic chyba nie rozumiesz. Przecież chodzi o to, że za dużo z siebie daję w pracy. I nie jestem w stanie nikomu obiecać, że pod wpływem uczucia się to zmieni. Robota pochłania mnie tak bardzo, że zapominam o jedzeniu.

- Dlatego tak dobrze wyglądasz.

- Nie żartuj. Ja tylko tłumaczę ci, że jeśli ten gość chciałby się ze mną związać, to wzięłby w pakiecie mnie i cały nasz wydział, łącznie z tobą. Dlatego nie powiedziałam mu, że pracuję w policji.

- To zrób to.

- Myślisz?

- Tak będzie najprościej.

- Może masz rację - odpowiedziała zamyślona. Nie miała wcale pewności, czy Blacha rzeczywiście dobrze jej radzi. W końcu sam nie był najlepszym specjalistą w kwestiach damsko-męskich. Przez wiele

lat nie był w stanie ułożyć swojego prywatnego życia, miotając się między dwoma kobietami. Jedna z nich była mężatką, która nie mogła wybrać między nim a mężem, natomiast druga, mimo że wolna, ciągle zajęta była pracą i własną karierą w prokuraturze, więc dla niego nie starczało już miejsca.

Z rozmowy o sprawach osobistych płynnie przeszli do ustaleń dotyczących śledztwa, które nabierało tempa. Mariusz zrelacjonował jej efekty przesłuchania pary Ukraińców, u których najprawdopodobniej przebywały zaginione dziewczyny.

- Tego faceta zatrzymaliśmy na razie, ale go jutro wypuszczę. Nie chcę jeszcze prosić o nakaz prokuratorski, bo nie mam na niego niczego, czego adwokat nie byłby w stanie obalić. Brakuje mocnych danych.

- Będziesz je miał, jak dziewczyna, która leży w szpitalu w Grodzisku, zacznie mówić. Komendantka z Grodziska już z nią rozmawiała, ale tylko przez kilka minut, więc jeszcze potrzebne jest pełne zeznanie, a to będziemy mieli dopiero, jak dziewczyna dojdzie już do siebie. Przynajmniej mam taką nadzieję. No i jeszcze jedno, ta druga się znalazła. Turek dzwonił i mówił, że odezwała się do swojej siostry. Miał ją przejąć i zabrać do siebie do domu. Jeśli wszystko poszło po jego myśli, to jutro będziemy mieć jej zeznanie i tej drugiej z Grodziska również. Czyli spodziewam się, że obie powiedzą nam coś na temat tego zatrzymanego małżeństwa. A co mówi ta kobieta?

- Przyparłem ją do muru podczas przesłuchania i... wypuściłem.

- A po co?

- Mam nadzieję, że spanikuje i zrobi coś głupiego - wyjaśnił, zadowolony ze swojego pomysłu. - Jej męża zostawiłem w celi, bo gdyby wyszli oboje, mogliby być bardziej ostrożni. On jest zimnym draniem, a ona bardzo żywiołowa. Tak więc trzeba liczyć na jej nierozważny ruch...

- Boże, nie mam czasu na rozmowy, muszę się jeszcze umalować! - krzyknęła, nachylając się do aparatu.

- Uważaj na siebie - powiedział rozbawiony Błaszowski i przerwał połączenie. Najszybciej, jak mogła, dokończyła malowanie, czesanie i ubieranie, ale i tak nie miała już najmniejszych szans dotrzeć na czas. Zamówiła ubera i zbiegła na dół. Z trasy napisała do Włodka, że się spóźni, a on w odpowiedzi przysłał jej uśmiechniętą buźkę.

Dwadzieścia po szóstej była na miejscu. Znalazła go siedzącego przy stoliku, pochylonego nad wyświetlaczem telefonu. Gdy pojawiła się w drzwiach, wstał natychmiast. Ubrany był w białą lnianą koszulę i dżinsy. Na nogach miał niebieskie zamszowe mokasyny. Musiała przyznać, że naprawdę dobrze się prezentował. Zauważyła, że brodę miał starannie przyciętą i wyrównaną na policzkach. Podobnie było z jasnymi włosami, które podgolone zostały na skroniach, a nieco dłuższe były z tyłu. Grzywka zaczesana na bok lekko opadała na czoło. Zdaje się, że przyszedł tu prosto od barbera. Musiała przyznać, że nawet przyjemnie pachniał jakąś korzenną wodą, której marki nie potrafiła rozszyfrować. Co innego, gdyby pachniał smarem do silnika, od razu wiedziałaby, jaki to gatunek...

- Przepraszam, ale z trudem wyrwałam się z pracy. Już myślałam, że wcale nie dam rady przyjść dzisiaj.

- Trudno, zjadłbym dwie tarty. A o tej porze polecam wytrawne, a nie na słodko, jak ostatnio.

Podala mu rękę, a on uściśnął ją, a potem pocałował Anetę w dwa policzki, tak po koleżeńsku. Nie odczuła tego jako przekroczenie granicy intymności. Wręcz przeciwnie, sprawiło jej to przyjemność. Pomyślała, że musi zapytać o nazwę tej jego wody toaletowej. Pachniała całkiem nieźle.

- Myślałem, że urzędnicy kończą pracę o jakiejś rozsądnej porze. Tym bardziej że dzisiaj jest piątek, czyli początek weekendu.

- Wiesz, nie każdy urzędnik ma pracę w konkretnych godzinach.

- A, rozumiem - ucieszył się. - Jesteś pewnie szefową jakiegoś bardzo ważnego wydziału i musisz siedzieć, aż spłyną do ciebie wszystkie papiery do podpisania.

Spojrzała na kartę dań, by zyskać na czasie. Czy to jest ten właściwy moment, żeby mu powiedzieć? Jeśli Blacha ma rację, to nie powinna dłużej zwlekać, tylko powiedzieć mu prosto z mostu prawdę na swój temat. Bo im dalej zabrną w tej relacji, tym trudniej będzie jej przyznać, kim jest i co robi. A zresztą, do cholery, czy bycie gliną to jakiś obciach?

- Wiesz, w zasadzie to się wcale nie znamy – powiedziała, patrząc na stolik i swoim zwyczajem rysując palcem po blacie jakieś esy-floresy.

- No właśnie po to się spotykamy, żeby się poznać lepiej. Tak mi się przynajmniej zdaje – odpowiedział, uśmiechając się i odsłaniając przy tym dwa rzędy równych zębów.

- No właśnie, ale jeśli będziemy się poznawać dłużej, to chyba lepiej, żebyśmy wiedzieli o sobie rzeczy, które są tak zwanymi podstawami.

- Rozumiem. Chcesz mi powiedzieć, że jesteś szczęśliwą mężatką i matką trójki dzieci.

Zaśmiała się. Ten facet potrafił ją rozbawić jednym zdaniem.

- Nie mam dzieci, mam psa, który ma tylko trzy łapy.

- Był na wojnie? – zapytał całkiem poważnie.

- Nie. Nawet nie mam pojęcia, jak stracił tę łapę. Przypałał się do mnie już taki.

- Czyli chcesz mi powiedzieć, że masz dobre serce?

- Nie, chcę ci powiedzieć, gdzie pracuję.

- Widziałem już dużo. Myślę o tym punkcie pomocy.

- Nie, to jak dobrze wiesz, wolontariat, czyli coś, co robimy, bo czujemy, że musimy to robić.

- Ha, to zupełnie tak jak u mnie. Też czuję podobnie.

- Mam wrażenie, że nadajemy na podobnych falach i dlatego powinniśmy wiedzieć, czym się zajmuję zawodowo.

- Jesteś płatnym mordercą?

- Blisko. Jestem policjantką.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, by zaraz wrócić. Zauważyła to. Tak jakby w pierwszej chwili się czegoś wystraszył, a potem założył na ten strach swoją codzienną maskę wesołości.

- I chcesz mnie aresztować?

- Ja wsadzam do więzienia tylko złych ludzi. A ty, mam takie wrażenie, jesteś dobrym człowiekiem.

Pokiwał głową. Do stołu podeszła kelnerka, więc przestali mówić o policji i złych ludziach, skupiając się na dobrych wyborach kulinarnych.

Rozdział VII

Droga między Grodziskiem a Wolsztynem

Godzina 18.30

Weszła do budynku komendy w Grodzisku. Natalia przywiozła ją tutaj i pojechała do Wolsztyna, zabierając ze sobą psa. Przekraczając próg firmy, zastanawiała się, co powinna teraz zrobić? Niby sprawa całkiem prosta. Najlepiej byłoby porozmawiać z kimś, kto ma więcej doświadczenia, a poza tym lepiej poukładane w głowie niż ona. Bo z każdą chwilą Alina miała coraz mocniejsze przekonanie, że jednak nie nadaje się na policjantkę śledczą. Na przewodniczkę policyjnego psa jak najbardziej. Na tym się znała i to lubiła robić, ale brać się za sprawy, które powinny należeć do kompetencji znacznie lepiej wyszkolonych ludzi, to chyba poważny błąd. Ale się wzięła i dlatego musiała z kimś o tym teraz pogadać.

- Dokąd właściwie jedziemy? - zapytała dziennikarka, uważnie obserwując las rozciągający się po dwóch stronach drogi. Z głośników płynęła piosenka zespołu Coldplay. Jakies trzysta metrów przed nimi widać było toyotę. Prowadzący ją mężczyzna raczej nigdzie się nie spieszył. Jego wóz jechał cały czas setką. - To znaczy, chodzi mi o to, czy ty wiesz, czy nie wiesz? - sprecyzowała Natalia. Alina wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie wiem sama dokąd. Jedziemy za nimi i na razie tyle wiem - zaczęła w końcu mówić, bo nie miała innego wyjścia. Natalii należała się garść informacji, skoro już zaangażowała ją w tę swoją eskapadę. Gryzła się z myślami, że postąpiła bardzo nieprofesjonalnie, ale nie miała w tym momencie innego wyjścia. Już dawno, bo na kursach podoficerskich kilka lat temu, uczono ją, że dobry funkcjonariusz w niekonwencjonalnych sytuacjach powinien umieć improwizować, oczywiście w granicach rozsądku. No więc to, co robiła w tej chwili, to była pełna improwizacja i dlatego trochę czuła się rozgrzeszona albo w zasadzie samousprawiedliwiona.

- Bandyci? - domyśliła się reporterka.

- No tak - przyznała z trudem. - Ale nic się nie bój. Nie mam zamiaru ani ich aresztować, ani nawet podchodzić do nich blisko. Chcę tylko zobaczyć, dokąd jada, a jak już będę wiedziała, gdzie są, to znaczy, gdzie się zatrzymali, to natychmiast zawracamy. To znaczy, poproszę cię, żebyś mnie zawiozła do Grodziska, a ty wrócisz do domu.

- A, rozumiem. Będziesz musiała zdać raport z tego, że ich śledziłaś? - domyśliła się dziewczyna.

- No, coś w tym rodzaju.

- I napiszesz w tym raporcie, że wykorzystywałaś do śledzenia pojazd prywatny swojej koleżanki?

- Zwariowałaś? Przecież by mnie zaraz powiesili za uszy. Nie wolno robić takich rzeczy. Powinam zadzwonić po wsparcie. Po jakiś radiowóz albo najlepiej nieoznakowany policyjny wóz.

- Okej, już wszystko rozumiem. Jakbyś zadzwoniła...

- Jakbym zadzwoniła, toby mi powiedzieli, że nieoznakowanych nie ma i mogą co najwyżej podesać mi radiowóz za pół godziny, bo akurat w tym momencie jedyny wolny jest w Poznaniu, ale już niedługo chłopaki wsiądą do auta i podjadą, jak się da najszybciej. No a ci w tej terenówce już dawno będą siedzieć gdzieś w jakimś domu czy mieszkaniu i pić sobie wódeczkę.

- W porządku. To teraz mam już mniej więcej jasność, w co się wpakowałam.

- Jak już, to ja cię wpakowałam w coś - stwierdziła policjantka.

- No coś ty! Jakbym nie chciała, tobym nie pojechała. Prawda, Nero? - Poklepała po pysku psa, który wsadził swój wielki łeb między dwa przednie fotele. Dalej nie mógł się wsunąć, bo ograniczyła go smycz wpinana w pas bezpieczeństwa. Natalia miała dwa własne psy, które jeździły często na tylnym siedzeniu, więc była przygotowana do przewozu takich nietypowych pasażerów. - Dobrze wiesz, że lubię takie historie - mówiła dalej dziennikarka. - Lubię czytać kryminały, a uczestniczyć i być w samym środku akcji kryminalnej to już w ogóle zajeżdża sprawą, więc nie ma o czym gadać. Jedziemy dalej. A jak się wszystko skończy, to zdradzisz mi coś, o czym będę mogła napisać.

Alina skinęła głową, ale bez jakiegoś entuzjazmu. No bo co miała odpowiedzieć przyjaciółce? Że owszem, coś jej powie, ale właściwie to najlepiej nic ważnego, tak by taka informacja, która wyjdzie do prasy, nie zaszkodziła śledztwu. Jednak czymś będzie musiała się jej zrewanżować. Cholera, że też Nati nie pracuje na poczcie albo w szkole. No ale jakby była urzędniczką, to nie chodziłaby sobie w godzinach pracy po mieście.

- Oni zwalnają! - krzyknęła Natalia, wyrывая koleżankę z chwilowego zamyślenia. Alina spojrzała na drogę. Rzeczywiście samochód przed nimi wytracał prędkość.

- Zwolnij do siedemdziesiątki i przejeżdż koło nich, jeśli staną - poleciła. Siedząca za kierownicą reporterka wcisnęła hamulec. Toyota przystanąła na poboczu i wjechała w las. Zatrzymała się po kilkunastu metrach. Alfa Romeo minęło wóz na leśnej drodze i pojechało dalej.

- Co teraz? - zapytała Natalia.

- Zaraz jest zakręt. Za zakrętem wjedź w las po drugiej stronie. Tam musi być jakaś droga.

Rzeczywiście była. Natalia poczekała, aż z przeciwka przejedzie ciężarówka i wjechała na leśny trakt.

- Teraz zawróć samochód i ustaw się przodem do szosy, tak żebyś mogła w każdej chwili ruszyć - poleciła policjantka.

- A ty co?

- Ja podejść bliżej do nich.

- No coś ty? Chyba zwariowałaś! Nie zgadzam się!

- Nati, zaufaj mi. - Alina położyła jej dłoń na ramieniu. - Nic się nie stanie, absolutnie. Wezmę Nerona i pójdziemy po cichutku do tego auta.

- A jak oni wyjadą stamtąd, a ty będziesz tam siedzieć w krzakach, to co ja mam robić? - Wyczuła w głosie koleżanki odrobinę paniki. Tak to jest, jak się na akcję zabiera cywilów. Ludzie nie mają pojęcia o pracy policyjnej, a jak już zaczynają mieć, tak jak teraz jej przyjaciółka, to od razu panikują. Musiała ją uspokoić poważnym argumentem.

- Posłuchaj, cały czas będziemy połączone. To znaczy ja zaraz zadzwonię do ciebie i włożę sobie słuchawkę bezprzewodową do ucha. I przez cały czas będę ci mówić, co robię. A jak okaże się, że oni wyjeżdżają, to zaraz dam ci znać i już. Poczekaś chwilę na mnie, a ja będę z powrotem za dwie, trzy minuty. Widzisz, jaki dystans nas dzieli? - Wskazała na drogę i zakręt. Nie widać było za nim toyoty, ale obie wiedziały, że tam parkuje.

- Jakies sto metrów stąd stoją w tych krzakach. Ile masz na setkę?

- Co?

- No, w ile przebiegasz setkę? - zapytała Alina. Natalia biegała prawie codziennie, ale raczej nie wyczynowo i na pewno nie sprintem. Wiedziała jednak, że taki odcinek spokojnym biegiem da się pokonać w pół minuty bez większego wysiłku.

- Ja wiem, ponad trzydzieści sekund?

- Robię setkę w dwadzieścia pięć sekund na bieżni. Usain Bolt ma na koncie dziewięć i sześćdziesiąt osiem setnych sekundy, więc ja z Nerem będę u ciebie w minutę od ich odjazdu. W dwie minuty już jesteśmy na drodze i jedziemy... To co, włącz telefon, a ja idę. Nero, chodź. - Odpiegła wilka i wyciągnęła

go z auta. Wszystko robiła bardzo szybko, tak żeby Natalia nie zadała jeszcze jakiegoś pytania, na które nie będzie mogła odpowiedzieć.

Była przekonana, że dobrze postępuje, choć do końca nie wiedziała, co z tego może wyniknąć. Widziała tylko te niebieskie oczy dziewczyny i czuła, że musi jej pomóc. Dlatego jeśli rzeczywiście tamta siedząca w aucie była osobą przetrzymywaną wbrew swojej woli, to albo uda się ją odbić, albo choć dać jej znak, żeby się trzymała, bo ona... Cholera, co ona właściwie robi? Przecież nie aresztuje tej podejrzanej pary.

Przebiegła szosę i zaraz znalazła się w leśnej gęstwinie. Spojrzała w prawo. Może nie było to sto metrów, ale około dwustu. Widać było przez drzewa białe przebłyski lakieru samochodowego. Toyota stała nadal. Ciekawe, po co się tu zatrzymali? Może odpoczynek, może jedzenie? Może, raczej nie na piknik, choć ta krótko obcięta laska z długimi nogami niosła reklamówki z jedzeniem i pić. Musieli z tym wszystkim pewnie jechać gdzieś na jakąś melinę. Przemykała szybko między drzewami, jednocześnie starając się nie narobić hałasu. Nero szedł przy nodze. Nie zakładała mu smyczy. W takim miejscu nie musiała. Pies był dobrze wyszkolony i wiedział, że ma się trzymać swojej pani.

Toyotę widać już było wyraźnie. Do auta zostało jakieś pięćdziesiąt metrów. Przystanęła za drzewem i na wszelki wypadek przykucnęła.

- Waruj - powiedziała cicho, a wilk natychmiast wykonał polecenie. Podrapała go za uchem, wpatrując się w samochód. Wyglądał tak, jakby nikogo w nim nie było. To ją zaciekało. Ruszyła ostrożnie do przodu, cały czas wpatrzona w szyby terenówki. Coś tam się poruszyło. Dostrzegła głowę dziewczyny. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w jeden punkt. Alina poczuła dreszcze przechodzące po plecach. Ta blondynka spoglądała w jej kierunku, tak jak wtedy na rynku, gdy ich spojrzenia się spotkały. Podeszła jeszcze bliżej. I wtedy zdarzyły się dwie rzeczy jednocześnie - ostrzegawczy, cichy warkot Nerona i zmiana wyrazu twarzy dziewczyny. Otworzyła usta szeroko, jakby chciała powiedzieć „stój”. Uniosła też rękę i pomachała, a potem wskazała coś w jej kierunku. Alina odwróciła głowę. Kierowca i jego znajoma byli koło drzewa jakieś dziesięć metrów od niej. Blondynka opierała się rękoma o pień, a ten wielki gość stał za nią. Pochyliła do przodu, wystawiła goły tyłek, na który on napierał i atakował miarowymi, szybkimi i zdecydowanymi ruchami. Dopiero teraz Alina zrozumiała, że to, co dotąd brała za odgłosy wiewiórki, to były piski wydawane przez tę kobietę. Jęczała, a wielkolud dyszał ciężko. Oboje byli tak bardzo zajęci sobą, że mogłaby ich z łatwością podejść i aresztować. Tylko... Nie miała bronii ani nawet kajdanek. Jedyne, co mogła, to się wycofać. Ostrożnie, tak żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Spojrzała na samochód. Dziewczyna siedziała tam cały czas, wpatrzona w nią i zasłonięta przez drzewo, tak że ci od miłośnych uniesień nie mogli jej dostrzec. Alina wyciągnęła prawą rękę przed siebie i pokazała jej kciuk, a potem zrobiła obiema dłońmi symbol serduszka, po czym się wycofała. Nero pobiegł za nią.

Chyba dobrze zrobiłam, zastanowiła się przez chwilę i wtedy przypomniała sobie o Natalce.

- Nati, jesteś tam? - zapytała.

- Jestem! Wszystko w porządku?

- Grzej silnik, kochana. Jedziemy za minutkę!

Gdy chwilę później pakowała się do auta Natalii, biała toyota przejechała drogą. Zaraz potem alfa romeo pojawiło się na asfaltówce. Teraz Alina była już przekonana na sto procent, że podjęła słuszną decyzję, jadąc za tym wozem. Upewniło ją w tym spojrzenie siedzącej z tyłu dziewczyny...

Skinęła głową siedzącemu na dyżurce młodemu policjantowi i już chciała go zapytać, kto o tej porze ze śledczych jest jeszcze w pracy, gdy nagle w holu pojawił się Krukowski. Zobaczywszy go, poczuła ulgę. On na pewno będzie wiedział, co zrobić.

Dima chwycił butelkę wódki, odkręcił korek, łapiąc go w zęby, po czym rozlał całe pół litra do trzech szklanek.

- Ja raczej tyle nie wypiję - stwierdził Przemek Drażkowski, patrząc na solidną porcję, którą zaoferował mu Ukrainiec. Ten uśmiechnął się tylko pod wąsem.

- A kto ciebie każe pić wszystko na raz? - zapytał. - To, że masz pełny stakanczyk, znaczy tylko tyle, że masz pełny stakanczyk, nic więcej. Pijesz tyle, ile chcesz, mały łyk, duży łyk, albo wcale nie pijesz, jak nie możesz. Ale jak nie wypijesz nic, to ludzie zaczną patrzeć i mówić: „Ot człowiek chyba jakiś fałszywy, bo wódki się napić nie chce”. Bo wiesz, że kto nie pije, ten słucha i notuje w pamięci, co inni mówią. A taki, co słucha i zapisuje, to znaczy się musi być jakiś człowiek fałszywy. Pewnie z KGB.

- Ja nie jestem z KGB, tylko z policji. Zresztą mój kolega też. - Przemek wskazał na Turka, który spoglądał na swoją szklankę z całkowitą obojętnością. Ponad dziesięć lat starszy od Drażkowskiego, należał do tego pokolenia policjantów, którzy potrafili sporo wypić.

- Milicja czy KGB to przecież jedna mafia - rzucił Dima.

- U was pewnie tak, ale my się z mafią w policji już rozprawiliśmy dawno - stwierdził stary policjant. Chwycił szklankę w dwa palce, stuknął w szkło Ukrainca i upił pokaźny łyk. Dima zrobił to samo, a potem wziął chleb do ręki i go powąchał.

- U was nawet chleb nie pachnie jak należy. U nas jest taki, że czuć go w piersi, jak się człowiek zaciągnie.

- Jak ci się nie podoba, to czemu go wąchasz? - zapytał Przemek.

- Ot widzisz, przyjacielu, jak się człowiek nauczy, to tak mu już zostanie na całe życie. U nas do wódki musi być ogórek kiszony, chleb i soło. Po to to wszystko, żeby można było pić długo i długo rozmawiać po duszom, znaczy się od serca z przyjaciółmi. Bo wódkę się pije tylko z dobrymi przyjaciółmi. A u was wódkę się pije obojętnie z kim, zagryza się orzeszkami i najlepiej jeszcze, żeby ją zmieszać z jakimś słodkim sokiem. To nie jest żadna kultura picia, ale zwykłe chłanie. - Wskazał na młodych ludzi okupujących sąsiednie stoliki, którzy wlewali w siebie kolorowe shoty wódki wymieszanej w proporcji jeden do dwóch z zabarwiaczami o różnych smakach.

- Dawno temu i myśmy tak pili, powoli wlewając w siebie czystą wódkę - przypomniał sobie Turek. - Ale na szczęście te czasy już minęły i teraz jesteśmy w Europie, czyli pijemy mniej, na wesoło, i nie okładamy się po gębach po wypiciu. Teraz, kolego, wszystko się u nas zmieniło na lepsze - powiedziawszy to, wypił swoją wódkę do końca. Dima zrobił to samo. Tylko szklanka Przemka została pełna. On jakoś nie mógł się zdecydować na alkohol.

Gdy spotkał się z Turkiem przed dworcem kolejowym, wyłożył mu istotę swojego pomysłu, ale oznajmił też, że być może, aby ów pomysł zrealizować, trzeba będzie napić się wódki. Turek usłyszawszy, w czym rzecz, zgodził się natychmiast, że może się poświęcić. Oddał klucze od swojego gruchota Nadii i poprosił, żeby sama jechała do domu, bo on musi jeszcze z kolegą - tu przedstawił jej Przemka Drażkowskiego, który w policyjnym mundurze wyglądał niezwykle poważnie i solidnie - omówić szczegóły dotyczące śledztwa w sprawie zaginięcia jej siostry. Nie miała wyjścia, zgodziła się bez zbędnego gadania. Wy tłumaczył jej, że przyjedzie do Szamotuł wieczornym pociągiem i zadzwoni, żeby odebrała go z dworca.

Zaraz potem pojechali z Przemkiem odstawić pod komendę radiowóz. Drażkowski miał w torbie cywilne ciuchy, więc przebrał się na miejscu, i mogli ruszyć do miasta. Wsiadli do tramwaju na Grunwaldzkiej.

- Pojedziemy do mnie do knajpy – tłumaczył Turkowi zawilości swojego planu. – Tam moja Alex umówiła już nas z jednym gościem.

- Co to za facet? – Turek lubił mieć wszystko dokładnie rozpracowane, żeby unikać jakichkolwiek nieporozumień. Sprawa była przecież zbyt poważna, żeby konsultować ją z kimkolwiek.

- To weteran armii ukraińskiej. Walczył na samym początku wojny i stracił rękę.

- A, rozumiem. Czyli przyjechał tu, żeby się leczyć, czy coś, żeby mu protezę dorobili?

- Nie, o protezie nic nie słyszałem. A przyjechał tu, bo go nie chcieli wziąć do wojska.

- Przecież był w wojsku i mu rękę oderwało, to przyjechał – próbował usystematyzować informacje Turek.

- Tak, ale był w wojsku w dwa tysiące czternastym.

- A, rozumiem. Ale wtedy wojny jeszcze nie było.

- Była – odpowiedział z pełnym przekonaniem Przemek. – Wtedy Ruscy najechali Donbas i Krym. A teraz idą dalej.

- Może w sumie masz rację. – Turek zgodził się z kolegą, choć wciąż mu coś nie pasowało. – Ale jak on jest żołnierz, to po co my mamy się z nim spotkać?

- Bo on tu zna wszystkich. Myślę o starych emigrantach, co z Ukrainy przyjechali tu już dawno. On wie, z kim gadać. Więc stąd mój pomysł, żeby zabrać się do sprawy od drugiej strony. Szukamy tej twojej panny po śladach, jakie zostawiła, a moim zdaniem trzeba dotrzeć do ludzi, którzy są zainteresowani młodymi dziewczynami.

- No tak, na ten aspekt wcale nie postawiliśmy. Masz rację, od razu trzeba było tak zrobić. Tylko czemu ja o tym sam nie pomyślałem? Dupa ze mnie, nie gliniarz. Zresztą wszystko, co się wydarzyło, to moja wina. Gdyby mi się samochód nie rozkraczył...

Wysiedli na przystanku przy Multikinie na Królowej Jadwigi. Stąd do Pijalni Świat Wódek przy Półwiejskiej mieli jakieś trzysta metrów. Gdy weszli do środka, Turek natychmiast miał ochotę cofnąć się na zewnątrz. Knajpa była szczelnie wypełniona gówniarzami, którzy celebrowali z właściwym sobie młodzieńczym zapałem początek weekendu.

- Stary, przecież tu nie da się wepchnąć szpilki – powiedział, przekrzykując gwar i łoskot muzyki. – To nie jest knajpa, to jest jakaś dyskoteka.

- Nikt ci nie każe siedzieć z tym młodzieżowym towarzystwem. Chodź śmiało i niczym się nie przejmuj.

Przemek przecisnął się przez hałaśliwą ciżbę, kierując się do baru. Młodych ludzi obsługiwały trzy barmanki, uwijające się jak w ukropie. Klienci przywoływali je do siebie, składali zamówienia, płacili i odchodzili do swoich stolików z tacami wypełnionymi po brzegi kieliszkami. Turek patrzył na to wszystko z niemym podziwem, nie mogąc uwierzyć, że to dzieje się naprawdę i że ci wszyscy, którzy tu są na miejscu, w ogóle są w stanie porozumieć się ze sobą za pomocą sygnałów głosowych. On nie słyszał nawet własnych myśli.

Przemek pociągnął go za rękaw i po chwili znaleźli się na dość obszernym zapleczu. Przy stoliku nakrytym ceratowym obrusem siedział brodaty, potężny facet bez jednej ręki i czarnowłosa, mocno umalowana kobieta z wytatuowanymi przedramionami, ubrana w czarną koszulkę z ognistym smokiem na piersi. Był tam jeszcze jakiś napis, ale Turek nie potrafił go odczytać, bo litery płonęły żywym ogniem, tworząc chaos pozbawiony jakiegokolwiek sensu.

- To jest właśnie Szymon Turek, a to moja Alex.

Kobieta podała mu rękę i mocno uścisnęła.

- Przykro mi z powodu twojej szwagierki – powiedziała z pełnym przekonaniem, a w jej głosie nie było żadnej sztucznej nuty. Ona naprawdę mu współczuła. Wzruszył się tym faktem tak bardzo, że nawet

nie sprostował kwestii powiązań rodzinnych. – Dobrze, że przyszlście, bo jak ktoś może tu pomóc, to na pewno jest to Dima – wyjaśniła, wskazując brodacza.

Ten podniósł się z krzesła i uściśnął dłoń Turka.

– To ja idę do baru, bo tam się za chwilę zacznie rzeźnia. Muszę uważać, żeby dziewczyny nie sprzedały wódki jakiemuś małodlatowi, bo nam odbiorą koncesję. Jak będziecie czegoś potrzebować, to, Przemek, wołaj. A na razie macie tu flaszkę i coś na ząb. – Wskazała na stół, na którym stały przekąski i butelka wódki.

– Słuchaj, Dima – odezwał się Przemek. – Jak już wiesz, obaj opracujemy w policji. Mamy informacje, albo nawet wiedzę popartą doświadczeniem zdobytym na własnej skórze, że młodymi Ukrainkami przyjeżdżającymi bez opieki do Poznania interesują się różni ludzie. Są przypadki, że takie dziewczyny znikają i nigdy nie dojeżdżają na miejsce, do którego miały trafić.

– Jak to na wojnie, ludzie giną bez śladu – stwierdził filozoficznie brodacz.

– Szukamy kilku dziewczyn. Między innymi siostry znajomej mojego kolegi – powiedziawszy to, Drązkowski wskazał na Turka. Ten pokiwał głową na potwierdzenie.

– Ja szukam jej – powiedział – ale też szukam skurwieli, którzy ją porwali.

– Jesteś pewny, że ją porwali? – zapytał Dima, stukając swoją szklanką o brzeg tej stojącej przed Turkiem.

– Jeszcze dziś miała kontakt z siostrą, a później odwołała spotkanie. Napisała esemesa i zniknęła. A my na dworcu czekaliśmy na nią.

– Nie uciekła od rodziny? – pytał dalej Dima.

– Ona do rodziny jechała, to i od kogo by miała uciekać. Uciekała od wojny do nas, tutaj. Siostra na nią czeka!

– Mogę popytać – stwierdził i opróżnił szklankę do połowy. Turek zrobił dokładnie to samo. Dima wziął do ręki kawałek chleba, ale zaraz go odłożył, przypomniawszy sobie, że to chleb bez zapachu. Chwycił miseczkę z orzeszkami i wsysał sobie kilka do ust.

– Wyślę ci zdjęcie Soni – zaferował Turek. – Choć nie tylko rozchodzi się o nią. Mogą być jeszcze inne. Jedna właśnie się znalazła niedaleko Poznania, pobita i zgwałcona. Uciekła od jakichś facetów. Dlatego ci, co to zrobili, też mnie interesują.

– Wiesz, Dima, ty znasz wszystkich, którzy tu wcześniej przyjechali od was – zaczął tłumaczyć Drązkowski, ale Ukrainiec machnął tylko ręką.

– Rozumiem, Przemek, w czym rzecz. Popytam, rozejrzę się, choć niczego nie obiecuję. Ale zrobię, co się da.

– To jak już żeśmy się dogadali, to chciałem, żebyś jeszcze na coś popatrzył. – Drązkowski sięgnął do kieszeni po telefon. Położył go na blacie stołu i otworzył galerię. Przez chwilę szukał wśród zdjęć, by w końcu natrafić na te przesłane mu przez Krukowskiego. Przedstawiały dziewczynę, która zginęła przy autostradzie. Nie miał zamiaru pokazywać mu wszystkich, bo były niezwykle drastyczne. Chciał pokazać tylko jedno. Przegub dłoni, na którym widać było plecioną bransoletkę. Przyczepiona była do niej zawieszka w kształcie literki N z poprzeczką w środku. – Popatrz tu. Co to za symbol? Masz taki na swoim tatuażu.

Dima przez chwilę wpatrywał się w zawieszkę, a potem powiedział coś pod nosem do siebie i zanim Przemek się zorientował, powiększył zdjęcie. Potem przejechał kolejne i kolejne...

– Dima! – próbował go powstrzymać, ale Ukrainiec oglądał kolejne fotografie, aż wreszcie dotarł do twarzy dziewczyny. Przyjrzał się jej uważnie, a potem zamknął oczy.

– Dima, chciałem cię zapytać o ten znaczek. Nie o tę dziewczynę. Chodzi mi o to, co ona miała na ręce, doczepione do tej plecionki. Co to jest?

- Azow - powiedział Dima i dopił wódkę do końca.

Okolice Grodziska

Godzina 20.05

- Co się tak na nią gapisz? - rzuciła Saszka.

- Ja się gapię? - odpowiedział zdziwiony Fiodor. - Mam ją odpinać bez patrzenia?

- Odpinaj, jak chcesz, ale się tak nie gap - rzuciła opryskliwym tonem.

- Wiesz co, ty sobie nie myśl, że już możesz mi gadać, co ja mam robić - odpowiedział, dostosowując niezbyt miły ton do jej nastroju.

Wyciągnął nóż i przeciął trytytkę, którą była przypięta do drzwi.

Soni przeleciała przez głowę myśl, że uprzejmości starczyło im na niezbyt długo. Najpierw byli dla siebie niespecjalnie mili, później doszło do szybkiego seksu, a teraz zaczynają na siebie znowu warczeć. Z tej współpracy nic nie będzie.

- No co tak siedzisz? - burknął Fiodor.

- A co, mam wyskoczyć jak kangur? - odpowiedziała mu w podobnym tonie. - Siedziałam cały czas ze skurczonymi nogami za twoim fotelem, to nic dziwnego, że mi nogi ścierpły. Muszę je najpierw rozprostować, żeby mi krew do nich napłynęła - odparła hardo i o dziwo porywacz nie odpowiedział ani nie wykonał żadnego gestu, który przywróciłby ją do porządku. Czy to oznaczało, że można się im stawiać?

- Dalej, wylaż, bo nie mam czasu na sterczenie tutaj. - Złapał ją za dłoń i pociągnął ku sobie. Saszka stała kilka metrów od samochodu, przypatrując się z zaciekawieniem tej scenie z rękoma założonymi na piersi.

- Czyj to jest ten dom? - zapytała, gdy ruszyli, ale Fiodor nie odpowiedział.

- Chuj jęgo wie. Szef załatwił. Może szefa? Nie mam pojęcia.

- A o czym ty masz pojęcie, Fiedka? - zażartowała.

- Ty już wiesz, o czym mam pojęcie, Saszka.

- Świnia.

- Może i świnia, ale musisz przyznać, że nikt cię tak dobrze nie wyruchał od dawna. Ten twój Jura to może jest i kozak, ale takiego pieprzenia ci nie sprawił.

- Co ty wiesz, Fiedka, o życiu. Gównu wiesz.

- Wiem tyle, że jak się kobiecie podoba, to jęczy. A ty jęczałaś tak głośno, że żeś obudziła naszą Sońkę. Co, Sońka, obudziła cię?

- Odwal się - odpowiedziała dziewczyna.

- Weź ją zamknij i chodź coś zjemy. Zrobię jakąś kolację - rzuciła Sasza pojednawczym tonem. Fiodor uśmiechnął się pod zrudziałym od tytoniowego dymu wąsem. Zapewne czuł, że wygrał to starcie.

Może za chwilę się dogadają, napiją i pójdą do łóżka, analizowała sytuację Sonia. Czyli być może nadarzy się okazja, by ich przechytrzyć i jakoś się stąd wydostać?

Rozejrzała się wokół. Byli w jakiejś zagrodzie. Dom z czerwonej cegły, przykryty dwuspadzistym dachem, i do tego zabudowanie gospodarcze, którego nie potrafiła nazwać. Postawiono je na kamiennej podmurówce, na której sklecono ściany z drewna, zwieńczone również dachem pokrytym takimi samymi dachówkami jak dom. Wszystko tu wyglądało na bardzo stare, jakby zbudowane sto lat temu.

Wokół rozciągał się sosnowy las. Jechali leśnym duktem między drzewami chyba z dziesięć minut od chwili, gdy skręcili z szosy. Terenówka nie poruszała się zbyt szybko, więc mogli w ten sposób pokonać z pięć kilometrów. W tej sytuacji, gdyby udało jej się uciec, musiałyby iść do asfaltowej drogi

przynajmniej dwie godziny, a może i dłużej. Przecież w lesie nie ma równych tras, po których można by gładko maszerować. Pewno nie mogłaby iść tym duktem, którym ją tu przywieziono, bo to był naturalny kierunek poszukiwań. Jeśli uda się jej dotrzeć do szosy, tam już zatrzyma jakieś auto. Potem pójdzie na policję i zgłosi porwanie... A jeśli policjanci współpracują z tym Fiodorem i Saszką? Jest też jeszcze jakiś szef i oprócz tego Jura, i jeszcze ci dwaj, którzy z Fiodorem byli w mieszkaniu i zabrali stamtąd Alionę. Tylko po co w ogóle bawili się w tę inscenizację? Nie mogli zabrać ich obu i nie wymyślać jakichś przedstawień? A może to dotąd były całkiem odrębne dwie grupy, które współpracowały i z jakichś powodów zajmowały się dostarczaniem niewolników do różnych odbiorców? Na Alionę mieli kupca i dlatego ją natychmiast zabrali, a ją chcieli dopiero sprzedać, dlatego mogła zostać jeszcze w mieszkaniu ukryta przed... Właśnie, przed kim ją ukryli?

O Boże, właśnie w tej chwili przyszło olśnienie. Oni ją ukryli przed policją. To była prawdziwa policja, która aresztowała gospodarzy. I ta prawdziwa policja poszukiwała jej.

- No co tak stoisz, suko, dalej, idź przed siebie i nie rozglądaj się tak. Nie da się stąd uciec. No chyba że chcesz spróbować. Wtedy cię zeżrą wilki - odezwała się do niej Saszka.

- Tu są wilki? - odpowiedziała, udając strach w głosie. Nie bała się wilków, a oni byli za głupi, żeby się tego domyślić. Studiowała przecież biologię i doskonale знаła europejską faunę. Dlatego wiedziała, że w Polsce są wyselekcjonowane miejsca, w których te zwierzęta żyją na wolności, ale jest ich zbyt mało, żeby mogły zagrażać ludziom. Wilki unikają kontaktu z człowiekiem, no chyba że zmusi je do tego desperacja, czyli głód albo choroba. Ale w Polsce nie atakują, bo mają pod dostatkiem jedzenia.

- Tu po tym lesie się lepiej nie kręcić. A i poza zagrodę lepiej nie wychodzić - powiedział Fiodor i pchnął ją w kierunku drzwi prowadzących do domu. Saszka już zdążyła zajrzeć do środka. Po jej minie widać było, że nie jest specjalnie zachwycona.

Dom nie należał do ekskluzywnych miejsc. Z podwórka wchodziło się do kuchni. Prawda, nie było w niej jakiegoś szczególnego bałaganu. Owszem, na stole pod oknem stało kilkanaście butelek po wódce, kartony po sokach i puste puszki po rybach w oleju bądź w pomidorach. Widać ktoś tu musiał biesiadować całkiem niedawno, bo jeszcze nie śmierdziało zepsutymi konserwami. Za to wszędzie unosił się delikatny odór stęchlizny, który świadczył o tym, że dom był używany tylko od czasu do czasu.

- Siadaj. - Fiodor wskazał Soni krzesło przy stole.

Usiadła posłusznie, wpatrując się w krajobraz za oknem. Widać stąd było kilka starych drzew owocowych, a za nimi ścianę lasu. Wystarczyło przebiec zaledwie sto metrów, żeby zniknąć z pola widzenia.

- Saszka, idź przynieś jedzenie z samochodu. - Tym razem polecenie wydał Saszce. Ta spojrzała na niego jak na wariata.

- A co ja twoją służącą jestem? Sam sobie idź przynieś - odpowiedziała opryskliwie.

- No nie denerwuj się, moja piękna. - Zmienił całkowicie narrację. - Ja nie dlatego cię proszę, żeby cię męczyć. Idź, duszyczko, bo ja się muszę zająć tą tu. - Wskazał podbródkiem na Sonię.

- Sam idź, a ja się nią zajmę - odpowiedziała już nieco bardziej ugodowo.

- Ale...

- Ja pójdę, a ty jej zaraz łapę w majtki wsadzisz. Już ja cię znam.

- Ale co ty, Saszeńka. Ja już tobie mówiłem dzisiaj...

- Gdzie mam ją zaprowadzić? - przerwała mu. Nie było z nią żadnej dyskusji. Widać, że to ona chciała tu rządzić. - Wstawaj, idziemy do pokoju. - Wskazała Soni korytarz wiodący w głąb domu.

- Prowadź ją tam w korytarz, do pierwszej sypialni. - Fiodor machnął ręką, wskazując drzwi, po czym wyszedł z kuchni na podwórko.

- Możesz mi w końcu powiedzieć, o co wam chodzi? Po co wam jestem potrzebna? - zapytała dziewczyna, ale nie grzecznie i potulnie. Wprost przeciwnie. Pytanie było rzucone zaczepnym tonem,

tak jakby to ona miała tu przewagę.

- Zamknij się i ciesz się, że jeszcze żyjesz – odpowiedziała Saszka.

- Jesteś, suko, taka sama jak ten twój Fiodor. Zwykła bladź, co zrobi wszystko dla pieniędzy. Sprzedajecie ludzi, bo wydaje się wam, że to łatwy zarobek, ale ja ci powiem, zdziro, że niedługo będzie już po was. Wiesz dlaczego? Bo zadzwoniłam do mojej siostry, a ona mi powiedziała, że jej facet policjant przyrzekł jej, że mnie przyprowadzi do domu. I wiesz, co ja sobie myślę, że on was wszystkich zarżnie. A jeśli nie, to ja to zrobię.

Spojrzenie Saszki powędrowało w stronę stołu. Na blacie między puszkami leżał nóż kuchenny umazany resztkami konserwy. Kobieta zrobiła krok w stronę stołu, ale Sonia, która była bliżej, rzuciła się w lewo i chwyciła rękojeść. Trzymając nóż w dwóch zaciśniętych dłoniach, wysunęła ręce do przodu, przykładając ostrze do gardła Saszy. Ta za sobą miała ścianę. Gdyby spróbowała się ruszyć do przodu, nóż mógł się wbić w jej gardło. Sonia była górą.

- No co, już nie jesteś taka harda, suko? – zapytała.

- Odłóż ten nóż, idiotko, bo jak wejdzie tu Fiodor, to już będzie po tobie.

- Wszystko mi jedno. Jeśli tak, to zabiorę ze sobą do grobu ciebie.

- Nie bądź głupia, nikt ci nie chce zrobić krzywdy. Odłóż ten nóż, a powiem ci, co chcemy dla ciebie zrobić.

- Wiem co. Myślisz, że jestem głupia? Chcicie mnie sprzedać do burdelu.

- Głupia jesteś! Do burdelu? Kto ci to powiedział? Chcemy cię przerwucić do Niemiec, bo tam czeka na ciebie praca w barze. Będziesz barmanką i będziesz mogła sobie jeszcze dorobić, tańcząc na rurze. Tam wybierają tylko najzgrabniejsze i najładniejsze dziewczyny. Mówię ci, to jest robota dla najlepszych. Sama tam pracowałam przez dwa lata. Na etacie w barze dostajesz sto euro dziennie, a oprócz tego jeszcze drugie tyle, bo napaleni faceci wkładają ci to wszystko w majtki. Przez dwa lata zarobisz tyle, ile byś nie zarobiła przez całe życie w Ukrainie.

- Kłamiesz, szmato. To dlatego przywiązywaliście mnie do drzwi w samochodzie, żebym nie uciekła przed tym szczęściem, do którego mnie wieziecie. Nie chcę jechać do Niemiec. W dupie mam twoją robotę. Kręć sobie sama dupą przed napalonymi facetami. Ja chcę jechać do Poznania.

- Proszę bardzo, droga wolna. Jeśli jesteś tak głupia, że z tego wszystkiego chcesz zrezygnować...

- Zamknij się i słuchaj. Pójdziesz ze mną, wezmiesz kluczyki od samochodu i zawieziesz mnie do tego miasta, gdzie staliśmy na rynku. Pojedziemy tam i tam mnie zostawisz. A jeśli nie, to ci zaraz wytnę na tej pięknej buźce ładną kreskę...

- Myślisz, że Fiedia pozwoli nam gdzieś jechać?

- Pojedzie z nami. On za kierownicą, a my z tyłu. No i ty z nożem przy gardle. Jeden za szybki ruch i wbiję ci go bez mrugnienia okiem. Spróbuj coś zrobić, szmato, i już po tobie.

- Co ty robisz, kurwo? – zawołał Fiodor od drzwi. – Zostaw ją, bo cię zajebię.

- Nie ruszaj się, gnoju. Idziemy do samochodu. Odwieszysz mnie do...

Mężczyzna rzucił na podłogę torby z jedzeniem i w dwóch susach dopadł do obu kobiet. Nim Sonia zorientowała się, co się dzieje, chwycił ją za rękę. Ale nie zdążył jej wykręcić. Nóż musiał być dość ostry, bo gdy wyrwała się w przeciwnym kierunku do tego, jaki chciał nadać jej ręce Fiodor, poczuła, jak ostrze wchodzi w coś miękkiego i jednocześnie kuchnię wypełnił przeraźliwy krzyk Saszki, który naraz przemienił się w charkot połączony z dziwnym bulgotem. Potem mocne szarpnięcie sprawiło, że jej ramię przeszył piorunujący ból. Fiodor uderzył ją pięścią w skroń i wtedy ogarnęły ją ciemności, a wokół zapadła cisza.

– Kobieto, przecież ja ledwo widzę na oczy – powiedział podkomisarz Krukowski, gdy dwie godziny temu natknął się w drzwiach na wchodzącą do środka Alinę.

– Chodź do góry, zrobię ci kawę – zaproponowała, a Kruk spojrział na nią z niedowierzaniem. Zazwyczaj nie była skora do usługiwania facetom i chyba nie zdarzyła się jeszcze sytuacja, żeby sama z siebie zaproponowała zaparzenie kawy. Musiała mieć jakąś ważną sprawę i dlatego Kruk włączył radar podwójnej uwagi. To nie mogło się przecież dobrze skończyć, jeśli intuicja go zawiedzie. Nie podejrzewał nawet, że Alina chce, żeby z nią został na komendzie dlatego, że jest taki fajny i czarujący. Najwyraźniej potrzebowała czegoś, co on jej mógł dać w tej chwili. Tylko co to miało być?

Zrezygnowany machnął ręką. Nie dowie się, jeśli nie pójdzie z nią na pierwsze piętro. Tam miała swój pokój, który dzieliła z trzema innymi policjantami z prewencji. Pracował w tym budynku już kilka ładnych lat, ale w tym pokoju nie był jeszcze nigdy. To znaczy wchodził tam po coś, jak to w czasie biurowej pracy bywa, gdy się kogoś szuka lub potrzebny jest szybko jakiś dokument. Ale jeszcze ani razu nie był tam zaproszony na kawę. Oznaczało to, że albo świat się kończy, albo Wielicka zakochała się w nim i zamierza teraz, korzystając z tego, że prawie nikogo nie ma w budynku, wyznać mu miłość, albo...

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała szybko, wskazując mu jednocześnie miejsce na fotelu. – Jaką kawę pijesz? – zapytała, nie dając szansy na zadanie pytania, o jaką pomoc chodzi. – Ma być biała czy czarna? Bo jak biała, to mamy tylko śmietankę w proszku. Wiesz, tych śmietanek w małych pojemniczkach to u nas w pokoju się nie znajdzie, bo tu wszyscy piją czarną kawę, a dla gości, jak już ktoś chce białą, to lepiej kupić tę w proszku, bo ona może ze dwa lata nawet stać i się nie zepsuje, a te w płynie to mają termin przydatności...

– Piję czarną – wszedł jej w słowo.

– Ano tak, czarną. Czarna najlepsza. Ja tylko taką piję. I nawet bez cukru. Mam taką teorię, że cukier czy nawet jakiś inny słodzik zabijają właściwy smak i wtedy kawa zamienia się w napój kawopodobny. Dlatego wolę czarną i do tego z ekspresu. Dobrze, że mamy tu w pokoju ekspres. Bo jakbyśmy nie mieli, to ja nie wiem, ale chyba musiałabym jeździć do miasta na małą czarną. Bo sypanej nie piję, a rozpuszczalna to w ogóle się do picia nie nadaje, bo jest paskudna jak...

– W czym ci mogę pomóc, Alina? – przerwał w końcu ten słowotok. Zazwyczaj Wielicka była oszczędna w słowach. Mówiła niewiele, a jeśli już miała coś do powiedzenia, to były to wnioski wyciągane z konkretnych przesłanek. A teraz gadała jak najęta, jakby chciała przykryć tą gadatliwością coś niewygodnego, może zmieszanie albo niepewność.

Przez chwilę milczała wpatrzona w kubek ustawiony pod ekspresem. Gdy porcja kawy wlała się do naczynia, wzięła go i postawiła przed Krukiem.

– Słuchaj, to jakieś wariactwo, co się dziś wydarzyło, ale pojechałam do Wolsztyna do siebie do domu i nie poszłam spać, bo wiesz, nie da się za dnia odsypiać nocy, jak człowiek jest w trakcie wydarzeń.

– No teoretycznie nie. – Krukowski pokiwał głową, myśląc o tym, że właściwie, gdyby tylko była taka możliwość, to położyłby się nawet tu, na podłodze, zwinął w kłębek i natychmiast zasnął. Chciało mu się spać jak diabli, przede wszystkim dlatego, że przez kilka ostatnich godzin wykonywał robotę głupiego, czyli przeglądał w komputerze wszystkie samochody, które przejechały przez bramki na węźle w Buku i zostały zarejestrowane przez kamery. Zrobił tak, jak zaproponowała ta Aneta z Poznania. On i jego ludzie, przydzieleni do poszukiwań, sprawdzali wszystkie auta na wschodnich blachach. Te widoczne były z kamery rejestrującej przód samochodu. Gdy któryś z policjantów odczytał tablice, podawał godzinę i minutę, w której samochód pojawiał się na bramce, a potem ktoś kolejny otwierał film z kamery bocznej. No i okazało się, że to był strzał w dziesiątkę.

Land cruisera wypatrzył starszy posterunkowy Malicki.

- Jest jakaś biała toyota na ukraińskich blachach - zawołał.

- Dobra, daj czas wjazdu - rzuciła sierżant Laura Pakulska.

Podał jej zaraz namiary i chciał już wstać rozprostować kości, gdy policjantka krzyknęła głośno:

- Mamy ją! - zawołała, a wszyscy siedzący w pokoju funkcjonariusze podbiegli do jej komputera. Na ekranie widać było wyraźnie, na tyle, na ile pozwalały niedoskonałe piksele kamery autostradowej, twarz dziewczyny siedzącej na tylnym fotelu. Kamera zarejestrowała akurat moment, kiedy spoglądała niemal dokładnie w oko obiektywu.

- Jakby się nam chciała pokazać - stwierdził Krukowski. - Dobra, drukujemy wszystkie fotki z każdej kamery, która uchwyciła to auto. Mamy moment wjazdu, więc dobrze przyjrzyjcie się twarzom gości, którzy siedzą z przodu. Może z drugiej strony widać jeszcze kogoś. Musimy mieć każdy szczegół, łącznie ze złotym zębem tego faceta, co siedzi za kierownicą.

- No i tam na rynku w Wolsztynie patrzę, a tam stoi biała toyota na ukraińskich numerach.

Krukowski spojrział na Alinę, jakby ta siedziała w jego głowie. Oderwał się na chwilę od jej paplaniny, ale nie mógł przenieść się do jakiegoś uroczego zakątka, gdzie podawano zimne piwo i ciepłe kielbaski. Jego myśli poszybowały do auta, którego szukał ze swoimi ludźmi przez ostatnich kilka godzin. I teraz, gdy miał już tę toyotę obfotografowaną z każdej strony, gdy widział, jak wyglądają jej pasażerowie i kierowca, Wielicka mówi mu, że znalazła ten samochód.

- A rejestracje się zgadzają? - zapytał na wszelki wypadek.

Sięgnęła do kieszeni i wydobyła z niej niewielki notesik. Zajrzała do środka i odczytała powoli:

- AT 2328 EH.

- To ten wóz - potwierdził Krukowski.

- No wiem - zgodziła się z nim Alina. - To jest ten sam wóz, który mamy zarejestrowany na filmie z lasu, wtedy jak ta nasza dziewczyna, co trafiła do szpitala, Aliona znaczy się, jak ona uciekła i trafiła na Walkowskiego na quadzie...

Krukowski upił łyk kawy, która już zdążyła wystygnąć.

- No i co z tą toyotą? Był tam ktoś, to znaczy, czy kogoś tam widziałaś przy aucie?

Pokiwała głową i sięgnęła po telefon, który leżał przed nią na biurku. Przez chwilę szukała czegoś w środku, a potem zadowolona wysłała do niego wiadomość. Spojrział na wyświetlacz aparatu, po czym otworzył. Od razu uśmiechnął się, zobaczywszy pierwsze zdjęcie.

- Nie, pomyliłaś się. To nie są zdjęcia samochodu, tylko tej redaktorki z „Głosu Wolsztyna”, co do nas tu przyjeżdża, jak coś się dzieje.

Alina pokręciła głową.

- Patrz nie na nią i psa, tylko na to, co za nimi.

Krukowski powiększył zdjęcie i zaklął cicho pod nosem. Widać było na nim wszystko, co powinno być widoczne. Samochód, kierowca siedzący z przodu i dziewczyna z tyłu wpatrzona niemal dokładnie w obiektyw telefonu Aliny.

- Dziewczyno, jesteś genialna. Nikt nie zwrócił na ciebie uwagi, bo wyglądało, że robisz zdjęcia psu!

- I koleżance - przypomniała.

Przejrzał jeszcze kilka fotek, a potem wyczekująco popatrzył na Wielicką. Ta też czekała, co powie jej kolega. Ten podrapał się po głowie, spojrział jeszcze raz na telefon, a potem wyrzucił z siebie słowa pochwały:

- Dobra robota, młoda. Szkoda tylko, że nie wiemy, dokąd tym samochodem pojechali. Ale to się da ustalić. Sprawdzimy zaraz monitoringi w Wolsztynie...

- Wiemy – weszła mu w słowo.

- Co niby?

- Wiemy, dokąd pojechali – dodała cicho, prawie szeptem. Bo to była właśnie najtrudniejsza część jej opowieści. Musiała się przyznać do nieprofesjonalnego zachowania. Nie powinna jechać za toyotą samochodem Natalii i do tego jeszcze z nią za kierownicą. No ale gdyby nie pojechały razem, to przecież nic by z tego nie było. Dopiero teraz Krukowski zarządziłby poszukiwania samochodu bandytów, a tak nie były one już potrzebne. – Ja wiem, gdzie jest ta toyota – dodała szybko, jakby bała się, że będzie musiała wyjaśnić wszystkie szczegóły. Ale Krukowski był zbyt szczerym lisem, żeby przyjąć za dobrą monetę oświadczenie bez wytłumaczenia.

- Skąd wiesz?

- Hmm... – Przez chwilę milczała, jakby szukała odpowiednich słów.

- Widziałeś panią redaktor? – zapytała.

- No, widziałem, a co?

- Ona mnie podwiozła.

- Gdzie, znaczy dokąd?

- No pojechałyśmy razem za tym samochodem. Ale w bezpiecznej odległości i w ogóle. Wiesz, tak jakbyśmy były na przejażdżce. Nawet żeśmy się do nich nie zbliżyły. Tylko pojechałyśmy i zobaczyłam, gdzie auto skręca z drogi...

Krukowski pochylił głowę i oparł czoło na dłoni. Nie było wątpliwości, ta wariatka wykorzystała cywilny wóz i cywila, żeby śledzić samochód pełen bandytów. Przecież tę kobietę trzeba by było natychmiast izolować, bo gdyby jej naraz wpadło do głowy, że nauczy dziennikarkę strzelać w lesie z granatnika, to jeszcze mogłaby to zrealizować. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, a potem podsunął jej rozwiązanie.

- Powiemy, że jechałaś ze znajomą do domu i po drodze zobaczyłaś ten samochód. Ani słowa Romie, że zorganizowałaś akcję śledzenia bandyckiego wozu. Zwyczajnie na drodze zobaczyłaś tę furę, przeczytałaś rejestrację i przez chwilę jechałaś za tą terenówką. A gdy zobaczyłaś, że skręca z drogi, zadzwoniłaś do mnie, a ja ci kazałem tu przyjechać natychmiast.

- Tak jest! – potwierdziła z ulgą. Z tego Kruka to jednak kawał porządnego gościa. A ona cały czas myślała, że to dupek i palant, do tego jeszcze rzucający te gówniane szowinistyczne uwagi. A tymczasem...

- A tymczasem powiedz mi, gdzie oni zjechali i skąd niby wiesz, gdzie jest ta toyota?

- Bo jak wjeżdżali do lasu, to weszłam w mapę satelitarną i sprawdziłam tę dróżkę, którą jechali. Na końcu jest tylko jeden punkt. To jest stara leśniczówka Elżbieciny. Widać ją doskonale na mapie Google.

No i dlatego teraz Krukowski z Aliną tkwili na skraju lasu, wpatrując się w zabudowania leśniczówki. Jednak nic ciekawego tam się nie działo. Co gorsza, nie było też białego land cruisera. Całe obejście wyglądało na wymarłe.

Poznań
Godzina 23.20

O tej porze na Dworcu Głównym w Poznaniu panował dość umiarkowany ruch. Wszystkie podmiejskie pociągi zakończyły już swoje trasy i odjechały na zasłużony odpoczynek po codziennej podróży w tę i z powrotem. Zbudzą się do życia dopiero jutro wcześniej rano, by wyruszyć do Kępna, Krzyża, Piły czy

Wagrowca. Teraz na perony podjeżdżały nieliczne pociągi dalekobieżne, dla których Poznań był tylko przystankiem w drodze z północy na południe czy ze wschodu na zachód.

Nic więc dziwnego, że w hali dworcowej było spokojnie. Ludzie drzemali na plastikowych krzeselkach, niektórzy szwendali się po hali bez celu, a jeszcze inni wdrapywali się na antresolę przyciągani zapachami sieciowych jadłodajni.

Jednorożki brodacz poszedł do saloniku prasowego i poprosił sennego sprzedawcę o paczkę elemów i zapalniczkę. Po wyjściu natychmiast rozerwał folię zębami i wydobył z paczki papierosa. Począł jednak z przypaleniem do chwili wyjścia na ruchome schody. Gdy poczuł powiew powietrza, użył zapalniczki. Pozostawiając za sobą smugę aromatycznego dymu, zjechał w dół i zaraz ruszył w kierunku narożnika starego budynku dworcowego. Duża tablica zainstalowana na ścianie informowała po polsku i ukraińsku, że tu znajduje się punkt pomocy dla uchodźców.

Przed wejściem kręciło się kilka osób z papierosami w ustach, kilka siedziało na murku, który od zawsze podróżni traktowali jak ławkę, gdzie można odpocząć, zjeść, zapalić albo, zwyczajnie posiedzieć i pomedytować przed podróżą. Teraz to miejsce zawłaszczyli uchodźcy, którzy przyjechali zbyt późno, by pójść na drugą stronę ulicy Głogowskiej, na Targi Poznańskie, gdzie mogli liczyć na realną pomoc. Tu, przy dworcu, dostawali tylko kanapki, soczki i wodę, tam otrzymywali wszystko, co było potrzebne na start w obcym kraju, czyli ubrania i przede wszystkim adresy miejsc noclegowych na terenie miasta, przygotowanych specjalnie dla uciekinierów. Szczęśliwcy dostawali adresy polskich rodzin, które zdecydowały się oddać potrzebującym pokoje we własnych mieszkaniach.

Ale cały ten ruch zaczynał się dopiero rano. Teraz były martwe godziny i ci, którzy o tej porze dotarli do Poznania, musieli odczekać na dworcu. Na szczęście dla nich nikt nie był pozostawiony samemu sobie. Wolontariusze podchodzili do nowo przybyłych i tłumaczyli im, jak wygląda ten skrawek rzeczywistości, do którego właśnie trafili, i jak mają się zachować, żeby szybko odnaleźć się w nowym miejscu.

Brodacz z papierosem w ustach przystanął, obserwując trzy dziewczyny, które układały torby jedna obok drugiej, rozglądając się przy tym uważnie wokół i badawczym spojrzeniem lustrując wszystkie zakamarki. Jedna z nich go zauważyła i posłała w jego stronę uśmiech. To go ośmieliło. Podszedł bliżej.

- Skąd przyjechałyście? - zapytał.

- Z Krzywego Rogu - odpowiedziała mu ta, która przywołała go spojrzeniem, szczupła brunetka w czapce bejsbolówce na głowie, ubrana w dżinsową kurtkę, założoną na popielatą bluzę dresową z kapturem.

- Jak tam jest? - zainteresował się.

- Niebezpiecznie - stwierdziła druga, niższa o głowę od koleżanki, o okrągłej twarzy i nieco skośnych oczach. Czarne włosy miała zaplecione w dwa warkoczki.

- Czyli bombardują cały czas, suki - rzucił, akcentując szczególnie mocno ostatnie słowo.

- Wałą raketami i zrzucają bomby. - Trzecia, wyglądająca na najwyżej szesnastoletnią drobna blondynka, pochwaliła się swoją wojskową wiedzą, o którą nikt nie posądzałby jej jeszcze tak niedawno. Widać wojna naprawdę była nauczycielką życia, pomyślał brodac, który po kilku miesiącach służby na pierwszej linii potrafił na ucho rozróżnić rodzaj nadlatujących pocisków.

- Jak tu jest? - zainteresowała się ta skośnooka.

- Da się przeżyć - powiedział z pełnym przekonaniem. - Ludzie dziwni, ale idzie się z nimi dogadać.

- Dziwni, czyli jacy? Inni niż na Ukrainie? - zdziwiła się ta wysoka.

- Pomagają i nic za to nie chcą. To jest dziwne.

- Nic w tym dziwnego. Nasi też pomagają - rzuciła drobna.

- Nie tak. - Pokręcił głową. - Tutaj wszystko ludzie robią bez pieniędzy, bo czują, że tak potrzeba. To jest właśnie dziwne. U nas pomogą, i owszem, jak zapłacisz. A tu nie, nikt nie chce słyszeć

o pieniądzech. Dają, ile mogą, biorą naszych do swoich domów i nie chcą arendy, a poza tym możecie jeździć pociągami i tramwajami za darmo. Wystarczy, że powiecie, żeście są z Ukrainy.

Patrzyły na niego zdumione, jakby opowiadał jakąś baśń z *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

– Z głodu tu nie umrzecie. Tu, w tym punkcie za wami z tyłu, dostaniecie jedzenie, jeśli jesteście głodne. Dają *buterbrody* i coś do picia. A jak poczekać do rana, to tam – wskazał na charakterystyczną targową iglicę – jest duży punkt pomocy. Przyjmą was, dadzą jedzenia, tyle, ile wam potrzeba, i skierują do miejsca, gdzie możecie spać. I nikt od was nie weźmie złamanego grosza. Tu się ludzie obrażają, jak chcemy im za coś płacić.

– To rzeczywiście dziwny kraj – stwierdziła skośnooka brunetka. – A praca tu jest?

– Zależy, co się umie. Ale dziewczyny pracują. Musicie tylko szybko nauczyć się polskiego. Wtedy dostaniecie pracę w sklepie czy w restauracji.

– A jakaś pomoc dla uchodźców jest finansowa? – pytała dalej ta czarna. Widać była najbardziej z nich konkretna.

– Są zapomogi i jakieś talony na jedzenie do sklepów. Ale wszystkiego się dowiecie, jak rano pójdziecie do tego centrum pomocy. Tylko jest jedna rzecz. Musicie uważać...

– O, nowe jesteście. – Podeszedł do nich przystojny młody człowiek w kamizelce wolontariusza. Obrzucił brodacza niezbyt przyjaznym spojrzeniem, a potem zaczął dziewczynom tłumaczyć, co mają robić.

W ręce miał plastikową, sztywną podkładkę z metalowym klipsem, do której przypięte były jakieś kartki.

– No to podajcie mi swoje imiona i nazwiska z datami urodzenia i numery telefonów. Muszę was wciągnąć na listę, bo prowadzimy tu codziennie uzupełniany spis tych wszystkich, co przyjeżdżają do Poznania.

– A po co wam taki spis? – zapytała ta o wyglądzie dziecka.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Jak to po co? Do celów statystycznych. A poza tym, żeby było wiadomo, ilu ludzi przyjeżdża, skąd, i w ogóle żeby wiadomo było, co się dzieje z tymi, co przyjechali.

To je przekonało. Zaczęły podawać swoje dane, a wolontariusz porównywał je z tymi wpisanymi do ich dowodów.

Uporawszy się z papierkową robotą, zaproponował im jedzenie, które mogły dostać w punkcie wydawania żywności. Dwie z nich poszły we wskazane miejsce. Została ta wysoka. Wolontariusz zapalił papierosa. Chciał poczęstować dziewczynę, ale odmówiła. Jednoręki brodacz siedział na murku wpatrzony w peron, na który wjeżdżał właśnie pociąg do Szczecina. Czekają na niego zaledwie kilkunastu potencjalnych pasażerów. Łoskot wjeżdżającego składu nieco zagłuszył rozmowę, jednak udało mu się wyłowić z niej to, co było najważniejsze.

– Wiesz, można nieźle zarobić. Ale to nie jest praca dla nich. – Wskazał deską z notatkami na drzwi, za którymi zniknęły jej koleżanki. – W takiej robocie trzeba mieć prezencję i trzeba być ładną. A ty, jak widzę, jesteś nieźle zbudowana. To jest praca w klubie, ale dzień ma się wolny. No a poza tym zarabia się takie pieniądze, o jakich na Ukrainie nawet ci się nie śniło – rzucił rozmarzonym głosem. – Jakbyś się zdecydowała, to zadzwoni. Wtedy będę mógł przedstawić ci więcej szczegółów. Tylko wiesz, nikomu nic nie mów, no i szybko się zastanawiaj, bo codziennie przyjeżdżają tu dziewczyny z Ukrainy i biją się o taką robotę – powiedziaławszy to, podał jej wizytówkę, którą dziewczyna zaraz schowała do kieszeni kurtki.

– A ile można zarobić?

– Za jeden wieczór nawet sto euro.

– Co? Tyle forsy?

- Wiesz, dostajesz kasę za pracę w barze, ale jak się nauczysz tańczyć, to zarobisz jeszcze raz tyle. Za taniec faceci dają napiwki...

Przerwał, bo wróciły jej koleżanki obładowane pićm i jedzeniem. Najbardziej zadowolone były ze słodczy, bo tych nabrały tyle, ile się dało.

- Angelina, mówię ci, tu jest jak w raju. Jedzenie, picie, soczki słodkie i czekolady, ile tylko będziesz chciała - tłumaczyła ta najmłodsza, uśmiechając się szeroko. Skośnooka nie miała zamiaru dać się prześcignąć w zachwytach.

- Nawet pastę do zębów i szczoteczki tu dają. A, i można się iść umyć do toalety. Tam trzeba iść, na prawo.

Wolontariusz rzucił jeszcze kilka żartów i oddalił się odprowadzany spojrzeniem jednorękiego faceta. Szedł w kierunku punktu pomocy, ale nie wszedł do środka. Stał tam chwilę, rozglądając się uważnie i lustrując uchodźców siedzących na murku, pod dworcową ścianą, i stojących wokół popielniczek. Zagadnął jedną, potem drugą osobę i w końcu ruszył w stronę peronów. Brodacz poderwał się z siedzenia i zapaliwszy kolejnego papierosa, poszedł za nim. Minawszy narożnik starego budynku dworcowego, znalazł się na pierwszym peronie. Wolontariusz akurat zaczął schodzić do dworcowego tunelu. Jednoręki przyspieszył nieco, by nie stracić go z oczu. Puścił się w dół akurat w momencie, gdy tamten skręcał w prawo, w kierunku Dworca Zachodniego. Chłopak był młodszy, więc gdyby chciał pobiec, to brodacz nie miałby z nim najmniejszych szans. Ale chyba nie spodziewał się żadnego zagrożenia. Szedł niezbyt pospiesznie, nie oglądając się za siebie. Minął zakratowane schody wiodące do starej hali dworca, która od kilku lat była nieczynna, bo nikt nie miał pojęcia, co z nią zrobić. Doszedłszy do schodów wiodących na czwarty peron, przystanął na środku tunelu i zaczął wkładać sobie słuchawki do uszu. Gdy to zrobił, wydobyl telefon, by pewnie włączyć jakąś muzykę. Jednoręki się zbliżał. Nie miał jeszcze planu, ale wiedział, że musi wyciągnąć z niego konkrety. To, co usłyszał przed dworcem, wystarczyło mu, by się przekonać, że wolontariusz jest właściwym człowiekiem do rozmowy.

Znalazł się tuż obok niego, gdy po lewej stronie korytarza otworzyły się drzwi do windy. Na podłodze leżał jakiś człowiek. Oparty głową o aluminiową blachę ściany, spał w najlepsze. Brodacz wyczuł okazję. Nie zastanawiając się, chwycił wolontariusza za rękę, wykręcił mu ją i popchnął w kierunku otwartych drzwi windy. Nim zaatakowany zrozumiał, co się wydarzyło, stał już nad leżącym facetem, który śmierdział alkoholem i sikami.

- Co jest, kurwa?! - zawołał młodzieniec.

- Jest dobrze - stwierdził brodaty i wyszczerzył w uśmiechu poźółkłe od nikotyny zęby.

Leżący na podłodze kloszard nawet nie otworzył oczu, przyzwyczajony widać do tego, że od czasu do czasu ktoś prócz niego korzystał z tej samej windy.

Rozdział VIII

Sobota
28 maja
Poznań
Godzina 00.05

Otworzył oczy, ale to niewiele dało. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Jakiś obcy pokój i jasno oświetlone okno. Takie wielkie, jak w przedwojennych kamienicach, dwuskrzydłowe z krzyżem drewnianej ramy w środku. Widać je było bardzo wyraźnie, bo z zewnątrz do środka wpadało jasne sodowe światło. To pewnie z lampy ulicznej, która musi stać gdzieś niedaleko, myślał Turek, zastanawiając się, co to za miejsce.

Spróbował obrócić się na bok, ale nie bardzo mógł, bo ruchy ograniczało mu coś miękkiego i dużego. Klepnął to coś i stwierdził, że to chyba oparcie tapczanu. Tak, spał na jakimś tapczanie, przykryty kocem i rozebrany do slipów oraz podkoszulki.

No tak, naraz sobie wszystko przypomniał. Siedział z tym Ruskim, to znaczy Ukraińcem, Dimą. Swoją drogą ciekawe, że cały czas myślimy o nich jak o Ruskich, a przecież oni właśnie pokazują światu, jak bardzo tymi Ruskami nie chcą być. Udowadniają, że zasługują na wielki szacunek, walcząc z tymi, którzy chcą ich zniszczyć. Nie podbić, ale fizycznie zniszczyć, tak jak naszych oficerów w Katyniu.

Unióś się na łokciu i rozejrzał dookoła. Nie bardzo pamiętał, jak się tu znalazł, ale zaczął się domyślać. Próbował dotrzymać Dimie kroku i właśnie tak się to skończyło. Nie dał rady wrócić pociągiem do Szamotuł, dlatego Przemysław i ta jego wytatuowana żona zabrali go do siebie do domu na Wildzie i położyli tam, gdzie było miejsce, czyli na kanapie w salonie. I dobrze, że tutaj, bo przynajmniej dzięki tej ulicznej lampie widział, gdzie jest.

Gdzieś tam na dole przejechał tramwaj. To znaczyło, że się nie pomylił. W Szamotułach nie ma tramwajów, czyli był w Poznaniu. Wszystko się więc zgadzało, poza jednym. Dlaczego się obudził? Przez te hałasujące tramwaje? Nie, absolutnie ruch uliczny nie mógł mu przeszkadzać, bo był do niego przyzwyczajony. Jego mieszkanie na Obornickiej też miało okna wychodzące na ulicę, po której przez cały dzień, a także nocą, jeździły auta. Więc co było powodem?

Na ławie ze szklanym blatem tuż obok kanapy dostrzegł szklankę wody i telefon. Wodę musiała mu postawić opiekuńcza dłoń z obrazami smoków, a telefon zapewne położył on sam, żeby mieć do niego szybki dostęp, gdyby ktoś przypadkiem dzwonił.

Wziął go do ręki i dotknął ekranu. Ktoś się do niego dobijał. I to nie raz, ale cztery razy. Wszedł w nieodebrane. To był Dima. Ciekawe, czego od niego chciał? Może miał ochotę napić się jeszcze wódki...

Odłożył telefon na blat, przykrył się kocem i zamknął oczy. Ale sen nie chciał przyjść. Coś go niepokoiło. Czuł, że coś jest nie tak, jak być powinno. Był przecież podparty, więc powinien zasnąć niemal natychmiast, a tu jednak jakieś dziwne myśli kołatały mu się po głowie. No i do tego jeszcze ten Dima. Dzwonił ostatni raz pięć minut temu. To znaczy, że to dzwonek telefonu musiał go obudzić. A może ten Dima chciał mu coś ważnego powiedzieć? Ale co miałby ważnego do przekazania o pierwszej w nocy...?

Wziął telefon, żeby jednak oddzwonić. Nie zdążył nawet wybrać numeru, kiedy rozległa się melodia z *Gwiezdných wojen*. Natychmiast odebrał.

- Szymon, nie śpisz? - zapytał Dima. Czyli że przeszli na ty. Nie pamiętał bruderszaftu, ale to nie miało i tak najmniejszego znaczenia. Turek nie przywiązywał wielkiej wagi do form grzecznościowych.

- No a jak mam spać, jak do mnie dzwonicz?

- To dobrze, że nie śpisz. Jesteś w Poznaniu?

- Słuchaj, Dima, fajnie było napić się wódki, ale wiesz, ja już więcej nie mogę, bo jutro będę musiał być w pracy. Co prawda nie rano, ale w południe to już na pewno. I nie mogę być nawalony, jak pójdę do roboty...

- Nie o picie mi chodzi.

- A o co?

- Mam jednego gnoja, co jest z tej bandy, która porywa dziewczyny! Znaczą Ukrainki zabierają z dworca!

- Dima, jesteś trzeźwy?

- Jak mogę być trzeźwy, jak my wypili trzy butelki wódki właściwie we dwóch. Musisz przyjechać, bo sam nie dam sobie z nim rady. Mam go zamkniętego, ale wiesz, może by...

- Dima, gadaj mi zaraz, gdzie jesteś?

- Nu gdzie mam być? Już ci mówiłem ja wczoraj, że się idę na dworzec kolejowy rozejrzeć. No i szczęście dopisało. Od razu ja namierzył takiego jednego.

- Co się dzieje, Szymon? - usłyszał głos za swoimi plecami. Odwrócił się. W drzwiach stał Przemek w pidżamie i z włosami stojącymi na sztorc. Tarł oko pięścią jak małe dziecko.

- Dima dzwoni. Mówi, że ma jakiegoś gościa z bandy tych, co porywają kobiety.

- Powiedz mu, że my mamy dwóch.

- Jak dwóch? - zdziwił się Turek.

- No jak? Sam żeś pod dworcem złapał dwóch gości...

Turek machnął ręką. Ci dwaj, których pobił razem z Nadią pod dworcem, siedzieli teraz w areszcie i czekali na przesłuchanie. Ale Turek był pewny, że to zwyczajni chuligani, którzy chcieli okraść te panny. To nie byli bandyci od handlu żywym towarem, ale jakieś pętaki.

- Słuchaj, Dima, ja już się zbieram i będę za dwadzieścia minut. Czekać na mnie przed wejściem na stary dworzec.

Przerwał połączenie i zaczął szukać swojej garderoby. Okazało się, że koszulę i spodnie ktoś powiesił na oparciu krzesła stojącego przy stole.

- No i co zamierzasz zrobić? - zapytał Przemek.

- No jak co? Muszę jechać. Dima to konkretny facet. Jak mówi, że to jest ktoś z bandy, to tak jest.

Przemek odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pięć minut później, gdy Turek po omacku szukał na korytarzu butów, ktoś zapalił światło. Zdziwiony zamrugał, bo trochę go oślepiło. Zobaczył ubranego i uczesanego Drażkowskiego gotowego do wyjścia.

- A ty co? - zapytał Turek.

- Jak co? Przecież cię samego nie puszcze, bo się jeszcze gdzieś zgubisz.

Dziesięć minut później podjeżdżali już pod dworzec. Zostawili auto na parkingu przy Dworcu Letnim i pokonali kawałek pieszo, dochodząc pod dawne wejście Dworca Głównego. Dima siedział na murku i palił papierosa. Na ich widok podniósł się i uśmiechnięty od ucha do ucha machnął ręką, żeby poszli za nim. Po chwili się zrównali.

- Co ty wyprawiasz, Dima? - rzucił zamiast powitania Przemek.

- Ja, nic. - Brodacz wzruszył ramionami. - Kazaliście się rozejrzeć, to się rozejrzałem. Mam tu jednego faceta, co to dziewczyny namawiał do pracy w nocnym lokalu.

- Łe, to jeszcze nie grzech. - Turek machnął ręką. - U nas nocne lokale są legalne.

- Ja też się zastanawiał przez chwilę, czy aby się nie pomylił, ale jak sobie z nim pogadaliśmy, to wyszło, że miałem rację.

- Gdzie ten człowiek? - zapytał Przemek, rozglądając się po pustym peronie. Szli wzdłuż starego budynku dworcowego, minęli otwarty przez całą dobę sklep spożywczy, przy którym zawsze kręcili się jacyś ludzie, potem dworcowe toalety, ale tu nie było nikogo, i w końcu dotarli do jakichś małych budynków dworcowych, których funkcji nie potrafili określić żaden z przechodzących tędy codziennie pasażerów. Ukraińiec wszedł w wąski przesmyk między dwoma budynkami. Przemek, mimo że zdarzało mu się jeździć pociągami od czasu do czasu, nawet nie wiedział, że za starym dworcem stoją takie małe chatki. Turek nie dziwił się niczemu, zastanawiając się, co to za gość, ten złapany przez Dimę, i co właściwie może mieć do powiedzenia...

- To tu - powiedział Ukraińiec, wskazując na niewielkie podwórko oddzielone od czwartego peronu małym budynkiem o spadzistym dachu.

Drażkowski i Turek spojrzeli na siebie zdziwieni. Dima uśmiechnął się i podszedł do wielkiej drewnianej skrzyni, takiej, jakie dawniej służyły do przechowywania piachu przydatnego w walce z oblodzonymi chodnikami. Podniósł klapę, nachylił się do środka, chwycił coś i zaraz oczom zdumionych policjantów ukazała się głowa młodzieńca o ustach zaklejonych taśmą. Chłopak patrzył na nich przerażonym wzrokiem człowieka, który właśnie został wydobyty z grobu.

- No to teraz grzecznie opowiesz, co mi ty mówił, tak żeby panowie wszystko słyszeli. A jak coś skłamiesz, to tak jak ci obiecał, ty żywy do rana nie doczekasz. Tak że gadaj po kolei, co i jak.

Zdarł mu taśmę z ust jednym szarpnięciem. Chłopak jęknął, a potem zaczął charczeć, jakby miał za chwilę dostać zapaści. Ale nic takiego się nie stało. Przełknął ślinę i zaczął mówić:

- Te dziewczyny, co tu przyjeżdżają, to one nie wiedzą, co ze sobą robić, więc każą mi dawać im wizytówki, żeby dzwoniły. Ale tylko te ładne. Jak która zadzwoni, to od razu dostaje robotę. Znaczązabierają je do jakiegoś domu gdzieś pod Poznaniem i tam je przerabiają.

- Co to znaczy „przerabiają”? - zapytał Turek, zaciskając mimowolnie pięści.

- No, mówią im, że jadą do pracy, podają wódkę i prochy, a jak która nie chce, to ją pieprzą tak długo, że jest jej już wszystko jedno. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Ja tylko jestem od przekazywania kontaktu.

- Ktoś jeszcze tu pracuje z tobą? - zapytał Drażkowski.

- No kilku chłopaków. Jest dużo roboty, bo dużo dziewczyn przyjeżdża. A niektóre to od razu chcą jechać do pracy. To wtedy podjeżdża po nie auto i wiozą je prosto z dworca do tej pracy, znacząz najpierw gdzieś, do jakiegoś hotelu czy coś...

- A co trzeba zrobić, żeby takie auto przyjechało? - Turek natychmiast wyczuł okazję.

- Musiałbym zadzwonić do mojego znajomego, że mam dziś dziewczyny chętne. To w ciągu godziny czy dwóch przyjedzie.

- To dzwoni - rzucił Dima. Wyciągnął z kieszeni telefon, który mu wcześniej zarekwirował, i mu go podał. Ten pokręcił głową.

- Ręce - powiedział. - Nie ma jak.

- A - przypomniał sobie brodac. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej nóż sprężynowy i przeciął nim taśmę na nadgarstkach. Chłopak rozmasował sobie kostki, a potem wziął aparat i wybrał numer.

- Są trzy laski do wzięcia na już - rzucił do słuchawki.

Przez moment czekał na odpowiedź.

- Jak będą tu za długo siedzieć, to sobie gdzieś pójda. Nie utrzymam ich. A mówię ci, zajebiste dupy. Lepiej, żeby ich nie stracić...

Skończył rozmowę i spojrzął na Dimę.

- Wszystko zrobiłem. Mogę już iść? - zapytał.

- Chyba żeś zszedł z rozumu - rzucił Ukrainiec. - Poczekasz z nami. A jak przyjadą, to cię wypuścimy, co? - mówiąc to, spojrzął na policjantów. Jeden i drugi skinęli głowami. Ale tak naprawdę wcale ich nie obchodziło, co się stanie z chłopakiem, gdy podjedzie już tu wóz do transportu dziewczyn. Jednego byli pewni - zamiast dziewczyn to oni pojedą na przejażdżkę pod Poznań.

W czwórkę ruszyli w kierunku placu przed starym dworcem.

- Gdzie podjeżdżają? - zapytał Turek.

- Tam, pod mostem. - Chłopak wskazał miejsce pod estakadą dworcową, gdzie kiedyś stały plastikowe budy, w których sprzedawano zapiekanki z mikrofali i puszki z piwem. Teraz piwo można było dostać w okolicznych sklepach po dwa złote za sztukę, więc w takiej budce nikt nie miałby ochoty kupować i przepłacać.

- Zrobimy tak, ty będziesz tu stał i czekał - zaczął wyjaśniać plan akcji Przemek. - Jak podjedzie ten kolo, podejdziesz do auta i otworzysz drzwi. Rozumiesz?

Chłopak pokiwał głową.

- No to dobrze, że rozumiesz. A czy ten gość, co przyjedzie, jest uzbrojony?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie mówił, czy ma broń. Nie wiem.

- Na wszelki wypadek, jak usłyszysz, że jesteśmy za tobą, połóż się na chodniku.

- Chcecie go zastrzelić? - zapytał przerażony.

- Ciebie zastrzelimy, jak dasz ciała - ostrzegł go Turek.

Weszli pod estakadę. Chłopak został na chodniku. A trzech mężczyźni się rozdzielili. Przemek ukrył się za nieczynną budą. Turek stanął przy zaparkowanym na chodniku samochodzie, tak jakby był jego właścicielem grzebiącym w bagażniku, a Dima przeszedł na drugą stronę ulicy i zapalił papierosa. Wyglądał jak zwyczajny pasażer, który wyszedł zapalić poza teren dworca. Zresztą nawet gdyby przebrał się w strój kosmity, i tak nikt by nie zwrócił na niego uwagi. Na ulicy nie widać było żywego ducha, prócz zdenerwowanego wolontariusza po drugiej stronie.

Okolice Grodziska Godzina 0.15

- Nic, kompletne zero - stwierdził Krukowski, rozprostowując ramiona.

- Może by tam wejść jednak do środka?

- A masz jakiś nakaz?

- No nie mam.

- No to widzisz. Jak mamy wchodzić na czyjąś prywatną posesję? Przecież to nie jest dom, w którym odbywają się jakieś bezprawne ekscesy, tylko pusta chata, w której nic się nie dzieje.

Alina pokiwała głową. Musiała mu przyznać rację. Kruk i tak wykazał bardzo dużo cierpliwości. Wysłuchał jej, a potem pojechał do tej leśnej głuszy, wierząc, że miała rację. A tymczasem wyszło jedno wielkie nieporozumienie. Siedzieli na skraju tego lasu przez kilka godzin, czekając bezskutecznie, aż coś się wydarzy, ale nie zdarzyło się kompletnie nic. Nie było tej toyoty, a co więcej, w zagrodzie nie było żywego ducha. Dlatego Krukowski wkurzony chciał natychmiast wracać, gdy okazało się, że przyjechali tu na marne. Alina zdołała go jednak przekonać.

- Wiesz, możemy poczekać trochę, aż oni tu przyjadą - mówiła, choć sama do końca nie wierzyła w swoją argumentację. Po prostu nie umiała się pogodzić z porażką. Jechała do lasu uskrzydłona, bo przekonana, że za moment będą mieli w rękę szajkę porywaczy kobiet, a tymczasem miejsce, które według niej powinno być tym, gdzie bandyci się ukrywają, a właściwie gdzie ukrywają swoje ofiary, okazało się puste.

- No dobra - zgodził się z nią Krukowski. - Poobserwujemy i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

On też nie chciał wracać do Grodziska z pustymi rękoma, tym bardziej że cała opowieść Aliny wyglądała całkiem sensownie. Skoro przyjechali już do tej głuszy leśnej, nic nie stało na przeszkodzie, żeby chwilę posiedzieć w krzakach i poobserwować. No to posiedzieli, ale chyba trochę za długo. Krukowski nawet zasnął w pewnym momencie, bo jednak miał dziś bardzo pracowity dzień. Gdy się obudził, stwierdził, że noc zapadła jakoś za szybko i niespodziewanie. A potem spojrzął na zegarek i zaklął pod nosem. Alina nie obudziła go celowo, licząc, że ci, którzy powinni byli wrócić do zagrody, wkrótce przyjadą. Dała mu więc spać, jak długo się dało. Nikt jednak się nie pojawił.

- Dobra, nie ma sensu tu przesiadywać dłużej - zdecydował policjant. Zbieramy się.

- Wiesz, głupio mi, że cię w to wciągnęłam.

- Dobra, postawisz przy okazji...

- Co mam ci postawić?

- Cicho! - syknął, przykładając palec do ust. Noc była księżycowa, dlatego widzieli się doskonale. Co więcej, widać było też całe obejście, ale nikogo w nim nie było. - Ktoś jakby krzyknął - powiedział podkomisarz.

Przez chwilę stali w milczeniu, uważnie nasłuchując. W końcu policjant machnął ręką.

- Musiało mi się, cholera, przesłyszeć.

- A co słyszałeś?

- Jakby jakieś wycie.

- E, to może wilki wyją - stwierdziła.

- Jak wilki? - zdziwił się.

- No normalnie. Wilki to takie zwierzęta, co wyją od czasu do czasu. Szczególnie w nocy. A odgłos wyjącego wilka może być przy dobrej pogodzie słyszalny z kilku kilometrów.

- A skąd niby wilki? Czy to jest Syberia, czy jak?

- Łe tej, to ty nie wiesz, że u nas w lasach żyją wilki? - zdziwiła się, sądząc przez moment, że Krukowski sobie z niej żartuje.

- Ale teraz gadasz. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - A niby skąd miałyby się tu wziąć?

- Jest ich ponad sześćset w Wielkopolsce... - przerwała, bo teraz jej się zdało, że coś słyszy.

- Znowu? - Krukowski spojrzął na nią pytająco. - Ale to nie wilk. To tak, jakby ktoś płakał, albo co?

- To może być tam. - Wskazała na gospodarstwo.

Nie zastanawiali się dłużej. Oboje ruszyli szybko przed siebie, przemierzając niewielką odległość pomiędzy ścianą lasu a budynkami. Po chwili byli już przy drewnianej stodółce. Przystanęli tam na moment, by posłuchać, czy odgłos, który słyszeli, się powtórzy. Czekali minutę, a może i dłużej, ale nic się nie wydarzyło. W końcu Krukowski pokazał ręką na dom.

- Idziemy tam! - Najwyraźniej przejął dowodzenie. W końcu był starszy stopniem i to jemu należało się dowództwo. Alina nie miała zamiaru dyskutować na ten temat. Była zadowolona, że wreszcie wejdą do środka, bo w ten sposób mogło się potwierdzić, że miała rację i że ci ludzie byli tutaj. Być może przyjechali i zaraz ruszyli w dalszą drogę, na przykład do Niemiec. Byłoby to bardzo przykre, bo oznaczałoby, że dziewczyny, która siedziała w aucie, nie da się już uratować. Ale jeśli nie zastaną tam nikogo, trzeba będzie wziąć budynek pod obserwację. Może bandyci wpadną w ich ręce razem z kolejną partią niewolnic wywożonych za granicę.

- Ja idę pierwszy i podchodzę pod drzwi. Ty mnie ubezpieczasz.

- Tak jest.

- Masz broń?

- No pewnie, że mam. - Poklepała się pod piersi. Pod lewą pachą miała kaburę ze służbowym glockiem 26. Gdy ustalili z Krukowskim, że pojedą do tej leśniczówki, zabrała z kasetki pancерnej swoją

broń i kurtkę z szafy. Czarna policyjna kurtka doskonale nadawała się do maskowania pod nią kabury z pistoletem. A poza tym dobrze, że ją wzięła, bo wieczory były jeszcze zimne.

- Dobra, to lecę i tam czekam pod drzwiami. Jak sprawdzę, że jest bezpiecznie, machnę na ciebie, a ty podbiegniesz. Wtedy będę cię ubezpieczał - mówiąc to, wydobyl walthera P99, skinał jej głową i ruszył przed siebie.

Patrzyła, jak przebiega podwórko. W kilku susach dopadł ściany budynku. Nic się nie wydarzyło, to znaczy nikt go nie dostrzegł i nie podniósł alarmu. W zagrodzie nie było też psa, który mógłby zacząć szczekać. Mogła więc bezpiecznie pójść za nim. Nie ruszyła się jednak. Czekala, aż jej da znać, gdy upewni się, że jest bezpiecznie. Minęła jeszcze przynajmniej jedna minuta, gdy Krukowski pokiwał ręką. Za chwilę była już przy nim.

- No i co? - zapytała go cicho.

- Słyszałem coś.

- Krzyki?

- Nie, raczej jakieś kwilenie.

- Dziecko? - domyśliła się i zaraz zrozumiała, jaką głupotę palnęła. Kto by tu zostawiał dzieciaka? Musiała zaraz zaproponować jakieś sensowne wyjaśnienie, którym dałoby się zatrzeć wrażenie tego niefortunnego skojarzenia. - Koty nieraz tak jęczą jak małe dzieci - rzuciła zadowolona z tego przykładu, bo był jak najbardziej racjonalny. Koty rzeczywiście potrafiły niekiedy zmylić ludzi, którzy brali je za lękające niemowlęta.

- To nie kot! Słuchaj!

Znów oboje zamarli w bezruchu, by nie zakłócić żadnych odgłosów. Kwilenie się powtórzyło.

- Rzeczywiście, ktoś tam jęczy.

- Wchodzę pierwszy. - Wskazał na ganek.

- A jak drzwi będą zamknięte?

- To się je rozpieprzy - oznajmił i ruszył znów przodem. Podeszli bliżej. Krukowski trzymał pistolet w prawej ręce, uniesiony ku górze, lewą zaś położył na klamce. Przycisnął ją, ta jęknęła i drzwi ustąpiły. Stojąca plecami do niego Alina, która omiatała spojrzeniem policyjnej obserwatorki całe podwórko, odwróciła się akurat w chwili, gdy dowódca nieformalnej akcji wszedł do środka. Natychmiast rozbłysło światło, którego włącznik musiał namacać na ścianie. Poszła za nim, cały czas skupiając się przede wszystkim na zabezpieczeniu tyłów. Była przekonana, że on sobie spokojnie poradzi z tym, co przed nimi, a tył trzeba zabezpieczać, bo przecież nigdy nic nie wiadomo.

- Kurwa! - zaklął Krukowski. - Ja pierdolę, coś tu się stało.

- Co się stało? - zapytała.

- Chodź zobacz. O ja cię chrzanię. Trzeba by wezwać technikę. Patrz się tutaj. - Wskazał na podłogę, gdy weszła do środka. Na ścianie i bezpośrednio pod nią widać było zaschniętą krew. Tak jakby ktoś polał to miejsce celowo czerwoną farbą. Ale nie była to farba, o czym świadczył rój much uwijających się wokół. Czuły zapach krwi i liczyły na znacznie bardziej okazałą ucztę w postaci jakiegoś nieboszczyka, na którym można by przysiąść. Ale ciała w pobliżu nie było widać. Dokładnie sprawdzili kuchnię, po czym Alina ruszyła korytarzem w głąb domu. Po chwili przystanęła pod drzwiami prowadzącymi do jakiegoś pomieszczenia. Przyłożyła ucho i słuchała. Zaraz obok niej pojawił się Krukowski.

Odwróciła się do niego i położyła palec na ustach. Zastygł w bezruchu, nasłuchując. Ze środka dobiegł jakiś jęk.

- Wchodzę - zdecydowała policjantka, a on skinał głową. Ostrożnie ujęła w dłoń klamkę i starając się nie narobić hałasu, przycisnęła ją. Mieli dziś szczęście. Kolejne drzwi ustąpiły. Gdy skrzydło nieznacznie się uchyliło, oboje usłyszeli wyraźnie stłumiony głos. Alina popatrzyła na Krukowskiego, a ten położył jej rękę na ramieniu i skinał głową. Namacała włącznik światła w środku, wstrzymała oddech i naraz

wdusiła go. Światło spłynęło spod sufitu, oświetlając pokój, w którym stało szerokie łóżko przykryte szarym kocem. Leżała tam kobieta. Jej ręce i nogi związane trytytkami i dodatkowo przytroczono do oparcia łóżka i jego tylnej części. Była więc kompletnie unieruchomiona. Nie mogła mówić, bo miała zaklejone usta.

Policjantka natychmiast ją poznała. To była ta blondynka z auta. Początkowe przerażenie w oczach skrupowanej dziewczyny zniknęło natychmiast, gdy zrozumiała, z kim ma do czynienia. Musiała rozpoznać Alinę, bo na jej zaklejonej twarzy pojawił się uśmiech. Widać go było po zwężonych oczach i policzkach, które uniosły się nieco ku górze.

- To ona, Kruk, to jest ta dziewczyna! - zawołała uradowana Alina.

Krukowski nie miał zamiaru stać bezczynnie. Schował pistolet do kabury i z kieszeni wyciągnął niewielki składany, wielofunkcyjny scyzoryk. Przeciął nim najpierw oba sznury, a potem szczypcami plastikowe trytytki. Alina przysiadła na łóżku, po czym ostrożnie zdjęła skrupowanej dziewczynie plaster z twarzy. Oswobodzona przez chwilę wpatrywała się w policjantkę, a potem mocno ją objęła.

- Я знала, я сразу поняла, что ты спасешь меня. Как только увидела тебя в городе, я почувствовала, что могу рассчитывать на твою помощь. И в лесу я тоже была уверена, что ты меня спасешь. Я ждала, так долго ждала...²⁷ - przerwała, ocierając łzy z oczu. Policjantka nie rozumiała ani słowa, ale czuła, że chodzi o jakieś wyrazy wdzięczności.

- No, już dobrze, już dobrze, kochana, nic ci nie grozi - tłumaczyła jej Alina, ale znaczenie pojedynczych słów raczej nie docierało do dziewczyny. Za to doskonale musiała zrozumieć sens tego, co policjantka chciała jej przekazać. Odsunęła się od niej, a potem ucałowała w oba policzki.

- No dobra, dość tych czułości. Trzeba ją zapytać, co się tutaj stało. - Krukowski wskazał głową drzwi wiodące na korytarz. Mówiąc to, miał na myśli tę plamę krwi na podłodze w kuchni. Alina nie bardzo wiedziała, jak ma to zrobić. Naraz wpadła na bardzo prosty pomysł.

- Do you speak English?

- Yes, I speak a little.

- That's great. I'm really glad. Tell me, what is your name?

- My name is Sonia.

- Ah, Sonia, very nice. And tell me what happened here, in this house. I mean those bloodstains on the kitchen floor.

- These bloodstains are because of me.

- How is it?

- I stabbed the knife in the neck of the woman who kidnapped me. I wanted to kill her²⁸.

Krukowski nie znał angielskiego, więc wsłuchiwał się w tę wymianę zdań niezbyt uważnie, licząc na to, że jego koleżanka i tak mu powie wszystko, czego się dowiedziała. Podszedł do okna, wpatrując się w ciemność. I nagle zdał sobie sprawę, że ta ciemność nie jest wcale taka, jak by się można było tego spodziewać. Coś ją rozświetlało. I naraz zrozumiał, co było tego przyczyną. Leśną drogą w kierunku gospodarstwa jechał samochód z zapalonymi światłami. Był już tak blisko, że jeśliby wyszli teraz z domu na podwórze, byłiby widoczni jak na patelni.

Poznań
Godzina 1.00

Z głośnika zainstalowanego w suficie płynęła delikatna muzyka jazzowa. Aneta dotąd nie przypuszczała nawet, że jazz może być taki przyjazny dla ucha. Słuchała popu i rocka, a tu Włodek zaskoczył ją jazzem.

- Czym się zajmujesz w tej policji? - zapytał, unosząc się na łokciu.

- Wszystkim i niczym. Dużo by opowiadać - rzuciła i naciągnęła na siebie kołdrę. Prawda, leżeli w łóżku, a całkiem niedawno się kochali, ale na nagość przed nim nie była jeszcze gotowa. Zdawała sobie sprawę, że to całkiem bez sensu, ale nie oswoiła się jeszcze z obecnością Włodka w jej życiu i w sypialni, żeby wystawiać mu przed oczy swoje nagie piersi. Dlatego okryła się szczelnie, tak że widać jej było tylko twarz i ramię.

- Opowiedz. Mamy przecież czas - zachęcił ją, uśmiechając się przy tym ciepło. W sumie miał rację. Nigdzie się nie spieszyła. Nie dzisiaj. Była już noc, a jutro nie musiała wstawać wcześniej rano. Była sobota, a ona nie miała dyżuru. Zamierzała pojechać na targi i popracować kilka godzin z uchodźcami. Ale to nie oznaczało, że musi tam się pojawić o świcie. Mogła spokojnie zacząć o dziesiątej czy nawet jedenastej.

- Zaczynałam na małym wiejskim posterunku. Poszłam do policji, bo właściwie nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. No wiesz, taka niewielka miejscowość nie daje ludziom żadnych perspektyw. Koleżanki ze szkoły szły do pracy w sklepach czy hurtowniach, inne szybko wydawały się za męża i zajmowały domem, a kilka wybrało się na studia. Ja chciałam robić coś, co nie będzie taką zwyczajną pracą, w której siedzi się osiem godzin za biurkiem, i wtedy znalazłam ogłoszenie o naborze do policji. Wymagania nie były wygórowane, wykształcenie minimum średnie, to akurat miałam, no i drugie to zdrowie i dobra kondycja fizyczna. Zapisałam się, wypełniłam potrzebne dokumenty i dość szybko się odezwali do mnie. W tym czasie zaczęłam jeszcze zaoczne studia prawnicze. Powiedziałam o tym studiowaniu na rozmowie kwalifikacyjnej, ale oni nie mieli nic przeciwko, a jeden nawet powiedział, że w policji bardzo ceni się studiujących funkcjonariuszy. Później okazało się to nieprawdą, bo mój szef, który nie miał studiów, robił wszystko, żeby mnie zniechęcić do nauki. No ale zostałam policjantką, taką dziewczyną do wszystkiego, czyli do wychodzenia na patrole po mieście, pisania raportów, których nie chciało się pisać kolegom, i przede wszystkim do parzenia kawy i chodzenia po drożdżówki.

- Czyli musiałś przejść coś w rodzaju szkoły życia. - Włodek wstał z łóżka. On nie krępował się swoją nagością. Podeszedł do okna. Na parapecie stała butelka wody. Otworzył ją i wyciągnął w kierunku Anety.

- Napijesz się? - zapytał. Pokręciła głową, przyglądając się jego atletycznej sylwetce. Był doskonale, harmonijnie zbudowany, a pod jego skórą nigdzie nie widać było jakichś niepotrzebnych pokładów tłuszczu. Uśmiechnęła się do samej siebie na myśl o tym, że jej nowy facet wygląda niemal idealnie. Fajnie mieć poczucie, że ktoś taki jest bliską osobą. Do tego był inteligentny, elokwentny, a przy tym wszystkim wyznawał podobne wartości jak ona. Chęć angażowania się w bezinteresowne pomaganie innym to było coś, co ceniła szczególnie. Włodek taki właśnie był. Przychodził do punktu przyjęć uchodźców i podobnie jak ona siedział tam tak długo, jak było trzeba. Widać mógł sobie pozwolić na to, by poświęcać swój czas dla innych. A przy tym miał chyba dobrą pracę, bo było widać, że ma pieniądze.

W tym momencie uświadomiła sobie, że w zasadzie nie zdążyła go jeszcze zapytać, czym się zajmuje. Miała tylko jakieś mgliste pojęcie o tym, że prowadzi własną firmę.

- No i potem, gdy już wszystkim kolegom przyniosłam drożdżówki - opowiadała dalej o sobie, choć już postanowiła zakończyć ten temat i przejść do niego - zdecydowałam, że czas coś zmienić w życiu, i przenieśliśmy się do Poznania.

- Rozumiem. - Pokiwał głową. - Poznań daje jednak trochę więcej możliwości niż mała miejscowość.

- Zdecydowanie. Tu się sporo dzieje, więc w policji mamy pełne ręce roboty.

- A co to za robota?

- Walka ze złymi ludźmi.

- Dobrze, że nie jestem zły. Musiałabyś ze mną walczyć.

Podeszedł do łóżka i wsunął się pod kołdrę. Poczwała ciepło jego skóry. Przywarła do niego całym ciałem, a on pocałował ją w usta i zaraz przeniósł pocałunek na czoło. Widać nie miał ochoty na coś więcej. Nie chciała być nachalna. Rozluźniła się, układając głowę na jego piersi.

- A ty czym się zajmujesz na co dzień, oprócz pomagania?

- Wiesz, to jest dość skomplikowane.

- Życie jest skomplikowane. Wszystko, co robimy, jest złożone i zbudowane z setek elementów, które tworzą całość. Wiem, że pomagasz ludziom, i bardzo to w tobie cenię. Ale z tego się nie da żyć. Przecież musisz całkiem przyzwoicie zarabiać. - Uniosła rękę i zatoczyła palcem kółko, jakby chciała podkreślić obwódka markera to, co widziała. Mieszkanie Włodka musiało sporo kosztować. Nie zdążyła wprawdzie dokładnie obejrzyć wszystkiego, ale odwiedziła toaletę zaraz po tym, jak weszli do środka, później zlustrowała pobieżnie kuchnię, w której wypili po lampce wina, i w końcu przyjrzała się sypialni, ze szczególnym uwzględnieniem sufitu.

Apartamentowiec na Garbarach, w którym znajdowało się mieszkanie, był w samym centrum miasta. Powstał jakieś dwa lata temu. Przeglądała wtedy ogłoszenia o sprzedaży mieszkań i na taką lokalizację nie byłoby jej stać, nawet jakby dostawała pensję komendanta miejskiego policji. A on mógł sobie na taką miejscówkę pozwolić. To znaczyło, że jego firma całkiem dobrze sobie radziła mimo kryzysu, a wcześniej pandemii.

- Teoretycznie sprawa jest prosta. Mam firmę przewozową. Moje busy, a mam ich sześć, jeżdżą z Polski na Ukrainę i przewożą ludzi, którzy tu pracują. No wiesz, którzy tu pracowali przed wojną. Co jakiś czas ludzie, którzy tu mieszkają, znaczy Ukraińcy, jadą do siebie do domu zawieźć pieniądze i różne prezenty, to znaczy do wojny był ruch w interesie. Teraz mniej się jeździ, bo tylko kobiety mogą tam jeździć. Busy kursują między Poznaniem a Kijowem. Jeździmy też przez Warszawę albo do Wrocławia. Wszystko w zależności od potrzeb. Jak się zaczęła wojna, moje busy jeździły po ludzi całkowicie za darmo. Dawałem swoje paliwo, czyli fundowałem tym wszystkim uciekinierom przejazd do Polski bez pieniędzy. Ale teraz już powoli się to wszystko zmienia i zaczyna się ruch w dwie strony.

- Jak to? - zdziwiła się Aneta. - Ludzie wracają na Ukrainę?

- Jedni przyjeżdżają, inni wyjeżdżają, a ja muszę z czegoś żyć, to znaczy moja firma musi z czegoś żyć. No i wracamy do normalnych wyjazdów rejsowych, czyli codziennych połączeń z Ukrainą. Na razie otwieramy trasę do Lwowa. Do Kijowa raczej jeszcze długo nie będziemy jeździć, nie mówiąc już o Charkowie, bo tam przecież ciągle strzelają.

- Czyli rozumiem, że nadal jest to całkiem niezły interes? - zapytała wyraźnie zainteresowana.

- No tak. Sześć busów jest właściwie codziennie w trasie. No i oprócz tego mamy jeszcze kilka tirów - dodał z uśmiechem. - To też przewóz towarów z Ukrainy do Polski i z powrotem.

- Czyli jesteś przedsiębiorcą przewozowym.

- Na to wygląda. A zaczynałem od jednego rozklekotanego volkswagena transportera kilka lat temu. A teraz to już poważna firma. Moje samochody jeżdżą też do Niemiec. To od niedawna, bo Ukraińcy chcą wyjeżdżać nie tylko do Polski, ale dalej, na zachód. Więc dajemy im taką możliwość. Tak to już jest, że wojna napędza koniunkturę w wielu dziedzinach.

- Najważniejsze, żeby przy tym nie zapominać o ludziach. Oni są najważniejsi.

- Jak ktoś nie ma pieniędzy, to wozimy go całkiem za darmo - stwierdził, wyraźnie zadowolony z siebie.

Ta jego bezinteresowność bardzo jej imponowała. Gdyby ona miała swoją firmę, to pewnie teraz pracowałaby na pełnych obrotach, żeby pomagać bezinteresownie tym wszystkim, którzy potrzebują pomocy. I dlatego nie mogłaby być przedsiębiorcą, bo prowadzenie takiej działalności wymaga umiejętności równoważenia działań komercyjnych i charytatywnych. Włodek potrafił to robić, bo jego przedsiębiorstwo realizowało swoje cele i jednocześnie pomagało ludziom.

Pocałowała go lekko, a on odwzajemnił pocałunek. Gładził ją delikatnie po piersi, a ona poczuła znów to, co w chwili, gdy przywarli do siebie ustami po raz pierwszy, jakiś wewnętrzny ogień, który zaczyna

się rozpalać z każdą sekundą coraz mocniej. W ramionach tego mężczyzny była bezpieczna i chciała, żeby tak było już zawsze.

Gdzieś z kuchni odezwał się telefon. W pierwszej chwili pomyślała, że to jej aparat się odezwał, bo miała taki sam dzwonek. Włodek uniósł się na ręce, a potem uśmiechnął się do niej przeprasząco.

– Taka praca – powiedział, jakby to miało wystarczyć za całe przeprosiny.

Rozumiała to. Kierował dużą firmą i w nagłych wypadkach mogli do niego dzwonić pracownicy.

Wstał z łóżka i poszedł do kuchni. Słyszała jakieś strzępki rozmowy po ukraińsku, ale nie wsłuchiwała się w jej sens. Za bardzo była myślami w innej rzeczywistości, żeby zastanawiać się, o czym Włodek rozmawia z któryś ze swoich kierowców. Bo na pewno ustalał, że trzeba gdzieś jechać i że jest późno, i że pomyśli, jak to zrobić i kogo wysłać.

Zastanawiała się, czy mogłaby się z nim związać na stałe. Na razie tych kilka spotkań i jedna wspólna noc jeszcze o niczym nie przesądzały. Wyglądał jednak na człowieka, który potrafi zadbać o siebie i o rodzinę. Bo myśląc o nim i o sobie, zakładała, że nie będzie to tylko i wyłącznie związek ich dwojga. No ale żeby na to się odważyć, trzeba z facetem zjeść beczkę soli, a oni póki co nie zjedli nawet łyżeczki. Będzie miała o czym myśleć przez najbliższe dni. Pewnie będą się spotykać, może pójdą razem do kina...

Usłyszała dźwięk przychodzącego esemesa. Była trochę zaskoczona, bo nieczęsto zdarzało się, że ktoś do niej pisał w nocy. Sięgnęła po telefon. Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy zobaczyła, kto jest autorem wiadomości. Koniec świata, pomyślała, gdy dotarło do niej, jak bardzo zdesperowany musiał być Turek, żeby użyć telefonu do napisania krótkiego tekstu.

Otworzyła wiadomość i od razu się zaśmiała w duchu. Turek nie potrafił posługiwać się polskimi znakami, więc trzeba było dobrze się przypatrzeć słowom, by pojąć, o co mu chodzi. Jednak gdy przeczytała do końca, uśmiech momentalnie zniknął z jej twarzy.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – odezwał się Włodek, stając w drzwiach.

– Co się stało?

– Muszę jechać. Mam niespodziewany problem z kierowcą. Nie ma go kto zastąpić, a wiesz... wyjazdu nie można odwołać.

– Musisz jechać na Ukrainę?

Pokręcił głową.

– Na szczęście znacznie bliżej. Tylko do Berlina.

Wstała z łóżka, zapominając o wstydzie. Podeszła do niego i pocałowała go w usta. Nie przyznała mu się, że jeszcze minutę temu zastanawiała się, jak powiedzieć, że musi już iść, bo ma coś bardzo ważnego do zrobienia.

Okolice Grodziska

Godzina 2.05

– Gdzie jest ta bładź!? – zawołał Fiodor, gdy okazało się, że pokój jest pusty.

– Musiała się uwolnić – stwierdził Iwan, jeden z jego dwóch współpracowników.

Spotkali się godzinę temu w Grodzisku. Fiodor zawiózł Saszę do szpitala i czekał tam na wynik operacji. Martwił się o nią rzeczywiście. Ten nóż wszedł dość głęboko w podbródek, ale nie naruszył tętnicy. Gdyby tak się stało, byłoby już po niej. Na szczęście dla niej Fiodor miał wojskowe przeszkolenie i potrafił opatrywać rany. Zatałmował wypływającą krew, a potem obandażował jej głowę i do tego jeszcze ją usztywnił, tak żeby poruszając nią, nie zerwała tego prowizorycznego opatrunku. Gdy udało mu się jako tako ją zaopatrzyć, zajął się tą dziwką, która narobiła tyle zamieszania.

- Za miękki jestem - tłumaczył swoim chłopakom, gdy przyjechali do niego pod szpital. - Powinienem tą bladź związać jak faszerowaną słoninę przed wędzeniem, to nie byłoby kłopotu. Ale ja sobie pomyślałem, co takie chuchro może nam zrobić? Przecież ją wystarczy tylko w pysk strzelić, żeby się nakryła nogami. No i nie upilnowałem. Odciałem trytytkę, którą przywiązałem ją do drzwi auta, i puściłem, bo sobie nawet nie pomyślałem, że będzie chciała uciec. I weszły te dwie baby do domu, a tam na stole resztki po naszej ostatniej kolacji. I musiał tam ten nóż leżeć gdzieś, bo zanim się zorientowałem, ona go chwyciła i przyłożyła Saszce do gardła. Myślałem, że zdążę jej ten nóż wyrwać, ale ta bladź była szybsza. Sasza miała szczęście, że przeżyła. Nóż był ostry, więc jakby dostała mocniej, to mógłby głowę przebić i w mózg się wbić. Strzeliłem małą w łeb, a potem ją związałem na łóżku, żeby poczekała, aż wrócę.

- Ja bym się tam z nią nie pieprzył - stwierdził Iwan, trzydziestolatek ogolony na лыso, o mocno rozwiniętych mięśniach ramion i bicepsów, świadczących o tym, że większość wolnego czasu spędza na siłowni albo na bójkach z użyciem kija bejsbolowego. Jego kolega, czarnooki Czeczeniec Muslim, nazywany przez znajomych Mussa, bo to muzułmańskie imię nie zawsze chciało przejść gładko przez gardło jego prawosławnym towarzyszom, pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Co najwyżej bym ją wypieprzył, a potem ot tak zrobił. - Wyciągnął z ust zapalną, którą obgryzał, i złamał ją w palcach. Potem taką złamaną chciał włożyć z powrotem do ust, ale wydała mu się za krótka, więc zastąpił ją papierosem. Iwan podał mu ogień.

Jego ludzie zadzwonili do niego, że jadą do leśniczówki, akurat w momencie, gdy wychodził ze szpitala. Razem ruszyli do lasu. Gdy oba auta wjechały na podwórko, Fiodor zauważył, że w domu pała się światła. Niemożliwe, żebym zapomniał. Na pewno były wyłączone, gdy wyjeżdżałem, zastanawiał się, analizując ten moment. Zresztą może i zapomniałem o tych pierdolonych światłach. W końcu trzeba było się spieszyć z Saszką, żeby nie wykitowała.

Wysiadł z samochodu i wszedł do domu. Natychmiast skierował się do pokoju, w którym zostawił Sonię. Gdy zobaczył puste łóżko, zaklął głośno:

- Jebana sucz, uciekla!

- Może jest pod łóżkiem? - podsunął mu myśl Mussa, który pojawił się w drzwiach.

- Tam byś nawet swojego fiuta nie wcisnął, choć masz takiego małego, że go prawie nie widać - odpowiedział mu stojący na korytarzu Iwan.

- Patrz lepiej na swojego ptaka, żeby ci nie wyleciał, jak będziesz spał w nocy. Bo się któregoś dnia możesz obudzić z pustym rozporkiem - zagroził mu Czeczeniec, uśmiechając się złowrogo.

- Zamknijcie się obaj, bo trzeba pomyśleć, co zrobić, a nie się kłócić o nieistotne sprawy - przywołał ich do porządku Fiodor.

- Idźcie na zewnątrz i rozejrzyjcie się - polecił. Może siedzi gdzieś w pobliżu, w stodole albo gdzieś. Ja pójdę zobaczyć na strych...

Wyszli z domu, a on poszedł korytarzem. Na górę prowadziły drewniane schody. Wspiął się na pierwszy stopień i próbował odnaleźć na ścianie włącznik światła. Znalazł i wcisnął, ale nie było efektu. Wydobył więc z kieszeni zapalniczkę i ruszył w górę, oświetlając sobie drogę nikłym płomieniem. W połowie schodów poczuł ból w kciuku. Nagrzana zapalniczka oparzyła go. Zaklął głośno i rzucił ją odruchowo. Znów zaklął. Było kompletnie ciemno. Mimo to poszedł do góry. Otworzył drzwi, które nie były zamknięte na klucz. Ale nie wszedł do środka. Usłyszał, że jego ludzie wracają. Zbiegł więc na dół i prawie zderzył się z Mussą.

- Nigdzie jej nie ma - wyjaśnił Czeczeniec.

- Zróbcie miejsce, bo dwie królowny idą do swojej komnaty - rzucił Iwan. Dwie wylężnione dziewczyny weszły do środka. Od razu zaprowadzili je do sypialni.

- Co mamy tu robić? - zapytała ruda, ubrana w dżinsy i bluzę z kapturem, na którą nałożyła ciepłą, za ciepłą jak na tę porę roku, kurtkę.

- Możecie robić, co chcecie - wyjaśnił inteligentnie Mussa, którego nic a nic nie obchodził los tych dziewczyn. Traktował je tylko i wyłącznie jak towar, do tego dość kłopotliwy w przewozie.

- Pić mi się chce - powiedziała blondynka o kręconych włosach. - Dajcie coś do picia i do jedzenia! - zażądała hardo, ale zaraz tego pożałowała. Mussa klepnął ją w tyłek i zaśmiał się głośno.

- Dostaniesz jeść i pić, jak nam się będzie chciało wam dać. A na razie siedzieć tu cicho i nie gadać.

Pchnął blondynkę mocno, tak że dziewczyna upadła na łóżko, wrzucił za nimi ich torby i walizki, a potem zamknął drzwi na klucz. Wszyscy trzej wrócili do kuchni. Mussa stanął nad plamą krwi i wskazał na nią palcem.

- To Saszki, tak? - zapytał, patrząc na Fiodora.

- No a czyja? - burknął.

- To ty masz dużo szczęścia, bo jak by ona czasami wyciągnęła kopyta, to nie chciałbym być na twoim miejscu. Jura by ciebie żywcem ze skóry obdarł.

- E, nie ze skóry - poprawił go Iwan. - Ze skóry toby obdarł, jakby się dowiedział, że Fiodor przygruchał sobie jego żonę. A za to, że nie upilnował, to co najwyżej by gardło poderznął. Jura to honorowy człowiek, to i honorowo potrafi odpowiedzieć za krzywdę.

- Zamknąłbyś lepiej mordę - przerwał mu zdenerwowany Fiedia. - Uciekła teraz ta, a wcześniej jeszcze jedna. A my tymczasem mamy jutro dostarczyć dwie do Berlina.

- Można by pojechać do lasu poszukać tej, co związała - zaproponował Mussa.

- Głupiś - rzucił Fiodor. - Gdzie po nocy będziesz jeździł. Jak uciekła, to już przepadła. Ale ja w szpitalu zobaczyłem, że ta, co nam związała wcześniej, co my ją po lesie szukali, to ona leży tam w izolatce.

- Nasza Aliona? - zapytał zdumiony Iwan.

- Ta sama - potwierdził Fiodor. - Widziałem ją tak, jak was teraz widzę. Leży sobie i odpoczywa.

- To trzeba ją z tego szpitala zabrać - zaproponował Mussa.

- Ale tam przed jej salą siedzi policjant - powiedział Fiodor.

- Jeden policjant? - zapytał Mussa.

- No jeden - potwierdził.

- Jak my z Iwanem wpadniemy tam w odwiedziny, to jeden policjant nas nie zatrzyma. Co, Iwan, myślisz?

- Myślę, że tym razem masz rację, ty czeczeński diable. - Klepnął kolegę w ramię i wyszedł z pokoju, żeby przynieść z samochodu wódkę i jedzenie. Musieli się napić i posilić, skoro mieli jeszcze coś do zrobienia.

Przechodząc przez korytarz, Iwan spojrzał na schody prowadzące na górę. Był tam strych zawałony jakimiś gratami i dwa dodatkowe pokoje do spania. Pomyślał, że w zasadzie to oba można by wykorzystać, kiedy przyjdzie taka potrzeba, to znaczy, jeśli będą mieć więcej towaru do przewiezienia za granicę. Wszedł na schody. Zaskrzyziały głośno. Widać nikt tu zbyt często nie chodził, jak to w domu, w którym na co dzień nikt nie mieszka. Złapał się drewnianej poręczy, pamiętającej zapewne jeszcze czasy, kiedy takie elementy stolarki ozdabiano się snycerskimi dekoracjami rzeźbionymi dłutem w kwietne ozdoby. Już chciał wejść wyżej, żeby się rozejrzeć, kiedy usłyszał głos Fiodora.

- Ej, dzwoni szef. Kurwa, co mam jemu powiedzieć?

- Powiedz mu, że wszystko idzie zgodnie z planem i nie musi się martwić - podrzucił mu wyjaśnienie Mussa. Oczywiście miał rację. Szef nie musiał się zajmować takimi głupotami, jak zniknięcie jakiejś dziwki. Takie rzeczy się zdarzały przecież nieraz. W końcu nie od dziś robili w tym interesie i pewnie dziś tej roboty nie zakończą.

Usłyszeli, że znowu ktoś idzie w górę. Taktykę opracowali już za pierwszym razem, gdy jeden z bandytów wszedł po schodach i otworzył drzwi. Widzieli wyraźnie postać, na którą padał promień księżycowego światła wpadającego przez małe okienko. Oni stali ukryci za kominem, niewidoczni dla faceta. Gdyby ruszył przed siebie, wszedłby prosto na nich. Krukowski trzymał go na muszce, a Alina ubezpieczała koleżę, gdyby się okazało, że nie trafi...

Nie musiał używać broni, bo facet zszedł na dół. Ale teraz znów ktoś tu się wspinał. Tym razem mógł być bardziej zdeterminowany i lepiej przygotowany. Mógł mieć ze sobą latarkę albo światło z telefonu. Oboje ustawili się tak samo jak przy pierwszych odwiedzinach. Wiedzieli, że mają przewagę. Gdy wejdzie, będą musieli zaatakować, a potem...

– Ja go kropnę i zbiegamy na dół. Tam walimy we wszystko, co się da – powiedział szeptem Krukowski, nachylając się do Aliny. – Żadnych pierdolonych jeńców!

Pokiwała głową, choć nie mógł tego dostrzec. Dobrze wiedziała, że nie mają innego wyjścia.

Usłyszeli wyraźnie zbliżające się kroki. Naraz zrobiło się cicho. Facet musiał się zatrzymać. Może właśnie wyciągał z kieszeni pistolet?, pomyślała policjantka. W szparze pod drzwiami dostrzegła wyraźną smugę światła.

Iwan poświecił sobie latarką z telefonu na drzwi, za którymi był strych. Zostało jeszcze pięć schodków. Właściwie to po jaką cholere mam tam teraz łazić? Machnął ręką i zawrócił. Na penetrowanie strychu będzie czas w dzień, bo w tych ciemnościach mógłby sobie skrócić nogę albo coś jeszcze gorszego zrobić. Zszedł w dół, zeskoczył z ostatniego schodka i poszedł do samochodu.

Oboje odetchnęli z ulgą i schowali pistolety do kabur. Alina przykucnęła przy ścianie, obok trzęsącej się ze strachu Soni.

– Nic się nie bój – szepnęła jej do ucha Alina. – Za chwilę stąd wyjdziemy. Niech oni tylko zajmą się sobą, niech się napiją, a my wtedy zejdziemy na dół i...

– *И что вы будете делать?*²⁹ – spytała dziewczyna.

– Zabijemy ich wszystkich – odpowiedział Krukowski, uśmiechając się radośnie, bardzo zadowolony, że wreszcie w jakiejś sytuacji udało mu się zacytować Bogusława Lindę, bohatera jego ulubionego filmu.

Poznań

Godzina 2.20

Aneta wyszła z klatki schodowej na ulicę. Była ciepła, przyjemna noc. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem była w takim nastroju, że zwróciła w ogóle uwagę na to, jak wygląda niebo i pachnie powietrze. Lekki wiatr, wiejący od Warty, przewietrzył ulice, które przez cały dzień oddychały wyziewami z samochodowych tłumików. Teraz czuć było w powietrzu wilgoć. W końcu miasto leżało nad rzeką, więc ten zapach musiał być charakterystyczny dla tego fyrtla położonego w bezpośrednim sąsiedztwie wody. Zdziwiło ją to odkrycie, bo tam, gdzie mieszkała, na Wildzie, nigdy nie spotkała się z czymś podobnym.

Może w innej sytuacji, po tym niezwykle udanym wieczorze, poszłaby do domu pieszo? W końcu nie było tak daleko. Jakieś pół godziny nocnego spaceru. Ale dziś nie miała na to czasu. Wszystko przez tego esemesa, którego posłał jej Turek. Od chwili, gdy go odebrała, jedna wiadomość przekształciła się już w konwersację.

czolem jestem w poznaniu z drazkiem za chwile ma przyjechać ktoś kto doprowadzi nas do miejsca gdzie przetrzymywane sa dziewczyny z ukrainy

Co ty gadasz? Gdzie jesteście?

Jesteśmy koło dworca pkp ma przyjechać jeden gość bo go sciagnął tu jeden Ukrainiec co jego zna drążek i ma na imie dima

Co to za Ukrainiec? Skąd żeście go wytrzasnęli? To jakiś bandzior, informator?

Tatuazysta

co?

robi tatuaże i jest z Ukrainy i zna wszystkich Ukraińców i on dotarł do gościa co wynajduje ładne dziwczyny

Miała już dość czytania tekstów Turka, bo więcej energii poświęcała na ich rozszyfrowywanie, niż na zastanawianie się nad ich sensem. Wybrała numer. Turek odebrał po dwóch sygnałach.

- Co wy, do cholery, wyprawiacie? - zapytała i zaraz ściszyła nieco głos, bo ten rozchodził się głośnym echem po całej ulicy. Usłyszała jakiś ruch od strony Solnej. Spojrzała w tamtym kierunku, mając nadzieję, że to taksówka, którą zamówiła. Rzeczywiście jechała tam taksówka, ale nie skręciła w Garbary, lecz pomknęła w kierunku Śródkki.

- No jak, co wyprawiamy? Nic nie wyprawiamy. Szukamy Soni i nic więcej.

- To gadaj mi zaraz, o co w tym wszystkim chodzi i kto jest Dima?

- Nie wiem, czy będę mógł gadać, bo za chwilę może tu podjechać auto. Bo myśmy przygotowali zasadzkę.

- Mów dokładniej, co to za zasadzka.

- Dima złapał naganiacza, takiego niiby-wolontariusza, co to zaczepia dziewczyny i daje im robotę w nocnych klubach. No i wydusił z niego, jak się to odbywa. A odbywa się tak, że jak ma jakieś laski, które jeszcze nie wiedzą, w co się pakują, to on dzwoni po samochód i to auto podjeżdża, ładują dziewczyny do środka i wywożą gdzieś pod Poznań. No i tam je już odpowiednio obrabiają za pomocą narkotyków, alkoholu i gwałtów. Po takiej obróbce dziewczyna jest już uzależniona i zubożniała. I wtedy tak przygotowaną pannę wywożą do Niemiec do burdelu. Sprzedają je na pniu jakimś Turkom. I interes się kręci. Ten wolontariusz mówi, że mają prawie codziennie jakąś dziewczynę do przygotowania.

- To jest normalne niewolnictwo... - wyszeptała, ale Turek nie dosłyszał, co mówi.

- Co tam gadasz?

- Że to się nie dzieje.

- Dzieje się, kurwa, się dzieje. I ta nasza Sonia też musiała na takich skurwieli trafić. Ale on, ten wolontariusz, mówi, że wywożą te dziewczyny raz na kilka dni, aż się więcej zbierze na jeden transport. I dlatego jest szansa.

- Co wy chcecie zrobić?

- Chcemy pojechać tam i się rozejrzeć.

- Gdzie?

- No tam, gdzie przetrzymują te dziewczyny.

- Jak?

- Zamówiliśmy podwózkę. - W słuchawce usłyszała jego śmiech. Ale nie był on wcale wesoły.

- Turek! Szymon, czekajcie na mnie. Gdzie jesteście?

- Pod mostem Dworcowym.

- Czekajcie, do cholery, już tam jadę.

- Anetka, chyba podjeżdża nasz transport. Tak, już ten wolontariusz idzie tam. Na razie. Nie mam czasu...

- Turek, kurwa!

- Na razie!

Przez chwilę patrzyła w telefon, ale samo patrzenie nie mogło spowodować, że znów połączy się z Szymonem. Musiała działać. Najlepiej tam podjechać i... No właśnie, czy była w stanie ich zatrzymać? Poza tym, co to za dziwna banda zajęła się poszukiwaniami? Turek z komendy powiatowej w Szamotułach, Drażek z miejskiej w Poznaniu i jakiś Dima, tatuażysta z dupy. Musiała wkroczyć i ich tam wszystkich postawić do pionu, i przejąć dowództwo nad tą ich dziadowską akcją. Tylko że nie miała szansy zdążyć, a oni właśnie wprowadzali chyba jakieś auto.

O, jest, jedzie jakiś drynda. To pewnie ta jej spóźniona taksówka. Zaraz powie kierowcy, co o nim myśli. Przecież to jest zwyczajny piątkowo-sobotni wieczór i nie ma aż takiego ruchu, żeby w środku nocy taksówka musiała się tyle spóźniać. Podeszła do krawężnika i machnęła ręką na kierowcę, żeby widział, że to ona go zamówiła. Facet zwolnił, ale się nie zatrzymał. Czyżby tu był zakaz? Rozejrzała się, ale nie zobaczyła żadnego znaku. Taksówka podjechała do skrzyżowania, stanęła na moment, przepuszczając jadącego od Cytadeli fiata, po czym skręciła w Grochowe Łąki. Czyżby ten taryfiarz chciał zaczekać na nią na parkingu pod Starą Rzeźnią? Ruszyła w tamtym kierunku, żeby to sprawdzić. Zobaczyła, że do taksówki wsiada właśnie jakaś rozbawiona para.

Zakłęta pod nosem i w tym momencie za swoimi plecami usłyszała jakiś potępińczy zgrzyt. Odwróciła się. Za nią otwierała się brama od podziemnego garażu. Po chwili ze środka wytoczyło się na drogę zielone bmw x5. Kierowca zatrał na nią. Już mu chciała pokazać, żeby się czymś puknął w głowę, gdy naraz poznała tego gościa za kierownicą. To był Włodek.

Gdy byli w jego mieszkaniu, zaproponował jej, że ją podwiezie, dokąd będzie chciała, ale odmówiła, próbując, nie wiadomo po co, zachować niezależność. Gdyby się zgodziła, mogłaby być na dworcu w pięć minut. Ale teraz byłoby głupio go prosić...

Szyba od strony kierowcy się opuściła.

- Co, taksówkarz się zgubił? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

- Miał być za piętnaście minut.

- Dobra, wskakuj. Zawiozę cię. Nie będziesz tu czekać, aż się jakiś gość zlituje.

- Ale taksówka...

- Taksówkarz cię olał, to i ty możesz olać taksówkarza.

Wzruszyła ramionami. Miał całkowitą rację. Nie musiała czekać na kogoś, kto miał ją w nosie. Obeszła auto i wskoczyła na miejsce z przodu.

- O, dziękuję, że potraktowałaś mnie jak partnera, a nie jak taksówkarza.

- W sensie?

- Wsiadłaś z przodu, a nie z tyłu jak klientka.

- Chyba nie myślisz, że mogłabym być twoją klientką.

- Nie myślę, ale muszę wiedzieć, dokąd cię zawieźć. No wiesz, muszę jeszcze załatwić swoje sprawy.

- Jedź na dworzec.

- Co? - Autentycznie się zdziwił. - Zamierzasz dokądś jechać pociągiem?

- Nie. Ale mam tam coś do załatwienia. No wiesz, w punkcie przyjmowania uchodźców.

- A, rozumiem. Tylko dlaczego w nocy?

- Bo w nocy też ludzie tu przyjeżdżają - wytłumaczyła mu, a on pokiwał głową. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że jedzie tam, żeby przejąć dowodzenie albo, jeśli się tego nie da zrobić, to chociaż w jakiś sposób wrzucić na właściwe tory oddolną akcję policjantów, która nie miała niczego wspólnego z legalnymi działaniami operacyjnymi. Dwaj policjanci w towarzystwie tatuażysty byli na samowolce. No i ona musiała teraz zrobić z tym porządek. Oczywiście pod warunkiem, że zdąży.

Pięć minut później byli na miejscu. Plac przed starym dworcem był niemal pusty. Kilka osób kręciło się obok punktu pomocy dla uchodźców, kilka innych spacerowało po peronach. Na peron trzeci właśnie wjeżdżał pociąg do Gniezna...

Turka nigdzie nie było widać. Zdaje się, że już rozpoczęli swoją akcję i niestety nie będzie miała na nią żadnego wpływu. No chyba żeby zadzwonić do nich, kazać im się zatrzymać i poczekać na nią. Ale jeśli te dwa ćwoki zafiksowały się na jakimś zadaniu, to mogą nie odbierać telefonów. Turek zachowywał się tak, jakby zaginęła jego własna córka, a Przemek... Tak, on był elementem zdroworozsądkowym w tym gangu Olsena. Tylko z nim mogła sensownie rozmawiać.

- Poczekał jeszcze sekundkę - poprosiła Włodka. Ten tylko się uśmiechnął. Wydobyła telefon i odszukała numer Drażkowskiego. Wcisnęła zieloną słuchawkę i przez moment czekała na połączenie. Ale nie doczekała się. Przemek odrzucił ją. Coś musiało się stać.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytał, widząc, że siedzi bez ruchu, wpatrując się w jakiś punkt przed sobą, czyli tak naprawdę w pustkę.

- Mam problem - powiedziała, tak jakby mówiła sama do siebie.

- Jeśli mogę, pomogę - zadeklarował - ale muszę wiedzieć, o co chodzi.

- Chodzi o to, że dwaj moi koledzy policjanci postanowili odbić pewną ukraińską dziewczynę z rąk porywaczy. I robią to, kurwa, na własną rękę. O ile się orientuję, to właśnie w tym celu przejęli samochód porywaczy z jednym z nich i jadą teraz do ich bazy, żeby zrobić tam rozpierduchę.

- No to chyba powinniśmy im pomóc.

- Niby tak, tylko nie bardzo wiem, gdzie ich szukać.

Głos znanego poznańskiego aktora Pawła Bińkowskiego zapowiedział przez dworcowe megafony, że za chwilę na peron pierwszy wjedzie pociąg do Berlina. Przeszło jej przez głowę, że gdyby była niemiecką policjantką, to nie miałyby takich problemów, bo tam policjanci stosują się do służbowych regulaminów.

Rozdział IX

Okolice Poznania

Godzina 2.40

Turek siedział z przodu, na miejscu obok kierowcy. Renault trafic wyjechało przed chwilą z Poznania, podążając w kierunku na Buk. Przemek Drażkowski prowadził samochód zgodnie ze wskazówkami mężczyzny, który przyjechał tym autem pod dworzec kolejowy. Facet siedział na tylnym fotelu, trzymając się za rękę. Wszystko wskazywało na to, że była złamana. Jęczał cicho, ale nikt nie zwracał uwagi na te jego jęki.

Sam sobie winien, myślał Turek, patrząc na drogę, a jednocześnie spoglądając we wsteczne lusterko na pozornie obojętną twarz Dimy. Ten obserwował faceta z przetrąconą ręką, a nogą przyciskał do podłogi wolontariusza, który nie bardzo chciał z nimi jechać. Dlatego chłopak leżał teraz na podłodze i nie śmiał się nawet poruszyć.

Dima się uśmiechnął, uchwyciwszy spojrzenie Turka. Policjant poczuł się trochę nieswojo. Dobrze było mieć takiego faceta po swojej stronie, bo ci, którzy nie chcieli z nim współpracować, kończyli tak jak ten połamany.

Gdy renault podjechało pod most Dworcowy, kierowca zgasił silnik, a wolontariusz otworzył drzwi od strony pasażera.

- No gdzie są te dziwki? - zapytał łysy. Chłopak zgodnie z instrukcjami pochylił się, a potem położył na chodniku. Zdziwiony kierowca patrzył w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą stał jego współpracownik, niczego nie pojmując. Zrozumiał po kolejnej sekundzie, gdy ktoś otworzył drzwi od jego strony.

- To nie są żadne dziwki, ty gnoju! - warknął Dima i złapawszy go za łysą potylicę, pchnął głowę w dół. Uderzyła w kierownicę, jednak nie na tyle mocno, by wzbudzić reakcję poduszki powietrznej. Kierowca zawył z bólu, ale był tak oszołomiony, że nie pomyślał nawet o obronie. Tymczasem jednoręki Ukrainiec wyciągnął go z auta za kołnierz i pociągnął za sobą w kierunku bocznych drzwi po drugiej stronie. Na opróżnione miejsce natychmiast wskoczył Drażkowski. Tylko on nadawał się do prowadzenia samochodu, bo w zasadzie nie wypił nic podczas spotkania w knajpie.

Przy samochodzie pojawił się też Turek, który stanął przed przyprowadzonym przez Dimę kierowcą.

- Jak masz na imię, kolego? - zapytał obojętnym tonem mężczyznę w skórzanej kurtce. Facet był łysy i masywnie zbudowany. Jednak w zetknięciu z Dimą nie miał żadnych szans. Zresztą wyglądał na powolnego, nie tylko w ruchach, ale i myśleniu.

- Chuj cię to obchodzi, kurwo! - odpowiedział łysy.

Dima spojrzał na niego z dezaprobatą i pokręcił głową.

- Ot, niewychowana swołocz!

Znów chwycił go za głowę i uderzył nią w maskę auta.

- Mów, jak pan pyta! - pouczył go.

- Pierdol się!

- Nu ładnie, sam chciałeś - rzucił Dima i nim Turek zdążył zareagować, wykręcił mu rękę tak mocno, że coś w niej wyraźnie strzeliło. Kierowca zawył jak potępieniec. Tatuażysta z dużym spokojem wepchnął go do samochodu na tylne siedzenie.

- Jak się ciebie grzecznie pytają, to odpowiadaj, rozumiesz?

Facet ze złamaną albo zwichniętą ręką nic nie odpowiedział, ale Dima w tej chwili nie zamierzał nawiązywać z nim konwersacji. Wiedział, że ten musi pogodzić się z sytuacją i dojść do wniosku, że nie ma żadnych szans, więc powinien podjąć współpracę. Podobnie jak ten niby-wolontariusz, który cały czas grzecznie leżał na chodniku.

- Ty! - Turek trącił go czubkiem buta.

- Co?

- Wsiadaj do samochodu - polecił mu.

- Co? Ale ja nie mogę...

- Wsiadaj albo jak twój kolega będziesz zaraz płakał. - Argument Dimy przemówił mu do rozsądku.

Wstał i posłusznie wspiął się po schodku do środka.

- Gdzie mam siadać? - zapytał, a Dima wskazał podłogę.

- Tu włącz i ani słówka bez pytania - nakazał mu Ukrainiec, pakując się za nim. Turek zamknął drzwi i sam wsiadł na miejsce pasażera z przodu.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Przemek, gdy wszyscy byli już w aucie.

- Ej ty, słyszałeś? - Dima pchnął lekko jęczącego faceta.

- Co? - odpowiedział cicho.

- Dokąd jedziemy, pyta pan kierowca?

- Kurwa, nie wiem, dokąd chcecie jechać?

- Chcemy jechać... - Turek odwrócił się do tyłu i spojrzał na łysego srogo - tam, dokąd miałeś zawieźć dziewczyny, które chciałeś odebrać spod dworca.

- Ja, nie chciałem nic...

Dima szarpnął go za obolałą rękę. Mężczyzna krzyknął z bólu.

- Gadaj, bo zaraz ci drugą rękę załatwię.

- Na Buk - odpowiedział zrezygnowany. - Na Buk trzeba jechać. Ale jak wam powiem, kurwa, to oni mnie zabiją.

- Najpierw ja ci połamię ręce i nogi - powiedział Dima i poklepał go delikatnie po policzku.

Od tego momentu Ukrainiec nie odezwał się ani słowem. Ranny kierowca jęczał, wolontariusz leżał na podłodze i nie śmiał wydać z siebie najmniejszego dźwięku, a Turek zastanawiał się nad tym, kim właściwie jest ten Dima. Naraz coś mu się przypomniało.

- Też, Dima, słuchaj, tam, jak żeś oglądał te zdjęcia... No tam u Drażka w barze, to żeś powiedział takie jedno słowo. Takie, jakbyś psa nazwał. Bo u nas Azor to jest imię dla psa. To ja się chciałem zapytać, co żeś ty miał na myśli?

- No właśnie - dołączył się Przemek. - Nie zapytałem od razu i mi też jakoś z głowy uleciało. O co chodzi z tym Azorem?

- Azow - powiedział Dima. - Azow, znaczy nasz... mój pułk. Ja jestem z tego pułku. Jak w maju cztertnastego roku do Mariupola weszli separatyści, to z miasta wszystkie ukraińskie wojska uciekły. Policja też uciekła. No i ci ruscy separatyści, co to tworzyli właśnie tę ich zasną Doniecką Republikę Ludową, wjechali do miasta i je zajęli bez jednego wystrzału. Nie miał kto bronić ludzi. A w Mariupolu to żyło ponad czterysta tysięcy ludzi. I ci separatyści weszli dziewiątego maja, w Dzień Zwycięstwa, i zaczęli wznosić na ulicach barykady, że niby będą się bronić przed wojskiem ukraińskim, bo mówili ludziom, że Mariupol to już nie Ukraina, ale Noworosja.

Ale nie wszyscy chcieli być w Rosji. Najpierw z centrum miasta wyrzucili tych separów³⁰ robotnicy z górniczo-hutniczego Metinwestu. Wypieprzyli ich i rozebrali barykady. I wtedy wróciła policja, a ludzie chwycili za broń, żeby pognać ich w cholerę. I tak z tych ochotników, co się nie przestraszyli tych z Doniecka, powstał batalion ochotniczy, co się nazwał Azow. Do połowy czerwca żeśmy oczyścili miasto

z tych śmieci. No i tak się zbrataliśmy wszyscy, co byliśmy w tym batalionie od samego początku, a naszym symbolem jest wilczy hak, czyli piorun z kreską w środku. Wygląda jak litera N przekreślona albo połączona z I. Znaczy to tyle, że najważniejszy jest naród, a nie własny interes. Wszyscy z Azowa to wiedzą i wszyscy mają zawsze przy sobie taki znaczek. Ja nie noszę go na szyi czy ręce, bo mam go wytatuowanego. Zresztą wielu chłopaków porobiło sobie wtedy takie symbole. I jak ktoś ma ten znaczek, to jest nasz. Ta dziewczyna musiała być nasza. To może narzeczona albo żona któregoś z naszych chłopaków z Azowa. Ci, którzy zrobili jej krzywdę, zrobili ją całemu Azowowi. Zrobili ją też mnie. I dlatego muszę znaleźć tych drani, bo Azow zawsze odplaca każdemu, kto wejdzie mu w drogę. Teraz rozumiecie?

- Ale jej nigdy nie spotkałeś? - zapytał Przemek.

- Nie, ale to nasza dziewczyna. Nikt bez przyczyny nie nosi naszego znaku. A jak go miała, to z jakiegoś ważnego powodu.

- To tam w tym Mariupolu straciłeś rękę? - domyślił się Turek. Dima pokręcił głową.

- Nie tam. W Doniecku. Jak żeśmy pognali separów z Mariupola, to żeśmy nie mieli tam już nic do roboty. Wtedy nasz dowódca Andrij Biłeckij powiedział, że jak ktoś chce dalej walczyć z Ruskimi, to może na ochotnika pójść do tych chłopaków, co bronią lotniska w Doniecku. Poszło nas tam kilkudziesięciu. Mieliśmy doświadczenie i wiedzieliśmy, jak walczyć. Ale tam było ciężko jak diabli. Walki o terminal były bardzo zacięte. Ruscy nawet używali gazów, żeby nas wykurzyć, ale nie dawali rady. Wgryzaliśmy się zębami w te ruiny i walczyliśmy dzień i noc jak prawdziwe cyborgi. Tak nas też nazwali. „Cyborgi bronią lotniska”, mówili. Wielu naszych tam zostało. I ja bym może też został, gdyby nie granat. Najpierw dostałem postrzał w rękę, a jak padłem, to jeszcze Ruski poprawił granatem. Obudziłem się dopiero w szpitalu. Koledzy wynieśli mnie z pierwszej linii na własnych plecach i wsadzili do transportera, którym wywieźli mnie z rejonu walk. I wiecie co, ci, co mnie wyciągnęli rannego, ci, co mnie uratowali, zostali tam na zawsze. Z tych moich kolegów, co żeśmy tam walczyli, w tej hali lotniska, nie przeżył nikt. Tylko ja jeden jestem żywy. I dlatego każdy, kto jest z Azowa, kto nosi symbol naszej brygady, jest moim bratem, któremu jestem i będę wierny. Ja żyję teraz dla nich...

W samochodzie zrobiło się cicho. Nawet ten ze złamaną ręką przestał jęczeć.

- Dla ciebie wojna się skończyła - powiedział Przemek.

- Prawda, że jako inwalida niewiele mogę zdziałać, ale widzicie, że jak się chce, to można jeszcze dać radę takiemu jak ten zasrańcowi. - Wskazał palcem faceta, któremu przetrzącił rękę.

- Gdzie odwoziłeś te dziewczyny? - zapytał łysego po chwili milczenia Turek.

- Do takiego domu pod Grodziskiem - wyjaśnił.

- A co się później z nimi działo?

- Ja tam do końca nie wiem. Moja robota to je dowieźć i nic więcej.

- Czy mój przyjaciel ma cię poprosić, żebyś odpowiadał zgodnie z prawdą?

- Mówię prawdę. Ja tylko jeżdżę z Poznania. Potem to już inni.

- Kto?

- Ruscy. Oni się zajmują wywożeniem dalej do Niemiec. Dziewczyny są tam zawożone do jakiegoś Turka. Ale co i jak, to ja już nic nie wiem. To już dalej nie moja sprawa.

- A tutaj, kto to wszystko organizuje w Poznaniu?

- Szefem jest jeden Ukrainiec. To on wszystkim dowodzi.

- A gdzie go można znaleźć? - Turek czuł, że jest coraz bliżej. Facet najwyraźniej pogodził się już z faktem, że lepiej nie drażnić Dimy.

- Nie znam go osobiście.

- Jak to? - zdziwił się Przemek. - Pracujesz dla gościa, którego nie widziałeś na oczy?

- A po co mam go widzieć. Widzę tych, z którymi współpracuję, znaczy do których jeżdżę.
- A ten szef? To jak się z nim kontaktujesz?
- Ja nie... Tylko Rusczy mają do niego dostęp. A ja o nim nic nie wiem. Wiem tylko, jak się nazywa.
- No gadaj - ponaglił go Turek.
- Oni go wołają Szewa - powiedział. Dima popatrzył na niego, uśmiechając się złowrogo. Samochód dojeżdżał właśnie do Buku. Stąd do Grodziska było już całkiem blisko.

Okolice Grodziska **Godzina 3.05**

Najgorsza była ta niemoc. Krukowski niby wiedział, co powinien zrobić, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Przede wszystkim musiał wyprowadzić ze strychu te dwie dziewczyny. Ukrainka nie miała pojęcia, jak się zachować w tak ekstremalnej sytuacji, więc na jej pomoc nie mógł liczyć. Na szczęście była jeszcze Alina. Swoją drogą, myślał, to całkiem rozsądna policjantka, która była w stanie mu pomóc i ubezpieczać, jeśli ruszy do akcji. A ruszyć przecież musiał.

Gdyby zachował się jak prawdziwy dowódca, sam wszedłby do tej leśniczówki sprawdzić, co się tam w środku dzieje, a jej kazałby zostać na zewnątrz, żeby cały czas zabezpieczała tyły. Gdyby stała na podwórku, to musiałaby zauważyć światła nadjeżdżających samochodów już z daleka. Mieliby więc czas, żeby się wycofać do lasu. Ale nie pomyślał o tym i to oznaczało, że nie jest dobrym oficerem. A do tego jeszcze sprawa telefonu. To już była porażka na całej linii.

Gdy utknęli na górze, nawet specjalnie się nie zmartwił. Pomyślał, że teraz wystarczy tylko zadzwonić się do komendy w Grodzisku, żeby przysłali ludzi, i sprawa będzie załatwiona. Policjanci podjadą pod budynek, wyjdą z samochodów, przez megafon oświadczą, że dom jest otoczony i że wszyscy mają wychodzić. A przestępcy będą się zastanawiać i debatować pod drzwiami, więc wtedy on pojawi się za ich plecami i każe im podnieść ręce. Czyli spektakularna akcja zatrzymania handlarzy żywym towarem pójdzie na jego konto. A jutro na porannej operatywce pani komendant powie, że Krukowski przeprowadził brawurową akcję zatrzymania groźnych przestępców i że zrobił to bardzo dobrze i odpowiedzialnie. Ano i jeszcze pomogła mu w tym Alina, choć wiadomo, że cały splendor spłynie na niego, koledzy mu pogratulują, choć niektórzy wcale nie będą zadowoleni, że udało mu się to wszystko tak zgrabnie przeprowadzić.

Włożył rękę do kieszeni, żeby wydobyć telefon, ale natrafił na pustkę. Sprawdził drugą kieszeń, lecz w niej też nic nie znalazł.

- Kurwa! - powiedział sam do siebie. Alina, która siedziała obok niego pod ścianą, na wprost zamkniętych na klucz drzwi, wiodących ze schodów na strych, spojrzała na niego zdziwiona. Krukowski rzadko przeklinał.

- Co się stało? - zapytała.

- Chyba zostawiłem swoją komórkę w samochodzie. Tak, raczej na pewno, bo wcześniej miałem ją na uchwycie, tym przy szybie. I jak pobiegliśmy tutaj, to ją musiałem tam zostawić. Trzeba przecież naszych zawiadomić, że tu jesteśmy, żeby ich zaatakować z dwóch stron.

- No to przerażane - zmartwiła się policjantka.

Krukowski wzruszył ramionami, jakby kolejne posunięcie było całkowicie oczywiste.

- No to jak nie mam mojego telefonu, to weź zadzwoń ze swojego - podał jej najprostsze rozwiązanie.

Pokiwała głową, uśmiechając się na myśl o roztargnieniu podkomisarza, ale gdy zaczęła szukać swojej komórki, mina jej zrzędała.

- O ja cię pierdykam, chyba też nie mam...

- Jak to nie masz?

- No po prostu... Zostawiłam na komendzie, jak się ubierałam. No wiesz, zakładałam kurtkę, brałam pistolet... No i telefon został na biurku.

- Kurwa! - jęknął Krukowski, któremu właśnie posypał się cały plan. Spojrzał na Alinę, a potem na tę Ukrainkę, siedzącą tak jak oni na podłodze i czekającą, aż on coś zrobi. W tej chwili nie miał już żadnego pomysłu.

Za to na dole biesiadujący mężczyźni byli gotowi do działania. Nie zgadzali się jednak co do tego, co należy zrobić najpierw.

- Ja sobie myślę, że wcale nie musimy się spieszyć - stwierdził Mussa, który nigdy z niczym się nie spieszył. Jego czeczeńska krew sprawiała, że działał rozważnie, zastanawiając się nad konsekwencjami działań, ale gdy już zaczął coś robić, to angażował się w działanie całym sobą. - Możemy pójść tam, do tej sypialni, i wybrać po panience, przelecieć je, a potem dopiero pojechać do tego szpitala.

- O, właśnie - poparł go Iwan. On też lubił po wypiciu trochę się zabawić. Skoro mieli tu dziewczyny, które jutro miały być wiezione do Niemiec, to szkoda byłoby nie skorzystać. Całkowicie zgadzał się z Mussą.

- Nikt wam nie broni, żebyście sobie wzięli te panienki i je przelecieli. Wasza sprawa - skomentował ich pomysł Fiodor. - Dla mnie najważniejsze jest, żeby one nieuszkodzone dojechały do Turka. Więc se je weźcie i róbcie z nimi, co chcecie, ale wiecie... ostrożnie.

Obaj rozochoceni faceci spojrzeli na siebie, a potem uśmiechnęli się do swojego szefa. Zaraz jednak uśmiech zniknął z ich twarzy, gdy Fiodor wyjaśnił im wszystko do końca.

- Ale najpierw, chłopaki, pojedziecie do szpitala i przywieziecie tę naszą laskę, żeby sobie nie myślała, że można z nami pogrywać.

- Ale Fiedia, to my stracimy ze dwie godziny... - Mussa próbował przemówić mu do rozsądku, ale Fiodor dobrze wiedział, jak ich przekonać.

- Ile mamy tu panienek, chłopaki? - zapytał, robiąc minę, jak nauczyciel zadający głupim uczniom podchwytliwe pytanie.

- No dwie - odpowiedział Iwan niepewnie.

- A ilu nas tu jest? - pytał dalej.

Mussa i Iwan zrozumieli, w czym rzecz.

- Coś mi się chyba też od życia należy, nie? - stwierdził Fiodor, bo już wiedział, że dali się przekonać bez jakiejś wyszukanej argumentacji, odwołującej się do ich uczuć. Skoro brakowało jednej panienki, trzeba było ją przywieźć, tym bardziej że ta w szpitalu należała przecież do nich.

Obaj podnieśli się więc z krzeseł i ruszyli w kierunku wyjścia.

- Jak będziecie wracać, to możecie na stacji benzynowej kupić jeszcze kilka flaszek, bo tu trzy tylko zostały. - Wskazał na blat stołu zastawiony butelkami.

- Spokojnie, zrobi się raz-dwa - uspokoił go Mussa.

- Tylko żebyście tam jakiej rozpierduchy nie zrobili - ostrzegł ich szef. - Bo tam siedzi taki młody policjant i jej pilnuje.

- Nic się nie bój, Fiedia. Wchodzimy na paluszkach i zaraz wracamy. A policjant dostanie w łeb i tyle - stwierdził Iwan. Był przekonany, że nie narobią żadnego zamieszania. Babie na portierni też się da po pysku i zamknie w jakimś pokoju na klucz, a jeśli jeszcze jakaś pielęgniarka się napatoczy, to dostanie tak jak ta z portierni. Nic nadzwyczajnego, robota nie dla zawodowców, ale dla praktykantów.

Wyszli z kuchni i po chwili byli już na zewnątrz. Tam chwilę jeszcze postali, paląc papierosy i ustalając, który z nich będzie się zabawiał z którą dziewczyną. W zasadzie było im wszystko jedno, ale woleli to dogadać od razu. Gdy wreszcie doszli do porozumienia, wsiedli do auta i odjechali.

- Słyszysz? Samochód odjechał - powiedział Krukowski do Aliny. Ta słyszała wszystko doskonale. Nawet więcej niż on, bo gdy zaczął się ruch na korytarzu, podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho.

Usłyszała więc, że korytarzem idzie dwóch facetów, a później stoją w drzwiach, rozmawiając o czymś, czego nie rozumiała. Ale jednego była pewna, że było ich dwóch. Czyli jeden został w domu, żeby przypilnować dziewczyn, które tu przywieźli. A to oznaczało, że mogą zaraz zacząć swoją akcję wydostawania się z opresji.

– Musimy wykorzystać moment, że został tam jeden – powiedziała do ucha Krukowskiemu. Pokiwał głową. Myślał dokładnie tak samo.

– Czekamy jeszcze pięć minut, żeby się upewnić, że ci dwaj nie wróca...

– Nie ma szansy – stwierdziła Alina. – Jeśli pojechali po jakieś zakupy, to nie będzie ich przynajmniej pół godziny. Do najbliższej stacji benzynowej jedzie się kwadrans.

– Masz rację – stwierdził zadowolony Krukowski. – Dobra, powiedz tej młodej, że ma tu siedzieć i się nie ruszać. A my schodzimy i bierzemy tego gnoja. Ja idę pierwszy, a ty mnie ubezpieczasz – polecił. Alina pokiwała głową, a potem przesunęła się po podłodze do siedzącej cicho dziewczyny.

– Schodzimy na dół. – Wskazała palcem podłogę. – Idziemy załatwić tego, co tam siedzi, a ty tu czekaj i się nie ruszaj. Rozumiesz? Siedz tu i czekaj, aż wrócimy.

Dziewczyna chyba musiała zrozumieć, bo szybko pokiwała głową.

– *Да, я понимаю*³¹ – odpowiedziała. Alina uśmiechnęła się. Nie rozumiała, co mówi Ukrainka, ale domyśliła się, że ta raczej zorientowała się, w czym rzecz. Chciała już się podnieść, gdy dziewczyna chwyciła ją za rękę.

– *Они пошли в больницу*³² – powiedziała, wskazując na drzwi.

Alina przez sekundę zastanawiała się, o co jej chodzi. „Oni paszli” zabrzmiało jak po polsku, ale ta „balnica”? Może ją coś boli?

– Poczekaj tu, kochana. Jak wszystko załatwimy tam na dole, to znajdę ci coś przeciwbólowego.

Pogładziła ją po policzku, wstała i ruszyła ku drzwiom. Te właśnie ostrożnie otwierał Krukowski. Pchnął je lekko, tak żeby nie zaskrzypiały, a potem obejrzał się za siebie. Alina wyciągnęła z kieszeni kurtki pistolet. On zrobił to samo, po czym uśmiechnął się do niej i mrugnął prawym okiem, by w ten sposób dodać jej animuszu. Byli gotowi.

Grodzisk
Godzina 3.30

Aliona postanowiła wstać z łóżka, żeby trochę rozprostować nogi. Czowała, że wszystko jej zdrętwiało od tego leżenia, a poza tym musiała iść do toalety. Dlatego ostrożnie podniosła się, podpierając ręką, spuściła stopy na dół i ze zdziwieniem natrafiła na papcie. Ktoś litościwy musiał jej przynieść te laczki, bo swoich przecież nie miała. Podobnie jak koszuli nocnej. Dali jej jakąś z magazynu, taką przypominającą brudnożółty worek, ozdobiony drobnymi kwiatkami. Przyszło jej do głowy, że to pewnie koszula, która została w szpitalu po jakiejś zmarłej pacjentce. Ciało pochowali, a koszula trafiła do pralni i magazynu. Dzięki temu miała w co się ubrać. Gdyby kupowała sobie koszulę nocną, nigdy w życiu nie zwróciłaby na nią uwagi w sklepie. No ale cóż, lepsza taka niż żadna.

Ubrawszy filcowe laczki, ruszyła powoli w kierunku drzwi. W jej izolatce światło było zgaszone, ale przez okno wpadało sporo księżycowego blasku, by ze spokojem mogła iść przed siebie, nie obawiając się upadku.

Wyjrzała na korytarz. Pamiętała, że toaleta jest na prawo, bo chodziła do niej już kilka razy za dnia, prowadzona przez pielęgniarkę. Teraz czuła się zdecydowanie lepiej i była przekonana, że dojdzie tam o własnych siłach.

Chwilę musiała postać, by przyzwyczać oczy do jaskrawego światła. Na korytarzu było jasno jak w dzień. Na wprost drzwi, na plastikowym krzeselku, dostrzegła młodego policjanta. Na uszach miał

słuchawki, a w dłoniach trzymał telefon. Wpatrywał się w migające na ekranie obrazki. Musiał mimo tego dostrzec jakiś ruch na wprost, bo podniósł oczy. Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem dziewczyny.

– O, już wstałaś? – powiedział zdziwiony, jakby na to czekał.

Uśmiechnęła się do niego lekko. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. Ale była przekonana, że nie ma do niej jakichś pretensji i niczego jej nie zakazuje.

– *Мне нужно в туалет*³³ – wytłumaczyła mu. Pokiwał głową, że zrozumiał, w czym rzecz. Słowo „toalet” było uniwersalne. Wyciągnął słuchawki z uszu i schował je wraz z telefonem do kieszeni bluzy. Nim Aliona zorientowała się, co się dzieje, podszedł do niej i delikatnie ujął ją pod rękę.

– Pani doktor, co tu była u ciebie wieczorem, powiedziała, że mam ci pomóc, jakbyś coś potrzebowała, bo żeś jest jeszcze słaba. No to ci pomogę dojść do kibelka.

Z kolei ona niewiele zrozumiała z tego, co on powiedział, ale domyśliła się, że chce jej pomóc. Zaczęła iść ostrożnie, wspierając się na silnym ramieniu chłopaka.

Starszy posterunkowy Konrad Malicki nigdy nie prowadził żadnej chorej osoby, więc starał się być jak najbardziej delikatny. Wiedział, że dziewczyna została napadnięta i pobita, co zresztą widać było po jej opuchniętej twarzy. Miała podbite oko i pękniętą w dwóch miejscach wargę, więc domyślał się, że gdzieś tam, pod tą koszulą nocną, ta delikatna i szczupła dziewczyna mogła mieć jeszcze więcej takich obolałych miejsc. Dlatego szedł powoli i jak najostrożniej, zastanawiając się przy tym, jakim bydlakiem trzeba być, żeby pobić takie chuchro. Przecież on nie był wielkim siłaczem, ale był zdecydowanie większy od niej, dlatego wiedział, że do walki staje się z równymi sobie wagowo partnerami. A ta dziewczyna mogła ważyć tyle co bocian. Więc każdy facet musiał być od niej większy. Gdyby takiego gnoja dopadł, toby mu dopiero pokazał i dał odpowiednią lekcję kultury. Niechby tylko wpadł w jego ręce ten damki bokser, to już on by...

– *Это здесь*³⁴. – Dziewczyna wskazała na drzwi.

– A, to jest toaleta dla kobiet – wytłumaczył, gdyby przypadkiem nie zrozumiała, że symbol kółka na drzwiach w Polsce oznacza damską ubikację.

Otworzył jej drzwi i pozwolił wejść do środka. Wszedłby z nią, ale było mu głupio.

– Ja tu poczekam na ciebie – zapewnił, uśmiechając się przy tym lekko.

Musiała zrozumieć, bo pokiwała głową i zamknęła za sobą drzwi.

Malicki stanął po przeciwnej stronie korytarza i oparłszy się o ścianę, znów sięgnął po telefon. Założył słuchawki i wrócił do filmu. Jak zwykle w takich sytuacjach, przerwa w oglądaniu nastąpiła w najciekawszym momencie, ale na szczęście mógł wrócić do Gry o tron w każdej chwili, bo internet w tym szpitalu całkiem dobrze chodził. W sumie to mam fajną robotę, myślał. W tej pracy policyjnej to człowiek w zasadzie tylko musi czegoś pilnować albo na coś czekać. Więc można ten czas wykorzystywać na oglądanie filmów. Szkoda, że nie da się grać w ulubione gry, bo nie można nosić do pracy PlayStation, no ale zabieranie ze sobą Netflixa nie było przecież zabronione. Dlatego nadrabiał zaległości filmowe i oglądał wszystko, co się dało i co polecali mu koledzy.

– *Какой фильм ты смотришь?*³⁵ – usłyszał głos nad sobą. Tak był zapatrzony w ekran telefonu, że nawet nie zauważył, że dziewczyna wyszła z ubikacji. Co prawda nie zrozumiał wszystkich słów, które wypowiedziała, ale wiedział, o co pyta. Zastopował scenę, odwrócił wyświetlacz w jej kierunku i pokazał zamrożony kadr.

– To jest *Gra o tron*. *Gra o tron* – powtórzył tytuł jeszcze raz i zdecydowanie wolniej, tak żeby mogła przyswoić sobie każde słowo. Naraz sobie coś skojarzył. – *Game of thrones* – powiedział po angielsku. Uczył się w szkole angielskiego, więc gdyby ona potrafiła mówić w tym języku, mogliby się dogadać.

– *Game of thrones* – powtórzyła po nim. – *Игра престолов!*

Pokiwał głową, choć nie bardzo wiedział, o co jej chodzi z tymi stołami. Chwycił ją pod rękę i poprowadził w kierunku izolatki. Gdy podeszli do drzwi sali, otworzył je i wprowadził ją do środka. Usiadła na łóżku. Skinął głową i już chciał wyjść, ale przytrzymała go za rękaw.

– *Я не могу спать*³⁶ – powiedziała, a on zdziwił się, bo stwierdził, że chyba ma zdolności językowe, o których nie miał wcześniej zielonego pojęcia. Wystarczyło tylko zamienić z tą dziewczyną kilka słów po ukraińsku, a już rozumiał, co do niego mówi.

– Nie możesz spać? – zapytał na wszelki wypadek.

Pokiwała głową.

– To mam tu z tobą posiedzieć? Znaczy mam tu zostać w twoim pokoju?

Znów pokiwała głową.

– No dobra, jak chcesz. Mogę cię pilnować tutaj – stwierdził i usiadł na krześle stojącym obok. Dziewczyna się położyła. Chciała się okryć, ale coś ją najwyraźniej zabolowało, bo jęknęła głośno. Poderwał się więc ze swojego miejsca, chwycił kołdrę i delikatnie ją okrył.

Uśmiechnęła się do niego w podziękowaniu. On usiadł znowu, wydobył telefon, założył słuchawkę i włączył film. Przez chwilę oglądał scenę, w której Tyrion Lannister pije wino, gdy poczuł dotknięcie. Dziewczyna coś od niego chciała.

– No co tam? – zapytał.

– *Может, посмотрим фильм вместе?*³⁷

– Co? – zapytał, kręcąc przy tym głową na znak, że powinna mówić bardziej zrozumiale. Chyba to trafiło do niej, bo wskazała telefon, potem słuchawkę i swoje ucho.

– A, już rozumiem, znaczy chcesz ze mną oglądać film? No pewnie, że możemy go oglądać razem. Jest fajny, mówię ci, kapitalny. O, poczekaj, masz tu jedną słuchawkę, a ja sobie wezmę drugą, o tak. – Włożył jej jedną słuchawkę do ucha, sobie też wcisnął, a potem włączył film.

– Zaraz, ale ty przecież nie rozumiesz po polsku. Może włączę ci napisy po ukraińsku? – zaproponował, ale ona pokręciła głową.

– *Можешь включить субтитры на русском языке?*³⁸

– Jak ruskie? – zdziwił się. – Przecież ty jesteś Ukrainka, a nie Rosjanka.

– *Я из Украины, но говорю по-русски*³⁹.

Zdziwił się, bo nic z tego nie rozumiał. To znaczy pojał sens tego, co powiedziała, ale nie rozumiał, o co chodzi z tym rosyjskim. Bo jak to możliwe, że ona jest Ukrainką, a mówi po rusku, tak jak Ruscy, którzy tych Ukraińców napadli? Wszystko to było zbyt dziwne i za bardzo skomplikowane, żeby się nad tym zastanawiać w środku nocy. Lepiej było zająć się filmem. Zaczął szukać czegoś w ustawieniach, ale nie mógł poradzić sobie z językiem napisów. Wzięła od niego telefon i błyskawicznie ustawiła odpowiednio. Włączył film, ale nie bardzo wygodne było to oglądanie, bo on siedział na krześle, ona musiała się wychylić na bok, więc obojgu było niewygodnie. W końcu dziewczyna znów klepnęła go w ramię. Spojrzał na nią, a ona tymczasem przesunęła się w kierunku ściany i pokazała mu wolną przestrzeń na łóżku.

– Słusznie – pochwalił ją. – Tak będzie najlepiej, jak ja się tu położę. Tylko poczekaj, muszę zdjąć buty, bo przecież do łóżka nie będę w butach wchodził.

Zdjął je szybko, potem odpiął pas z pistoletem, położył go na krześle i dzięki temu mógł się wygodnie rozłożyć. W końcu oboje ułożyli się tak, że ze spokojem mogli zacząć wspólny seans filmowy. Włączył film w momencie, gdy Tyrion kładł się do łóżka z jakąś rozebraną kobietą. Starszy posterunkowy Malicki poczuł się trochę niezręcznie, leżąc tu z tą dziewczyną, podczas gdy w filmie działy się takie nieobyczajne rzeczy. No ale w końcu to nie jego wina. Ona sama chciała, to co mógł na to poradzić...

Naraz usłyszał w korytarzu jakieś kroki. Najwyraźniej szedł tu jakiś mężczyzna. Nie, dwóch mężczyzn, bo tupanie było zdecydowanie głośniejsze i wskazujące na co najmniej cztery nogi.

Zdziwił się, usłyszawszy to łażenie po korytarzu w środku nocy, bo przecież o tej porze szpital spał. Spali pacjenci i nawet siostry dyżurne, nie mówiąc o lekarzach, którzy, jeśli byli na miejscu, to nie po to, żeby kręcić się po korytarzach, tylko żeby odpoczywać w swoich pokojach...

I wtedy przyszła mu do głowy myśl, że jeśli ktoś tu o tej porze chodzi, to może to ci ludzie, przez których kazano mu pilnować tej dziewczyny. W końcu pani komendant poleciła, żeby jej strzegł, bo nigdy nic nie wiadomo. Więc jeśli ktoś tu łązi po nocy, to może oznaczać...

Oddał jej telefon, szybko zsunął się z łóżka, sięgnął po swój pistolet, a potem położył palec na ustach.

Dziewczyna spojrzała na niego przestraszona, ale on się tylko uśmiechnął i pokazał jej kciuk uniesiony w górę. Potem szybko schował się w kącie za szafą, tak że wchodzący do pokoju nie mieli najmniejszej szansy go dostrzec. Chwilę potem drzwi otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn. Aliona krzyknęła przestraszona, rozpoznawszy nocnych gości. A ci na jej widok zaśmiali się, najwyraźniej zadowoleni z efektu, jaki udało się im wywołać nocną wizytą.

Okolice Grodziska

Godzina 3.40

Krukowski zdjął buty, żeby niepotrzebnie nie narobić hałasu i nie zdradzić, że się zbliżają. Otworzywszy drzwi, ruszył w dół po starych drewnianych schodach. Alina poczekała, aż zejdzie. Gdy zobaczyła, że zatrzymał się w korytarzu, ostrożnie, również na bosy, podążyła jego śladem. Po chwili oboje stali przy wejściu do kuchni. Byli tu już wcześniej, więc znali rozkład mieszkania i przede wszystkim rozstaw mebli. Wiedzieli, gdzie może siedzieć ten gość, który został sam w domu. Musiał pozostać przy kuchennym stole, który stanowił centrum operacyjne i biesiadne bandytów.

Krukowski wskazał Alinie niedomknięte drzwi, jakby spodziewał się, że ona zamierza od razu przez nie wejść. Pokazał na siebie, więc zrozumiała, że idzie pierwszy. Nie miała nic przeciwko. Potwierdziła swoją gotowość i zgodę podniesieniem kciuka. Policjant pokiwał głową i natychmiast pchnął lekko skrzydło. Zaskrzypiało, więc nie czekał na reakcję tego, który mógł być w środku. Wpadł do kuchni z wysuniętym do przodu pistoletem. Zrobił trzy kroki i znieruchomiał. Alina wsunęła się za nim, osłaniając go z lewej, czyli ze strony, gdzie były drzwi prowadzące w głąb domu. Ale ta zapobiegliwość okazała się całkowicie niepotrzebna. Pomieszczenie było puste. W powietrzu unosił się jeszcze papierosowy dym, śmierdziało wódką i kiszonymi ogórkami, a na stole stała bateria butelek po alkoholu i kilka kartonów soków owocowych. Brakowało tylko biesiadnika.

– Może wyszedł na zewnątrz? – szepnęła mu do ucha. Krukowski wzruszył ramionami.

– Jakby wychodził, tobyśmy słyszeli – mruknął.

– Może poszedł do... – Wskazała korytarz. Podkomisarz pokiwał głową. Facet musiał wstać od stołu i pójść poszukać sobie towarzystwa. Jeśli był pijany i do tego jeszcze skupiony na jednej z dziewczyn...

Naraz usłyszeli głośny krzyk kobiety, który zaraz zagłuszył męski śmiech.

– Jest skurwysyn! – Krukowski ruszył szybko w kierunku sypialni. Alina szła za nim krok w krok. Drzwi nie były zamknięte, więc od razu zobaczyli, co tam się dzieje. Na materacu leżała dziewczyna ze skrzepowanymi rękoma, odwrócona twarzą do ściany. Na środku pokoju stał wielki facet ze spodniami opuszczonymi do kostek. Przed nim klęczała druga z dziewczyn. Bandzior trzymał ją lewą ręką za włosy, a prawą unióś, jakby szykował się do wymierzenia ciosu. Usłyszawszy za sobą szmer, odwrócił się. Dostrzegł dwójkę ludzi stojących w wejściu i zamarł w bezruchu. Na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zdumienia. Mógł się spodziewać swoich kompanów, którzy wrócili, bo czegoś zapomnieli, ale ta para obcych zaskoczyła go całkowicie. Jednak najbardziej zdumiały go pistolety, które trzymali w dłoniach.

Facet wyglądał na zdecydowanego, ocenił szybko Fiodor, natomiast dziewczyna zdawała się niezbyt pewna tego, co się tu dzieje. Dostrzegł, że ma na sobie czarną policyjną kurtkę. Wprawdzie jej towarzysz był ubrany po cywilnemu, ale to mogła być policja. To znaczy, że nie było tak źle. Gorzej, gdyby to jakaś konkurencja dopadła go ze spuszczoneymi spodniami. Ale z policjantami mógł sobie łatwo poradzić. Trzeba było tylko znaleźć na nich sposób.

- Podnieś ręce do góry - powiedział spokojnym głosem Krukowski. Zrobił, co mu kazano.

- A mogę podciągnąć spodnie, bo tak głupio trochę...

- Zamknij mordę, bo zaraz będziesz miał dodatkową dziurę w dupie - ostrzegł go podkomisarz. - Stój i ani słowa! Ty - wskazał na dziewczynę - odejdz! - polecił, pokazując ręką tę drugą na materacu. - Idź do niej! - Dziewczyna natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Podniosła się z kolan i przypadła do leżącej kobiety.

- Teraz ty, na kolana! - rozkazał Fiodorowi nieznośnym sprzeciwu tonem. Osilek powoli pochylił się i uklęknął najpierw na jedno, a potem także na drugie kolano. W ten sposób Krukowski wyeliminował doraźnie możliwość niespodziewanego ataku ze strony zatrzymanego. - Alina, podejdz do niego i zobacz, czy nie ma gdzieś schowanego pistoletu.

Podeszła od tyłu i obszukała go pod pachami. Za paskiem nie mógł mieć broni, ale za to mogło się coś kryć w kieszeniach. Obeszła go dookoła i zaczęła sprawdzać spodnie. Robiła to, starając się nie patrzeć na jego obnażone podbrzusze i zwisającego członka. Fiodor spoglądał na nią z wyraźnym rozbawieniem. Wyczuł, że jest zakłopotana niezręczną sytuacją, więc natychmiast to wykorzystał.

- Nie krępuj się, kochana, możesz go pogłaskać, a jeśli chcesz, możesz spróbować, jak smakuje, bo takiego pięknego jeszcze...

Nie dokończył. Policjantka momentalnie wyprostowała się i kopnęła go z całej siły w krocze. Zgiął się wpół i przewrócił na bok, jęcząc głośno.

- Masz szczęście, gnoju, że nie mam na nogach moich butów, bo jakbyś dostał porządnego kopa, to już byś do końca życia cienko śpiewał - rzuciła z wyraźną odrazą w głosie.

Leżący Fiodor zwinął się w kłębek, trzymając się za krocze. Alina spojrzała na Krukowskiego w oczekiwaniu na reprimendę. Ale on tylko wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- Złamałaś mu fiuta? - zapytał obojętnym tonem.

- Mam nadzieję, że odechce mu się głupich tekstów.

Odwróciła się w stronę materaca. Dziewczyna, która przed chwilą jeszcze klęczała przed drabem, próbowała rozwiązać dłonie koleżance. Nie szło jej to zbyt dobrze, bo plastikowe, twarde trytytki praktycznie stanowiły przeszkodę nie do pokonania dla gołych rąk.

- Poczekaj, pomogę ci - powiedział Krukowski. Sama sobie nie poradzisz - wyjaśnił. Dziewczyna spojrzała na niego i zaraz odsunęła się na bok.

- Przydałby się nóż - powiedziała.

- Jesteś Polką? - zapytał zdziwiony Krukowski. Pokręciła głową.

- Ukrainka jestem. Ale mówię po polsku. Pracuję w Polsce od pięciu lat. Mam na imię Swietłana.

- Skąd się tu wzięłyście? - Krukowski wydobyl z kieszeni niewielki, składany scyzoryk, który prócz zwykłych ostrzy był też wyposażony w nożyczki. Szybko przeciął plastikowy pasek na przegubach, a potem zrobił to samo z podobnym na nogach.

- Miałymy jechać do pracy.

- Jakiej pracy?

- Ci dwaj, co nas tu przywieźli, mieli nas zawieźć do Niemiec. Załatwili nam pracę w restauracji. Zapłaciliśmy im za przejazd i za pośrednictwo w znalezieniu roboty - wyjaśniła Swietłana.

- Zapłaciliście im za znalezienie pracy?

- No tak, bo to bardzo dobra praca - odpowiedziała ta, którą właśnie oswobodzili. Jak oni przyjadą tu, to powiedzą wszystko - zaczęła się tłumaczyć, najwyraźniej kompletnie nie rozumiejąc, w jakie kłopoty się wpakowały. Mówiła po polsku równie dobrze jak jej koleżanka, choć wyraźnie było słychać w jej mowie wschodnią melodię.

- Ona mówi prawdę - potwierdziła Swietłana. - Mieli nas zawieźć jutro do Niemiec. A za drogę i pracę my płacili po dwa tysiące złotych.

- A w ramach atrakcji dodatkowych miałaś obsłużyć tego tam? - Wielicka wskazała za siebie na leżącego i zwinętego jak embrion Fiodora.

- To jakiś bydlak, ale my jego nie znamy. Nas wieźli Mussa i Iwan. Ale oni pojechali gdzieś. Zaraz pewnie tu przyjadą i wszystko wytłumaczą, że my jedziemy legalnie. Potwierdzą wszystko. - Dziewczyna starała się wyjaśnić wszelkie wątpliwości, jednocześnie chroniąc w ten sposób tych, którzy mieli za kilka godzin sprzedać je na targu niewolników. - Ja zresztą mam fakturę, którą oni mi wystawili. To faktura na dwa tysiące złotych za przejazd i procent od pierwszej pensji. Oni mają firmę pośrednictwa pracy dla Ukraińców. Wszystko jest zgodne z prawem.

- Dobra, nie ma czasu na pogaduchy - przerwał tę rozmowę Krukowski. - Alina, idź po tę z góry i zaraz się stąd zmywamy.

- Ale my nigdzie nie idziemy - stwierdziła dziewczyna, ta sama, która dopiero co uniknęła gwałtu. - My tu zostajemy, bo jedziemy do Niemiec. Myśmy zapłaciły za robotę i przejazd, to nie musimy nigdzie iść. Co nie, Masza?

Dziewczyna nazwana Maszą, zajęta rozmasowywaniem nadgarstków, szybko pokiwała głową.

- A kto mi zwróci moje dwa tysiące? - zapytała retorycznie blondynka. - Nie po to płaciła ja za pracę i wyjazd, żeby teraz im odpuścić. Muszą nas zawieźć...

- Alina, czy ty to słyszysz? - Krukowski był zdumiony tą postawą. Przed chwilą narażał życie, żeby je uratować, a te idiotki chciały jechać z bandytami na wycieczkę do Niemiec. Należało im wytłumaczyć całą groź sytuacją. Ale teraz na dłuższe rozmowy nie było czasu. Ci dwaj mogli wrócić w każdej chwili.

- Słyszę - potwierdziła. - Nie ma o czym gadać. Bierzemy je! Ja idę na górę i spadamy - zdecydowała i wyszła z pokoju. Policjant groźnie popatrzył na dziewczynę.

- Wszystko nam wyjaśnicie w komisariacie. A teraz zbierać się, idziemy!

- A co z walizkami? - zapytała Swietłana.

- Biercie ze sobą. Tu niedaleko stoi nasz samochód. Zabierzemy was do Grodziska i tam wszystko opowiecie. A ty możesz iść czy nie? - Pochylił się nad leżącym ciągle na podłodze facetem. Ten odwrócił głowę i spojrzał na Krukowskiego, a potem naraz wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu. Silny cios w krtań sprawił, że policjant przewrócił się jak rażony gromem. Fiodor zerwał się z podłogi i z całej siły, jak piłkarz broniący dostępu do swojej bramki, kopnął go w twarz. Rozległ się nieprzyjemny trzask łamanej kości, a ból rozrywający czaszkę podkomisarza sprawił, że natychmiast stracił przytomność. Fiodor pochylił się nad nim i wyciągnął mu z kabury pistolet. Obie dziewczyny zamaryły w bezruchu, przerażone tym, czego właśnie były świadkami.

- No, moje gołąbeczki, wy się nic nie martwcie. Nikt wam krzywdy nie zrobi. Policjanci was nie aresztują, a za chwilę, jak przyjadą moi koledzy, pojedziecie sobie do Berlina. Jutro będziecie już pracować dla Niemców. Ale zanim tam pojedziecie, jeszcze trochę się zabawimy. Nie, nie musicie się bać. Nie z wami się będę bawił. Mi wystarczy ta ładna policjantka. Zobaczymy, jak ta policyjna suka potrafi ssać kutasa. Zasłużyła sobie na to, bładź jedna.

Gdzieś ze środka domu rozległy się głośne kroki. Policjantka chyba musiała założyć buty, pomyślał zadowolony Fiodor, który mimo bólu w kroczu poczuł naraz gorące pożądanie. Pomyślał, że nic tak dobrze nie robi na podrażnioną męskość, jak pokazanie tej, która go poniżyła, kto jest prawdziwym panem sytuacji.

Fiodor wycelował w miejsce, w którym za moment powinna stanąć. I naraz zza jego pleców rozległ się przeraźliwy krzyk jednej z dziewczyn. Dосkoczył do niej i silnym ciosem w twarz uciszył krzyczącą. Na korytarzu zrobiło się cicho.

Okolice Grodziska

Godzina 3.50

– Halo, Aneta, słyszę cię! – zawołał do słuchawki Turek, który właśnie przed chwilą włączył swój telefon. Miał na wyświetlaczu kilkanaście nieodebranych połączeń. Gdyby Przemek Drażkowski sprawdził swój aparat, zobaczyłby to samo, ale jego telefon tkwił w kieszeni wyładowany. Zawsze wieczorem podłączał komórkę do ładowarki, ale dziś zapomniał o tym, gdy do domu przyszedł z Turkiem. Położył się spać, a kiedy Szymon go obudził, w ogóle nie pomyślał, że telefon będzie mu potrzebny. Zabrał go, bo to był odruch bezwarunkowy, że komórkę wsadza się do kieszeni. Ale przez lata nie wyćwiczył sprawdzania stanu baterii. No więc jego aparat był całkowicie głuchy, a kolegi wyciszony od momentu, kiedy ostatni raz dzwoniła Aneta. Wtedy Turek nie miał czasu rozmawiać, a potem już nie było okazji.

– Gdzie wy, do cholery, jesteście? Dzwonię i dzwonię, i nie ma z wami kontaktu.

– A ty, gdzie jesteś? – zapytał Turek, żeby zyskać na czasie. Zawsze tak robił, gdy nie miał nic konkretnego do powiedzenia. Odbijał piłeczkę i czekał, co będzie dalej.

– Jak gdzie? W samochodzie jestem i mam jechać was wesprzeć, ale nie wiem dokąd.

– Przemek, gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał kierowcę, który rozejrzał się bezradnie dookoła.

– Wygląda na to, że zaraz wjedziemy do Grodziska – odpowiedział Drażkowski zgodnie z prawdą.

– Jesteśmy w okolicach Grodziska – powtórzył za kolegą.

– No dobra, to jedziemy na Grodzisk. Nic nie róbcie, dopóki nie przyjadę. Szymon, rozumiesz? Halo, Szymon, słyszysz mnie? Turek!

– Co?

– Mówię, że macie nic nie robić. Chodzi o to, żebyście na mnie poczekali. Ja będę tam w ciągu... – Spojrzała na Włodka, który siedział, opierając głowę o rękę wspartą na podłokietniku. – Do Grodziska w ile dojedziemy?

– Jeśli wyskoczmy na autostradę, to w Buku będziemy za piętnaście minut i potem do Grodziska jeszcze z dwadzieścia. Ale to już wąskimi drogami, więc nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć.

– Ale w pół godziny będziemy?

– Bez najmniejszego problemu. – Uśmiechnął się do niej.

Jak dobrze, że jest tu ze mną, myślała, patrząc na Włodka. Wyciągnęła rękę, a on chwycił ją, pochylił się i pocałował. Przez dłoń, a potem przez rękę aż do głowy popłynął ciepły prąd, który po chwili rozlał się po całym ciele. Czy to był ten facet, na którego czekała przez całe życie?

– Aneta, jesteś tam, bo ja kiepsko słyszę.

– Halo, Szymon, jedziemy do Grodziska. A ty włącz mi swoją lokalizację.

– Co mam włączyć?

– Lokalizację.

– Jaką lokalizację?

– Jedziemy na Grodzisk – rzuciła do Włodka, a ten natychmiast uruchomił silnik auta. Zanim ruszyli, wydobyl swoją komórkę i zainstalował ją na uchwycie.

– Ustawię nawigację, żeby niepotrzebnie nie błędzić – wyjaśnił i zaraz włączył aplikację z mapami. Samochód ruszył z dworcowego parkingu w kierunku wylotu na Kaponierę. Miasto jeszcze wyglądało jak

wymarłe. Na ulicach nie było prawie żadnego ruchu. Z naprzeciwka jechał pierwszy poranny autobus numer 177 z dworca Poznań Główny na Junikowo.

– No, lokalizację, tak żebym mogła zobaczyć, gdzie jesteś w tej chwili. – Aneta wróciła do rozmowy z Turkiem.

– Jestem w Grodzisku – wyjaśnił, zupełnie nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Na wszelki wypadek rozejrzał się na boki. Jasno oświetlona ulica z domami po obu stronach świadczyła o tym, że byli w mieście. A że w okolicy nie było innego miasta, musiał być to Grodzisk.

– Lokalizację w komórce włącz – powtórzyła rozpaczliwym tonem.

– Aneta chce jakąś lokalizację. – Turek zwrócił się do Przemka. Ten pokręcił głową.

– Powiedz jej, że nie umiemy tego zrobić – powiedział do kolegi konspiracyjnym tonem, tak żeby ona nie usłyszała. Szymon natychmiast pojął, w czym rzecz.

– Halo, Aneta, jesteś tam?

– Jestem, włączyłeś?

– Ja nie umiem tej no lokalizacji...

– Niech Przemek włączy!

– Przemek też nie umie. Zresztą on ma wyładowany telefon.

– To słuchaj, musisz wejść w książkę telefoniczną...

– Ale ja nie mam książki telefonicznej.

– Masz książkę w swoim telefonie.

– Jak w telefonie?

– No normalnie, masz zapisane numery telefonów...

– Aneta, słabo cię słyszę. Coś mi przerywa.

– Ja pierdołę, Turek!

– Aneta, halo! – zawołał jeszcze raz i przerwał połączenie. Przemek pokiwał głową z uznaniem.

– Bardzo dobrze żeś zrobił – pochwalił kolegę. – Bo wiesz, że jak byśmy poczekali na Anetę, to wszystko by mogło wyglądać inaczej, niż chcemy – stwierdził zadowolony, a na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech.

Turek wiedział. Nie po to wybierali się do miejsca, gdzie przetrzymywana jest Sonia, żeby wejść tam z gałązką oliwną w ręce. Tych gości, którzy zajmowali się porywaniem młodych kobiet, należało potraktować tak, jak na to zasługiwali. Dlatego czuł się trochę jak jego filmowy idol Clint Eastwood w filmie Bez przebaczenia. Zamierzał wkroczyć do ich kryjówki z rewolwerem w dłoni i jeśli będzie trzeba, rozwalić każdego, kto odważy się stanąć mu na drodze. Widział już siebie w akcji, jak idzie powoli po podłodze ze skrzypiących desek, jak jego kowbojskie buty uderzają o nią obcasami, a stukot niesie się po całym domu. Powinien mieć jeszcze w ustach brązową cygaretkę i ostrogi na butach, żeby ten stukot doprawić odrobiną metalicznego brzęku... A ta cygaretką w ustach to z innego filmu z Clintem, tylko z którego? Cholera, nie mógł sobie przypomnieć tytułu...

– Gdzie teraz? – zapytał Drażkowski, odwracając się za siebie. Dima drzemał, a siedzący obok niego facet ze złamaną ręką wydawał się nieobecny. – Ej, ty, dokąd teraz mamy jechać? – zawołał Przemek, wyrrywając ze snu Dimę. Ten spojrział na siedzącego obok niego bandziora i szturchnął go w ramię.

– Musimy przejechać jeszcze miasto, tak jakbyśmy jechali na Wolsztyn – wyjaśnił.

Przemek skinął głową. Auto po chwili zwolniło koło posterunku policji. I Turek, i Drażkowski znali to miejsce, ale nie zamierzali nikomu z miejscowych policjantów tłumaczyć się ze swojej obecności. Mieli sprawę do załatwienia.

– Jak tam wejdziemy, tak zwyczajnie na pałę? – zapytał Turek. Choć pytanie wypowiedział głośno, to w zasadzie nie oczekiwał specjalnych wyjaśnień. Wiedział, że muszą tam wejść i tyle. Teraz była najlepsza pora, bo nad ranem ludzie spali najgłębszym snem.

- Najlepiej od dwóch stron – odezwał się Drażkowski. – Wtedy mamy pewność, że nam nie zwieją.
- Prawda – zgodził się Dima. – Musimy wkroczyć tak, żeby żaden skurwysyn nam nie uciekł.
- Zaraz, ale ty, Dima, nie możesz tam z nami wejść. – Naraz Przemek uświadomił sobie, że Ukrainiec jest cywilem. A oni są gliniarzami, więc to w pewnym sensie policyjna akcja.
- A co, mam siedzieć w samochodzie? – zapytał drwiącym głosem. – Ja już był w takich akcjach, że wy sobie nie wyobrażacie nawet...
- Ale nie w tym rzecz – wszedł mu w słowo Turek. – Chodzi o to, że my, policjanci znaczy się, nie możemy wykorzystywać w takich działaniach ludzi, co nie są z policji.
- No to mnie nie wykorzystacie. Sam się wykorzystam. Musicie mnie związać, żebym ja nie poszedł z wami – stwierdził Dima całkowicie głuchy na wszelkie argumenty.
- Gdzie teraz? – zapytał Przemek. – Bo już żeśmy wyjechali z Grodziska.
- Teraz będzie za chwilę taka droga w las i potem taki stary dom – wyjaśnił łysy bandzior. Telefon Turka zadzwonił. Spojrzał na wyświetlacz. Znowu dzwoniła Aneta.
- Gdzie teraz jesteście? – zapytała, gdy przycisnęła zieloną słuchawkę.
- Wyjechaliśmy za Grodzisk. To jest droga na Wolsztyn. Zaraz potem zaczyna się las i trzeba skrócić na prawo do tego lasu...
- Czekajcie na mnie. Jestem zaraz w Grodzisku – zawołała do słuchawki.
- Za dziesięć minut będziemy – rzucił cicho Włodek. Pokiwała głową.
- No przecież wiem – syknęła w odpowiedzi. – Słyszysz mnie? – wróciła do przerwanej rozmowy z Turkiem. – Zatrzymajcie się przy drodze i czekajcie.
- Tak jest, czekamy. Bez odbioru – powiedział i się rozłączył.
- Kazała nam czekać – rzucił do Przemka. – Ty, gdzie to jest? – zapytał łysiego.
- No tu zaraz, ta leśna droga i trzeba kawałek podjechać i takie gospodarstwo, co wygląda jak opuszczone – wyjaśnił.
- Podjeżdżamy? – Przemek spojrział na Turka, a ten pokiwał głową i zaraz odwrócił się do Dimy.
- Słuchaj, pójdziesz z nami, obiecuję ci, ale musisz nam pomóc teraz. Posiedzisz chwilę z tymi zasrańcami w aucie, a my wyjdziemy się rozejrzeć. Jak się rozejrzemy, to po ciebie wrócimy, zgoda?
- Ale wróćcie? – zapytał Ukrainiec, a w jego głosie słychać było stanowczość.
- No pewnie, że wrócimy. Pomożesz nam przecież – zapewnił go Przemek. – A póki co poczekasz na naszą szefową. Jak przyjedzie, to powiesz jej, że poszliśmy... O, jest gospodarstwo. – Drażkowski momentalnie wyłączył światła. Budynek było widać jak na dłoni dzięki księżycowej poświacie. Podjechał jeszcze ze sto metrów, a potem wyłączył silnik. Obaj policjanci wyszli z samochodu i ruszyli w kierunku zabudowań.
- No, stary, mamy kilka minut, zanim przyjedzie Aneta. – Turek klepnął Drażkowskiego w plecy.
- To dalej, do roboty! – rzucił Przemek, mocno przyspieszając kroku.

Na szczęście nie musieli przedzierać się przez las. Do zagrody prowadziła droga, niezbyt równa i mocno porośnięta kępami trawy, mimo to dało się nią przejść. Po chwili znaleźli się przy płocie. Dom pogrążony był we śnie. Nigdzie nie paliło się światło. Jeśli w podwórku był pies, to też musiał spać, bo nie wyczuł jeszcze zbliżających się intruzów. To był dobry znak, ponieważ dzięki temu mogli podejść, nie wywołując zamieszania. Turek wskazał palcem na furtkę, która była uchylona. Widać gospodarze nie obawiali się niezapowiedzianych wizyt. Obaj policjanci wydobyli z kabur broń i ruszyli przed siebie, starając się stąpać bezszelestnie. Obeszli boczną ścianę domu i po chwili stanęli przed drzwiami.

Bmw prowadzone pewną ręką Włodka wyjechało z Grodziska drogą wiodącą na Wolsztyn. Nocna ciemność powoli zaczynała się rozjaśniać, gdy na wschodnim niebie pojawiła się jeszcze dość nieśmiała słoneczna poświata.

- Zaraz będzie ten zakręt w prawo - powiedziała Aneta.

- Wiem, gdzie to jest - rzucił Włodek pewnym głosem.

- Jak to wiesz? - zdziwiła się.

- Po pierwsze słyszałem, gdzie trzeba skręcić, jak do ciebie mówił ten twój człowiek, a po drugie wiem, gdzie jest ta leśniczówka.

- Jak to? Skąd?

- Nie ma w tym nic dziwnego. Ja znam ten las doskonale. W Grodzisku mieszka kuzynka mojej mamy. Co roku latem przyjeżdżałem tu na wakacje. A do tego lasu chodziliśmy na grzyby i jagody. Ja tu, skarbie, jestem u siebie i znam każdy zakątek.

- No to jak tak, to w takim razie wież mnie do celu. Mam nadzieję, że uda się powstrzymać tych moich ludzi i...

Przerwała, bo naraz poczuła, że coś ważnego przeoczyła. To takie dziwne uczucie jak *déjà vu*. Niby człowiek coś wie, z czegoś zdaje sobie sprawę, ale nie ma pojęcia, o co chodzi. Co to, do cholery, jest? Zastanawiała się nad tym gorączkowo, ale nie mogła wpaść na żaden trop. Czuła, że ma w rękę wszystkie nitki, ale nie potrafi spleść ich w jeden warkocz.

Rozdział X

Grodzisk
Godzina 4.00

Pielęgniarka Halina Kwiatkowska ocknęła się na szpitalnej podłodze. Przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale gdy rozpoznała charakterystyczne pastelowe kolory ścian oddziału, poczuła się jak u siebie. Dopiero po sekundzie zrozumiała, że to „u siebie” jest trochę inne niż zazwyczaj. Bo przeważnie, chodząc po oddziale, widziała podłogę wyłożoną sinoróżowym linoleum i żółte ściany. Teraz te ściany też były dobrze widoczne, ale zamiast podłogi miała przed oczyma biały sufit.

I w tej chwili uświadomiła sobie, że coś jest nie tak i że boli ją głowa... Naraz przypomniała sobie wszystko, co wydarzyło się jakiś czas temu. Ile tego czasu upłynęło, nie wiedziała, bo chyba musiała stracić przytomność.

Właśnie szła korytarzem, wracając z sali, w której leżał jakiś marudny pacjent. Trzeba mu było zrobić zastrzyk przeciwbólowy, bo się go domagał, zamiast spokojnie i z pokorą znosić los płatnika składek na NFZ. Więc zrobiła mu zastrzyk i szła do pokoju pielęgniarek, żeby odpocząć, mając nadzieję, że żaden inny chory nie będzie już dziś marudzić. Wtem stanęła jak wryta. Drzwi wiodące z klatki schodowej otworzyły się i na korytarzu pojawiło się dwóch mężczyzn. Ubrani w dresy, sportowe buty i pikowane kamizelki, sprawiali wrażenie gości, którzy właśnie wyszli z siłowni. Ale siłownie o tej porze były zamknięte, pomyślała Kwiatkowska, stając im na drodze. Chwyliła się pod boki, gotowa całym swoim osiemdziesięciokilogramowym ciałem zasłonić przejście intruzom.

– A wy co tu robicie? Oddział zamknięty! O tej porze nie ma żadnych odwiedzin! – zawołała w kierunku zbliżających się sportowców. Ten niższy, czarnowłosy brodac, uśmiechnął się, szczerząc białe zęby. Drugi, łysy o pospolitej, okrągłej i rumianej twarzy, nie wyglądał na wesołka. Raczej przypominał cyborga całkowicie obojętnego na zewnętrzne bodźce.

– Gdzie jest ta Aliona, a? – zapytał łysy.

– Jaka Aliona? – Pielęgniarka nagle uświadomiła sobie straszną prawdę. Ten młody policjant dyżurujący na krzeselku przed izolatką siedział tam z jakiegoś powodu. Nikt jej co prawda nie wytłumaczył, dlaczego tam siedzi, ale w tej chwili to rozumiała. Przypomniała sobie film Ojciec chrzestny, kiedy to Al Pacino biegnie do szpitala, bo chcą mu zastrzelić Marlona Brando. I gdy przychodzi na oddział, to nie ma tam policjanta, który miał chronić tego ojca chrzestnego. Czyli ci dwaj przyszedli tu po to, żeby tak samo jak w filmie porwać policjanta, a potem zastrzelić tę dziewczynę. Dlatego pytają o nią, żeby się dowiedzieć, gdzie jest ten funkcjonariusz. Postanowiła więc wprowadzić ich w błąd.

– Tu nie ma żadnego policjanta! – powiedziała zgodnie z prawdą, bo korytarz był pusty. Widać chłopak znalazł sobie jakieś miejsce i położył się spać.

– Na chuj mnie policjant! Gadaj, gdzie ona! – warknął ten łysy.

– Kto?

– Aliona, Ukrainka, taka brunetka.

– A, ta. – Udała, że sobie przypomina. – Nie, jej już nie ma. Wyszła ze szpitala już wczoraj. Nie ma jej nigdzie. – Zakręciła dłonią koło w powietrzu, jakby to miało unacznnić tym dwóm, że nie mają tu czego

szukać.

- Kłamiesz, suko! - wyszczał czarny, przyskoczył do niej i wymierzył cios w szczękę. Kobieta padła na podłogę jak rażona gromem. Dwaj napastnicy przeszli nad nią i ruszyli przed siebie, zaglądając po kolei do każdej sali. Ale tylko jedna, izolatka, miała na korytarzu ustawione na wprost drzwi krzesło. Domyślili się więc, że to na tym krzeselku musiał siedzieć ten, który miał jej pilnować. Było puste, więc doszli do wniosku, że policjant musiał albo definitywnie zejść już ze służby, albo gdzieś śpi. I jedna, i druga opcja były dla nich korzystne, bo nie musieli mierzyć się ze strażnikiem. Otworzyli więc drzwi i ostrożnie weszli do środka.

Kwiatkowska podniosła się z podłogi, rozejrzała wokół i zrozumiała, że musi działać. Bo jeśli czegoś nie zrobi, to ci bandyci za chwilę znajdą tego młodego policjanta. A jak go dopadną, to mogą jeszcze zrobić mu krzywdę. Dlatego postanowiła wezwać pomoc, bo sama przecież z tymi osiłkami nie dałaby sobie rady.

Zdjęła z nóg drewniaki, które mogły narobić niepotrzebnego hałasu, i na boso podbiegła do pokoju pielęgniarek. Nie zapalając światła, weszła i od razu przekręciła klucz w zamku, zamykając się od wewnątrz. Podeszła do stolika, przy którym stało krzesło, a na jego oparciu wisiała torebka. Włożyła dłoń do środka i namacała telefon. Wydobywszy go, poszła do łazienki i na wszelki wypadek tam również się zamknęła. Przyłożyła palec do ekranu, a ten zaraz się rozświetlił. Teraz zaczęła wpisywać ciąg cyfr trzęsącą się dłonią i oczywiście coś pomyliła. Zaczęła więc jeszcze raz i znów okazało się, że pokręciła cyfry.

- Ja pierdole, bo zaraz zablokuje ten telefon. Tylko spokojnie - mówiła sama do siebie, jednocześnie próbując wyrównać oddech. Znów zabrała się do wpisywania i tym razem jej się udało. Ale jaki numer ma policja? W telewizji był taki program Michała Fajbusiewicza o różnych przestępcach i ich poszukiwaniach. Zaraz, jak się nazywał ten program? 997? Tak, na pewno to ten numer prosto do programu. Wybrała więc dwie dziewiątki i siódmkę, a potem przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Policja, dyżurny...

- Mówi Kwiatkowska Halina ze szpitala w Grodzisku Wielkopolskim. Proszę pana, tu weszli dwaj bandyci, co chcą porwać tego młodego policjanta. Poszli tam do izolatki, gdzie siedzi ta Ruska...

- Jacy bandyci, proszę panią...?

- Jeden taki czarny i niższy, a drugi łysy. Ten jeden mnie uderzył, że aż poleciałam na podłogę. I poszli, a tam przed drzwiami tej Ruskiej siedział policjant i pilnował, żeby jej krzywdy nie zrobili. Ale go nie ma. Znaczy się dokładnie jest tak jak na tym filmie o ojcu chrzestnym.

- Jakim chrzestnym? Znaczy jakimś filmie z chrzcin?

- A co pan nie widział tego filmu, jak ten młody Al Pacino nie chciał być mafiosem, ale nie miał wyjścia, bo jego brata zabili i ojca też. Musiał ich wszystkich wytłuc, bo to była rodzinna sprawa...

- Halo, pani... Kwiatkowska. Niech pani nie streszcza mi filmów, tylko opowie, co się właściwie wydarzyło.

- Weszło ich dwóch na oddział, a ja szłam korytarzem i im powiedziałam, że mają iść, bo odwiedzin nie ma, a oni mi szast-prast po buzi, że aż padłam.

- A ci ludzie, gdzie są?

- Jak gdzie, przecież mówię. Siedzą tam w pokoju, gdzie ta dziewczyna, co chyba jest chronionym świadkiem, i oni chcą ją chyba porwać albo jak...

Wtem przestrzeń szpitalnych korytarzy wypełnił głośny huk wystrzału.

- O Jezusie Przenajświętszy! - zawołała naraz, bo do jej uszu dobiegł ten dźwięk, którego nie sposób było pomylić z czymkolwiek innym. - Przyjeżdżajcie szybko, bo oni tu nas wszystkich wymordują!

- No i jest nasza gołąbeczka! - ucieszył się na widok Aliony Mussa, uśmiechając się przy tym złowrogo.

- Leży sobie jak królowa, a nasz Fiodor się stęsknił – dodał Iwan, podchodząc do łóżka. Mussa też się przysunął i zatrzymał przy tylnym oparciu. Sięgnął po tabliczkę i z trudem rozszyfrował imię i nazwisko zapisane łacińskim alfabetem.

- Aliona Parszina napisali tu, ale co tam dalej, to się nie wyznam. Na szczęście dobrze wyglądasz, a to znaczy, że można cię już wypisać ze szpitala. Dobra, kochana, nie ma co dłużej czekać, bo zaraz tu się zlecą wszyscy lekarze na konsylium. Wstawaj i idziemy!

- Nigdzie nie pójdę z wami! – powiedziała twardo Aliona.

- To się jeszcze okaże – rzucił wypranym z emocji tonem Iwan. Nie miał zamiaru czekać, aż ona dojdzie do wniosku, że nie opłaca się z nimi dyskutować, ale powinna stawiać opór. Podniósł więc rękę, by uderzyć dziewczynę w twarz, gdy naraz usłyszał za sobą czyjś głos:

- Nie dotykaj jej, gnoju! – zawołał ktoś za ich plecami. Obaj natychmiast się odwrócili. W kącie pokoju za szafą stał młodzieniec w policyjnym mundurze. Nie wyglądał zbyt groźnie. Ci dwaj, bądź co bądź zawodowcy w konkurencji krzywdzenie fizyczne, dostrzegli w jego twarzy strach. Widać chłopak niezbyt często celował z pistoletu do ludzi. No i właśnie jedyne, czego można się było obawiać, to ten glock trzymany w drżących dłoniach. Jeśli zrobią coś głupiego, na przykład jakiś gwałtowny ruch, on może wystrzelić, analizował sytuację Mussa. Widział już niejednego przestraszonego gówniarza z bronią w rękę i wiedział, że z takimi trzeba postępować niebywale ostrożnie.

- No co ty, zwariował czy jak? – zapytał Czeczeniec, próbując zyskać na czasie. – My w odwiedziny przyszli do swojej koleżanki. Porozmawiać chcieli, zapytać, jak się czuje, a ty do nas z pistoletem?

- Nie gadaj mi tu bzdur. Obaj ręce na głowę i siad na kolana. Ale już, bo jak nie, to jeden z was do końca życia będzie skakał na jednej nodze!

- Ja ci dam zaraz, ty swołocz, skakać na jednej... – Iwan wyszarpnął z kieszeni ruski wojskowy pistolet MP 443 Gawron, ale nie zdążył nawet wycelować. Policjant jak podczas ćwiczeń wymierzył i oddał strzał. Tak jak obiecał, kula z jego glocka trafiła w kolano, niszcząc bezpowrotnie rzepekę. Iwan zwinął się jak składany nóż i padł na podłogę, wypuszczając z dłoni pistolet. Mussa momentalnie zrozumiał, że jest bez szans. Chłopak strzelał, jakby był na strzelnicy. Mógł więc w samoobronie odstrzelić mu głowę, gdyby dał mu ku temu pretekst. Posłusznie więc opadł na kolana, a potem na wszelki wypadek położył się na podłodze.

- Ręce do tyłu! – rozkazał policjant. Bandzior zrobił, jak mu kazano, i natychmiast poczuł zimną stal kajdanek zaciskających się na przegubach. Wtedy pomyślał, że to głupio dać się załatwić takiemu gówniarzowi. Ale zaraz popatrzył w prawo, tam gdzie leżał Iwan niedający oznak życia. Po tym strzale zainkasowanym w kolano momentalnie stracił przytomność. Nic dziwnego, ból musiał być okropny. Ale swoją drogą i tak miał szczęście, przyszło mu do głowy, bo postrzał dostał w szpitalu i natychmiast trafi na salę operacyjną. Gdyby był na wojnie, to kto wie, co by się z nim stało. Tym bardziej że wiadomo, jak ruska armia troszczy się o swoich rannych albo jak bardzo się o nich nie troszczy. Jednak z dwojga złego lepiej zaliczyć ranę w Polsce...

- Nic ci nie jest? – zapytał posterunkowy Malicki, podchodząc do Aliony.

Dziewczyna była w szoku. Patrzyła na niego wielkimi oczyma, z których wypływały łzy, tocząc się po policzkach. Konrad wydobyl z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych, wyjął jedną, a potem zaczął wycierać jej twarz.

- Nie bój się. Oni już ci nic nie zrobią. A ten, co wyciągnął spluwę, to idiota. Mówiłem mu, żeby stał spokojnie. To nie, wołał mnie nastraszyć pistoletem. Myślał, że się będę go bał. A ja tylko wycelowałem i trach, trach...

- Ты настоящий герой⁴⁰ – powiedziała i pocałowała go w oba policzki.

W tym momencie drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wpadła pielęgniarka Halina Kwiatkowska uzbrojona w mopa. Ale rzuciwszy okiem, stwierdziła, że ten czerwony kij nie będzie jej już

do niczego potrzebny.

Okolice Grodziska

Godzina 4.05

Stali pod drzwiami domu gotowi do wejścia. Każdy trzymał w dłoni broń. Przy samej kłamce pochylał się Przemek. Turek był tuż obok, kontrolując wszystko dookoła. Przeczesał uważnym wzrokiem wytrawnego tropiciela całe obejście, szukając najmniejszego nawet zagrożenia. Nie żeby spodziewał się ukrytego gdzieś na dachu strzelca z winchesterem w rękach, mierzącego do nich zza komina. Nie sądził też, aby tam, zza tej ciemnej plamy stodoły, wypadła banda krwiożerczych Komanczów, którzy przygwoździliby ich do ziemi wypuszczonymi z luków strzałami. Ale jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc wolał zachować ostrożność.

- Ej, Turek, włącz! - Poczł, że ktoś szarpie go za rękaw. Odwrócił się. Drażkowski właśnie otworzył drzwi i zamierzał wejść do środka. Już chciał ruszyć za nim, gdy naraz coś usłyszał.

- Czekaj, ktoś się zbliża! - powiedział stanowczo, wskazując dłonią kierunek za ich plecami.

- Skąd wiesz? - zapytał podejrzliwie Przemek.

- No przecież, kuźwa, słyszę, że ktoś tam sapie.

- No to poczekajmy - zdecydował Drażkowski.

Rzeczywiście, jakiś człowiek podążał w kierunku domu szybkim krokiem. Nie dość, że szedł, to jeszcze wydawał z siebie dźwięki. Tak jakby chciał zwrócić uwagę, że nadchodzi. Co chwilę przystawał i w momencie, gdy na szutrowej ścieżce cichły kroki, rozlegało się ciche pogwizdywanie. Kiedy gwizd cichł, znów było słycać kroki.

- To chyba jakiś bandyta się zbliża - stwierdził Turek.

- Skąd wiesz? - zapytał zdziwiony Przemek. - Czemu bandyta?

- Nie słyszysz, że on za każdym razem wygwizduje tą samą melodię?

- No i co z tego?

- Jak co z tego? Przecież jak ktoś gwizdże tą samą melodię co kilka kroków, to znaczy, że nadaje sygnał.

- Jaki sygnał? - Przemek nadal nie rozumiał, o jaki rodzaj sygnalizacji chodzi koledze.

- Jak jaki? Przecież to oczywiste i jasne jak słońce. Facet się zbliża i nadaje sygnał dźwiękowy, żeby wartownicy wiedzieli, że to idzie swój. Bo jakby ktoś się zbliżał i nie gwizdał, to mogliby otworzyć ogień i nie dopuścić do tego, by obcy podszedł pod dom. No rozumiesz, to jest jak hasło.

- Aha. - Wreszcie dotarło do Drażkowskiego. Ale nadal miał wątpliwości. - No dobra, ale myśmy tu przyszli i nie nadawaliśmy sygnału, nie?

- No tak - zgodził się z nim Turek.

- To czemu do nas nie otworzyli ognia?

- Bo nie zśliśmy powoli, tylko żeśmy tu przybiegli. Nie zorientowali się nawet, że tu jesteśmy. To dlatego, że żeśmy nie gwizdali - wyjaśnił skomplikowaną kwestię najprostszym z możliwych uzasadnień. Zanim Drażkowski zdążył je przeanalizować, zza narożnika domu wyłoniła się jakaś postać. W lekkiej poświacie wstającego dnia widać było sylwetkę mężczyzny z podświetloną od dołu twarzą. Upiorna maska od razu skojarzyła się Turkowi z filmem Wakacje z duchami i postacią księżniczki Brunhildy. Przestraszony już chciał się gdzieś ukryć, ale na szczęście Przemek zachował zimną krew. Rozległ się kolejny gwizd, a potem światło przygasło. Ten moment wykorzystał Drażkowski. Przypadł do upiornej postaci z pistoletem w dłoni, przyłożył lufę do gardła i krzyknął:

- Ręce do góry i ani słowa!

Światło powędrowało w górę. W tym momencie Turek zrozumiał, że nie ma się czego bać, bo to nie żaden duch, ale zwykły człowiek z komórką w dłoni. Właściciel telefonu na oko mógł mieć jakieś osiemnaście lat. Rozglądał się nerwowo wokół, lustrując baczny spojrzeniem dwóch uzbrojonych napastników.

- Czego chcecie? Ja nie mam żadnych pieniędzy.

- Nie chcemy pieniędzy - spróbował go uspokoić Przemek. - Masz nam wszystko powiedzieć.

- Opór jest bezcelowy - dorzucił Turek zdecydowanym tonem. - Jesteśmy z policji.

- A, z policji. - Chłopak najwyraźniej odetchnął z ulgą. - To ja w takim razie już powiem, jak było.

Towar przywiózł SpangeBob.

- Kto? - nie zrozumiał Turek.

- No Spanczi. Tak na niego wiara mówi, bo chleje jak gąbka i nie można przy nim żadnego piwa otwartego zostawić, bo zaraz wypije. No i Spanczi kupił towar w Poznaniu.

- Jak kupił?

- No normalnie, od dostawcy Kiryła. Kirył ma takie dziwne imię, bo jest z Ukrainy. Teraz dużo Ukraińców handluje towarem. Oni mają dobre kontakty z ruską mafią. To kontakty jeszcze sprzed wojny. Tam się napierdalają, a tu współpracują, bo pieniądze im nie śmierdzą.

- Ile tego towaru było? - zapytał Turek, używając retoryki chłopaka.

- Dwie paczki.

- Nazywacie je paczkami? - zdumiał się Turek.

- A jak je nazywać, jak są zapakowane.

- Jak zapakowane? - chciał uściślić Przemek.

- No jak to jak? W folię? A jak mają być pakowane? Każda paczka po dwadzieścia gramów. Duże, ale mniejszych się nie opłaca brać, bo w hurcie taniej. No i jak Spanczi je przywozi, to my je rozdzielamy na małe torebeczki strunówki, znaczy na pojedyncze porcje. Ale ja jestem tylko do pomocy. To Spanczi za wszystko odpowiada. Ja tylko rozprawdzam torebki na dyskotecę...

- Kurwa - jęknął Przemek. - Chyba złapaliśmy dilera, a nie handlarza żywym towarem.

- Prawda, ja tylko diluję. Ale okazjonalnie tylko w wakacje, bo w roku szkolnym to jeżdżę do Poznania do szkoły. Ja mam maturę w tym roku...

Policjanci spojrzeli na siebie, a potem na zatrzymanego przez nich chłopaka.

- A dziewczyny? Gdzie są dziewczyny? - zapytał Drażkowski, który powoli zaczął zdawać sobie sprawę z faktu, że najwyraźniej popełnili błąd. Może ten chłopak nie miał nic wspólnego z handlarzami żywym towarem albo przeciwnie... Być może robił ich umiejętnie w konia, sprzedając sprytnie jakąś historyjkę o narkotykach. Dlatego trzeba było go przycisnąć. - Gadaj, gdzie one są? I lepiej mów prawdę, bo inaczej pożałujesz!

- Jakie dziewczyny?

- Te, które przywożą tu z Poznania.

- Nie, to nie dziewczyny przywożą. - Chłopak pokręcił głową. - Mówiłem już przecież, że to Spanczi przywozi towar od Kiryła. Od żadnych dziewczyn towaru nie bierze. Bo ten od Kiryła jest najpewniejszy. Znaczy czysty, bez żadnego syfu, więc ludzie się nie skarżą.

- A te sygnały co żeś nadawał? - zapytał Turek. - Kogo chciałeś ostrzec?

- Jakie sygnały?

- No gwizdał żeś przecież.

- Ja gwizdałem?

- No przecież nie ja. - Turek nie odpuszczał. - Myślisz, że my jesteśmy głuchoniemi, żeby nie słyszeć?

Po nocy w takim miejscu gwizdanie się niesie z daleka. Po co żeś gwizdał?

- Ja nie umiem gwizdać.

- On myśli, że my jesteśmy jakimiś kretynami. - Turek popatrzył na Przemka, a potem uniósł swój rewolwer. - No gadaj szybko, kogo żeś chciał ostrzec...

Nie dokończył, bo wszyscy trzej usłyszeli naraz melodię wygwizdywaną przez... telefon.

- To jest Supertramp - rozpoznał melodię Przemek.

- No, racja - zgodził się z nim chłopak. - To jest melodyjka z płyty *Crisis? What Crisis?* Mam ją ustawioną jako sygnał przychodzących wiadomości.

- A kto jest w tym domu, znaczy kto tu mieszka? - Przemek wskazał budynek, do którego kilka chwil wcześniej próbowali się dostać.

- No jak kto? - zdziwił się chłopak. - Ja mieszkam i moja mama, i mój tata, i brat młodszy Antek.

- Nie ma tam żadnych dziewczyn? - Turek nadal nie dowierzał chłopakowi. Zresztą nie miał ku temu żadnych podstaw. Ten młodzieniec nie miał powodu, żeby współpracować z policją, skoro zajmował się dilerką. Mógł celowo ich oszukiwać, żeby w tym czasie jego kompani...

- To nie tutaj! - usłyszeli znajomy głos dobiegający od bramy. Cała trójka spojrzała w tamtym kierunku. Zdyszany Dima opierał się swoją jedyną ręką o ceglaną ścianę budynku.

- A ty co tu robisz? - zapytał go Turek. - Miałeś pilnować tych dwóch tam w aucie.

- No i pilnowałem, znaczy nawet teraz ich pilnuję, bo obaj leżą związani. Musiałem ich związać, żeby nie uciekli, jak ja ich zostawiłem, żeby przyjść do was.

- Mów, o co chodzi - ponaglił go Przemek.

Dima odepchnął się od muru i podszedł bliżej. Idąc, wydobyl z kieszeni papierosa i zaraz go podpałił. Zaciągnawszy się dymem, popatrzył wokół, omiatając wzrokiem zapuszczoną zagrodę, której kształt widać już było wyraźnie w porannym brzasku.

- Ten łysy, co nas tu pokierował, popatrzył się na ten dom i powiedział mi, że się pomylił. Chodzi o to, że źle musiał wskazać zjazd, bo wjechaliśmy nie tam, gdzie trzeba. To miała być leśniczówka, a nie zwykła zagroda. Leśniczówka chyba jest dalej, więc możecie schować te spluwy, bo to nie to miejsce.

Obaj policjanci natychmiast schowali broń, a Turek popatrzył groźnie na chłopaka.

- Na razie nie mamy czasu się zajmować twoimi ciemnymi sprawkami, gościu.

- Właśnie - poparł go Drażkowski. - Ale teraz wiemy, gdzie mieszkasz i co robisz. I dlatego zgłosimy do pani komendant policji w Grodzisku, że się zajmujesz rozprawdaniem prochów razem z tym pijakiem Sapanczim, więc wezmą cię pod lupę. I dlatego ciesz się, chłopie, że nie mamy czasu zajmować się dziś gównami. Ale możesz być pewny, że ci się dobrze przyjrzą nasi koledzy.

- Gdzie jest ten drugi wjazd? - zapytał Turek.

- Gdzieś dalej. - Dima wzruszył ramionami. - Ale dokładnie gdzie, to nie wiem.

- Jak do leśniczówki Elźbieciny panowie chcecie jechać, to zjazd będzie za kilometr w kierunku Wolsztyna - wyjaśnił młody diler. - Musicie wyjechać na drogę i przejechać kilometr, może trochę dalej, i będzie zjazd na prawo, a potem lasem, a droga prowadzi prosto do leśniczówki. Nie można się zgubić, bo nie da się pomylić, jak się cały czas pojedzie prosto - wyjaśnił, starając się zrobić to bardzo przekonująco, zapewne po to, by policjanci pomyśleli, że poszedł z nimi na pełną współpracę.

- Nie mogłeś tu podjechać? - zapytał Turek Dime. Ten zaprzeczył, kręcąc głową.

- Nie mogłem, bo po pierwsze nie mam kluczy od auta, bo Przemek zabrał, a po drugie nie mam ręki, i w związku z tym nie bardzo mogę prowadzić.

Pozostawili chłopaka samemu sobie i ruszyli w kierunku samochodu. Młody diler jeszcze przez chwilę przyglądał się odchodzącym, zastanawiając się, jakie przykre konsekwencje może przynieść jego głupia gadatliwość, bo nie ulegało wątpliwości, że sam się wyspał kompletnie bez sensu i w ten sposób spalił całkiem dochodowy biznes. Teraz będzie musiał się z tego jakoś wygrzebać.

Z drewnianej budy stojącej tuż przy ścianie starej stodoły wyszedł kudłaty Bobik. Zobaczywszy swojego pana, wesoło zamierdał ogonem i ruszył w jego kierunku, żeby się przywitać. Należał do tych szczęśliwych psów, które nie są trzymane na łańcuchu. Bo Bobik był psem, który nie musiał być wiązany ze względu na swój bardzo pokojowy charakter. Nie rzucał się na przechodzących drogą ludzi, lecz wszystkich witał machaniem ogona i radosnym piszczeniem. On lubił nawet listonosza, a do tego jeszcze był stary i głuchy, więc nie usłyszał, że przed chwilą w ich zagrodzie gościło trzech obcych ludzi.

Jego pan, upewniwszy się, że policjanci w cywilu odeszli, odblokował smartfon, odnalazł imię dobrego znajomego, od którego kupował po niezłej cenie prochy. Nie był to żaden Spanczy, który był dupkiem i dlatego można go było bez żadnej obawy poświęcić i wyspać przed tymi gliniarzami. Jego znajomy nosił pseudonim Szewa i był prawdziwym gościem. Przyjeżdżał co kilka dni do leśniczówki i po drodze przywoził mu towar. Wysłał mu krótką wiadomość.

Jedzie do was trzech policjantów. Będą za jakieś piętnaście minut.

Po chwili usłyszał melodyjkę zagwizdaną przez któregoś z członków zespołu Supertramp. Spojrzał na odpowiedź składającą się z dwóch słów.

dziękuje przyjacielu

Okolice Grodziska

Godzina 4.25

Alina usłyszała krzyk i stanęła w miejscu, zastygła jak żona Lota. Ale nie zamieniła się w słup soli. Ten krzyk kobiety dochodzący z pokoju, w którym kilka minut temu była z Krukowskim, sprawił, że włoski na karku i przedramionach stanęły jej dęba. Coś się tam stało, więc powinna natychmiast zareagować. Tyle że musiała wiedzieć, w czym rzecz. No przecież Krukowski nie zaatakował dziewczyn. Mieli wychodzić z pokoju. Już powinni być w kuchni.

Odwróciła się do idącej za nią Soni i kazała jej się zatrzymać, wyciągając rękę w jej kierunku. Dziewczyna przystanęła i na wszelki wypadek ukryła się za framugą drzwi do sieni. Alina podeszła do dróg drzwi, które prowadziły na korytarz do sypialni.

- Kruk, co się dzieje? - zawołała, wyciągając jednocześnie pistolet. Odpowiedziała jej cisza.

- Kruk, słyszysz mnie! Odezwij się, do cholery!

Znowu żadnego odzewu.

Cholera, co tam się stało? - myślała gorączkowo. Jeśli Krukowski się nie odzywa, to znaczy, że ten goryl musiał go obezwładnić. Nawet nie przyszło jej do głowy, że to może być coś znacznie gorszego, że jej kolega mógł zostać zabity. Nie, takiej myśli do siebie nie dopuściła. Wyobraziła sobie za to, że policjant leży na podłodze związany, tak jak jeszcze przed chwilą leżały te dziewczyny. A jeśli tak było, to mogło oznaczać, że bandzior ma broń należąca do Krukowskiego. Nie tylko tę broń. Przecież on może mieć jeszcze swój pistolet albo jakiegoś kałacha. Nawet tego nie zdążyli sprawdzić.

Spojrzała na zegarek. Od momentu, gdy zeszli na dół, do tej chwili minęło zaledwie kilkanaście minut. A jej się zdawało, że cała ta kopanina w pokoju, powrót na górę i zejście na dół zajęło wieki. Czas na szczęście płynął powoli. Ci dwaj wrócą tu za piętnaście, dwadzieścia minut, a może i później. Ma więc chwilę na obmyślenie jakiegoś planu. No tak, tylko jak cokolwiek wymyślać, skoro nie wie, co dzieje się w tym pokoju?

W końcu doszła do wniosku, że musi zastosować najprostszą z możliwych metod.

- Ej ty, nie wiem, jak masz na imię, pierdolony zbokolu. Do ciebie mówię, gościu ze złamanym kutasem. Co, bolą cię jeszcze jajka po tym, jak ci załadowałam z kopa? Może chcesz dostać jeszcze raz?

Jak ci teraz przywałę, to już więcej nie wstaniesz, bo mam na nogach swoje buty. Jeden kop w jaja i już ci nigdy więcej nie stanie, złamany kutasie. No dalej, pokaż się, jak jesteś taki odważny, że zmuszasz dziewczyny do...

- Jak taka jesteś mądra, to chodź no tu, ty suko. Zaraz ci pokażę, co mogę zrobić...

Nastuchiwała i jednocześnie starała się przesunąć jak najbliżej drzwi do sypialni. Na szczęście знаła rozkład pomieszczenia i wiedziała, że facet, jeśli chce się z nią zmierzyć, powinien stać na samym środku pokoju. W ten sposób miałby najlepsze możliwe pole ostrzału. Mógł też schować się za drzwiami i czekać, aż ona podejdzie i popełni jakiś błąd. W tej sytuacji jedyne, co mogła zrobić, to spróbować podejść do drzwi i przeskoczyć na drugą stronę, prowokując go do strzału, oczywiście jeśli stał na środku i czekał. Jeśli był za drzwiami, nie strzeli, bo jej nie zobaczy. Co najwyżej usłyszy. Tak czy owak, będzie coś wiedziała...

- Nu, co, ty bladź, idziesz tu czy nie idziesz? - usłyszała głos faceta, który sprawiał wrażenie rozbawionego całą tą sytuacją. - Nu dalej, policyjne ściervo, nu dalej, szmato, masz tyle odwagi, żeby tu się pokazać, to pokaż, jaka żeś jest odważna. Czemu cię tu nie widać, jak jesteś taka mocna? Boisz się, co? Boisz się mnie, ty kurwo! - wykrzyknąwszy kolejną obelgę, zaczął się głośno śmiać. Ona stała tuż za futryną. Słyszała wyraźnie ten śmiech i czuła niemal fizycznie jego obecność jakiegoś dwa, trzy metry obok. Nie wiedziała jednak, gdzie jest, siedzi, stoi, a może leży na podłodze z pistoletem wycelowanym w drzwi. Miała niewielką, malutką szansę i zdecydowała się ją wykorzystać.

Zrobiła krok do przodu, mocno wybiła się na nogach i skoczyła przed siebie szczupakiem, z rękoma wyciągniętymi do przodu. W prawej trzymała glocka, gotowa do strzału. Mógł ją widzieć tylko przez sekundę, jednak zdążył pociągnąć za spust. Nie trafił. Trzy kule raz za razem poleciały w jej kierunku, ale uderzyły w ścianę naprzeciw wejścia, odłupując z niej tynk. W pokoju rozległ się przeraźliwy krzyk dziewczyn i przekleństwa bandyty. Jednak najważniejszy był fakt, że Alina go zobaczyła. Siedział na podłodze pod oknem, oparty plecami o ścianę, ze spojrzeniem utkwionym w wejście do sypialni. Gdy przekulała się na drugą stronę, natychmiast się poderwała i szybko wsunęła lufę pistoletu w wolną przestrzeń za framugą. Nie miała szansy wycelować, ale musiała podjąć próbę. Przycisnęła spust i strzeliła dwa razy...

- Job twoju... - zawołał i Alina zrozumiała, że go raniła.

- I jak się czujesz, skurwielu? - rzuciła drwiącym tonem.

- Zabiję cię, kurwo!

- Spróbuj, szmaciarzu, no spróbuj!

Nie spróbował. W pokoju, w którym siedział, zrobiło się tak cicho, jakby nikogo w nim nie było.

Leśniczówka Elżbieciny

Godzina 4.30

- Słyszałeś? - zapytał Turek, spoglądając na Przemka. Ten wzruszył ramionami.

- Że co niby miałem słyszeć?

- No jak co? Tam ktoś krzyczał. - Turek wskazał na bryłę budynku o spadzistym, czerwonym dachu. W blasku pierwszych promieni słonecznych gdzieś tam odbijały się świetlne refleksy na nielicznych dachówkach, których nie zdążyła pokryć do końca patyna mchu i leśnych pyłków, całe lata pracujących wytrwale nad zmatowieniem dachu.

- Tam na pewno ktoś krzyczał! - stwierdził Dima, wysiadając z auta.

- No dobra, jak tak mówicie, to trzeba by to... - zaczął mówić Przemek, ale zaraz przerwał, bo znów rozległ się krzyk. O ile ten pierwszy, wyraźnie niski i tubalny, musiał należeć do mężczyzny, to drugi, kobiecy, było znacznie lepiej słyszeć dzięki wysokim rejestrom.

- Jakaś baba się drze – rzucił Turek i niewiele się zastanawiając, ruszył w kierunku domu. Żeby do niego dojść, musieli pokonać kilkadziesiąt metrów leśną drogą wiodącą przez pustą połąć świeżego wyrębu. Jednak ani Przemek, ani Turek nie spodziewali się, aby w domu krył się ktoś z karabinem, kto mógłby uniemożliwić im dojście do zagrody. Zatrzymując auto na skraju lasu, byli przekonani, że wszyscy jeszcze o tej porze śpią, więc lepiej nie podjeżdżać za blisko, by nie zbudzić nikogo niepotrzebnie ryczącym silnikiem. A tymczasem okazało się, że w leśniczówce noc się skończyła, skoro jakaś kobieta krzyczała na mężczyznę albo odwrotnie.

- I tak nie masz broni, dlatego zostań tutaj. – Przemek klepnął Dimę w plecy.

- Nic z tego! – Tatuażysta pokręcił głową. – Nie mam zamiaru się kryć w lesie, jak tam będzie coś się działo.

- Dima, i tak dużo nam pomogłeś.

- Jeszcze dużo pomogę. Idziemy.

Powiedziawszy to, ruszył w ślad za Turkiem, który już przebył połowę dystansu. Przemek na wszelki wypadek obrzucił jeszcze spojrzeniem dwóch leżących w samochodzie członków przestępczej grupy. Ci dwaj byli tak powiązani, że nie mieli najmniejszej szansy na ucieczkę. Drażkowski miał nadzieję, że za chwilę dołączą do nich kolejni pojmani bandyci. Ale przede wszystkim porwana przez nich Sonia, a kto wie, może i inne dziewczyny, które być może są tu przetrzymywane.

Turek podchodził już pod zabudowania. Przemek rozglądał się dookoła, szukając jakiegoś zagrożenia. Naraz pod lasem, z drugiej strony leśniczówki, dostrzegł jakiś ruch. Przystanął, wpatrując się w to miejsce. Ruch się powtórzył. Dima też przystanął i spojrzał tam, gdzie patrzył Przemek. Tylko Turek szedł dalej. Ale on niczego nie mógł zauważyć, bo widok zasłoniła mu już drewniana stodoła.

Przemek sięgnął po pistolet. Machnął ręką w kierunku Dimy, by ten przykucnął. Sam też pochylił się tak, by ktoś, kto wynurzał się z lasu, nie mógł go dojrzeć. Przez chwilę nic się nie działo, tak jakby ten, co stał tam w krzakach, ukryty między drzewami, sprawdzał, czy wyjście na ogołoconą z drzew przestrzeń na pewno jest bezpieczne. Widać nie dostrzegł żadnego zagrożenia, bo najpierw pojawił się łeb pozbawiony poroża, potem szyja, pierś i wreszcie przednie nogi. Wielki jeleni, który, jak to wiosną bywa, stracił atrybut swojej męskości, przystanął na moment na skraju lasu, rozejrzał się jeszcze, by się upewnić, że nic złego nie czyha w ukryciu, a gdy już nabrał pewności, że droga jest wolna, ruszył spokojnym krokiem przed siebie, ukazując cały swój majestat króla leśnych ostępów. Za nim na wyręb zaczęły wysypywać się łanie i młode. Całe stado, liczące ponad dwadzieścia sztuk, wkroczyło na pustą przestrzeń, tam gdzie jeszcze do niedawna rosły drzewa. Zwierzęta szły wzdłuż drogi powoli, rozglądając się na boki. Gdy były już w połowie dystansu od leśniczówki, powietrze rozdarł ostry odgłos wystrzału, a zaraz po nim dwa następne. Zwierzęta natychmiast ruszyły galopem w kierunku zbawczej ściany lasu. Gdy padły kolejne dwa strzały, nie było już po nich śladu.

Przemek wpatrywał się w miejsce, w którym stado skryło się w zielonej gęstwinie, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Potem obejrzał się za siebie, jednak nie zobaczył strzelca. I naraz dotarło do niego, że to nie myśliwy oddał strzały do jeleni. Strzelano w zagrodzie.

Turek już to wiedział. Stał przy ścianie budynku z rewolwerem w dłoni. Drugą ręką machał w kierunku Przemka. Ten poderwał się z kolana, na którym przykleknął, i zaczął biec w stronę kolegi. Po chwili zdyszany dopadł węgła. Turek na jego widok położył palec na ustach i wskazał drzwi. Przemek zrozumiał, że Turek chce iść pierwszy. Pokiwał głową i jednocześnie pomachał na Dimę, by ten nie ważył się iść za nimi. Ukraińiec nic nie odpowiedział, ale nie było już czasu na dyscyplinujące rozmowy. Uzbrojony w rewolwer kowboj z Szamotuł wbiegł po trzech schodkach na ganek, pchnął barkiem drzwi i padł do środka.

- Policja, gleba, wszyscy gleba, nie ruszać się! – zaczął krzyczeć, by zrobić jak najgroźniejsze wrażenie na wszystkich, którzy byli w domu. Przemek skoczył za nim i również zaczął krzyczeć.

Wiedział bowiem, że taki hałas nad ranem deprymuje przestępców, którzy budząc się, nie wiedzą jeszcze, co się wokół nich dzieje.

– Gleba, kurwa, gleba! Rzucić broń!

– Tutaj! Do mnie, policja! Jestem z policji! – usłyszeli jakiś kobiecy głos ze środka domu.

– Kto woła? – krzyknął Turek i naraz natknął się na skuloną przy ścianie dziewczynę.

– Na podłogę! – polecił jej, a ona posłusznie przysiadła.

– Tu aspirant Alina Wielicka z KPP Grodzisk! – odpowiedział głos z głębi domu.

– Aspirant Turek z Szamotuł. Gdzie jesteś?

– Za kuchnią jest korytarz, a dalej sypialnia. W sypialni są dwie dziewczyny, mój kolega chyba ranny i jeden skurwysyn, co ich tam przetrzymuje.

– Alina, idziemy do ciebie!

Przemek wszedł do kuchni, a Turek obejrzał się za siebie. Dziewczyna nadal kuciała przy ścianie. Podszedł do niej i się pochylił. Przez chwilę w skupieniu wpatrywał się w jej twarz.

– Sonia? Ty jesteś siostra Nadii? Sonia Hreczko?

Spojrzała na niego zdumiona. A on w tym momencie zrozumiał, że znalazł tę, której szukał od kilku dni.

– A ja jestem Szymon Turek. Wreszcie cię znalazłem! – powiedział i poczuł, że oczy mu jakoś dziwnie zawilgotniały. Chciał jeszcze dodać, że zaraz zadzwonią do Nadii, bo ona czeka, ale zapomniał, jak się mówi po rusku „czekać” i w ogóle zapomniał o wszystkim. Na szczęście Przemek nie poddał się atmosferze wzruszenia. Nie miał na to czasu. Podszedł do drzwi na korytarzyk i wystawił głowę z kuchni. Od razu zobaczył siedzącą na podłodze policjantkę.

– Gdzie jest ten bandzior? – zapytał.

Wskazała palcem na wejście do pomieszczenia, z którego na ciemny korytarz wypływało poranne światło.

– Ty, gościu, nie masz żadnych szans! – krzyknął Drażkowski. – Budynek jest otoczony. Rzucaj broń na podłogę i wychodź z podniesionymi rękoma!

– Nie wiem, czy wyjdzie, bo chyba go postrzeliłam – wyjaśniła Alina.

– Ej, ty, słyszysz? – zawołał Przemek, ale odpowiedziała mu cisza.

Popatrzył więc na policjantkę, wskazał na siebie palcem, a potem na drzwi. Zrozumiała, że chce wejść do środka. Na migi pokazała, że ona zabezpieczy dół, a on górę. Podsunęli się oboje w kierunku framugi. Przemek stał, a Alina zajęła pozycję w przykłęku na jednym kolanie. Byli gotowi. Trzeba było tylko odliczyć. Wskazał na swoją głowę, kiwnął raz i pokazał jeden palec, po nim dwa, a w końcu trzy. Wiedziała, o co chodzi. Odliczy skinieniami głowy, bo obie dłonie ma zajęte przez pistolet.

Raz, dwa, trzy...

Oboje pojawili się w drzwiach. Od razu dojrzała leżącego na podłodze mężczyznę z pistoletem wycelowanym na wprost. Nim zdążyła zareagować, padł strzał. W tej samej sekundzie pociągnęła za spust i kula wbiła się w czoło faceta, a za jego głową, na białej niegdyś, a teraz mocno już poszarzałej ścianie, pojawił się rozprysk krwi oraz jasnych drobin kości zgruchotanej czaszki. Odwróciła się za siebie, by powiedzieć coś do tego policjanta, który stał krok za nią... Mężczyzna trzymał się za brzuch. Pomiedzy palcami wypływała mu krew, barwiąc jasną koszulę czerwienią. Wypuścił z dłoni pistolet i zaczął się chwiać. Zerwała się, żeby go podtrzymać. Złapała go w ostatniej chwili, gdy już przechylał się do tyłu. Delikatnie pomogła mu ułożyć się na plecach.

– Pomocy! – krzyknęła. – Do mnie! Mamy rannego!

Zaraz jednak przypomniała sobie o swoim koledze Krukowskim. Wbiegła do pokoju. Kruk leżał na podłodze, trzymając się jedną dłonią za szyję. Był nieprzytomny, ale żył. Świadczyła o tym unosząca się i opadająca klatka piersiowa oraz świszczący oddech.

– Mamy dwóch rannych! – krzyknęła i wróciła do postrzelonego w brzuch Drażkowskiego. Ten był przytomny. Twarz mu zbladła, a oczy wpatrzone były w jakiś punkt na suficie. Pochyliła się nad nim, a on się uśmiechnął.

– Dobrze, że nic nie jadłem – powiedział Przemek.

– Co mówisz? – Pochyliła się niżej, żeby lepiej słyszeć.

– Mój tata mówił, że najgorzej, jak się dostanie postrzał w bebechy, jest wtedy, jak człowiek jest najedzony... – wyjaśnił i stracił przytomność.

Okolice Grodziska

Godzina 4.40

– Cholera, ani jeden, ani drugi nie odbierają. – Aneta bezradnie spoglądała na wyświetlacz telefonu.

– Możemy chwilę poczekać. Przecież się nie pali – odpowiedział Włodek.

– No przecież już czekamy. – Wskazała na dwie ściany sosnowego lasu ciągnące się wzdłuż duktu.

Przed chwilą zjechali tu z asfaltowej szosy i Włodek zatrzymał auto.

– Dlaczego stanąłeś? – zapytała.

– Jesteśmy niedaleko. Może byś się porozumiała z twoimi ludźmi. Nie wiesz, czy tam już są, czy nie...

Uśmiechnęła się do niego. Miał całkowitą rację. Trzeba było skoordynować działania na ostatniej prostej. Tyle że oni nie odbierali połączeń. Pewną szansę dawał jeszcze esemes.

– Masz rację, napiszę do nich – wyjaśniła i zaraz zabrała się do pisania wiadomości.

Gdzie do cholery jesteście? Jestem już na drodze prowadzącej do leśniczówki. Mogę być tam za chwilę. Nie zaczynajcie niczego beze mnie!

Przez moment wpatrywała się w ekran, ale nie było odpowiedzi. Za to wiadomość dostał Włodek. Sięgnął po telefon i ją odczytał.

– Co tam? – zapytała Aneta.

– A, nic nadzwyczajnego. To, co ci mówiłem, że ten mój samochód wypadł z kursu. No to kierowca z zastępstwa melduje, że już jedzie. Sytuacja kryzysowa opanowana – wyjaśnił, uśmiechając się. Zaraz jednak pochylił się nad wyświetlaczem i zaczął pisać. – Muszę odpowiedzieć – wytłumaczył się, ale Aneta nie miała mu przecież tego za złe. Raczej była mu wdzięczna. Miał swoje ważne sprawy na głowie, a mimo to był tu z nią i poświęcał swój czas, zaniedbując obowiązki.

– Myślę, że nie ma co tu stać dłużej – stwierdziła w końcu zniecierpliwiona przedłużającą się beczynnością. – Skoro wiesz, gdzie jest ta leśniczówka, to jedźmy tam. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Jak sobie życzysz – zgodził się od razu i włączył silnik. Auto ruszyło leśną drogą, ale dzięki dobrym amortyzatorom niemal nie było czuć nierówności.

– Daleko to? – zapytała.

– Nie, skąd. Zaraz będziemy. Jak wjedziemy na takie puste pole po drzewach...

– Wyręb – poprawiła go. – Od wyrębanych drzew.

– No właśnie, to jak będzie takie puste pole, wyrębane po lesie, to już będzie widać leśniczówkę. Oprócz niej jest tam jeszcze stodoła i jakiś mniejszy budynek, taki techniczny...

– Gospodarczy – rzuciła, a on się uśmiechnął.

– Szybko mnie nauczysz polskiego – stwierdził.

– Umiesz mówić doskonale. Niekiedy tylko brakuje ci jakichś wyrazów. Ale ze mną to nie problem. Jak nie wiesz, jak coś po polsku powiedzieć, to możesz używać słów rosyjskich. Dla mnie to nawet dobrze, bo w ten sposób się uczę...

Przerwała, gdy ciemność lasu zmieniła się w jasność puste, oświetlonej ostrymi promieniami wstającego słońca przestrzeni po dawnym lesie. W tym słonecznym blasku zobaczyli stado jeleni przebiegające przez drogę. Zwierzęta nawet nie spojrzały w ich kierunku, znikając wśród drzew.

Z daleka widać było zabudowania gospodarcze. Jeśli tam ktoś był, to być może już zostali dostrzeżeni. Ale nie miała wyjścia, musieli tam podjechać. Na skraju drogi dostrzegła srebrne renault.

- Ktoś tu już przyjechał - zauważyła.

- Pewnie na grzyby.

- Nie. - Pokręciła głową. - Na grzyby chyba jeszcze za wcześnie. To może ktoś na polowanie? Jak się w lesie pojawiają takie puste przestrzenie jak tutaj, to zwierzęta mimo wszystko chodzą swoimi dawnymi ścieżkami, tak jakby ten las nadal tu był. Dlatego pojawiają się też myśliwi, którzy korzystają z okazji. Dopiero po jakimś czasie zwierzęta nauczą się, że trzeba takie połacie omijać, bo może to być bardzo niebezpieczne przejście... Te jelenie właśnie się uczą.

- Podjeżdżamy pod same drzwi? - zapytał Włodek.

- Chyba tak, nie ma co tracić czasu na jakieś podchody.

- A co z twoimi ludźmi?

- Muszą tu zaraz przyjechać. Poczekam na nich i razem wejdziemy do domu. Na razie podjedź pod bramę, tak żeby nikt nie mógł z niej wyjechać.

Bmw zatrzymało się metr od bramy. Aneta wyciągnęła z kabury swojego glocka i otworzyła drzwi.

- Poczekasz tu na mnie? - zapytała, a Włodek przytaknął.

- Nie mogę tam wejść? No wiesz, z tobą?

- Nie, bo jesteś cywilem, a tam zaraz może być gorąco. Czekamy na chłopaków i...

Spojrzała na drzwi domu. Ze środka wypadł Turek i rozejrzał się wokół. Dostrzegłszy Anetę, podbiegł do bramy. Od razu zrozumiała, że coś jest nie w porządku.

- Masz telefon?! - krzyknął.

- Mam, a co?

- Dzwon na pogotowie. Drażek ranny. I jeszcze jeden policjant też nieprzytomny. Policjant z Grodziska!

- Co tu się, do cholery, stało? Mieliście na mnie czekać.

- Mieliśmy, ale nie wyszło. Chodź do środka. A to kto? - Spojrzał na wychodzącego z auta mężczyznę.

- To... Włodek... znasz go z targów. Włodek, zostań, proszę!

Puściła się biegiem w kierunku ganku. Turek machnął ręką i też pobiegł jej śladem. Minęli korytarzyk, kuchnię i po chwili byli już przy leżącym na podłodze Drażkowskim. Miał otwarte oczy. Na widok Anety uśmiechnął się krzywo.

- Aneta... - powiedział słabym głosem. - Się porobiło... ja pierdołę...

- Nic nie mów. Opatrunek! Trzeba mu zrobić opatrunek! Szymon, idź do Włodka do samochodu, niech ci da apteczkę.

Turek wrócił po minucie. Aneta w tym czasie zdążyła połączyć się z numerem alarmowym. Pomoc była już w drodze.

- Nie ma tego faceta - zameldował. - Auta też nigdzie nie widać.

- A gdzie jest? Cholera, nieważne. Trzeba go czymś opatrzeć. Co masz pod kurtką? - spytała Alinę.

- T-shirt - odpowiedziała policjantka.

- Dobra, może być, ściągaj.

Alina nie miała zamiaru dyskutować. Od razu wyczuła w Anecie szefową. Zdjęła kurtkę, potem czarną koszulkę i podała ją policjantce. Była na siebie zła, że sama na to wcześniej nie wpadła.

- Turek, dawaj jakiś nóż!

Po chwili trzymała już w dłoni scyzoryk, który kolega miał zawsze w kieszeni. Pocięła nim T-shirt na kawałki i zaczęła robić tampon.

- Podajcie mi jeszcze wodę, ale czysta żeby była...

Wielicka założyła kurtkę na siebie i pobiegła do kuchni. Zaraz wróciła z butelką wody mineralnej.

- A ten drugi, znaczy policjant, co z nim? - zapytała Alinę.

- Oberwał pięścią w krtań. Bałam się, że ma zgruchotaną, ale na szczęście już jest lepiej. Pomogłam mu się położyć na łóżku i teraz dochodzi do siebie. Ale nie może nic powiedzieć...

- Za chwilę będzie pogotowie. Pomogą im... - rzuciła Aneta wpatrzona w Drażkowskiego. Chwyliła go za rękę i pochyliła się nad nim.

- Nic się nie martw, Przemek, będzie dobrze. Za chwilę cię wezmą do szpitala...

Drażkowski oddychał ciężko. Oczy miał otwarte, wpatrzone w jeden punkt gdzieś na suficie.

Naraz przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. Gdzie jest Włodek?

W tej chwili usłyszała sobie coś, co się do niej przytrzymało podczas drogi, a czego wcześniej nie zrozumiała. To dziwne uczucie podobne do déjà vu. Coś wiedziała, ale do końca nie wiadomo było, o co chodzi. I naraz wszystkie klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Włodek powiedział w samochodzie, że wie, jak jechać do leśniczówki. Tylko że w rozmowie z Turkiem nie padło słowo „leśniczówka”. On wiedział, że ma jechać właśnie tutaj. Powiedział też, że leśniczówka jest na wyřębie. Na pustym polu po lewej stronie. A wcześniej twierdził, że przyjeżdża tu, gdy chodził do szkoły. Ale kiedy chodził do szkoły, nie było tego wyřębu. Był tu las, w środku którego stały zabudowania. Bo polana pojawiła się niedawno, a drzewa, które tu wcześniej rosły, wycięto kilka miesięcy temu, o czym świadczyły sterty drewna przy drodze i świeże, niepoczerniałe jeszcze pniaki. Włodek musiał więc tu być niedawno, kiedy już tego lasu nie było...

Odrzuciła się za siebie, bo usłyszała jakieś dziwne odgłosy dochodzące z kuchni, a potem zbliżające się szybkie kroki.

W korytarzu z kałasznikowem w rękach pojawił się Włodek... W pierwszej chwili chciała mu powiedzieć, żeby stąd wyszedł, że nie może się mieszać... Wtedy dostrzegła idącego za nim łysiego faceta z pistoletem w lewej dłoni. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie.

- A teraz poproszę ręce grzecznie do góry - powiedział jej chłopak. Żadnych głupich i niepotrzebnych numerów proszę nie robić, bo szkoda by było was wszystkie tu wytłuc. - Uśmiechnął się, a Aneta stwierdziła, że gdyby ogłoszono konkurs na najgłupszą policjantkę świata, mogłaby z powodzeniem walczyć o palmę pierwszeństwa.

Gdy na podwórko wjechało bmw, Dima był akurat w zapuszczonym sadzie. Poszedł tam, żeby się rozejrzeć. Jak każdy stary żołnierz miał wyrobione nawyki, które doświadczonym frontowcom pozwalają stać się żywymi weteranami. Gdyby ktoś go zapytał, po jaką cholere łazi wokół chałupy, pewnie wzruszyłby tylko ramionami. Na przecucia nie było przecież nigdy dobrego i racjonalnego wytłumaczenia. Tam, w domu, nie miał nic do roboty. Nie wchodził, bo Turek kazał mu zostać na zewnątrz. Czekał, aż oni sami uporają się z niebezpieczeństwem.

Wtem usłyszał strzał, a zaraz po nim kolejny. Odruchowo pochylił głowę, ale zdał sobie sprawę, że nikt do niego nie strzela. Odgłosy były przytłumione, a to znaczyło, że strzelano wewnątrz budynku. W pierwszej chwili chciał biec do środka, ale zaraz usłyszał sobie, że przecież nie ma broni... Był przekonany, że jeśli ktoś strzelał, to na pewno policjanci. Ale na wszelki wypadek musiał to sprawdzić. Chwylił leżący pod płotem stalowy pręt zbrojeniowy prawie metrowej długości. Nie był to co prawda karabin, ale czymś takim można przywalić komuś w łeb i liczyć na to, że uderzenia nie będzie trzeba powtarzać, by wyeliminować przeciwnika.

Obiegł dom dookoła, by wrócić na podwórko. Już chciał przekroczyć linię ogrodzenia, gdy naraz dostrzegł, że przez bramę wjeżdża duży wóz terenowy. Na wszelki wypadek przystanął. Jeśli to beemka należąca do bandziorów, będzie miał dobrą pozycję do zajścia ich od tyłu.

Z auta wysiadła rudowłosa kobieta. Nie miał pojęcia, kto to jest, i w zasadzie niewiele go obchodziło do momentu, w którym ta wyciągnęła z kabury pod pachą pistolet. Zacisnął mocniej dłoń na stalowym pręcie, przygotowując się do walki, gdy wtem dostrzegł wybiegającego z domu Turka.

- Masz telefon? - zawołał policjant, zwracając się do rudowłosej. A więc to był ktoś od nich. Najprawdopodobniej ta policjantka, ich szefowa, która jechała za nimi od Poznania.

- Mam, a co? - odpowiedziała.

- Dzwoni na pogotowie. Drażek ranny. I jeszcze jeden policjant też nieprzytomny - wyjaśnił, a Dima zrozumiał, że coś przeoczył. Drażek ranny, to znaczyło, że nie poszło tak gładko, jak chcieli. Ruszył ku nim, jednak zaraz przystanął, dostrzegłszy mężczyznę, który wysiadł z auta od strony kierowcy.

Znał tego człowieka. Chwilę wpatrywał się w niego, by się upewnić. Tak, to na pewno był on, choć widział go wcześniej tylko w mundurze. Teraz był po cywilnemu, ale twarz, zarosnięta broda, należała do tego samego człowieka, którego widział w Doniecku. To był słynny Szewa Szewczenko, ruski separ, z którym walczył na lotnisku. Znała go cała Ukraina dzięki krążącemu w sieci filmowi, na którym ten bydlak znęca się nad jeńcami, poniża ich, bije, a jednemu obcina nożem ukraińskie naszywki, wpycha do ust i każe zjadać. Żaden z tych jeńców, którzy zostali sfilmowani, nie wrócił do domu. Dwóch z nich Dima znał doskonale, bo byli z jego plutonu...

Wyszedł zza płotu i ruszył w kierunku auta. Szewa szukał czegoś pochylony nad otwartym bagażnikiem. Dima zbliżał się do niego, trzymając w dłoni pręt zbrojeniowy. Czuł, jak buzuje w nim nienawiść. Uniósł pręt, gotowy do zadania ciosu, ale nie potrafił uderzyć wroga jak tchórz. Uderzenie od tyłu było poniżej jego godności.

- Szewa! - zawołał.

Mężczyzna drgnął i zaraz potem zamarł w bezruchu.

- Odwróć się, draniu! - krzyknął Dima.

Rosjanin się odwrócił. Zrobił to powoli, jakby się nad czymś zastanawiał. Ale nie chodziło o analizę sytuacji. Dima zrozumiał to zbyt późno. Odwracał się wolno, bo ręce miał zajęte czymś, czego Ukrainiec nie dostrzegł wcześniej, a gdy zrozumiał, co się dzieje, było już za późno na atak prętem. Dystans trzech metrów mógłby co prawda pokonać w jakąś sekundę, a cios spadłby na separa w ciągu kolejnej. Jednak to za długo w porównaniu z możliwościami kałasznikowa, który w ciągu jednej sekundy potrafił wypluć sześć kul.

Mimo wszystko Dima skoczył przed siebie, licząc, że Szewa nie zdążył jeszcze przeładować broni. I miał rację. Zamachnął się prętem, mierząc w głowę, ale nie trafił, bo separatysta uchylił się błyskawicznie. Stalowy pręt zahaczył kolbę kałasznikowa, jednak nie wytrącił go Szewie z ręki. Mężczyzna uskokzył na bok i dzięki temu uniknął zderzenia z solidnie zbudowanym Dimą. Ten poleciał w przód, trafiając prawym barkiem w klapę bagażnika. Przeciwnik wykorzystał moment zamroczenia i uchwycił automat za lufę, wziął zamach i uderzył nim Dimę. Ten padł bez przytomności na wybrukowany podjazd.

Włodek rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Nie namyślał się długo. Złapał Ukrainca za nogi i pociągnął w kierunku auta. Uniósł go, wrzucił do bagażnika i zatrzasnął klapę. Potem położył automat na siedzeniu pasażera, sam usiadł za kierownicą, odpalił silnik i wyjechał na drogę.

Dima ocknął się w chwili, gdy do samochodu wsiadało dwóch facetów. To ich podniecone głosy go zbudziły. Rozpoznał ich natychmiast. To byli ci dwaj, którzy przyjechali z nimi spod dworca.

- Nic się, kurwa, nie dało zrobić, szefie. Mieli przewagę, broń, a ten jeden bez łapy to ma taką parę - wyjaśniał ten młody.

- Zaskoczyli nas. - Łysy był mniej wylewny.

- Ten bez łapy mówisz. To popatrz do bagażnika. Leży tam załatwiony - rzucił Szewa. - Wyciągnijcie ze schowka spluwy, mamy coś do zrobienia.

- O ja pierdole, szefie, to ten chuj - powiedział młody na widok Dimy.

- Zajebię cię, kurwo! - Warknął łysy i niewiele się zastanawiając, uderzył Dimę pięścią w głowę. Ten znów zapadł się w ciemność.

Chwilę później auto podjechało do leśniczówki, a trzech uzbrojeni bandyci weszli do budynku. Żaden z nich nie zainteresował się nieprzytomnym Dimą. Wydawało im się, że po ciosie, który zainkasował, nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Ale go nie docenili. Ukraińiec miał twardą głowę. Ocknął się po chwili, a stwierdziwszy, że został sam, przedostał się przez oparcie fotela oddzielającego część pasażerską od bagażnika i otworzył drzwi. Nie były zablokowane, więc wyszedł bez trudu na zewnątrz. Od razu ruszył przez podwórko, by obieć dom dookoła.

Po chwili znalazł się przy kuchennym oknie. Było otwarte. Ostrożnie zajrzał do pomieszczenia i natychmiast cofnął głowę. Bandyci wprowadzali właśnie do środka jakieś dziewczyny. Zobaczył wśród nich tę rudowłosą, która przyjechała razem z Szewą.

Już wiedział, jak wygląda układ sił. Po cichu, by nie narobić przypadkiem hałasu i nie zdradzić się ze swoją obecnością, wycofał się wzdłuż ściany budynku i dostał się na ganek. Drzwi były szeroko otwarte. Nie namyślając się długo, wślizgnął się do środka. Z niewielkiego korytarzyka można było albo przejść na schody, albo iść prosto do kuchni. Pod schodami były małe drzwiczki. Tam musiała być jakaś skrytka. Otworzył je i wsunął się tam. Przymknął za sobą kłapę, zostawiając szparę, by móc przez nią obserwować, co dzieje się w domu. Wiedział, że niewiele może zrobić, bo nie ma broni, ale na razie nie zaprzętał sobie tym głowy. Czekał na to, co się wydarzy.

- Czemu tu jeszcze siedzimy, szefie? - zapytał łysy osiłek z przetrąconą ręką. - Powinniśmy chyba stąd się zmywać, bo za chwilę ktoś tu będzie szukać tych gliniarzy - powiedziaławszy to, machnął zdrową ręką, zakreślając jakiś niedorobiony okrąg.

- Czekamy na Iwana i Muszę - odezwał się Włodek, spoglądając na wyświetlacz telefonu. - Fiodor meldował mi przez telefon, że pojechali do szpitala. Ci kretyni nie odbierają, a może są gdzieś poza zasięgiem i już tu dojeżdżają. - Był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Nie ma co czekać, Fiodora nic nie ożywi, a ten policyjny zdechłak i tak zaraz umrze... - Łysy nie miał żadnych skrępułów.

- Nie umrze, jeśli zawieziecie go do szpitala! - zawołała Aneta.

Młody podszedł do Anety z kałasznikowem w rękach. Zamachnął się karabinem, zamierzając najwyraźniej uciszyć ją uderzeniem kolby w głowę.

- Zostaw ją! - krzyknął jego szef, powstrzymując go w ostatniej chwili. - Ty chyba nie wiesz, skarbie, w jakim świecie żyjesz. - Włodek spojrział drwiącym wzrokiem na Anetę. - Mamy zawozić do szpitala twoich policyjnych kumpli? I co zrobić jeszcze? Może wypisać ankietę, w której opowiemy o okolicznościach, w jakich doszło do postrzelenia? Nic z tego. Tym dwóm facetom i tak już nic nie pomoże, a chudzielec też tu zostanie. - Wskazał na pobitego Turka, który leżał nieprzytomny po tym, jak dostał cios w głowę, gdy Włodek wchodził do domu.

- Chcesz ich zostawić na pewną śmierć? - Aneta pytała, choć już zdała sobie sprawę, że negocjowanie z nim czegokolwiek nie ma sensu. Najgorsze, że na razie nie miała pomysłu, jak wydostać się z tej matni. Dała się zaskoczyć, bo nie wzięła pod uwagę, że mężczyzna, który jeszcze przed godziną wydawał się jej tak bliski, nagle stanie po przeciwnej stronie. Nie, nie stanie. Był tam cały czas, a ona tego nie widziała.

- Wybacz, kochana, ale ci faceci wcale mnie nie interesują. To ich problem, czy się wykrwawi ten gość, a drugi zadusi. Jeśli za chwilę sami zejda, oszczędzą nam roboty. Bo my nie możemy pozwolić sobie na fuszerkę. Już zbyt dużo nam namieszaliście, żeby jeszcze na koniec, gdy mamy już wszystko w rękach...

- Rękach – poprawiła go.

Zaśmiała się wyraźnie rozbawiona.

- Miło z twojej strony, że dbasz o mój polski. Gdybyś nie wkładała nosa w nie swoje sprawy...

- Mówi się, nie wtykała nosa. - Znów go poprawiła, ale tym razem już się nie uśmiechała.

- Mogliśmy jeszcze się spotykać długo. Szczerze powiem, że było to całkiem przyjemne mieć policjantkę na własność.

- Nigdy nie miałaś mnie na własność!

- Może i nie miałem, ale teraz mam. I muszę przyznać, że to całkiem miłe uczucie.

- Co chcesz z nami zrobić? - zapytała.

- No jak to co? Jesteś ładną, atrakcyjną dziewczyną. Zresztą podobnie jak ta twoja koleżanka. - Wskazała na Alinę. - Szkoda by było was zabijać. Więc mam taki pomysł, że zabierzemy was do Niemiec z naszymi dziewczynkami. Pojedziecie do pracy. Tam całkiem dobrze można zarobić...

- Ty żeś chyba kompletnie zwariował, człowieku! Myślisz, że nas sprzedasz, a my będziemy pracować w jakimś burdelu? Stuknij się w głowę. Lepiej mnie od razu zastrzel.

- Nic z tego, Anetko. - Włodek pokręcił głową, uśmiechając się złośliwie. - Nic nie rozumiesz. Nie ma takich, których nie dałoby się złamać. Przez tydzień będą cię szprycować prochami i gwałcić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nikt tego nie jest w stanie wytrzymać. Po tygodniu łamią się najtwardsze sztuki, które zrobią potem wszystko, żeby dostać działkę. Za miesiąc będziesz pracować...

Zadzzwonił telefon. Włodek spojrzął na wyświetlacz i od razu odebrał.

- No i co z nimi? - zapytał od razu.

- Kurwa, co to za debile. Dobra, dzięki za informację. Oczywiście, że dostaniesz towar po dobrej cenie. Za tydzień możesz liczyć na dostawę. No i jeszcze dzięki za cynk o policji nad ranem.

Rozłączył się i spojrzął na swoich ludzi.

- Nasi koledzy zaliczyli bliskie spotkanie z policją. Więc nie ma co na nich czekać. Zbieramy się. Panie pozwolą. To już ostatnia droga przed nami. Wybierzemy się na wycieczkę...

Aneta spojrzała na Alinę. Ta kiwnęła głową. Obie wiedziały, że teraz, gdy będą je próbowali upchać do samochodu, jest najlepszy moment, żeby spróbować się wyrwać. Miały co prawda ręce skrępowane sznurkiem, ale bandyci zrobili to niezbyt fachowo, związując je z przodu. To dawało pewną szansę powodzenia. Trzeba było zaatakować w momencie, gdy będą wsiadać do auta. Zrobi się zamieszanie i wtedy ruszą.

Ustawili je w szeregu i pchnęli w kierunku drzwi. Pierwsze szły Ukrainki ze spuszczoneymi głowami, wydawały się pogodzone z losem. Policjantki zatrzymał ten z bezwładną ręką.

- Czekać chwilę - polecił. Najwidoczniej chciał dać swojemu kumplowi czas na załadowanie pierwszych dziewczyn. Po chwili chłopak wrócił.

- Już siedzą. Możemy dawać teraz te - zameldował Włodekowi, wskazując na Anetę i Alinę. Ten skinął głową.

- Dobra, idźcie.

- A co z tym tu? - zapytał chłopak, wskazując na leżącego na podłodze Turka, któremu najwyraźniej wracała świadomość. Miał otwarte oczy, choć jeszcze chyba nie do końca wiedział, co się z nim dzieje.

- Idźcie, ja się nim zajmę.

- Jeśli mu coś zrobisz, zabiję cię, gnoju! - krzyknęła Aneta.

- Wyprowadźcie je - rzucił Włodek, wyciągając zza paska spodni rewolwer.

Rozpoznała ulubioną broń Turka. Ten chyba wreszcie doszedł do siebie na tyle, żeby zacząć coś rozumieć. Uniósł się na łokciu i spojrzął na Anetę, a potem mrugnął do niej...

Dwaj bandyci wypchnęli je z domu. Na podwórku ten ze złamaną ręką podszedł do auta i otworzył drzwi.

Dima pilnie nasłuchiwał. Kobieta i mężczyzna rozmawiali głośno, a właściwie krzyczeli na siebie. Rozpoznawał wyraźnie słowa, ale nie zastanawiał się nad ich treścią. Zrozumiał najważniejsze, że mają jakieś dziewczyny wyprowadzić do samochodu. Zobaczył po chwili, że ktoś przechodzi korytarzem. To były trzy kobiety i ten młody, którego złapał na dworcu. Potem chłopak wrócił, by zaraz wyjść z łysym i kolejnymi kobietami. Oznaczało to, że Szewa musiał zostać w domu!

Ukrainiec nie zastanawiał się ani chwili dłużej. Wyszedł ze schowka i ruszył do kuchni. Szewa stał koło stołu odwrócony do niego plecami. W dłoni trzymał pistolet, z którego mierzył do leżącego na podłodze Turka. Dima domyślił się, że jest właśnie świadkiem egzekucji. Separ przeładował pistolet i ten moment wykorzystał ukraiński weteran. Dwoma susami dopadł do bandyty i kopnął go z całej siły w zgięcie pod kolanem. Mężczyzna krzyknął i momentalnie opadł na podłogę, jednocześnie pociągając za spust. Kula wbiła się w podłogę. Drugi, równie potężny kopniak wybił mu z dłoni pistolet. Rosjanin nawet nie zdążył się zdziwić, gdy żelazne ramię oplotło mu szyję. Dima całym swoim ciężarem runął na niego, ani na chwilę nie zwalniając uścisku.

– Oderwij mu łeb! – odezwał się Turek, który niezdarnie próbował się podnieść. Ale Dima nie potrzebował podpowiedzi. Trzymał bandytę, dusząc go ramieniem i swoją masą. Szewa miotał się jak oszalały, próbując się wyrwać i rzucić z siebie przeciwnika. Ale na niewiele się to zdawało. Dima przyjął wprawdzie kilkanaście ciosów w głowę, lecz czuł, że nie jest mu w stanie w ten sposób zaszkodzić. Zresztą każde kolejne uderzenie było słabsze. Naraz poczuł, jak Szewa wiotczeje, a na drewnianej podłodze rozlewa się śmierdzący strumień, którego nie było w stanie utrzymać umierające ciało.

Nim zdążyły wsiąść do auta, z domu dobiegł głuchy odgłos wystrzału. Aneta przez sekundę wyobraziła sobie twarz Turka, wykrzywioną grymasem bólu...

– Teraz! – krzyknęła, żeby Alina podjęła akcję. Sama uniosła nogę najwyżej, jak się dało, i z całej siły wymierzyła kopniaka w złamaną rękę łysego. Dosięgnęła celu. Facet momentalnie wypuścił z dłoni pistolet, chwytając się za obolałe miejsce. Drugi kopniak w twarz powalił go na ziemię. Aneta przycisnęła mu głowę twardą podeszwą buta.

Alina nie miała tak łatwego zadania. Odwróciła się do idącego za nią chłopaka i wybijając się mocno, kopnęła go w kolano. Nieprzygotowany na atak były wolontariusz przewrócił się jak ścięty szablą. Alina zdawała sobie jednak sprawę, że niebezpieczeństwo nie minęło. Chłopak cały czas trzymał jeszcze w rękach kałasznikowa. Przyskoczyła do niego i wybiła się w górę, a potem opadła podeszwami butów na automat, przygważdżając w ten sposób prawą dłoń bandyty do ziemi. Potem obejrzała się za siebie.

– Dalej, pomóżcie! – zawołała w kierunku dziewczyn siedzących w aucie. Chciała, żeby te spróbowały rozplątać jej sznurek krępujący przeguby. Musiała szybko wziąć do ręki broń, zanim Włodek wyjdzie z domu. Sonia zaczęła nieporadnie otwierać drzwi.

– Alina, uciekaj! – krzyknęła nagle Aneta, słysząc jakiś ruch w budynku. – Biegnij do lasu!

Zamiast Włodka na zewnątrz pojawił się Turek, podtrzymywany przez nieznanego brodacza. Policjant opierał się o jego ramię. Ujrawszy zdziwioną Anetę, uśmiechnął się radośnie.

– To jest Dima! – zawołał. – On się ukrył, jak wchodzili tu ci gnoje! I jak ten tam chciał mnie zastrzelić, to nasz bohater załatwił go jedną ręką!

Aneta popatrzyła na siłacza, a potem przeniosła pytające spojrzenie na Turka.

– Skręcił mu kark jedną ręką. Mówię ci, ten jeszcze spróbował strzelić do Dimy, ale...

- Trafił w ścianę, a potem mu wykopałem rewolwer – wyjaśnił brodac.

- Mojego gwarda mu zabrał...

Gdzieś od strony lasu rozległy się syreny policyjne. Aneta spojrzała w kierunku wyrębu. Na drodze pojawiły się radiowozy i karetka. Dwie minuty później na podwórku zaroilo się od policjantów.

- Pani komisarz, skąd pani tutaj?! – krzyknęła komendantka Roma zdumiona widokiem Anety.

- Wszystko opowiem, pani komendant, ale trzeba ratować chłopaków.

- O, Alina, a ty co tu robisz?

- Melduję, pani komendant, że Kruk tam leży w środku. Ale żyje... Dostał uderzenie w krtań. Trzeba do szpitala...

- Mój kolega z Poznania jest ranny, rana postrzałowa w brzuch – rzuciła Aneta w kierunku lekarza, który właśnie wyskoczył z karetki. Wskazała mu dłonią drzwi wiodące do domu. Mężczyzna machnął na sanitariusza i obaj zaraz zniknęli wewnątrz.

- Skąd wiedzieliście? – zapytała Aneta w pewnym momencie, gdy chaos pierwszych minut wydawał się już opanowany.

- W szpitalu dwóch zbirów chciało dopaść Alionę, tą dziewczynę, która im uciekła – wyjaśniła komendantka. – Ale nasz chłopak, znaczy się policjant, który jej pilnował, stanął na wysokości zadania. No i od razu wzięliśmy tych dwóch w obroty i powiedzieli nam, gdzie trzymają dziewczyny... –

Przerwała, widząc, jak sanitariusz wyprowadza z domu jej podwładnego. Podeszła do Krukowskiego i o coś zapytała. Ten wskazał na zabandażowane gardło, usprawiedliwiając się w ten sposób przed szefową, że nie będzie mógł dziś złożyć szczegółowych wyjaśnień.

Aneta podeszła do Turka, który usiadł na ławeczce przed domem. Obok niego siedziała Sonia. Turek pokazywał jej jakieś zdjęcia w komórce. Przysiadła się do nich.

- O, a tu dzieciaki siedzą przy obiedzie – mówił. – Jemy w kuchni, chociaż tam nie ma za dużo miejsca. Ale teraz, jak ty się wprowadzisz, bo wiesz, dla ciebie jest gotowy pokój, w którym śpi twoja siostra. To na początek jakoś się pomieścicie razem.

Chciała coś powiedzieć, o tym, że się udało i że mają dużo szczęścia, że tę Sonię odbili w ostatnim momencie i że to właściwie wszystko dzięki Turkowi i jego determinacji. A potem stanęła jej przed oczyma uśmiechnięta twarz Włodka, gdy poprawiała go, jak użył nieprawidłowo jakiegoś słowa... Pomyślała, że jednak ma pecha do facetów i właściwie jest już stracona dla świata rodzin grillujących wspólnie z sąsiadami. Zostanie starą panną, a jej rodzice nigdy nie doczekają się wnuków.

Przymknęła oczy i naraz zobaczyła jakąś drogę w porannym słońcu, podobną do tej, którą jechali do granicy z Ukrainą. Była zupełnie pusta, tak jakby wcale nie było wojny.

KONIEC

Cerekwica

Lipiec 2023

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz

- 1 Więcej w powieści *Ostra jazda*, MUZA 2019.
- 2 Bierzcie, proszę (ros.)
- 3 Dziękuję (ros.)
- 4 Jedziemy do Poznania. Możemy zabrać ze sobą osiem osób. Czy ktoś chce z nami pojechać do Poznania? (ros.)
- 5 Możemy pojechać z wami. Wszystko jedno dokąd. Byle dalej stąd (ros.)
- 6 Jak się czujecie? Wszystko w porządku? (ros.)
- 7 Kanapki (ukr.)
- 8 Wstyd, obciach (gwar.)
- 9 Na przejażdżkę (ros.)
- 10 Pralka (ros.)
- 11 Dzień dobry, Szymonie Michajłowiczu, pan już wrócił (ros.)
- 12 No ja rozumiem (ros.)
- 13 Raz dobrze, raz słabo (ros.)
- 14 To znaczy, że nie chciał się pan uczyć (ros.)
- 15 Zapomniałeś o papciach? (ros.)
- 16 Ja chcę do toalety (ros.)
- 17 Nie, to ja (ros.)
- 18 Pan był na granicy, a ja nie miałam co tu zrobić (ros.)
- 19 Jestem nauczycielką języka angielskiego (ros.)
- 20 Droga Nadiu, śpię dziś u znajomych, telefon mi ukradli. Dzwoni na numer mojej koleżanki Aliony. Całuję cię mocno i do zobaczenia. Czekam na telefon (ros.)
- 21 Kładź się, kurwo, na ziemię! No dalej, ty dziwko, leż i się nie ruszaj! (ros.)
- 22 Zabieraj rękę, ty gnoju! (ros.)
- 23 Proszę, pomóż, proszę! (ros.)
- 24 Pomóż mi (ros.)
- 25 Zabierz mnie stąd, proszę (ros.)
- 26 Krzaki (gwar.)
- 27 Ja wiedziałam, od razu wiedziałam, że ty mnie uratujesz. Jak tylko zobaczyłam cię w mieście, poczułam, że mogę liczyć na pomoc. I w lesie też utwierdziłam się w tym, że mnie uratujesz. Ja czekałam, tak długo... (ros.)
- 28 Czy mówisz po angielsku? Tak, mówię trochę. To świetnie. Bardzo się cieszę. Powiedz mi, jak masz na imię? Mam na imię Sonia. A, Sonia, bardzo ładnie. A powiedz mi, co tu się stało w tym domu. Chodzi mi o te plamy krwi na podłodze w kuchni. Te plamy krwi to przeze mnie. Jak to? To ja wbiłam nóż w szyję kobiety, która mnie porwała. Chciałam ją zabić (ang.)
- 29 I co wtedy zrobicie? (ros.)
- 30 Separ – w ten sposób żołnierze ukraińscy nazywają tzw. separatystów, czyli mieszkańców dwóch obwodów ługańskiego i donieckiego, którzy wystąpili zbrojnie przeciwko Ukrainie, dążąc do podporządkowania tych terenów Rosji.
- 31 Tak, ja rozumiem (ros.)
- 32 Oni pojechali do szpitala (ros.)
- 33 Muszę iść do toalety (ros.)
- 34 To tutaj (ros.)
- 35 Jaki film oglądasz? (ros.)
- 36 Ja nie mogę spać (ros.)
- 37 Czy moglibyśmy pooglądać ten film razem? (ros.)
- 38 Możesz włączyć napisy po rosyjsku? (ros.)
- 39 Ja jestem z Ukrainy, ale mówię po rosyjsku (ros.)
- 40 Jesteś prawdziwym bohaterem (ros.)